



ROISIN
MEANEY

ROCZNICA

Dom na irlandzkim
wybrzeżu.

Trzy pary.

Weekend, który wszystko
zmieni.

ROISIN
MEANEY

ROCZNICA

Z języka angielskiego przełożyła

Monika Wiśniewska

 **słowne**
Z UCZUCIEM

*Dedykuję mieszkańcom Miltown Malbay,
w podziękowaniu za ciepłe przyjęcie*

ŚRODA, 26 KWIETNIA

LILY

Czyta, kiedy dzwoni telefon. A raczej próbuje czytać. Jej spojrzenie prześlizguje się po kartce, rozpoznając poszczególne słowa, nie łącząc ich jednak w sensowny ciąg. Bardzo się stara skoncentrować, lecz ministerialny okólnik okazuje się równie nużący i rozwlekły jak większość tego typu oficjalnych dokumentów – czy one biorą udział w konkursie na to, który najszybciej potrafi zanudzić? – zresztą jej myśli i tak uciekają do Land's End, dokąd wybiera się za dwa dni.

I wtedy dzwoni telefon, a jego elektroniczny terkot wypełnia nagle gabinet, sprawiając, że trzymany przez nią dokument lekko podskakuje. Bierze do ręki słuchawkę, a jej wzrok biegnie w stronę okna z mało ekscytującym widokiem na szkolny dziedziniec i tylną furtkę.

– Tak?

– To Enid – mówi jej sekretarka. – Chce z panią rozmawiać. Nalega.

Enid, na litość boską. Trzeci telefon w tym tygodniu – a może czwarty? Czy ta kobieta nie ma nic lepszego do roboty?

– Powiedz jej, że jestem zajęta. Powiedz, że oddzwonię jutro.

– Twierdzi, że to ważne.

Lily wzdycha. W przypadku Enid zawsze chodzi o coś bardzo ważnego.

– Przyjmij wiadomość, Norah. Powiedz, że wyszłam.

– Niestety już powiedziałam, że pani tu jest.

No i znowu ta grzeczna nieustępliwość, to niemal nieposłuszeństwo, które Norah udaje się włączyć do niemal każdej ich rozmowy, nieważne, jak krótkiej. Norah nie spodobało się, że Lily siedem lat temu, po dojściu do władzy, zmieniła jej mało efektywny system przechowywania dokumentów; od tamtej pory zachowanie sekretarki niewiele dzieli od bezczelności. Pewnego dnia miarka się przebierze i nie bacząc na związki zawodowe, Lily każe jej się spakować.

– No dobrze, daj mi ją. Ale nie łącz żadnych innych rozmów aż do popołudnia. Mów, że jestem na zebraniu i nie można mi przeszkadzać. Bez wyjątków.

Rozlega się ciche kliknięcie i oto mamy Enid, oddychając głośno do lewego ucha Lily. Piersiastą, obdarzoną kilkoma podbródkami Enid, aktualną przewodniczącą komitetu rodzicielskiego. Z pieprzyka obok dolnej wargi wyrastają trzy długie, czarne włosy, które podczas każdego spotkania przyciągają pełne odrazy spojrzenie Lily. Skoro już nie może ich wyrwać, to mogłaby je chociaż rozjaśnić.

Lily pozwala jej czekać, ze wzrokiem niezmiennie utkwionym w dziedziniec i przemykających przez niego zwyczajowym spóźnialskich. Dwójka O'Neillów, niepotrafiąca ogarnąć kwestii punktualności, nawet gdyby próbowała. No i ta biedna Babs Harty, ostatnia z długiej listy Hartych, równie nieogarnięta jak jej starsze rodzeństwo. Zważywszy na chaotyczną sytuację w domu, to cud, że w ogóle udaje jej się dotrzeć do szkoły. Ta siódemka nieszczęśników już dawno powinna była trafić do opieki zastępczej – matka pije jak szewc i klnie jak marynarz, a ojciec częściej przebywa w więzieniu niż na wolności.

A teraz pod bramę swoim bmw podjeżdża Ivy Lyons, jak zawsze dziesięć minut po pierwszym dzwonku. Wypuszczając z auta swoje dwa skarby, bezwstydnie zerka w stronę okna gabinetu Lily. Rządzi miejscowym klubem golfowym. Restauracja należąca do jej męża Victora jest jedynym lokalem w okolicy z gwiazdką Michelin. Tacy ludzie ustalają własne zasady; szkoda czasu na stawianie się im, więc Lily nie zawraca tym sobie głowy.

Obraca się na fotelu i jej spojrzenie zatrzymuje się na stojącym na biurku oprawionym w ramkę zdjęciu Poll i Thomasa.

– Enid, co mogę dla pani zrobić?

– Och, dzień dobry, pani Murphy. Przykro mi, że znowu zawracam pani głowę. – Wcale nie jest jej przykro, kocha zawracać innym głowę. – Obawiam się, że pojawiły się jedna czy dwie skargi dotyczące przedstawienia, na które w zeszłym tygodniu wybrały się piąte klasy. – Niski, niemal męski głos przekonany o wadze tego, co ma do przekazania. Lily oczami wyobraźni widzi wyrastające

z pieprzyka włoski. – Uznałam, że powinnam je pani przekazać, pani Murphy.

Jakżeby inaczej. Ta kobieta uwielbia kontrowersje.

– W czym dokładnie tkwi problem, Enid?

Jakby Lily nie wiedziała.

– Pojawiły się w niej przekleństwa.

Ach, przekleństwa. To straszne słowo na K, to samo, które Lily słyszy na szkolnych korytarzach wielokrotnie w ciągu dnia. Niektórzy rzucają nim jak konfetti. Udaje, że nie słyszy, w przeciwnym razie nie robiłaby nic innego, tylko zbierała je z podłogi.

– Obawiam się, Enid, że nie mam nad tym kontroli. Jak pani wie – przypuszczalnie nie wie, bo jej kochany Conrad nie chodzi jeszcze do piątej klasy – ta sztuka znajduje się na liście lektur obowiązkowych i nie da się jej ominąć. Mogę jedynie zasugerować, aby rodzice poruszyli tę kwestię w Ministerstwie Edukacji. Jeśli pani chce, to mogę dać dane kontaktowe.

Cisza. Niewłaściwa odpowiedź. Lily przesuwając zdjęcie odrobinę w prawo i zauważa, jak bardzo radośnie wyglądają na nim jej dzieci. Poll ma koło trzech lat, czyli Thomas pięć albo sześć. Oboje siedzą na plaży w Land's End, otulone ręcznikami Kitty. Mokre włosy, szerokie uśmiechy. Urocze ząbki Poll, piegowata buźka, za którą tak szaleli amerykańscy goście pensjonatu.

– Wobec tego przekażę tę informację – mówi w końcu Enid. Jej słowa przesiąknięte są urazą. A potem żegna się, aby poodgrywać ważną gdzieś indziej. We wrześniu zmiana składu rady rodziców: przy odrobinie szczęścia ktoś nowy zgłosi swoją kandydaturę na przewodniczącego i zepchnie ją ze stołka.

Przez resztę przedpołudnia Lily zajmuje się listami i e-mailami, oddzwania i mozolnie odhacza kolejne okólniki. Kiedy rozlega się dzwonek na przerwę na lunch, udaje się do pokoju nauczycielskiego, świadoma tego, że kiedy otwiera drzwi, w zgromadzonych w nim osobach następuje pewna niewielka zmiana. Po siedmiu latach jest przyzwyczajona do skutków swojego awansu. Nie jest już jedną z nich i nie zamierzają pozwolić jej o tym zapomnieć.

Nie potrafi tego zrozumieć. Nie panoszy się, stara się traktować wszystkich nauczycieli w sposób sprawiedliwy, w przypadku problemów z rodzicami bierze ich stronę – nawet jeśli prywatnie uważa, że to rodzice mają rację – lecz mimo tego wszystkiego pozostaje dojmująco świadoma, że nie jest popularna. Szanowana, owszem. Lubiana – nie bardzo. I nie ma znaczenia fakt, że jest najbardziej kompetentnym dyrektorem, jakiego ta szkoła miała w ostatnich kilku dekadach.

Wmawia sobie, że tak będzie najlepiej. Jest ich szefową, nie przyjaciółką, a próby bycia jedną i drugą skazane by były na porażkę. Poza tym ma mnóstwo przyjaciół poza szkołą.

– Lily, kawy?

Przy zlewie stoi Yvette. Jej zastępczyni i osoba, którą może ostrożnie nazwać swoją sojuszniczką.

– Chętnie, dziękuję.

Siada i zdejmując wieczko z jogurtu, przypominając sobie te szepty pośród grona pedagogicznego po tym, jak ona i Charlie się rozstali. Nikt nic nie powiedział jej prosto w twarz – cóż, nie wydała oficjalnego oświadczenia, wiedząc, że i tak się o wszystkim dowiedzą, no i tak się właśnie stało. Widziała to po spojrzeniach, po prowadzonych ściszymi głosami rozmowach, które urywały się, kiedy tylko się pojawiała.

A kiedy do równania doszła Chloë, o tym także się dowiedzieli. Wieści szybko się rozeszły. Lily ignorowała litościwe spojrzenia, udawała, że nie słyszy okazjonalnych parsknięć. Powiedziała sobie, że to cena, jaką płaci za znalezienie się na zawodowym szczycie, za to, że co dwa tygodnie otrzymuje większy przelew.

– Uff. – Yvette stawia na stole dwa kubki i siada powoli na krześle obok Lily. – Przypomnij mi, ile jeszcze zostało dekad do weekendu.

– Aż tak ciężko?

Młodsza koleżanka posyła jej uśmiech, który bardziej przypomina grymas.

– To ten etap, kiedy odliczam godziny.

W ósmym miesiącu ciąży z czwartym dzieckiem, za dziewięć dni odchodzi na urlop macierzyński. Jej mąż Eddie jest malarzem i tapetiarzem, przynajmniej w teorii. Kiepski w swoim fachu,

a Lily zdarzyło się usłyszeć w pokoju nauczycielskim, że lubi wypić.

– Gotowa na weekend? – pyta Yvette.

– Jako tako. Tak sobie myślę, aby w piątek wyjść nieco wcześniej, może o drugiej. Zastąpisz mnie?

– Oczywiście.

Dobrze, że ma Yvette, niezawodną i sumienną, kiedy jednak pójdzie na macierzyński, Lily zostanie tylko Marian, następna w hierarchii. Problem w tym, że Marian i praca nie idą w parze. Rano Marian zawsze zjawia się jako ostatnia – „Znowu te potworne korki!” – a po lekcjach jako pierwsza zwalnia miejsce na szkolnym parkingu i Lily zmuszona była nie raz poruszać z nią temat skarg rodziców na niesprawdzoną pracę domową i chaotyczne ocenianie. Niestety Yvette nie wróci wcześniej niż w styczniu.

Po lunchu ma spotkanie z parą, której syn nie radzi sobie tak dobrze, jak się spodziewali. Nie ubierając tego w takie akurat słowa, Lily próbuje im delikatnie przekazać, że może ma to związek z faktem, że nie jest tak inteligentny, jak mieli nadzieję. Matka zaciska usta, ojciec zaś raz po raz sapie. Nikt nie jest równie ślepy jak oddani rodzice z wielkimi ambicjami w stosunku do swego raczej przeciętnego potomstwa.

Kiedy w końcu się ich pozbywa, piętnaście minut przed końcem pracy, sprawdza wyciszony telefon i przekonuje się, że ma nieodebrane połączenie od Agnety. Nagrała się na pocztę głosową. No a jakże.

Lil, znalazłam precudowną florystkę – musisz ją poznać. Układa boskie bukiety. Zadzwoń do mnie.

Problem w tym, że Lily ma w nosie bukiety, boskie czy nie boskie. Pragnie cichego ślubu – drugiego, po pięćdziesiątce, kto robi wtedy wielkie halo? – tymczasem Agneta chce czegoś dokładnie przeciwnego. Lily żałuje, że w ogóle powiedziała jej o tym, że ponownie wychodzi za męża, no ale przecież musiała, gdyż jej przyjaciółka będzie jedynym gościem spoza rodziny. Gdyby tylko przestała robić z całej uroczystości coś, na co Lily nie ma w ogóle ochoty.

Wieczorem oddzwoni, da się namówić na spotkanie z precudowną florystką i niewątpliwie skończy się to zamówieniem horrendalnie drogiego bukietu, który kilka godzin po ślubie z Joem wyląduje w koszu – chyba że Agneta przechwyci kwiaty, aby je zamrozić, ususzyć czy zrobić z nimi coś jeszcze innego. Tak, już to widzi. Jak to możliwe, że zostały w ogóle przyjaciółkami, w dodatku najlepszymi?

Uporządkowawszy biurko, sprawdza godzinę. Za osiem minut będzie musiała zająć miejsce przy tylnym wyjściu i nadzorować zachowanie opuszczających szkołę uczniów. To zadanie Yvette, ale Lily przejęła je kilka tygodni temu, kiedy dłuższe stanie stało się dla jej zastępczyni niemalym problemem. Odchyła się, zamyka oczy i jej myśli biegną ku czekającemu ją weekendowi, ku Land's End.

Sześć osób – dwie pary i dwoje singli – i pięć sypialni do podziału. Z Thomasem sprawa jest prosta: weźmie tę małą z dwoma pojedynczymi łózkami. Wie, że Charlie będzie liczył na zielony pokój z widokiem na morze, ten, w którym wychowała się Lily, ten, który przydzielono jemu i Lily, kiedy dzieciaki wyrosły już z wakacji w Land's End, a Kitty objęła w posiadanie rodzinną sypialnię na piętrze. Zielony pokój jest ładny, drugi pod tym względem w domu. Będzie go chciał, ale nie dostanie.

Zakwateruje go w tym podwójnym w tylnej części domu, obok Thomasa, w spokojnym pokoju narożnym z dwoma oknami, a Poll i Aidanowi pozwoli wziąć ten zielony. Jeśli Charlie będzie się skarżył, powie, że uznała, że podczas swojego pierwszego pobytu w Land's End Aidan powinien cieszyć się widokiem na morze.

A dla niej i Joego zostaje główna sypialnia.

No jasne. Gdzie indziej mieliby spać?

Tyle że...

Przestań. Nie bądź niemądra. To tylko pokój. Sprzęty – łóżko, szafa, komoda i fotel – pamiętają lepsze czasy. No i dywanik przy łóżku, który prawie pięćdziesiąt lat temu przybył z Ameryki. I piękne wykuszowe okno z widokiem na Atlantyk.

To dawna sypialnia jej dziadków, a potem rodziców. A teraz kolej na Lily. I Joego. Jego pierwszy

nocleg w Land's End – a jeśli jej plany związane z tym miejscem wypalą, przypuszczalnie także ostatni.

Jej plany związane z tym miejscem – brzmiało to tak, jakby szykowała jakiś wielki projekt, gdy tymczasem prawda wygląda zupełnie inaczej. Podjęcie decyzji nie przyszło jej łatwo: kosztowało wiele godzin zagłębienia w głąb swojej duszy i bezsennych nocy. To, co planuje, nie będzie stanowić powodu do świętowania – wprost przeciwnie, Lily spodziewa się, że jej wieści spotkają się z konsternacją i niepokojem – ale to jedyne logiczne rozwiązanie.

Ma lekkie wyrzuty sumienia, że Joe i pozostali nic o tym jeszcze nie wiedzą. Za kilka miesięcy biorą ślub i będą sobie przysięgać, że spędzą ze sobą resztę życia. W mieście mieszkają już razem – Joe wprowadził się do niej w grudniu – więc to trochę nie fair, że nie podzieliła się z nim swoimi planami. Z drugiej strony nic go z Land's End nie łączy, nie ma z tym miejscem żadnych sentymentalnych powiązań. Nie, najlepiej poczekać i powiedzieć wszystkim razem. Może podczas sobotniej kolacji, kiedy wszyscy się już zjadą. Tak, to powinna być dobra pora.

A tymczasem pozostaje kwestia głównej sypialni. I jej mentalna blokada.

Przed dwadzieścia sześć lat małżeństwa ona i Charlie nigdy tam nie sypiali. Gdy mieszkała tam jeszcze jej matka, coś takiego w ogóle nie wchodziło w grę – a kiedy nadeszła pora, aby ją przeprowadzić, Lily i Charlie byli już w separacji.

A teraz mama nie żyje, odeszła od nich sześć tygodni temu, gdy siedzieli w domu opieki wokół jej łóżka z tą paskudną, błyszczącą, niebieską narzutą. I choć minęły dwa lata od czasu, kiedy zajmowała ten pokój w Land's End, nadal będzie się wydawało, że należy do niej. Będzie nią pachniał. Wszystko w nim będzie ją przypominać.

Bzdura. To tylko pokój. Weź się w garść.

Przynajmniej Chloë nie przyjeżdża. Ciesz się z drobiazgów. Aczkolwiek nieobecność Chloë podczas rodzinnego weekendu to wcale nie taki drobiazg.

Otwiera oczy i sprawdza godzinę, po czym wychodzi z gabinetu i udaje się w stronę tylnego wyjścia.

POLL

Formuje nos, wydobywając go z ostrożnie z kuli, jaką jest twarz, skupiając się na wygięciach i zagłębieniach. Glina jest taka cudownie gładka. Wdycha jej mokry, lekko metaliczny zapach, odczuwając niemal jej smak. Zapach, który nauczyła się kochać, zapach, któremu zawsze udaje się zabrać ją w bardziej szczęśliwe miejsce.

Ale to nie jest wcale jej ulubiony zapach. Tym ulubionym jest ostra, niemal antyseptyczna woń morza, które przetacza się po kamienistej plaży niecałe sto metrów od furtki do Land's End, oraz zmywanych przez nie wodorostów. Woń, która zamieszkuje także dom, zakradając się do każdego zakamarka, tak że nawet leżąc w łóżku, człowiek ma wrażenie, że unosi się na wodzie.

Minęły ponad dwa lata, odkąd po raz ostatni odwiedziła to miejsce, lecz w tym czasie nie było choćby jednego dnia, gdy nie wślizgiwało się do jej myśli. Kiedy zamyka oczy, widzi każdy szczegół tego dużego niebieskiego domu nad morzem. W myślach przechadza się po nim, rozpoznając każdą wypukłość w ścianie, każdy wytarty fragment dywanu, każdą trzeszczącą deskę w podłodze – a teraz marzy, aby znowu go zobaczyć.

I tak się stanie, już pojutrze. Na tę myśl rozpiera ją radość. Wraca tam i nie może się doczekać, nawet jeśli towarzyszyć temu będzie bezbrzeżny smutek. Land's End bez babci, bez choćby perspektywy, że jeszcze ją tam zobaczy, to coś, nad czym nie może rozmyślać zbyt długo, ale mimo wszystko chce tam jechać. Teraz jeszcze bardziej niż do tej pory pragnie przejść się po pokojach i powspominać wszystkie dobre czasy.

– Herbaty?

Odwraca się. Emma nalewa właśnie wodę do czajnika.

– Jasne.

– Z cytryną i imbirem?

– Waniliowy chai. Dzięki.

Zanurza palce w wiaderku z wodą i przysiada na piętach. Pociera dłonie, po czym skupia się na ustach. Dzisiaj pracuje nad Felicity, sześćdziesięcioczworoletnią przełożoną pielęgniarek w tętniącym życiu szpitalu położniczym, która marzy o tym, aby na grzbiecie wielbłąda przejechać pustynię Gobi. Felicity miewa cięty język, zwłaszcza w stosunku do tych młodszych pielęgniarek, ale jeśli tylko ktoś jej potrzebuje, zostaje dłużej w pracy.

Jako piętnastolatka zakochała się w swoim nauczycielu hiszpańskiego, niestety bez wzajemności. Nigdy nie znalazła nikogo innego, chyba że liczy się Gregory. W dni wolne od pracy Felicity stroi się i popołudniami chodzi na tańce z Gregorym, który dawno temu, w pewne słoneczne lato, wybrukował jej podjazd, a od dwudziestu lat próbuje ją nakłonić do wzięcia z nim ślubu.

Poll każdej głowie nadaje imię i własną historię. Tym sposobem wydają jej się prawdziwe, kiedy tworzy rysy twarzy, rzeźbi uszy i decyduje się na takie, a nie inne brwi, nosy i kości policzkowe. Jedynym problemem w tworzeniu tych historii jest to, że tęskni za ich bohaterami, kiedy są już gotowi, kiedy musi pozwolić im odejść i zabrać się za kolejnego.

Czasami przyłapuje się na myśleniu o nich, zastanawianiu, czy trafili do dobrych domów. Gdzie jest Belinda, dwunastoletnia geniuszka z astmą, która zna pięć języków i potrafi przeczytać *Annę Kareninę* w oryginale? Nie każdy poradziłby sobie z Belindą. A co się dzieje z Thaddeusem, w wieku stu trzynastu lat najstarszym mieszkańcem Irlandii? Czy nadal każdego dnia pływa w morzu? Biedny Thaddeus nie byłby szczęśliwy w środku miasta, co to, to nie.

Każda z tych postaci wymaga czasu i mnóstwa cierpliwości. To jej piąte podejście do Felicity. Nie zawsze łatwo jest uzyskać rysy twarzy pasujące do obrazu w jej głowie, obrazu, który oczami wyobraźni widzi tak wyraźnie – kiedy jednak to się udaje, nie żal tych wszystkich falstartów.

Herbata gotowa. Poll obejmuje dłońmi swój kubek i wdycha zapach cynamonu.

– Wspominałam już, jak bardzo nie mogę się doczekać weekendu?

– Raz czy dwa. – Emma zakłada ciemnobrązowe włosy za ucho, pozostawiając na nim turkusowy ślad. – Jeszcze tylko dwie noce. No ale czy jesteś pewna, że dasz sobie radę z takim rodzinnym zjazdem?

– Dam. Wszyscy się dogadujemy. – Mniej więcej. Mniej z tatą, więcej z mamą. Dobrze z Thomasem.

– Przypomnij mi, Aidan widział już ten dom?

Na dźwięk jego imienia serce Poll wykonuje radosny podskok.

– Nie, to będzie jego pierwszy raz. – I może ostatni: ta myśl wbija się w nią niczym odłamek lodu.

– Leży nad samym morzem, prawda?

– Zgadza się. Pół godziny na zachód od Galway.

– Fajnie. Ale trochę jeszcze za zimno na kąpiel.

– Na wszelki wypadek zabiorę strój kąpielowy. – Oczywiście, że będzie się kąpać. Nie da się pojechać do Land's End i nie zamoczyć się w wodzie. – A właśnie, masz niebieskie ucho.

Emma dmucha na swoją herbatę.

– Dzięki za info.

Jej uszy – i inne odsłonięte części ciała – na koniec dnia zawsze są dość kolorowe. Emma zamienia zdjęcia domów klientów, ich ogrodów, dzieci albo zwierząt w piękne akwarele. Ma listę oczekujących, ale przy żadnym zleceniu się nie spieszy. Może sobie na coś takiego pozwolić: jej mąż, Tom, ma świetnie prosperującą firmę kurierską. Na długi weekend lecą do Nowego Jorku, gdzie zatrzymają się w apartamencie z widokiem na Central Park, a tak w ogóle to weekend wydłużą sobie do tygodnia.

To studio należy do Emmy. Ona i Poll poznały się pięć lat temu w szpitalu: Emma przeszła operację usunięcia wyrostka robaczkowego tego samego dnia, kiedy Poll wycięto migdałki. Po zabiegach trafiły na sąsiadujące ze sobą łóżka, a kiedy Poll wspomniała, że właśnie ukończyła akademię sztuk pięknych i szuka studia, Emma zaoferowała miejsce w swoim.

– Nie potrzebuję czynszu, lecz kogoś, z kim będę mogła pogawędzić w czasie przerwy na herbatę – oznajmiła. – Przez resztę czasu muszę mieć zupełną ciszę. Żadnych rozmów, żadnej muzyki, żadnego radia. Pasuje ci to?

Pewnie, że pasowało. Poll nie wyobrażała sobie prowadzenia z kimś rozmowy w trakcie tworzenia swoich głów – byłoby to niczym zaproszenie kogoś, kogo ledwie zna, do łazienki, aby patrzył, jak ona myje zęby.

Taki układ idealnie pasuje im obu. Pracują w tej samej przestrzeni pięć dni w tygodniu i gdyby ktoś zapytał, Poll powiedziałyby, że się przyjaźnią, aczkolwiek żadna z nich nie zasugerowała nigdy pójścia po pracy na drinka, nie wręczały sobie także kartek ani prezentów na Gwiazdkę czy urodziny. Ich relacja jest przede wszystkim biznesowa, z dwiema dziesięciominutowymi pogawędkami każdego dnia, podczas których wyciekają fragmenty ich życia osobistego.

Dopiewszy herbatę, wracają do pracy. Poll pracuje nad uśmiechem Felicity, umieszcza w policzku dołeczek, dokonuje poprawek przy oczach tak, by nabrały bardziej melancholijnego wyrazu. Może siostra przełożona myśli właśnie o tych wszystkich dzieciach, którym na przestrzeni lat pomogła przyjść na świat, albo o tych, których sama nie miała. Może rozmyśla o ostatnim prezencie od Gregory'ego, diamentowej broszce w kształcie misia, którą nosić będzie na pewno wyłącznie podczas ich tanecznych popołudni. Szczodry, nic nierozumiejący Gregory: gdyby w końcu przestał tak bardzo się starać, może i powiedziałyby „tak”.

Ceramika to dla Poll zbawienie. Praca z gliną utrzymuje jej demony na bezpieczną odległość; w pracy może się uważać za szczęśliwą. Jest szczęśliwa, a raczej na tyle szczęśliwa, na ile potrafi.

Aidan oczywiście także czyni ją szczęśliwą – to znaczy czynił, dopóki demony nie dowiedziały się o tym i nie uznały, że dosyć tego dobrego. Jak zawsze walczy z nimi, tyle że jak na razie nie udało jej się wygrać i teraz też nie żywi w tym względzie nadziei.

Dopieszczając podbródek Felicity, wraca myślami do swojego pierwszego spotkania z Aidanem. Pamięta każde słowo ich rozmowy. Była dwa lata po studiach, wynajmowała dom do spółki z dwojgiem przyjaciół, a trzy wieczory w tygodniu i weekendy pracowała w barze niedużego hotelu należącego do znajomych jej rodziców. Praca nie należała do szczególnie męczących, a dzięki niej miała na rachunki, glinę i inne drobiazgi potrzebne do tworzenia głów, lecz przez to, że codziennie pracowała w studiu

Emmy, zostawało jej naprawdę niewiele wolnego czasu.

Kończyły jej się także miejsce do przechowywania głów. Starła się, jak mogła, aby znaleźć na nie nabywców. Robiła zdjęcia i wrzucała je na swoje konta w mediach społecznościowych, prosząc znajomych o udostępnianie. Dawała przykładowe głowy znajomym, którzy obiecywali prezentować je w swoich miejscach pracy. Wynajmowała stoisko na każdym możliwym evencie rękodzielniczym. Robiła, co tylko była w stanie, aby się rozreklamować, lecz do sprzedaży dochodziło sporadycznie, a dochody z niej były żałośnie małe.

Za każdym razem, kiedy jedno z rodziców – zazwyczaj mama – pytało o to, czy szuka jakiegoś oficjalnego punktu sprzedaży swoich prac, Poll odpowiadała, że nadal tworzy swoją kolekcję, gdy tymczasem ta kolekcja była już naprawdę pokaźna.

– Będziesz musiała poszukać jakiejś galerii – powiedziała Emma. – Jesteś beznadziejną bizneswoman, powinnaś żądać trzy razy wyższej ceny.

– Co? Ale nawet za tyle prawie nic nie udaje mi się sprzedać.

– To dlatego, że twoich prac nie widzą odpowiedni ludzie. Powinnaś odezwać się do tej galerii na Portland Avenue, ja i Tom kupiliśmy tam sporo uroczych drobiazgów.

Poll wzdrygnęła się na myśl o odwiedzeniu galerii, jakiejkolwiek galerii, ale w szczególności tej, która mieściła się na Portland Avenue. Podziwiała ją każdego dnia w drodze do studia. Z tą swoją jasnoszarą fasadą, bordowymi drzwiami, prezentowanymi na szklanych półkach w witrynie ceramiką i biżuterią wyglądała na galerię z klasą i potwornie drogą. Nigdy nie zdecydowała się do niej wejść. Chętnie by się tam rozejrzała, tyle że ta cała otoczka wywoływała w niej onieśmienie.

– Nie sądzę, aby moje prace tam pasowały – westchnęła. – Są za mało wytworne.

– Bzdura. Nie ma czegoś takiego jak wytworna sztuka i nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba. Twoje głowy są cudne i wielu ludzi byłoby nimi zachwyconych. Daj spokój, nie masz nic do stracenia, a właściciel jest naprawdę sympatyczny. Pomyśl, gdyby udało ci się zarabiać wystarczająco na sztuce, mogłabyś odpuścić pracę w barze i mieć więcej czasu dla siebie.

Utrzymywanie się ze sztuki – to było jej marzenie, prawda? Chyba warto trochę przecierpieć, aby się zbliżyć do jego realizacji?

Celowo nie skontaktowała się z właścicielem galerii, aby umówić się na spotkanie.

– Po prostu się tam zjaw – tak jej poradziła Emma. – Łatwo odpowiedzieć odmownie na e-mail, jeśli jest się zajęтым. Kiedy zjawisz się tam osobiście, zaciekawi go, co masz do zaoferowania.

Poll postanowiła zabrać ze sobą trzy ulubione głowy. Miała przeciwionozonową w myślach przemowę – tyle że tamtego dnia nic nie poszło zgodnie z planem.

Gdy znalazła się pod galerią, wychodzący z niej mężczyzna zamasyście otworzył drzwi. Poll pospiesznie zrobiła krok w tył, aby uniknąć zderzenia, niestety krawędź drzwi uderzyła w niesiony przez nią karton, przez co ten wylądował na ziemi, a jej cenne dzieła – Hattie, Gordon i Chester – rozpadły się na milion kawałków.

Następnie skompromitowała się niepohamowanym szlochom w to dość chłodne popołudnie, aż w końcu pojawił się właściciel z plastikowym kubkiem z wodą i zaprosił ją do środka, odprawiając nie przestającego przepraszać mężczyznę, który doprowadził do tej katastrofy.

Kiedy nieco się otrząsnęła, zarejestrowała szerokie usta, okulary w ciemnych oprawkach, czuprynę w kolorze piasku. Wskazał głową na karton w jej objęciach.

– Zgaduję, że zawartość była łatwo tłukąca się.

Przytaknęła i wytarła twarz rękawem. Ledwie była w stanie spojrzeć temu człowiekowi w oczy. Zrobiła z siebie idiotkę, zanim jeszcze zdążyli się poznać.

– Co to więc było?

– Ceramika. Ja... tworzę głowy. Z gliny. – Boże, nawet to brzmiało absurdalnie. Naszykowany scenariusz uleciał z jej świadomości w chwili, gdy karton wylądował na ziemi.

– Gliniane głowy – rzekł powoli. – Ludzkie głowy?

– Tak, tyle że mniejsze. Właściwie to karykatury.

– Są na czymś osadzone?

– Tak, to znaczy mają drewnianą podstawę, lecz są na sprężynie. Można powiedzieć, że się

kiwają.

– Kiwające się głowy.

Po raz pierwszy uśmiechnął się i rysy jego twarzy natychmiast uległy złagodzeniu. Nie wyglądał już surowo, wyglądał... uroczo.

Poll dodało to odwagi.

– Dzięki temu wydają się bardziej żywe. To znaczy, kiedy się poruszają.

– Wyobrażam sobie. Ma pani w telefonie jakieś zdjęcia?

Pewnie, całe mnóstwo, tyle że kiedy zaczęła szukać telefonu, przekonała się, że zostawiła go w studiu. Większą amatorką nie mogła się już wydać.

To go jednak nie zniechęciło.

– Zakładam jednak, że ma pani inne głowy.

Po raz pierwszy porządnie mu się przyjrzała. Zielonkawę oczy albo coś między brązem a zielenią. Oprawki wyglądały na drogie. Wszystko w nim wyglądało na drogie.

I wtedy nieuchronnie do głosu doszły demony. Obejrzyj się, tak mówiły. Nie widzisz, że ta galeria jest zbyt wyrafinowana jak na twoje klaunowate głowy? Ten człowiek z pewnością co drugi dzień nagabywany jest przez idiotki jej pokroju, liczące na to, że mu zaimponują swoimi żalonymi przedsięwzięciami. Ponaglały ją, aby stąd wyszła, nim do końca się upokorzy.

Mężczyzna czekał. Musiała coś powiedzieć.

– Przepraszam, ja chyba... źle coś zrozumiałam.

Nagle zapragnęła stąd uciec, pogrzebać ten potworny epizod i na zawsze wyrzucić go z pamięci. Praca w barze nie była wcale taka zła. Niewielu artystom udawało się żyć ze sztuki – jakże zarozumiała była, sądząc, że może się stać jednym z nich.

– Pozwoli pani, że sam to ocenię? – zapytał. – Może zajrzeć tu pani jutro z czymś więcej?

Nadal chciał obejrzyć jej głowy. Chciał, aby wróciła. Demony na chwilę ucichły.

– Tak – odparła, starając się nie dopuścić do tego, aby na jej twarzy pojawił się idiotyczny uśmiech. „Cordelia”, pomyślała. „I Jason, i może Heather”. – Kiedy... jaka godzina by panu odpowiadała?

– Mniej więcej taka, jak dziś.

– Dziękuję. To znaczy za pańską pomoc.

– Żaden problem.

– I za to, że zgodził się pan... obejrzyć moje prace.

– To przecież moja praca. – Kolejny uśmiech. A uśmiech miał naprawdę ładny.

Nie zapytał ją o imię. Ona nie знаła jego.

– Jestem Poll Cunningham – rzekła, wyciągając rękę.

Uścisk jego dłoni okazał się zdecydowany.

– Aidan Grimes. Miło cię poznać, Poll. Do zobaczenia jutro.

Gdy wróciła do studia, Emmy akurat nie było. Ze zniszczonych głów uratowała, co się dało – dwa turkusowe guziki, różowe piórko, złoty drucik, którego użyła do zrobienia kolczyków Hattie, pomarańczowy sznurek tworzący włosy Chestera – resztę zaś wyrzuciła do kosza. Deliberowała nad pozostałymi okazami ze swojej kolekcji – całą czterdziestką siódmką – wybierając najpierw jedną, potem inną, potem jeszcze inną, aż w końcu miała w głowie mętlik.

Ostatecznie zdecydowała się na te, o których myślała od samego początku: nieśmiałą, rumieniącą się Cordelię, treserkę psów przedkładającą towarzystwo zwierząt nad ludzi; sześćdziesięcioletniego Jasona, emerytowanego bibliotekarza, detektywa amatora i potajemnego crossdressera; oraz małą, piegowatą Heather, dwulatkę, najmłodszą z jej dzieł. Nazajutrz zapakowała je – więcej folii bąbelkowej, znacznie więcej folii bąbelkowej – i zaprezentowała Aidanowi Grimesowi.

A w czasie, kiedy się nimi zachwycił i zasugerował, aby przyniosła jeszcze trzy, tak by mógł je wystawić na sześciotygodniowy okres próbny, w czasie, kiedy zaproponował cenę czterokrotnie wyższą niż to, co sobie wcześniej wyobrażała, i kiedy poczęstował ją wyśmienitą kawą, ona się w nim zakochała.

Miłość zawsze brała ją z zaskoczenia i nie traciła czasu. Ale miłość była nie tylko jej przyjaciółką, lecz i wrogiem. Jej serce złamane zostało mnóstwo razy; mnóstwo razy przysięgała sobie,

że już zawsze będzie unikać miłości, że gdy tylko wyczuje jej pierwsze oznaki, puści się biegiem w przeciwnym kierunku.

Ale głupią prawdą jest to, że Poll nie w miłości ma wroga, lecz w samej sobie. Głupią, bezsensowną rzeczywistością jest to, że to zawsze ona kończy związki. To ona odchodzi, zmuszona do tego przez coś, jakieś wewnętrzne głosy – owszem, jakieś demony – które nalegają, by zakończyła relację.

„Nie zasługujesz na to, aby być szczęśliwą”, szepczą te głosy. „Nie jesteś dla niego wystarczająco dobra. Odejdź, nim on skończy z tobą”. No i tchórzliwie zawsze odchodzi, gdyż głosy, demony dręczą ją, dopóki tego nie zrobi.

Ale nagle w jej życiu pojawił się Aidan. Miłość znowu się objawiła, siedem miesięcy po tym, jak Poll pożegnała się z Johnem, swoim ostatnim chłopakiem, nie potrafiąc mu nawet wyjaśnić powodów swojej decyzji. Rok po tym, jak zakochała się w Aidanie – rok, podczas którego głowy zaczęły się sprzedawać, rok coraz bardziej regularnego dochodu, rok durzenia się w nim w tajemnicy – on zaprosił ją na randkę; trzy miesiące później spędziła pierwszą noc w jego apartamencie. Teraz ich związek trwał już ponad dwa lata – znacznie dłużej, niż wszystkie poprzednie – i kiedy Poll uznała, że w końcu się zniechęciły i sobie poszły, demony znowu zaczynają szeptać.

A ona się boi. Ma dwadzieścia sześć lat, jest zakochana po uszy i potwornie się boi.

Nie chce tego kończyć. Na myśl o tym wszystko w niej się buntuje. Jak może odejść od niego, kiedy wszystko, co on mówi, wszystko, co robi, sprawia, że jej serce czuje się pełne? Jak może się pożegnać, kiedy on jest jej drugą połówką, tą, która dopełnia resztę? Co jest z nią nie tak, że nie umie sobie pozwolić na bycie szczęśliwą? Czy jej przeznaczeniem jest życie w pojedynkę?

W Land's End zamierza zapytać o to babcię. Zamierza namierzyć jej ducha, istotę, czy jak się to mówi, i poprosić o pomoc. Nie wyrzeknie się Aidana bez prawdziwej walki, niemniej potrzebuje pomocy – a jeśli jest ktoś, kto może jej udzielić, to właśnie babcia.

Ukochana babcia, która w dzieciństwie mówiła na nią Pollywoll i nauczyła ją robić omlety, kiedy była już na tyle duża, aby ubijać jajka i trzeć ser. Babcia, która niesforne włosy Poll splotała w warkocz, tak że zwijał jej się na plecach niczym gruby pomarańczowy sznur kończący się śliczną, błękitną wstążką.

To babcia powiedziała, że jej oczy mają barwę morza w pochmurny dzień, co uczyniło szary o wiele mniej nudnym. To babcia stwierdziła, że jej piegi to oznaki piękna, i że ma magiczny uśmiech. To babcia powiedziała, kiedy Poll wypłakiwała jej się na ramieniu po nastoletniej tragedii, że tak będzie najlepiej.

– Nie byliście dla siebie stworzeni. Dlatego się rozstaliście. Pewnego dnia znajdziesz tego właściwego. Znajdziesz go albo on znajdzie ciebie, a kiedy tak się stanie, będziesz wiedziała, że to właśnie on. Kiedy poznałam twojego dziadka, wiedziałam.

Ale babcia nie miała pojęcia o demonach – Poll zbyt się krępowała, aby jej o nich powiedzieć. Po każdym rozstaniu udawała, że to chłopak zakończył związek, nie ona. Nie traktowała tego jak kłamstwo, bo odczuwała równie wielki smutek, jakby to ona została porzucona. To jedyne, co ukrywała przed babcją. Ale teraz wszystko jej powie. Znajdzie sposób na to, aby jej opowiedzieć o głosach, a babcia będzie wiedziała, w jaki sposób je uciszyć.

Przez resztę dnia cyzeluje rysy twarzy Felicity. Kiedy jest zadowolona z efektu, igłą do cerowania robi ostrożnie dziurki na czaszce, gdzie po wysuszeniu i wypaleniu będzie miejsce na spiralki cienkiego, miedzianego drutu. Felicity ma niestety włosy takie jak Poll: puszące się i irytujące. Przygotowuje także beret z zielonego filcu, który umieści na włosach. Ostrożnie przenosi głowę na metalową kratkę leżącą na drewnianym stole obok osuszacza. Następnie sprząta i szeptem żegna się z malującą Emmą. Pieszko udaje się do domu.

Tuż przed szóstą w kuchni mieszkania Aidana – naszego mieszkania, o czym jej ciągle przypomina, ale ona w myślach nadal nazywa je „jego mieszkaniem” – kroi warzywa w słupki, po czym z lodówki wyjmuje dwa dzwonka łososia. Do wrzącej wody wkłada rybę. W woku umieszcza łyżeczkę oleju kokosowego i w czasie, kiedy się rozpuszcza, dzwoni do Aidana.

– Kolacja za dziesięć minut.

– Super. Umieram z głodu.

Rozłącza się z cichym kliknięciem. Nie należy do osób chętnie gawędzących przez telefon. Poll wrzuca do woka warzywa i wyobraża sobie, jak jej ukochany pięć ulic stąd bierze klucze, zakłada lnianą marynarkę w kolorze granatowym. Widzi, jak wstukuje kod na klawiaturze alarmu i zamyka drzwi, słyszy, jak zasuwki wskakują na swoje miejsce. Widzi, jak opuszcza metalowe rolety, zapewniając bezpieczeństwo wszystkim swoim pięknym, drogocennym rzeczom.

Teraz zaczyna iść: towarzyszy temu cichy, pospieszny stukot butów ze skórzanymi podeszwami o beton, kiedy mijają delikatesy, sklep monopolowy i sklep mięsny dla muzułmanów. Teraz przechodzi obok butik dla dzieci z małenkimi, absurdalnie drogimi ubrankami, i wąskiego, małego lokalu oferującego przeróbki krawieckie prowadzonego przez dwie olśniewające kobiety pochodzące z jakiegoś kraju w Europie Wschodniej. Z pewnością siostry, bo mają identyczne nosy, aczkolwiek jedna jest filigranowa, druga zaś wyższa od Aidana.

Gdy przechodzi pod rosnącymi wzdłuż Portland Avenue wawrzynami, spowija go raz słońce, raz cień. Teraz skręca i z lewej strony ma park ze srebrnymi barierkami, po prawej – szkołę z fasadą w kolorze wyblakłej zieleni i powiewającymi na dziedzińcu chorągiewkami, za nią zaś – kościół i plebanię z ogrodem pełnym krzewów różanych. Ta trasa jest dla niej tak znajoma, że pokonałaby ją z zasłoniętymi oczami.

Babcia nigdy nie widziała galerii. Poll z największą ochotą by ją do niej zabrała, zaprezentowała wiszące na ścianach obrazy, półki z delikatnymi, kruchymi przedmiotami. Nawet gdyby nie rozumiała, co ogląda, może na jakimś poziomie spodobałyby jej się te eksponaty? Czy nie miała prawa do tego, aby zapewniły radość jej biednemu, zamroczonemu sercu?

I z pewnością rozpoznałaby dzieła swojej wnuczki, obok których znajdowały się kartki z historią każdej z postaci i imieniem i nazwiskiem ich twórcy. Poll podarowała jej jedną ze swoich pierwszych głów, farmerkę Josephine. Przez kilka lat stała na parapecie sypialni babci, po czym razem z nią pojechała do domu opieki.

Nigdy jednak do tego nie doszło. Babcia nie odwiedziła tej galerii i Poll wiedziała, że tak się już nie stanie, nieważne, jak bardzo by o tym marzyła.

Potrząsa wokiem, mieszając jego zawartość. Na stole układa sztuce i przyprawy. Z wody wyjmując ostrożnie dzwonka, kładzie je na talerzach i zakrywa folią aluminiową.

Słyszy odgłos otwieranych drzwi wejściowych, a po nich szybkie kroki na schodach. Uśmiecha się, a szczęście trzepocze w niej niczym uwięziony motyl. Myśli o sobocie, kiedy Aidan zamknie galerię na długi weekend i razem pojedą do Land's End.

Tyle że nie okazał szczególnego entuzjazmu, kiedy dwa tygodnie temu napomknęła o tym wyjeździe. „Myślałem, że nic nie będziemy wtedy robić”, tak powiedział. Prawda?

Owszem, ale ostatecznie się zgodził.

Tylko po to, aby ją uciszyć. Nie chce tam jechać – to ostatnie miejsce, w którym ma ochotę się znaleźć.

Przestańcie. Przestańcie. Zamknijcie się.

Drzwi się otwierają.

– Witaj, piękna – mówi.

Poll odwraca się i obdarza go promiennym uśmiechem.

THOMAS

– Tak się zastanawiałam, czy może coś by cię nie zainteresowało. Możliwe, że to w ogóle nie jest w twoim guście, ale w radiu wygrałam bilety, dwa bilety, przedwczoraj, a może jeszcze dzień wcześniej? Mniejsza z tym, no i, cóż, pytałam już Michelle i ona chętnie by poszła, tyle że w sobotę wieczorem ma spotkanie klubu książki, a to ona wybrała ostatnią książkę – robią to po kolei – więc nie bardzo może się nie pojawić, no i może przekonałabym mamę, ale ona po tej operacji biodra jest teraz nieszczególnie mobilna, zresztą i tak nie jest wielką fanką koncertów, cóż, właściwie to żadnych występów, więc uznałam, że przedstawię ten pomysł tobie i oczywiście w ogóle nie musisz się czuć zobligowany, wcale się nie obrażę, jeśli nie będziesz chciał pójść, serio.

I to wszystko w trakcie szorowania jednego z garnków na zupe, tak zaciętego, jakby od tego zależało jej życie. Ogólnie Thomas rozumie, że wygrała dwa bilety na koncert i że szuka kogoś, kto będzie jej towarzyszył – ale zdecydowanie nie spieszy się z przejściem do sedna sprawy.

Kładzie ostatnie krzesło na stole i zabiera się do zamiatania.

– Co to za koncert?

Freda wydaje dziwny dźwięk, ni to kaszel, ni to chichot.

– Boże, głuptas ze mnie, zapomniałam o tym, co istotne. – Nadal myje garnek, który musi już być czysty jak chyba jeszcze nigdy dotąd. – Nazywa się letnia składanka, trzech klasycznych kompozytorów, Wagner, Bach i jeszcze jeden. Hmm, nie pamiętam. W każdym razie utwory wykonuje jakaś orkiestra z... chyba Polski – Liszt, to ten trzeci. Tak jak mówię, to może w ogóle nie być w twoim stylu i jeśli nie, to w ogóle się nad tym nie zastanawiaj.

Choć przed laty ojciec próbował zainteresować go muzyką klasyczną, Thomas nie należy do jej fanów. Nawet podobała mu się *Fantazja*, którą tata włączał na wideo, ale bardziej z powodu bajki niż samej muzyki. Rzadko poza tym chodzi na koncerty – ostatnim razem z Samem i Mattem, i był to wieczorek jazzowy połączony ze zbiórką pieniędzy na fundację zapobiegającą samobójstwom, na pewno dobry rok temu – czemu jednak nie wybrać się z Fredą? Te dwie godziny jakoś przeżyje, a z nią fajnie się spędza czas.

Wsuwa miotłę pod stolik i wymiata spod niego widelec. Schyla się, aby go podnieść.

– Jasne, pójdę. Miło będzie.

Kiedy się prostuje napotyka jej promienny uśmiech.

– Och, naprawdę, Thomasie? Jesteś tego pewny?

– Na sto procent.

– Nie chcesz iść tylko po to, aby mi sprawić przyjemność? Bo ja naprawdę nie...

– Nie, chętnie się wybiorę. – Może mu się spodoba. Nie zamierza wykluczać takiej możliwości.

– Ekstra, wielkie dzięki. – Odstawia garnek na suszarkę i sięga po następny, nadal szeroko się przy tym uśmiechając. – Właściwie to mam tego dnia urodziny, totalny zbieg okoliczności!

– Naprawdę?

Nie potrafiłby powiedzieć, kiedy Freda ma urodziny – aczkolwiek ona wie, że jego są w listopadzie. Przez cztery ostatnie lata, czyli odkąd zaczął pracować w tym lokalu, dostaje od niej kartkę. Najwyraźniej kiedyś go o to zapytała i zapamiętała tę informację. Wstyd mu teraz, że on nie zna daty jej urodzin. Czemu nigdy nie spróbował się tego dowiedzieć?

– To okrągła trzydziestka – dodaje z cichym śmiechem, posyłając mu kolejne spojrzenie.

Trzydzieści lat, kilka miesięcy starsza od niego. Sądził, że jest młodsza, bo jest coś dziecięcego w sposobie, w jaki postrzega świat, braku cynizmu, szczerzej wierze w wewnętrzne dobro innych ludzi. Wielu zżymałoby się na takie poglądy, ale dla Thomasa było to urzekające.

– Gdzie odbywa się ten koncert?

– W centrum sztuki. Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać, bo uwielbiam muzykę klasyczną.

To kolejne, czego o niej nie wiedział. Muzyka, którą Freda puszcza w kawiarni, to bezpieczny miks wykonawców, takich jak Ed Sheeran, Michael Bublé, Imelda May i Harry Styles.

– A kiedy to będzie?

– W najbliższą sobotę. Wiem, że proponuję ci to na ostatnią chwilę, mam jednak nadzieję, że dasz radę.

Ta sobota?

Przestaje zamiatać.

– Tak mi przykro, Fredo – mówi. – Nie będzie mnie w mieście. Wyjeżdżam na weekend, pamiętasz? Spotkanie rodzinne. Na pewno o tym wspominałem.

Jej uśmiech pozostaje na twarzy, lecz znika z niego całe światło.

– Och, no tak. Rzeczywiście wspominałeś. Kompletnie wyleciało mi to z głowy. – Wręcz boli patrzeć na ten rozpad radości. Thomas czuje się okropnie. – Nic jednak nie szkodzi – dodaje Freda, nalewając do drugiego garnka czystą wodę i biorąc się za szorowanie. – Nie przejmuj się, przecież nie zapłaciłam za te bilety.

– Przepraszam, że tak wyszło. Gdyby to była inna...

– Serio, Thomas, w ogóle się tym nie przejmuj, tak jak ja.

Oczywiście, że ona się przejmuje. I to bardzo.

– Nikt inny nie jest wolny? – Nie ma innych przyjaciółek? Poznał tylko Michelle. Pracowała – nadal pracuje – w szpitalnej stołówce, tam, gdzie zaczynała Freda, ale za każdym razem, kiedy Thomas ją spotyka, Michelle mówi o odejściu z pracy. – Z pewnością jest ktoś, kto mógłby ci towarzyszyć.

– Nie bardzo, nikt mi nie przychodzi do głowy, ale nie szkodzi, pójdę sama.

Obserwuje, jak podciąga opadający rękaw i przeciera czoło przedramieniem. Z niebieskich gumowych rękawic kapie woda. Thomas wątpi, aby wybrała się na ten koncert, bo wbrew jej pogodnej postawie w kawiarni wyczuwa, że brakuje jej tego rodzaju odwagi, pewności siebie, która pozwoliłaby jej wziąć udział w jakimś wydarzeniu bez osoby towarzyszącej.

Robi mu się jej naprawdę żal. Dziewczyna o tak wielkim sercu, taka chętna, by uszczęśliwić innych – a on ją rozczarowuje. Ale co może zrobić? Nie przeniesie przecież wyjazdu do Land's End na inny weekend.

Freda opłukuje garnek i odkłada go na suszarkę obok pierwszego.

– Chcesz wziąć wolne w sobotę? – pyta go, nadal z tym szerokim, pustym uśmiechem. – Wiem, że Arthur nigdzie nie wyjeżdża, więc mógłby cię zastąpić.

Przez chwilę kusi go taka opcja. Fajnie byłoby spędzić więcej czasu w Land's End. Mógłby wziąć tego dnia urlop – miał jeszcze mnóstwo dni do wybrania. A jej kuzyn Arthur w przeszłości zastępował już Thomasa, dałby sobie spokojnie radę.

Ale w sobotę są jej trzydzieste urodziny. I niczym urodzinowy prezent od wszechświata wygrała bilety na koncert i nie może ich wykorzystać. Thomas może zrobić chociaż tyle, aby być w pracy w ciągu dnia i postarać się uczynić dla niej ten dzień choć odrobinę wyjątkowym.

– Chętnie przyjdę do pracy w sobotę, dzięki. Za dużo czasu spędzonego z rodziną nie wyjdzie mi na dobre.

Freda śmieje się, a raczej próbuje.

– Wiem, co masz na myśli.

Wynagrodzi jej to. W sobotni rano nic nie powie, sugerując w ten sposób, że zapomniał o urodzinach. Zaczeka, aż kawiarnia będzie pełna w porze lunchu i wtedy ją zaskoczy. Zwędzi to małe pudełko z urodzinowymi świeczkami w pastelowych kolorach, które Freda trzyma w szufladzie na wypadek, gdyby podsłuchiwała, że któremuś z klientów ktoś składa życzenia urodzinowe.

Jak na razie ani razu nie użyto tych świeczek – Glorious Food nie jest lokalem, do którego przychodzi się, aby świętować urodziny, tutaj wpada się raczej na śniadanie czy lunch – ale Thomas w sobotę w końcu je wykorzysta.

Wetknie jedną w muffinkę. Zrobi to, co ona by zrobiła, gdyby zaistniała taka potrzeba – a może kupi ciasto, tak, to lepszy pomysł. Kupi babkę cytrynową, jej ulubioną – przed południem wymknie się na chwilę do mieszczącej się przy sąsiedniej ulicy cukierni. Wetknie w nią trzy świeczki, po jednej na każdą dekadę, a któregoś ze stałych klientów poprosi o zaintonowanie *Happy Birthday*. Choć tyle może jej dać.

Freda odkłada garnek na suszarkę i zdejmuje rękawice.

– To miejsce, do którego jedziesz, to dom rodzinny twojej matki, prawda?

– Aha.

– I pewnie jej pierwsza wizyta od czasu śmierci twojej babci.

– Tak.

– Nie będzie to dla niej łatwe. Cóż, dla was wszystkich, ale dla niej szczególnie.

Mama nie należy do osób zbyt okazujących emocje. Kiedy on i Poll byli dziećmi, to tata opowiadał im bajki na dobranoc, to on kupował słodycze po wywiadówkach, to on chodził z nimi w Halloween od drzwi do drzwi, a potem pomagał zjeść wszystkie zebrane smakołyki.

To nie była kwestia tego, że mamie nie zależy, o nie. Była po prostu tym bardziej praktycznym rodzicem. To ona wszystko organizowała, szykowała drugie śniadania do szkoły, planowała wakacje, to ona przyszywała do szkolnych mundurków plakietki z imionami, pilnowała, aby w odpowiedni dzień zabierali do szkoły stroje na w-f i brała w pracy wolne, aby iść z nimi do dentysty.

Po śmierci babci nie płakała, a przynajmniej nie przy nich, kiedy we czworo siedzieli wokół łóżka w domu opieki, a babcia wzięła kilka chrapliwych oddechów, po czym ucichła. Żadne z nich jakoś mocno nie płakało, z wyjątkiem Poll, która generalnie płacze przy każdej okazji choć odrobinę nacechowanej emocjami.

Ale ta wycieczka do Land's End to pomysł mamy, więc z pewnością dokuczają jej uczucie straty, no nie? Musi szukać pocieszenia, domknięcia albo czegoś jeszcze.

– W dzieciństwie jeździliśmy tam na wakacje – mówi teraz Fredzie, chcąc się jej zwierzyć, chcąc wynagrodzić to, że ją zawiódł. – Urocze miejsce, tuż nad morzem. Dom wybudował mój pradziadek. Jest wielki, bo pragnął mieć dużo dzieci. I miał, tyle że wszystkie wyemigrowały do Stanów z wyjątkiem jednej córki, czyli mojej babci.

– I ona odziedziczyła ten dom.

– Tak. Nigdy się z niego nie wyprowadziła. Po ślubie dołączył do niej dziadek. Po jego śmierci babcia przerobiła dom na pensjonat i prowadziła go przez wiele lat. Według dzisiejszych standardów nie uznano by go za komfortowy, żaden z pokoi nie miał przylegającej do niego łazienki – nadal nie ma – ale my go uwielbialiśmy, a latem zawsze był pełen gości. Szaleli za nim zwłaszcza Amerykanie.

Zastanawia się nagle, czy mama i tata płacili coś babci za to, że mieszkali w Land's End. Spędzali tam pięć albo sześć tygodni każdego lata, zajmując pokój rodzinny, pozbawiając ją zarobku. On i Poll spali na łóżku piętrowym, mama i tata na podwójnym łóżku.

Rozpad małżeństwa rodziców okazał się dla Thomasa totalnym zaskoczeniem. Traktował ich związek jako pewnik, taki sam jak dom, w którym spędzili większość swego małżeńskiego życia, dom, w którym wychowali się on i Poll. Nigdy nie kwestionował ich związku, bo i czemu? Zawsze wydawali się zadowoleni i nie widział żadnych oznak tego, że któreś z nich chce odejść.

I nagle wszystko to przestało istnieć. Podczas kolacji w miejscowej restauracji rodzice poinformowali jego i Poll, że to koniec. To był szok, nie da się tego ująć inaczej. Nie od razu to do niego dotarło. Z dojmującym niepokojem uświadomił sobie, że nawet pozornie najbardziej solidne gmachy potrafią się zawalić bez ostrzeżenia.

Minął jakiś czas i Thomas przyzwyczaił się do nowych okoliczności. Krótco przed rozstaniem rodziców zamieszkał ze swoim przyjacielem Samem i jego partnerem Mattem i zaczął pracować z Fredą w kawiarni. Był zajęty. Mijały całe dni, kiedy myśl o tych zmianach w ogóle nie pojawiała się w jego głowie – a potem dzwoniła zapłakana Poll, a on na nowo czuł się zdumiony, że doszło do czegoś takiego.

No a rodzice zdawali się podchodzić do tego tak, jakby rozstania par z wieloletnim stażem były na porządku dziennym. Część związków rzeczywiście się rozpadała – w szkole całkiem sporo uczniów miało rozwiedzionych rodziców. Zawsze zakładał jakieś okoliczności łagodzące, alkohol, niewierność albo inne niefortunne sytuacje. Życie swoich rodziców uważał za zwyczajne – ale może w tym właśnie tkwił problem. Może jedno z nich potrzebowało czegoś więcej niż zwyczajności. Albo oboje.

Sześć miesięcy później ojciec zaprosił jego i Poll na drinka do swojego mieszkania i przedstawił im, na wpół z dumą, na wpół ostrożnie, Chloë – a świat Thomasa ponownie zatrzęsł się w posadach.

Przygląda się teraz Fredzie szorującej blat, na którym przygotowują jedzenie. Nos ma ciut zbyt duży i z małym garbkiem na grzbiecie. Kiedy się uśmiecha, w policzku pokazuje się dołeczek. Nawet

jeśli nie jest klasycznie piękna, jej twarz ma w sobie przyjemną otwartość i ciepło.

Fizycznie różni się z Thomasem jak dzień i noc. On jest wysoki i tyczkowaty, natomiast ona niska i krępa, ma szerokie plecy i biodra, a solidne łydki wystają spod dość długich spódnic, które tak lubi.

W każdy możliwy sposób stanowi totalne przeciwieństwo Chloë.

Chloë o porcelanowej cerze, zwiewnej, wytwornej i stylowej, która dotyka skrzypiec i tchnie w nie magię. Nawet Thomas potrafi docenić jej umiejętności.

Chloë, która pachnie różami, która ma uroczo zadarty mały nosek, której zęby są białe i perfekcyjne. Chloë, która odziewa smukłe ciało w warstwowe tuniki i szale z tkaniny cienkiej jak pajęczyna, delikatnie powiewające przy każdym jej kroku, spodnie, które się zwężają w delikatnych kostkach, i miękkie botki z wysokimi cholewkami ozdobionymi guzikami i kokardkami.

Chloë, tej nimfy, której twarz zamieszkała w jego głowie. Chloë, perfekcyjnej istoty, która nocami zakrada się do jego snów, mając go i zwodząc. Chloë, która praktycznie nigdy nie opuszcza jego myśli.

Chloë, która mieszka z jego ojcem.

Chloë, która w pewnym sensie zastąpiła jego matkę.

Jest zakochany w partnerce swojego ojca. To coś, co zdarza się w telenowelach. Śmiałyby się, gdyby nie rozrywało mu to serca na kawałki.

Kończą sprzątać. Zdejmują fartuchy – w kolorze butelkowej zieleni, z nazwą kawiarni wyhaftowaną złotą nicią na jednej z kieszeni – i zbierają swoje rzeczy. Na zewnątrz Thomas opuszcza rolety, gdy tymczasem Freda mu się przygląda. Zanim zaczął tu pracować, musiała co wieczór wchodzić na krzesło, aby do nich dosięgnąć.

Zamyka kawiarnię i wręcza jej klucze. Spogląda na nią, o półtorej głowy niższą od niego.

– Pa, Freda. Do zobaczenia rano.

– Do jutra, Thomas – mówi pogodnie, a jej uśmiech stanowi zaledwie echo tego, czym był, kiedy myślała, że wybiorą się razem na koncert. – Dzięki za dzisiaj. Dobrej nocy. – Mówi to za każdym razem, kiedy się żegnają.

Wkłada klucze do przepastnej płóciennej torby, po czym oddala się w stronę miejsca, gdzie zaparkowała zdezelowanego forda. Z tyłu wygląda na przybitą – żółty płaszcz przeciwdeszczowy, ciągnący się za nią pasek, widoczny spod niego skraj fioletowej spódnicy, płaskie czarne sandały. Thomas ponownie czuje ukłucie współczucia i ponownie sobie obiecuje, że w sobotę stosownie się nią zajmie.

W drodze do domu jego myśli wędrują ku czekającemu go weekendowi. Musi dziś wyprać ciuchy. Jutro później zaczyna pracę, więc zdąży iść obciąć włosy. Żeby tylko nie zapomniał o zabraniu pościeli i ręcznika. Zastanawia się, który pokój przydzielili mu mama. Aż pięć do wyboru. Trochę słabo, że jest tylko jedna łazienka, ale przez kilka dni dadzą sobie radę. Jakoś sobie radzili podczas wakacji, kiedy w domu często spało nawet dziesięć osób. Człowiek przyzwyczajał się do tego, czym dysponował, i już.

Zabierze ze dwa sześciopaki piwa; Joe i Aidan też się napiją. I jedzenie – mama nic nie mówiła, ale chciałby coś zabrać. Może kielbaski i bekon, kilka jogurtów. Będzie ich sześcioro, więc cokolwiek przywiezie, na pewno się nie zmarnuje.

Chloë nie będzie. Od dnia, kiedy Poll mu powiedziała, że została zaproszona – „nie wiem, co mama sobie myśli, i jeśli ona ma tam być, to ja zostaję w domu” – po cichu liczył na jej obecność, lecz Chloë odmówiła, bo miała już inne plany. Może to i dobrze; jego serce mogłoby nie przeżyć dwóch nocy pod jednym dachem.

Na światłach skręca w lewo. Mija hotel, przystanek autobusowy, bibliotekę. Wszystko tak znajome, że praktycznie tego nie dostrzega. Idąc, rozmyśla o tym, jaką krętą ścieżkę obrało sobie jego życie. Praca w kawiarni nie była częścią planu, choć tak po prawdzie, to nigdy go nie miał.

Jako dziecko miał typowe marzenia. Pilot, astronauta, pływak olimpijski, akrobata w cyrku. Gdy obejrzał film z Robertem Redfordem, na miesiąc na czoło listy wysunęło się bycie zaklinaczem koni, nic jednak nie pozostało przy nim na tyle długo, aby przerodziło się w prawdziwy cel. Ze szkoły średniej na

studia trafił jak lunatyk, a w ciągu dwóch lat studia filmowe zamienił na sztukę, tę zaś na handel. Ku zaniepokojeniu rodziców.

– Musisz się na coś zdecydować – powiedziała mama. – Żadnemu z tych kierunków nie dałeś szansy.

W końcu jednak do Thomasa dotarło, że problemem nie jest przedmiot studiów, ale same studia.

Nie był do nich stworzony. Nie nadawał się na studenta. Wina nie leżała w nauce, bo przeciwko niej akurat nic nie miał – dobijały go po prostu przeróżne dedlajny. Wisząc mu nad głową, uniemożliwiały jasne myślenie, odpychały od niego fakty, w nocy nie pozwalały zasnąć. Im bardziej się starał je ignorować, tym intensywniej nie dawały mu spokoju, coraz bardziej utrudniając dokończenie każdej kolejnej pracy i zadania.

Drugi aspekt studiów, ten towarzyski, także nie był dla niego. Nigdy nie czuł się dobrze w tłumie, nie przepadał za towarzystwem więcej niż jednej czy dwóch osób na raz. W szkole podstawowej praktycznie nie miał kolegów, a jego cichość aż się prosiła o uwagę ze strony prześladowców, przez co Thomas jeszcze bardziej zamknął się w sobie, nie dopuszczając do siebie nawet tych chłopców, którzy nie chcieli zrobić mu nic złego i którzy może zostaliby jego przyjaciółmi, gdyby tylko im na to pozwolił.

W liceum sytuacja się poprawiła, kiedy zmaterializował się Sam, a ich wspólne zamiłowanie do szachów przerodziło się w przyjaźń. Kiedy studia ich rozdzieliły, znowu poczuł się jak tamten samotny chłopiec z podstawówki.

Przez te dwa lata, które poświęcił na próby bycia studentem, z nikim tak naprawdę się nie zaprzyjaźnił. Unikał dyskotek i pubów, gdzie bywali inni studenci, wybierał zamiast nich długie spacery albo kino. Zdarzało się, że cały tydzień wykładów mijał mu bez żadnej interakcji z ludźmi z roku.

Powtarzał sobie, że lepiej mu samemu – i na pewnym poziomie rzeczywiście tak było – ale dni potwornie się dłużyły, a kiedy ośmielał się o tym myśleć, wydawały się także ponure. Handel, jego trzeci kierunek, szybko stał się równie nieatrakcyjny jak dwa poprzednie – w tym przypadku nie sprawdziło się powiedzenie, że do trzech razy sztuka.

W końcu zwierzył się Samowi, który prosto po liceum podjął pracę na cały etat w salonie samochodowym swojego wujka, gdzie pracował dorywczo, odkąd skończył szesnaście lat.

– Rzuć studia – rzekł ten od razu. – Skoro cię unieszczęśliwiają, daruj je sobie. Zorientuj się, czego naprawdę chcesz, i sięgnij po to.

Łatwo powiedzieć Samowi, który jako osiemnastolatek dokonał coming outu przed rodziną – Thomasowi wyznał to już wcześniej, tyle że wymógł na nim dochowanie tajemnicy. Łatwo powiedzieć Samowi, który jako dziewiętnastolatek sprzedał używane porsche Mattowi, a kilka tygodni po ich pierwszym spotkaniu zamieszkał z nim. Łatwo powiedzieć Samowi, dla którego drzwi zdawały się otwarte i wcale nie musiał w nie pukać. Thomas potrzebował kilku kolejnych lat i wielu ślepych uliczek – kurier rowerowy, bileter w teatrze, operator call center, portier w szpitalu – nim rozgryzł, czego naprawdę pragnie.

A właściwie nie tyle rozgryzł, co uświadomiła mu to Freda, w czasie kiedy on zastanawiał się, jak długo wytrzyma jeszcze jako portier. Miał jej za co dziękować.

Otwiera drzwi kluczem przytwierdzonym do małego breloczka z Titanikiem, który Freda przywiozła mu w zeszłym roku z wycieczki do Belfastu. Dostaje od niej coś z każdego wyjazdu: miesiąc temu była to tabliczka ręcznie robionej czekolady z jakiejś fabryki w Kerry, a kiedy po świętach wybrała się do Cork w odwiedziny do kuzynostwa, podarowała mu otwieracz do piwa Beamish.

W domu czuć jeszcze nieco wczorajszym curry. Sam i Thomas są wielkimi fanami tajskiego curry, z kolei Matt preferuje vindaloo. Na korytarzu lawiruje między zabawkami Rasputina – małą rattanową myszką z piórkami zamiast ogona, szczerzącym się gumowym kurczakiem, który gdaka, kiedy się na niego nadeptnie, porządnie pogryzioną kwadratową saszetką wypełnioną kocimiętką – i wchodzi na górę do swojego pokoju. Jest mały, lecz bardzo go lubi, a z okna ma widok na wspaniałą magnolię sąsiadów i skalniak w ich własnym ogrodzie, który Matt zapełnił przeróżnymi kolorowymi roślinami.

Na środku łóżka leży zwinięty w kulkę Rasputin. Unosi nieznacznie szary łeppek i wydaje zaspane, gardłowe miauknięcie.

– Cześć – mówi Thomas, po czym drapie go za uszami.

Rasputin to kot Matta, ale ciągnie go do Thomasa, który nie ma nic przeciwko temu. W dzieciństwie marzył o kocie lub psie, ale przez alergię Poll na sierść zwierząt nie wchodziło to w grę. Nadal wystarczy, że jego siostra zbliży się do kota czy psa, a zaczyna kichać.

Siada na łóżku z udem przyciśniętym do ciepłego kociego ciała. Wyjmuje laptop spod poduszki. W zakładkach odszukuje filmik na YouTube, następnie ogląda Chloë w sukience w kolorze morskim, grającą utwór Masseneta na scenie uczelni muzycznej. Przed Chloë nigdy nie słyszał o kimś takim, jak Massenet.

Kiedy powstało to nagranie, miała dwadzieścia jeden lat i była na drugim roku studiów. Nieco starsza od kolegów z roku, gdyż po liceum przez dwa lata podróżowała z matką po świecie. Dwadzieścia jeden lat. Studiowała muzykę, tata był jej nauczycielem, lecz związali się ze sobą dopiero po ukończeniu przez nią studiów.

Co by się stało, gdyby Thomas poznał ją, zanim do tego doszło? Często wyobraża sobie taki scenariusz: dzień po koncercie zostaje ranna i trafia do szpitala, gdzie on pracuje jako portier. (Nie szkodzi, że praca portiera zmaterializowała się dopiero rok po koncercie; w jego fantazjach ramy czasowe nie mają znaczenia.) W czasie, kiedy Chloë wraca do zdrowia, między nimi rozwija się przyjaźń, która przeradza się w miłość. Jego ojciec poznaje starszą kobietę i zakochuje się w niej albo rodzice wracają do siebie (mimo że mama jest z Joem, co dla niego oznacza może niefart, za to jest konieczne dla historii Thomasa). Wszyscy żyją długo i szczęśliwie.

Chloë ma teraz dwadzieścia siedem lat, o dwa mniej niż Thomas. Nigdy nie spojrzy na niego tak, jak patrzy na niego w jego wyobraźni, nigdy nie nachyli się, aby pocałować go delikatnie w usta, nigdy nie będzie leżeć obok niego, nigdy nie położy głowy na jego torsie, aby poczuć gorączkowe bicie jego serca.

Kiedy filmik dobiega końca, Thomas zamyka laptop, bierze do ręki telefon i z listy kontaktów wybiera numer ojca.

– Cześć, Thomas.

Jej głos, tak nieoczekiwany, sprawia, że serce podchodzi mu do gardła. Widzi ją oczami wyobraźni, pociągającą wolną ręką za pasmo włosów.

– Eee... jest tam gdzieś mój ojciec? – W kontaktach z nią zawsze duka jak jakiś głupiec, nawet jeśli rozmawiają przez telefon.

– Bierze prysznic. Mogę ci jakoś pomóc? – Słowa są lekkie i melodyjne. – A może potrzebowałeś męskiej rozmowy? – Cudowny, gardłowy śmiech.

– Nie, chciałem go tylko zapytać, czy chce książkę, tę nową od, eee... – Jest tak zakłopotany, że nazwisko autora zupełnie wylatuje mu z pamięci. – Wiesz co, jutro do niego zadzwonię. Chodziło mi po prostu o to, że skończyłem ją czytać i gdyby chciał, to mogę ją zabrać do Land's End.

– Okej, przekażę. Gotowy na weekend?

– Aha. – Przedłużająca się cisza. Musi coś powiedzieć. – A ty? – Idiota. Cóż za błyskotliwa rozmowa. Nie ma przecież pojęcia, jakie ona ma plany na najbliższy weekend.

– Zdecydowanie. Przykro mi jednak, że nie zobaczę tego słynnego Land's End. Charlie wiele mi opowiadał o tym miejscu.

„Charlie mi opowiadał”. Przełyka gorzką zazdrość.

– Po weekendzie musisz wpaść na kolację – kontynuuje Chloë. – Strasznie dawno u nas nie byłeś.

Trzy tygodnie temu. Kolacja z nimi to tortury, ale nie potrafi trzymać się na dystans. Kiedy tata go zaprasza, zawsze się zgadza. Poll nigdy – ona za każdym razem znajduje jakąś wymówkę, niemniej tata zawsze zaprasza ich oboje.

– Jesteś tam jeszcze? Wystraszyłam cię zaproszeniem na kolację?

Słyszy w jej głosie uśmiech.

– Nie, byłoby fajnie. Dzięki.

– Ekstra. Za rzadko cię widuję. Trzymaj się, Thomas.

Jego imię w jej ustach brzmi jak pieszczota. Trzyma telefon przyciśnięty do ucha, dopóki Chloë się nie rozłącza. Dłonie ma wilgotne. Wyciera je w dzinsy i mierzy wzrokiem śpiącego kota.

„Za rzadko cię widuję”.

Ja, a nie – my.

Skrywa twarz w dłoniach. Co on ma z nią zrobić? Do końca życia ma się zdręzczać, skazany na tę beznadziejną miłość?

Gdyby Poll o tym wiedziała. Gdyby Poll choćby się domyślała, zabiłaby go.

– Czy to nie jest nieprzyzwoite? – wściekała się tamtego pierwszego wieczoru. Tata zaprosił ich do siebie na drinka, twierdząc, że chce im kogoś przedstawić. – W szkole chodziła do klasy rok niżej niż ja, przecież to odrażające! Jak mógł zrobić mamie coś takiego? Jezu, jest równie skrzywiony jak Humbert Humbert!

Thomas, niemający pojęcia, kim był Humbert Humbert, pamiętał jedynie idealnie kremowe owale paznokci Chloë, która postawiła na ławie miseczki z orzeszkami i oliwkami. Podczas gdy jego siostra gotowała się ze złości, zastanawiając się, jak długo potrwa ten romans – „daję im trzy tygodnie” – Thomas wspominał, jak delikatna okazała się dłoń Chloë, którą podała mu na powitanie.

– Thomas – rzekła, a jeden kącik jej ust wygiął się w uśmiechu. – Widzę, że wzrost odziedziczyłeś po ojcu.

Żart: jest sporo wyższy od ojca, który ma nieco ponad metr siedemdziesiąt. Przy wzroście metr dziewięćdziesiąt jest wyższy od większości ludzi. Freda twierdzi, że przy nim czuje się jak krasnal. W porównaniu z Fredą Chloë jest filigranowym skrzatem. Thomas mógłby podnieść ją z równą łatwością jak krzesło w kawiarni. Mógłby otulić ją swoim ciałem, zamknąć w objęciach...

Nie.

Boże.

Dość tego.

Wstaje gwałtownie z łóżka, budząc zaskoczonych kota. Schodzi na dół, aby odgrzać resztki zapiekanki pasterskiej od Fredy.

CHARLIE

– Kto to był?

Chloë odkłada telefon na toaletkę, po czym przegląda się w lustrze i poprawia dekolt.

– Thomas. Coś mówił o jakiejś książce. Jutro zadzwoni. Zaprosiłam go na kolację w przyszłym tygodniu, gdy się spotkacie, to ustalcie datę.

– Dobrze. – Charlie wyciera ręcznikiem włosy. – Która godzina?

– Za kwadrans.

– Skarbie, naprawdę muszę tam iść? Wolałbym spędzić wieczór w domu.

– Och, daj spokój, staruszk. Będzie fajnie.

Nie będzie, nie dla niego. Jest zmęczony i nie ma ochoty na towarzystwo jej znajomych z teatru. Nikt oprócz niego nie ma więcej niż trzydzieści pięć lat, wszyscy zwracają się do niego grzecznym tonem, który – Charlie to wie – rezerwują dla starszych ludzi. Podczas ostatniego wspólnego wyjścia ktoś powiedział „kurwa” i co najmniej dwie głowy odwróciły się w jego stronę. Bo przecież nie przeklina się przy dorosłych.

Dziś wieczorem odbędzie się impreza z okazji premiery jakiejś sztuki. Mówiła mu jakiej, ale pozwolił, aby ta informacja wpadła jednym uchem, a wypadła drugim. Chloë cztery dni w tygodniu pracuje w teatralnej kasie, poza tym gra na weselach i tym podobnych uroczystościach w nedorzecznym kwintecie smyczkowym, który bez niej byłby niczym.

– Mogłabyś być pierwszą skrzypaczką w dowolnej orkiestrze – powtarzał jej Charlie. – Z odpowiednim menadżerem mogłabyś mieć solowe trasy koncertowe na całym świecie. Mogłabyś zarabiać znacznie więcej niż ja, płacono by ci tyle, ile byś zażądała.

Ona jednak woli marnować swój talent i twierdzi, że nie jest stworzona do bycia aż tak poważną muzyczką.

– Podoba mi się połączenie muzyki i teatru – utrzymuje. – Lubię pracować w teatrze. Nie chcesz, abym była szczęśliwa?

Beznadziejny przypadek. Nauczył się gryźć w język w tym temacie, aczkolwiek dobija go myśl o tym, że gra na skrzypcach dla pijanych gości weselnych, którzy nie odróżniliby fugi Bacha od jakiejś trzeciorzędnej muzyki puszczonej w windzie.

Jako nauczyciel muzyki z trzydziestoletnim stażem, od dziesięciu lat dyrektor najbardziej prestiżowego college’u muzycznego w mieście, Charlie spotkał na swojej drodze niewielu naprawdę uzdolnionych uczniów. Rzadko można znaleźć to magiczne połączenie pasji i zdolności, tę umiejętność nie tylko interpretowania utworu muzycznego dokładnie tak, jak chciał kompozytor, ale także tchnienia w nuty świeżego życia, emocji i duszy.

Chloë to potrafi. Jej gra regularnie doprowadza go do łez. Słuchając jej, daje się ponieść. Jest jak zniewolony.

– Weź mnie – wymruczała, widząc, jaki jej muzyka ma na niego wpływ. – Możesz mnie mieć.

Odłożywszy na bok skrzypce, siadła mu na kolanach, przycisnęła dłoń do jego torsu, a jej usta po raz pierwszy odnalazły jego wargi – a on jej na to pozwolił, w swoim gabinecie w środku dnia. Nie będąc w stanie albo nie chcąc się jej oprzeć. Żona i rodzina poszły w niepamięć podczas przyływu emocji wyzwolonych przez grę tej dziewczyny, a ostatnie, perfekcyjne nuty sonaty Beethovena raz za razem rozbrzmiewały w jego głowie, gdy rozpinął koszulę i spodnie, gdy robił to, czego od niego chciała.

Nikt by w to nie uwierzył. To ona uwiodła jego. To ona zapoczątkowała romans, który doprowadził do rozpadu jego małżeństwa.

– Usiądź – nakazuje mu teraz, wskazując na łóżko. Wrzuca jego ręcznik do kosza na pranie i zaczyna rozczesywać palcami mokre pasma. – Opowiedz mi więcej o Land’s End – mówi. – Odmaluj mi obraz tego domu.

Jak dobrze Chloë go zna. Skup uwagę na zbliżającym się wyjeździe, odwróć jego myśli od czekającego ich wieczoru.

– Już ci o nim mówiłem.

– Zrób to raz jeszcze.

– Jest niebieski. Zawsze taki był. Dwa poziomy, pięć sypialni. Kuchnia, łazienka, dwa salony. Jadalnia, której już się nie używa, bo od czasu zamknięcia pensjonatu wszyscy jedzą w kuchni. Komórka przy kuchni.

– Co to takiego?

– Małe pomieszczenie do przechowywania, coś jak spiżarnia.

– W oknach są żaluzje? – Jej palce ugniatają teraz skórę jego głowy. Gdyby był kotem, toby mruczał.

– Nie ma żaluzji. Dwa okna wykuszowe, w salonie od frontu i głównej sypialni. Półkoliste okienko nad drzwiami.

– W jakim kolorze są drzwi?

– W białym, i ramy okien także. Od frontu weranda biegnąca przez całą szerokość domu, z drewnianą balustradą. Trzy schodki prowadzące na szutrowy podjazd.

– Mów dalej.

– Po jednej stronie podjazdu drzewa, jesion i topola. Po drugiej hortensje.

– A plaża?

Wie to wszystko. Sprawia mu po prostu przyjemność.

– Plaża znajduje się blisko domu, zaraz za niskim kamiennym murkiem. Jest kamienista i długa na jakieś osiemset metrów. Ma kształt szerokiej podkowy.

Ten opis przenosi Charliego w tamto miejsce. Pod bosymi stopami czuje gładkie okrągłe kamyki, wdycha amonowy zapach wodorostów, słyszy cichy plusk fal. Odwraca się i jego oczom ukazuje się dom, niebiesko-biały, a za otwartymi oknami powiewają firanki.

Ledwie może uwierzyć, że wraca tam za dwa dni. Był przekonany, że nigdy więcej nie zobaczy Land's End.

To miejsce zauroczyło go od chwili, gdy Lily zabrała go tam po raz pierwszy, ponad trzydzieści lat temu. Zza szyby swojego austina mini przyjrzał się błękitnej fasadzie i poczuł coś, jakąś pierwotną reakcję, której nie doświadczył nigdy dotąd. Jeszcze zanim przekroczył próg, z jakiegoś powodu poczuł, że to jego dom.

I gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, gdyby Charlie i Lily się nie rozstali, przeprowadziliby się tutaj na emeryturze. Nie pamięta, kiedy podjęli taką decyzję, to było tak dawno temu, ma jednak pewność, że gdy tylko pojawiła się taka możliwość, stała się faktem. Oboje tego chcieli, oboje uważali za nieuchronne. Ich życie dopełni się w Land's End, a przynajmniej będą tam mieszkać tak długo, jak to możliwe.

Na przestrzeni lat – podczas okienek między zajęciami, w czasie stania w kolejce, czekając, aż nadejdzie sen – Charlie wyobrażał sobie, że mieszkają tam na stałe. Zamknęliby niepotrzebne im pokoje, te dodatkowe sypialnie, salon na tyłach domu i formalną jadalnię, w której goście Kitty jadalni śniadania.

W małym salonie od frontu planował czytać te wszystkie cudowne stare książki, oprawione w skórę tomy Dickensa i Hugo, sióstr Brontë, Chaucera i Charlesa Lamba. Będzie cały rok pływał, niezależnie od pogody. Będzie wypływał na ryby tak często, jak tylko zgodzi się go zabierać lokalny rybak – a może nawet szarpnie się i kupi własną skromną łódź. Wieczorem razem z Lily będzie odbywał kilometrowy spacer do Sully's na mały gin z cytryną przed kolacją. A może i duży – czemu nie?

A Thomas i Poll będą często przyjeżdżać razem ze swoimi dziećmi. Otworzy się wtedy wolne pokoje, wypełni dom morskim powietrzem i wysokimi wazonami z cynobrówkami, jak to miało miejsce za czasów Kitty.

Charlie będzie uczył wnuki pływać, tak jak nauczył przed laty własne dzieci. Będzie z nimi zbierał muszelki, pokaże najlepsze kamyki do puszczania kaczek, będzie nadziewał pianki marshmallow na patyki i piekł je w ognisku podczas ciepłych letnich wieczorów. Będzie tworzył razem z nimi wspomnienia, dopilnowywał, aby one pokochały to miejsce równie mocno, jak on.

Tyle że nic z tego wszystkiego się nie wydarzy, gdyż on i Lily nie są już parą. W lipcu uprawomocni się ich rozwód, a krótko potem Joe stanie razem z Lily przed urzędnikiem stanu cywilnego i stanie się mężem kobiety, do której należy Land's End. Teraz to życzliwy Joe będzie tam spędzać

weekendy i wakacje, to Joe będzie spacerować po kamienistej plaży, to Joe będzie puszczać kaczkę.

To Joego będą budzić mewy, to on będzie czuł sól na ustach, to on będzie siadywał wieczorami na werandzie i obserwował skrywające się za horyzontem słońce. A za dziesięć czy piętnaście lat to Lily i Joe przeprowadzą się tam na stałe, to Lily i Joe będą witać wnuki Charliego, gdy podekscytowane wysypią się z samochodów.

Jego wnuki, nie Joego – ale za to Joe będzie miał do nich pełen dostęp. Może nawet będą nazywać go dziadkiem. Nie jest to coś, o czym Charlie lubi rozmyślać.

– Szkoda, że nie jedziesz – mówi teraz. – Dlaczego?

Chloë używa teraz grzebienia.

– Charlie, już to przerabialiśmy.

Owszem. Nie czułaby się komfortowo, przebywając tak długo z jego rodziną. On to rozumie – i musi przyznać, że bez niej będzie łatwiej. Mimo wszystko chce mieć ją przy sobie. Lily będzie z Joem, on powinien być z Chloë. Otrzymała zaproszenie, na litość boską, jest uprawniona do tego, by jechać. Bez niej będzie się czuł jak piąte koło u wozu.

Thomas zjawi się sam – ale on zawsze jest sam. Z tego, co mu wiadomo, jego syn nigdy nie był z nikim związany. Martwi go to, wie jednak, że nic z tym nie może zrobić. Temat ten często poruszał razem z Lily, lecz żadne z nich nie zapytało o to Thomasa. No bo co można powiedzieć, by nie zabrzmiało jak krytyka? W jaki sposób zapytać o powód takiego, a nie innego stanu rzeczy?

– Dziesięć minut – oświadcza Chloë i odkłada grzebień.

Charlie wyjmując z szafy garnitur, mając nadzieję, że wieczór szybko minie. Zakłada granatowe spodnie i przy ich zapinaniu wciąga brzuch. Ciasno, zbyt ciasno, aby było wygodnie. Za mało aktywności fizycznej, oto jego problem. Powinien pływać, tyle że nie przepada za basenami. Nie znosi panującej tam duchoty i klaustrofobicznego gorąca.

Mógłby chodzić na spacer do pobliskiego parku, na przykład po drodze z pracy. Mógłby, lecz tego nie robi. Wiek ma z tym z pewnością coś wspólnego. Niedługo skończy pięćdziesiąt dziewięć lat – przynajmniej nie ma jeszcze szóstki z przodu.

Na razie nie zamierzał myśleć o sześćdziesiątce. Będzie to ignorował, podobnie jak ignoruje wszystko, co ma związek z przyszłością, od czasu, kiedy zdecydował się dzielić dom i życie z osobą młodszą od niego o trzydzieści jeden lat.

Trzydzieści jeden lat. Nadal go to zdumiewa. Kiedy zaczął się ich romans, Chloë miała zaledwie dwadzieścia dwa lata, tyle samo, co Lily nieco ponad ćwierć wieku temu, kiedy stanął z nią przed ołtarzem. Trzeba przyznać, że była znacznie bardziej dojrzała niż Lily w jej wieku – a już na pewno Charlie. Obeznana w świecie, pewna siebie i nieczująca lęku, bez charakterystycznego dla jej rówieśników poczucia zagubienia.

Zakłada spinki do mankietów, które traktuje jako swoją jedyną oznakę pretensjonalności. Wiąże buty, wkłada portfel tam, gdzie zawsze. Nikt oczywiście nie sądził, że ich związek przetrwa. Znajome, które dawniej przyjaźniły się z nim i Lily, po rozejściu się wieści z rozmysłem go unikały, ich mężowie mówili mu, że ma chłop szczęście, a za jego plecami, jak podejrzewał, wyśmiewali się z niego.

Charlie Cunningham i jego młodszy model. Charlie Cunningham zgłupiał na starość. Jest przekonany, że nieraz poruszano temat męskiej menopauzy. Wszyscy się zakładali, ile to potrwa. Już prawie trzy lata, chłopcy, więcej, jeśli liczyć ten czas, kiedy nikt o nas nie wiedział. Chcecie się założyć?

Kiedy ich związek wyszedł na jaw, władze college'u muzycznego nie były oczywiście zachwycone. Nic mu nie powiedziano, a przynajmniej nie prosto w twarz – bądź co bądź on i Lily się rozstali, a Chloë opuściła mury uczelni – ale ich chłodne spojrzenia były wymowne. Trwało to do czasu, kiedy ich uwaga skupiła się na jakichś innych gorących newsach.

Po raz ostatni zerka w lustro, mierzwi włosy, które Chloë wygładziła grzebieniem, poprawia krawat. Po wyjściu z sypialni przekonuje się, że ona czyta sobie na kanapie.

– Gotowa?

Kiedy podnosi na niego wzrok, na jej twarzy maluje się tak dobrze mu znane oszołomienie. Zatraca się w książkach, totalnie w nich zanurza. Wsuwa zakładkę i wstaje, następnie w milczeniu udaje się za nim do samochodu.

Nikt nie rozumie albo nie wierzy, że jest z Chloë nie tylko z powodu jej fizyczności. Dzięki głodnej podróży matce miała okazję odwiedzić każdy kontynent, mówi biegle w czterech językach, a kilka innych zna na poziomie komunikatywnym. Jest bardziej czytana niż on, przeskakuje między gatunkami, między literaturą faktu a beletrystyką. Obok łóżka piętrzy się sterta książek, kolejne czekają w czytniku, a jeszcze inne w formie audiobooków przechowuje w telefonie.

Interesuje się polityką i potrafi zgasić Charliego swoimi argumentami, kiedy ten zaczyna wygłaszać nieco zbyt prawicowe poglądy. Wygrywa z nim regularnie w pokera, stanowi dla niego wyzwanie w sudoku, rozwiązuje kalamburowe krzyżówki, które jego przerastają.

A kiedy tworzą razem muzykę, ona na skrzypcach, on na wiolonczeli, jest to coś bliskiego perfekcji. Pasują do siebie, pięknie współbrzmiać w każdy możliwy sposób.

Nie było nic zaskakującego w tym, że Lily kiepsko przyjęła te wieści. On i Chloë ujawnili się sześć miesięcy po zakończeniu jego małżeństwa. Gdyby to zależało od niego, odczekałby jeszcze trochę, ale Chloë dosyć miała ukrywania się. To Lily powiedział jako pierwszej. Nie chciał, aby się dowiedziała od kogoś innego.

– Chloë Richardson? A to nie jedna z twoich studentek?

– Już nie. W zeszłym roku skończyła studia. – Jakby przy takiej różnicy wieku rok czy dwa coś zmieniały.

– W zeszłym roku – powtórzyła Lily. – Więc jest w wieku Poll.

– Jest starsza od Poll. Prawie rok starsza.

– Prawie rok starsza. Prawie cały rok starsza od twojej córki.

Z pewnością zastanawiała się, kiedy naprawdę zaczął się ich romans, nie zapytała jednak o to. Był jej za to wdzięczny. Gdyby spytała otwarcie, skłamałby, aby jeszcze bardziej jej nie ranić.

Z kolei Poll przyjęła tę wiadomość znacznie gorzej. Ledwie była w stanie patrzeć na Chloë, kiedy Charlie przedstawił je sobie, a na jej twarzy malowało się niedowierzanie. Nadal nie czuje się swobodnie w tej całej sytuacji i unika wspólnych spotkań jak ognia. Charliego to boli, ale co może zrobić?

Thomas także tego nie pochwała. Kiedy spotyka się sam na sam z Charliem, między nimi jest tak, jak do tej pory, lecz w towarzystwie Chloë jego syn czuje się wyraźnie skrępowany. W przeciwieństwie do Poll zjawia się u nich na kolacji zawsze, gdy otrzyma zaproszenie, aczkolwiek Charlie podejrzewa, że wcale nie ma na to ochoty. Pomimo wysiłków Chloë, aby go ośmielić – a potrafi być bardzo czarująca, jeśli tylko chce – on prawie cały czas odwraca wzrok. Równie dobrze mógłby wytatuować sobie na czole zdanie „nie lubię cię”. Szkoda, że żadne z jego dzieci nie zapałało do niej sympatią.

Docierają do baru, w którym odbywa się przyjęcie z okazji premiery. Nie widać żadnych wolnych miejsc parkingowych.

– Wypuść mnie tutaj – mówi Chloë, sięgając do klamki.

Nie może się doczekać spotkania ze znajomymi. Na pewno cieszy się, że będzie ich mogła ostrzec przed zbliżającym się staruszkim.

Charlie objeżdża przecnicę i w końcu znajduje wolne miejsce. Zaparkowawszy, siedzi w aucie, w ogóle się nie spiesząc. Gdyby Lily go teraz widziała, przygotowującego się psychicznie na wieczór gadki szmatki z dwudziestokilkuletnimi przyjaciółmi Chloë, nieźle by się ubawiła.

Czy gdyby nie pojawiła się Chloë, on i Lily by się rozstali? Często zadaje sobie to pytanie. Ich małżeństwo z czasem stało się takie nieistotne, takie jednowymiarowe. Pozornie wszystko było w porządku, lecz pod powierzchnią kryła się pustka. Zero namiętności, zero ognia, zero zachwytyw sobą nawzajem. Sypiali w jednym łóżku, nadal uprawiali seks, aczkolwiek rzadko, a sam akt stał się bardziej wygodnym przyzwyczajeniem, czymś, co usypia lepiej niż cokolwiek innego.

Trzeba jednak przyznać, że ten stan rzeczy nie niepokoił go jakoś przesadnie. Ich małżeństwo ulegało korozji tak stopniowo, że nie wydawało się to czymś istotnym. On i Lily osiągnęli stan stabilizacji, a przynajmniej on tak to postrzegał. Wyobrażał sobie, że z małżeństwami większości znajomych stało się to samo. Generalnie nie wydawało się to niczym złym. Owszem, fajerwerki były wspaniałe, ale taka już ich natura, że szybko gasną.

I wtedy na scenę wkroczyła Chloë i Charliemu przypomniało się wszystko to, co z Lily dawno

utracił. Na szczęście, kiedy w końcu pod naciskiem Chloë zdecydował się na rozstanie, Lily nie protestowała jakoś szczególnie. Oczywiście była poruszona, zaskoczona nagłością tego, co się stało. Zasugerowała nawet, aby udali się na terapię i spróbowali naprawić to, co się popsuło – nie sprawiała jednak wrażenia zdruzgotanej, co to, to nie.

Najbardziej w tym wszystkim niezmiennie żal mu Poll i tego, jak to wpłynęło na ich wzajemne stosunki. Niezwykle go to boli, ale co oprócz wyrzeknięcia się Chloë może zrobić?

Próbował rozmawiać z córką, przez telefon i twarzą w twarz, lecz za każdym razem wygląda to tak samo: Poll próbuje zmienić temat, znajduje jakąś wymówkę, aby zakończyć rozmowę albo udziela nonszalanckiej odpowiedzi, która nic mu nie mówi. Nie dopuszcza do tego, aby ją zapewnił, że jego uczucia względem niej nie uległy zmianie – ale może w Land's End w końcu uda mu się do niej dotrzeć. Oboje kochali to miejsce; może jego córka opuści gardę na tyle, aby odtworzyła się łącząca ich wcześniej więź.

Obok samochodu przechodzą dwie młode dziewczyny. Nie mają więcej niż szesnaście lat, spódnice ledwie zakrywające tyłki, długie gołe nogi, obcasy jak szczudła. Idą chwiejnym krokiem, trzymają się pod ręce, a jedna z nich dzierży butelkę – wódkę? Kawałek za nimi idą trzej odziani w skórzane kurtki chłopcy, przypuszczalnie nieco starsi. Z pewnością podziwiając widok.

Kiedy znikają za rogiem, Charlie wysiada. Zamyka auto i udaje się w stronę pubu, myśląc o dużej whisky, jaką zamierza sobie nalać zaraz po powrocie do domu.

CZWARTEK, 27 KWIETNIA

CHLOË

- Ale jak to się stało? Przecież bierzesz pigułki, no nie?
- Oczywiście, że tak.
- No to... zapomniałaś o jakiejś?
- Na litość boską, a czy to ważne, jak do tego doszło?

Wypowiada te słowa tonem ostrzejszym, niż zamierzała i twarz Abby z białej robi się różowa. Uspokój się, nie zrażaj jej do siebie.

– Przepraszam, jestem zdenerwowana. Nie zapomniałam, ale pigułka nie jest niezawodna. Żadna metoda nie jest. Miałam po prostu pecha. Niektórzy ludzie mają pecha i już.

Rano doznała szoku na widok dwóch niebieskich kresek – to była ostatnia rzecz, jaką miała ochotę zobaczyć. Dwie wyraźne kreski, nie było mowy o pomyłce. Zdażyły się już oczywiście pojawić sygnały ostrzegawcze – brak energii, lekkie mdłości o poranku, bolesność piersi. Ale zorientowała się dopiero wtedy, gdy policzyła, ile dni spóźnia jej się okres.

A teraz niebieskie kreski oficjalnie wszystko potwierdziły, więc Chloë musiała temu zaradzić – a dopóki prawo w Irlandii nie zostanie zmienione, oznaczało to wyprawę do Wielkiej Brytanii. Ta myśl i wszystko, co się z tym wiąże, napawa ją przerażeniem.

Przywołuje na twarz błagalną minę – drżący uśmiech, szeroko otwarte oczy – która w przypadku Charliego zawsze działa.

– Abby, chciałabym... to znaczy potrzebuję kogoś, na kim mogę polegać, komu mogę zaufać. Pomyślałam, że może chciałabyś pomóc, ale jeśli wolałabyś się nie angażować...

– Oczywiście, że pomogę.

Zgodnie z przewidywaniami Chloë schlebiało jej, że została wybrana.

– Jesteś pewna? To naprawdę ważne.

– Zdecydowanie, jestem pewna. Powiedz, co chcesz, abym zrobiła.

Proszę, jak rozkoszuje się poświęcaną jej uwagą, podobnie jak inne wdzięczne ofiary losu, które Chloë miała okazję poznać na przestrzeni lat. Uszczęśliwione tym, że są potrzebne, uradowane, kiedy ktoś pokroju Chloë prosi je o pomoc. Można niemal powiedzieć, że to ona oddaje Abby przysługę, a nie na odwrót.

– Cóż, wiesz, że nie mam prawa jazdy...

– Aha. – Kiwa energicznie głową, czekając, aż usłyszy, jaką będzie miała rolę do odegrania.

– ...dlatego miałam nadzieję, że ktoś zawiózłby mnie na lotnisko w Shannon, a następnego dnia odebrał. To będzie oznaczało konieczność wzięcia urlopu.

– Żaden problem – mówi szybko Abby. – Mam mnóstwo wolnych dni do wybrania.

– Super. W takim razie umówię się na wizytę. Liczę, że uda się w przyszłym tygodniu.

– Okej. Daj mi znać.

Chloë wyciąga rękę nad kawiarnianym stolikiem i ściska jej dłoń.

– Wielkie dzięki, Abby. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

– Oczywiście, że możesz.

Na twarzy Abby ponownie pojawiają się rumieńce. Bierze kolejny kęs czekoladowego eklerka. W kąciu jej ust pozostaje kleks bitej śmietany; dziewczyna wyciera go opuszką małego palca, rzucając Chloë przepaszające spojrzenie.

Wiadomo, skąd ten podwójny podbródek.

Poznały się dzięki teatrowi. Jednym z pierwszych obowiązków Chloë, kiedy zaczęła tam pracować, było zajmowanie się drukiem programu. Wymagało to korespondencji mailowej z sekretarką lokalnej drukarni. Gdy zbliżała się data premiery, sekretarka zasugerowała, aby Chloë wpadła do drukarni i zerknęła na projekt, „aby się upewnić, że na pewno jej się podoba” – no i czekała tam na nią Abby, nosząca okulary, mająca puszące się włosy, nieśmiała i bardzo się chcąca przypodobać. Tego rodzaju osoba, na którą wiadomo, że w razie czego można liczyć.

No i teraz okazała się potrzebna, ponieważ Chloë w ogóle nie bierze pod uwagę transportu

publicznego na lotnisko, a także dlatego, że zwierzenie się prawdziwym przyjaciółom – Charlene i Robinowi z teatru, Dervli z kwintetu smyczkowego, Philowi, Justine i Izzy ze studiów – nie wchodzi w grę.

Starannie dobierała przyjaciół. Wybierała ludzi podobnych sobie, którzy pilnują wagi, ilości spożywanej wody i alkoholu i którzy dbają o aktywność fizyczną i dobry sen. Wybierała ludzi, którzy wiedzą – którzy przyszli na świat z tą wiedzą – w jaki sposób wchodzić do jakiegoś pomieszczenia i kiedy je opuszczać. Ludzi, którzy nie mają problemu z prowadzeniem towarzyskich rozmów o niczym, którzy od razu rozpoznają bratnią duszę.

Ludzi, którym do głowy by nie przyszło przypadkowe zajście w ciążę.

Gdyby się dowiedzieli, inaczej postrzegaliby Chloë. Obwinialiby ją, mimo że nic nie zawiniła, albo by się nad nią litowali, co byłoby znacznie gorsze. Głośno nikt by nic nie powiedział, lecz ta świadomość zmieniłaby ich nastawienie względem niej, dlatego nie mogła pisać ani słowa.

Jedyna osoba, która może jej teraz pomóc, to Abby, która będzie zbyt zajęta czuciem się ważną, aby patrzeć na Chloë w jakiś inny sposób.

– Powiesz Charliemu?

Nie poznała go jeszcze i nie pozna. Już Chloë tego dopilnuje.

– Nie. Tylko by się zdenerwował.

Nie może mu powiedzieć, ponieważ stanęłoby to w sprzeczności z tym, co wie, albo co mu się wydaje, że wie na jej temat. Zmyśli jakąś historyjkę, która usprawiedliwi dwudniowy wyjazd.

– Chloë, czy jesteś... pewna? – pyta wtedy Abby. – To znaczy tego, że nie chcesz... urodzić?

Jest pewna, że Abby by urodziła. Jako singielka po trzydziestce zapewne marzy o byciu matką. Biedna, naiwna Abby. Chloë musi ostrożnie to rozegrać.

– Nie mogę – mówi cicho, spuszczać wzrok. – To nie jest coś, o czym mogę mówić, ale urodzenie nie wchodzi w grę. – Ponownie podnosi wzrok. – Przepraszam, że nie mogę wyjaśnić, ale liczę, że to zrozumiesz, Abby.

– Oczywiście.

Chloë unosi kubek z zieloną herbatą i skoro otrzymała już to, czego chciała, postanawia zmienić temat.

– Jakie masz plany na długi weekend? Wybierasz się w jakieś fajne miejsce?

Abby szybko przeżuwa ostatni kęs eklerka i głośno go przełyka.

– Nie, zostaję w domu. Chyba wezmę się za malowanie kuchni, bo bardzo tego potrzebuje. A jeśli pogoda dopisze, to popracuję trochę w ogrodzie. – Cichy śmiech. – W sumie trudno nazwać te plany ekscytującymi.

Ani trochę. Nudy nad nudami. Kilka lat temu Abby kupiła nieduży bungalow. Oczami wyobraźni Chloë widzi kuchnię pomalowaną na kolor magnolii, skórzany zestaw wypoczynkowy, który jest zbyt duży do salonu. Na ścianach reprodukcje Moneta, a może Van Gogha. W łazience cienkie pastelowe ręczniki. Za domem skrawek ogrodu otoczony grządkami z kwiatami posadzonymi w zbyt dużych odległościach od siebie.

– A ty? Gdzieś wyjeżdżasz?

– Charlie zabiera mnie nad morze – odpowiada Chloë, podejmując w tej chwili decyzję.

Pojedzie z nim, bo nie może zostać sama w mieście, zamartwiając się tym, co ją czeka i nie mogąc spotkać się z przyjaciółmi, którzy dostrzegą w jej twarzy strach i będą zadawać niewygodne pytania. Pojedzie do letniego domu Charliego, mimo że to ostatnie miejsce, które by wybrała, mimo że na pewno nikt jej tam nie powita z otwartymi ramionami – z wyjątkiem oczywiście Thomasa, który będzie ją podziwiał w milczeniu, kiedy wydaje mu się, że ona tego nie widzi, a przez resztę czasu będzie jąkał się i dukał.

Poradzi sobie z grzeczną niechęcią Lily i bardziej ewidentną dezaprobatą Poll. Poszuka towarzystwa nudnego Joego, rozmowa z którym przypuszczalnie ją uspi, ale który nie ma powodu, aby jej nie lubić – wprost przeciwnie, bo to przecież Chloë uwolniła dla niego Lily – i Aidana, który sprawia nieco ciotowate wrażenie, ale być może okaże się w porządku; za rzadko go widywała, aby mieć pewność.

– Och, szczęściara. Cudnie będzie.

Nie będzie. Ale przynajmniej oderwie jej myśli od czegoś innego.

Przetrwa to. Da sobie radę.

PIĄTEK, 28 KWIETNIA

LILY

W drodze do samochodu spotyka dozorcę pchającego jeden z wielkich szkolnych koszy na śmieci.

- Wychodzi już pani, pani Murphy?
- Tak, Simonie. Miłego weekendu.
- Wzajemnie.

Mieszka sam, odkąd jego żona zmarła na raka rok przez tym, jak Lily objęła stanowisko dyrektorki. Ma jednego syna, który mieszka w Australii – a może w Afryce Południowej? W szkole zawsze zjawia się pierwszy, a wychodzi ostatni. Jest także wyjątkowo uczynny i chętnie wykonuje zadania, które wcale nie leżą w jego gestii.

Pomimo niesłabnących wysiłków Lily Simon uparcie i grzecznie odrzuca jej zaproszenia na imprezy pracownicze odbywające się przed świętami Bożego Narodzenia i na koniec roku szkolnego. Dlatego ostatniego dnia każdego semestru Lily wręcza mu kopertę ze złożonymi banknotami. Żyje w strachu, że postanowi odejść na emeryturę, zginie albo zostanie poważnie ranny w jakimś nagłym wypadku, a ona będzie musiała szukać kogoś, kto okaże się nawet nie w połowie tak dobry jak on.

Nim zdąży wyjechać z parkingu, dzwoni telefon. Na wyświetlaczu widzi imię Charliego i gasi silnik.

- Cześć.
- Lily, wyjechałaś już?
- Jadę właśnie po Poll. Wszystko w porządku?
- Jasne. Tak sobie tylko myślę, że powinienem był zaproponować, że jutro ja się zajmę kolacją.

Chyba jeszcze nie jest za późno, co?

- Nie, dzięki. Dziś będzie ryba.
- Wobec tego ja przywiozę steki, okej?
- Doskonale.

Charlie nie oszczędza na składnikach: to będą steki z najlepszej polędwicy i usmaży je iście perfekcyjnie. I przywiezie pasujące do nich wino. Francuskie, bo nie zawraca sobie głowy tym, co oferuje Nowy Świat.

- Nie mogę się doczekać, kiedy znowu zobaczę Land's End – mówi teraz. – Minęło sporo czasu.
- Rzeczywiście. No to do zobaczenia. Jedź ostrożnie.
- Jest coś jeszcze – dodaje, kiedy Lily już-już ma się rozłączyć. – Chloë chciałaby jednak przyjechać.

Wszystko w niej się spina. Czuje, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Chloë przyjeżdża?
- Nie przeszkadza ci to? Wiem, że zostało mało czasu, ale...
- Sądziłam, że ma inne plany.
- Nie wypaliły.

Czyli nic nie planowała. Kłamstwo, dzięki któremu miała uniknąć spotkania z nimi wszystkimi. Skąd jednak ta zmiana zdania?

- Może przyjechać?

Lily kiwa głową, mimo że on jej nie widzi. Kiwa głową, mimo że ma ochotę powiedzieć, że nie, że wcale nie chce jej tam widzieć.

- Tak. To znaczy: oczywiście. Dostała zaproszenie, prawda?

Chloë przyjeżdża. Poll się wścieknie.

- Dzięki. Wobec tego do zobaczenia.

Rozłącza się, a myśli w jej głowie kręcą się jak w kołowrotku. Zaczeka, aż wyjadą daleko za miasto i dopiero wtedy przekaże córce tę wiadomość – w przeciwnym razie Poll na pewno zostałaby w domu. Chloë trzeba było zaprosić – skoro Joe i Aidan otrzymali zaproszenia, to nie było innego wyjścia – tyle że Lily ani przez chwilę nie spodziewała się, że zdecyduje się je przyjąć. Co za przekłeta

dziewczyna, tak się narzucać na ostatnią chwilę.

Możliwe, że zrobiła to celowo, po to tylko, aby ją zirytować. Lily wcale by się nie zdziwiła.

W życiu nie sparowałyby go z Chloë, nawet za milion lat. Początkowo nie brała ich na poważnie. W tej dziewczynie nie było ani krztyny skrupowania, kiedy spotkały się po raz pierwszy – trzymała Charliego za rękę tak, jakby to było coś najnaturalniejszego pod słońcem.

– Już się poznałyśmy – rzekła. – Na uczelnianym koncercie dwa lata temu.

Rzeczywiście, Lily przypomniała się zielona sukienka i zachwyt słuchaczy muzyką tego dziecka. Po koncercie Charlie przedstawił je sobie, a Chloë pochwaliła coś należącego do Lily. Wtedy jego studentka, teraz partnerka.

– Jak powinnam panią nazywać? – zapytała zarekwirowawszy jej męża.

– Lily, a jakżeby inaczej – odparła Lily, a jej głos brzmiał sztywno i absurdalnie, kiedy omiatała wzrokiem szczupłe kostki, gładką, pozbawioną zmarszczek twarz, dziewczęce, nieskrępowane stanikiem piersi pod cienką bluzeczką. Czy on naprawdę pragnął teraz czegoś takiego?

Te głupoty nie przetrwają próby czasu, nie ma mowy. Niewątpliwie temu dziecku schlebiali zainteresowanie Charliego – w sumie to wyczyn, że zaleca się do ciebie dawny nauczyciel – ale wkrótce Chloë znudzi się starzejącym się mężczyzną z drugiej ręki. Nie był przecież nieprzyzwoicie bogaty, na litość boską. Co prawda na uczelni zarabiał bardzo przyzwoicie, ale trudno go uznać za krezusa.

Nie, urok nowości minie, a razem z nim zadurzenie Chloë. Przyłapie go na obciążaniu tego biodra, które nie boli – oczywiście odmawiał pójścia do lekarza – albo dostrzeże obwisłą skórę pod brodą lub pojawiające się jasnobrązowe plamy wątrobowe na dłoniach, albo pogłębiające się zmarszczki wokół oczu. Znajdzie sobie kogoś młodszego, Charliego się pozbędzie, a po kilku kolejnych tygodniach adaptacji – i cichej satysfakcji ze strony Lily – wszystko wróci do normalności.

Ale czas mijał, tygodnie przechodziły w miesiące, a tak się nie działo. Dziewczyna nie wyprowadzała się z mieszkania, które Charlie wynajął po wyprowadzce z domu. Na przekór wszystkiemu te głupoty nadal trwały – a teraz, w imię spokoju, wszyscy zaakceptowali obecność tej dziewczyny w ich życiu, przede wszystkim dlatego, że nie mieli innego wyjścia.

Lily odczeka, aż ujadą spory kawałek od domu. Powie, że dopiero co się o tym dowiedziała, co jest prawdą, ale Poll oczywiście i tak da jej nieźle popalić.

Nienawidzi Charliego za to, że postawił ją w takiej sytuacji. Jak mógł? Powinna była nalegać, aby sam zadzwonił do Poll – tyle że to by spowodowało jeszcze większy rozdzźwięk między ojcem a córką, a tego Lily nie chciała, mimo że sobie zasłużył.

Po drodze do apartamentu Aidana i Poll nie trafia na żadne korki. Jej córka dobrze się urządziła – jej partner jest zamożny, ale i sympatyczny. Aidan ma za sobą nieudany związek – chyba każdy trzydziestokilkulatek ma mniejszy czy większy bagaż – lecz według słów Poll jego córka jest urocza. Mimo to przypuszczalnie lepiej, że mieszka ze swoją matką w innym kraju. Lepiej, aby Poll i Aidan skoncentrowali się na własnym związku, a przynajmniej do czasu, aż wsunie jej na palec pierścionelek.

Jeśli Poll mu pozwoli.

W czym tkwi problem jej córki? To pytanie, które Lily zadaje sobie co jakiś czas, pytanie, nad którym zastanawiali się razem z Charliem, kiedy byli jeszcze razem. Pojawiali się chłopcy, którzy Lily wydawali się najzupełniej w porządku. Wydawało się, że wszystko dobrze się układa, aż nagle dochodziło do rozstania, a jedyne wyjaśnienie ze strony Poll to „nie udało się”.

Jasne, każda kobieta musiała trochę się naszukać, nim znajdzie tego jedyne, lecz Lily odnosiła wrażenie, że to jej córka inicjuje każde kolejne rozstanie. Było tak, jakby bała się zaangażować, bała się powierzyć komuś swoje serce.

Przed Aidanem miała dwóch stałych chłopaków. Keitha poznała jeszcze w szkole; z tego, co pamiętała Lily, chodzili ze sobą przez prawie rok. Był bardzo grzeczny, podczas pierwszych odwiedzin przyniósł Lily kwiaty. Włosy sztywne od żel, buty ze spiczastymi noskami. Uczył się w Dublinie na technika radiowego czy jakoś tak, a do domu przyjeżdżał tylko na weekendy.

Poll wydawała się zadurzona, spędzała z nim wszystkie piątkowe i sobotnie wieczory, a w pozostałe godzinami rozmawiali przez telefon. Aż tu nagle Keith zniknął, a za każdym razem, kiedy jedno z rodziców poruszało ten temat, Poll udzielała wymijających odpowiedzi.

Drugi poważny chłopak, John, obecny był w jej życiu całe dwa lata, w czasie, kiedy studiowała sztukę. On akurat nie podobał się Lily aż tak bardzo, przede wszystkim dlatego, że jeździł sportowym autem, którym – była przekonana – pewnego wieczoru rozbije się z Poll w środku, poza tym jednak nie miała wobec niego zastrzeżeń. Zawoził Poll do Land's End, gdy tylko miała ochotę odwiedzić babcię, zapraszał ją na kolacje, z tego, co dało się zauważyć, dobrze ją traktował.

I ponownie związek ten nagle się zakończył, a Lily i Charlie nie poznali powodu. Poll sprawiała wrażenie rozbitej rozstaniem, tak samo jak poprzednim, i tym razem Lily także żywiła przekonanie, że doszło do niego z inicjatywy jej córki. Nazwijcie to matczyną intuicją, ale jeśli miała rację, to co kazało Poll zakończyć pozornie szczęśliwy związek, jeśli nie jakaś blokada natury psychologicznej?

Od zawsze była skomplikowana. Nie garnęła się do książek, nie była wybitną uczennicą, za to od wczesnych lat jej obrazy zaskakiwały swoją dojrzałością. Niektóre były bardzo mroczne – według Lily wręcz niepokojąco – niemniej stanowiły oznakę wielkiego talentu. Jej kreatywność, zamiast wyrażać się jak u Charliego w muzyce, przejawiała się w sztuce.

Niełatwo się zaprzyjaźniała i prawie cały pierwszy rok w szkole spędziła samotnie, lecz kiedy znalazła w końcu przyjaciółki – Pam, Colette i Bríd – była im maksymalnie oddana, gotowa rzucić wszystko, jeśli któraś jej potrzebowała.

W Poll jest pewna bezbronność, brak pewności siebie. I mrok, który ukrywa za uśmiechami. Udaje, że jest szczęśliwa i sądzi, że uda jej się oszukać własną matkę. Zasmuca to Lily, która nie ma pojęcia, jak jej pomóc. Za każdym razem, kiedy ostrożnie próbuje nakłonić Poll do otworzenia się – przed nią czy kimkolwiek innym – ponosi porażkę.

No i te osobliwe, tworzone przez nią głowy. Wesole małe twarze, różowe policzki, kapelusiki i lekko krzywe uśmiechy. Wszystkim nadaje imiona. Wymyśla historie ich życia, tak wiele wkłada w każdą postać. Umieszcza je na sprężynach, aby mogły radośnie się kiwać.

Z jednej strony Lily dostrzega ich urok. Jest w nich pewien czar, ekscentryczność, którą niektórzy mogą uznać za zabawną – no i trzeba przyznać, że ich stworzenie wymaga dużych artystycznych kompetencji. Tyle że nie są zbyt... wyrafinowane. Nie da się ich nazwać wielką sztuką. I Lily autentycznie zdumiewa fakt, że ludzie chętnie je kupują za cenę, jaką umieszcza na nich Aidan.

Związek Poll i Aidana musi przetrwać, zarówno z powodów praktycznych, jak i emocjonalnych. Jest jej największym dystrybutorem, a właściwie to jedynym, jeśli nie liczyć tego małego lokalu w West Cork, które sprzedaje mniej więcej dwie głowy rocznie. Rozstanie byłoby dla niej podwójnym pechem.

Nie mogą się rozstać. Oby do tego nie doszło. Przy odrobinie szczęścia ten związek przetrwa.

Drzwi wejściowe do apartamentowca są uchylone. Gdy Lily je otwiera, na dole zjawia się Poll z małą walizką na kółkach. Ma na sobie spodnium, które Lily pamięta z ostatniego eventu w galerii. Ten odcień zieleni nieszczerze jej pasuje, ale przynajmniej krój marynarki jest korzystny dla bioder. Przydałoby się także nieco więcej makijażu, odrobina tuszu podkreślająca blade rzęsy, szminka raczej różowa, a nie w tym paskudnym odcieniu brązu.

Co nie znaczy, że wspomni o tym choćby słowem – Poll jest bardzo drażliwa na punkcie wyglądu. Ileż w nastoletnich czasach wylała sobie na twarz soku z cytryny, próbując pozbyć się piegów. Ileż płynów i emulsji nakładała na włosy, próbując je poskromić. Nic nie działało: piegi pozostały, włosy niezmiennie odmawiały posłuszeństwa.

– Wrzuć to na tylne siedzenie – mówi do niej Lily. – Bagażnik jest pełen.

Razem z walizką do samochodu wędruje czarna foliowa torba z pościelą. Ruszają. Poll z małego skózanego plecaczka wyjmuje paczkę miętówek.

– Zabrałam strój kąpielowy – mówi, zdejmując folię z opakowania.

Lily zerka na nią zdumiona.

– Co? W taką pogodę?

Niebo ma kolor blachy, wiatr niesie ze sobą zapach deszczu.

– Pogoda mi nie przeszkadza. Miętówkę?

– Ale woda będzie lodowata, skarbie.

– Tylko na początku.

– Może dla ciebie. Tylko nie pływaj tam, gdzie nie masz gruntu.

– Mamo.

– Mówię poważnie. Planujesz pływać w pojedynkę, a wiesz, że to nie jest zalecane. Możesz przynajmniej obiecać, że nie zapuścisz się daleko.

– Okej.

Lily nie pływa. To znaczy formalnie rzecz biorąc, umie pływać – niemrawą żabką – ale jest kompletną amatorką w porównaniu z Poll i Thomasem, których Charlie nauczył pływać niemal od razu po tym, jak nauczyli się chodzić, i którzy w wodzie czują się jak przysłowiowe ryby.

Powinna być w tym lepsza, zwłaszcza że wychowała się rzut kamieniem od oceanu, tyle że żadne z jej rodziców nie pływało i nie zachęcało jej do tego. Charlie wielokrotnie proponował, że będzie ją uczył, Lily zabrakło jednak entuzjazmu. Woli spacerować po plaży, zawsze wołała przyglądać się morzu, zamiast się w nim zanurzać.

– Szkoda, że Joe nie mógł jechać z nami – mówi Poll, kiedy kierują się w stronę przedmieść.

– Liczy, że uda mu się wyjechać o czwartej. Zobaczymy.

Cieszy się, że Joe i Poll mają ze sobą dobry kontakt. Bała się ich sobie przedstawić, świadoma traumy wywołanej pojawieniem się Chloë, niepotrzebnie się jednak martwiła. Joe dogaduje się z każdym, pomógł także fakt, że na scenie pojawił się dopiero dwa lata po tym, jak Lily i Charlie się rozstali. Przypuszczalnie pomogło też to, że był w wieku Lily, a nie jakimś młodzieniaszkiem.

Dojeżdżają do ronda, które wyprowadzi je na dwupasmówkę. Nie ma jeszcze trzeciej, a ruch staje się coraz większy. Joe utknie w korkach, Charlie także.

Charlie i Chloë. Czuje strach przed poruszeniem tego tematu.

– Wolę tę dawną drogę – stwierdza Poll.

Lily zerka na nią.

– Naprawdę?

Zresztą ona także. Zanim wybudowano tę nową drogę, do Land's End można się było dostać tylko krętymi, wiejskimi drogami, mijając ruiny zamku i pola pełne upraw i inwentarza. Nawet po otwarciu dwupasmówki z przyzwyczajenia jeździli dawną trasą – dlaczego więc dzisiaj Lily automatycznie wybiera tę nową?

Dlatego, że tak teraz jeździ do Land's End. Po rozstaniu z Charliem dokonała tylu zmian, ile tylko była w stanie, gdyż musiała zostawić za sobą dawne życie i ruszyć dalej – a to akurat okazało się proste. Nowej trasie brak jest uroku tej tradycyjnej, niemniej także zaprowadzi ją do Land's End, w dodatku dwadzieścia minut szybciej.

Możliwe, że kiedyś znowu pojedzie starą trasą. Przeżyła, ból minął. Nie zrani jej to tak, jak mogłoby jeszcze niedawno.

To oczywiście, że Charlie Cunningham złamał jej serce. Wbrew temu, w co wszyscy wierzyli, wbrew temu, co powiedzieli wszystkim, nawet dzieciom – że to była obopólna decyzja – to Charlie ponosił odpowiedzialność za koniec ich małżeństwa, to on miał dosyć. Dla Lily jego decyzja była niczym grom z jasnego nieba. Myśl, że mają się rozstać, zakończyć budowane razem życie, wyzbyć się domu i rodziny, które tworzyli przez ponad ćwierć wieku, była dla niej nie do pojęcia.

Ale Lily, radząca sobie, zorganizowana, dumna kobieta, zachowała zdolność myślenia. Nie błagała, nie płakała. Zażądała wyjaśnień – a to, co otrzymała, okazało się kompletnie niewystarczające.

– Nasze małżeństwo się wypaliło – powiedział Charlie. – Utraciliśmy to, co wcześniej mieliśmy. Nie łączy nas już więź, nie tak naprawdę. Nie widzę sensu dalej w to brnąć.

Dodał, że mieli dobre chwile, całe ich mnóstwo, ale teraz dotarli do ściany, tak jak tyle osób przed nimi. Teraz według niego dzielili dom, ale nie życie, nie tak, jak kiedyś. Po co to kontynuować tylko dlatego, że jest wygodnie i znajomo?

Pomyślała, że dlaczego nie. Co w tym takiego strasznego? Jasne, nie pamiętała, kiedy ostatni raz wybrali się na kolację tylko we dwoje albo kiedy ostatni raz robili w łóżku coś innego poza spaniem – to jednak nie oznaczało, że powinni zakończyć swój związek, prawda? To nie oznaczało, że każde powinno pójść w swoją stronę?

Wyobraziła sobie życie bez niego, wyobraziła sobie bycie znowu singielką i ta perspektywa ją przeraziła. Nie chciała się rozstawać; pragnęła dalej być jego żoną. Nadal go kochała, nawet jeśli była to

miłość delikatniejsza niż przed laty.

Z drugiej strony, jaki był sens w darzeniu go miłością, skoro on już jej nie kochał? Jak małżeństwo mogło trwać, skoro tylko jedno z nich pozostawało zaangażowane? Czwierć wieku razem, dwoje dzieci, ładny dom, tak, tak – ale chciało się, aby w tym wszystkim obecna była także miłość, no nie? Zaslugujemy na to, prawda?

Charlie nadal ją lubił, miała co do tego pewność. Ale sympatią można darzyć parę znoszonych kapci albo kubek, do którego co rano nalewało się ulubioną herbatę, nawet po tym, gdy utłukło mu się uszko. Sympatia nie powodowała szybszego bicia serca, nie sprawiała, że tęskni się za dźwiękiem głosu, pocałunkiem, dotykiem skóry na skórze.

Kazała sobie wziąć się w garść. Jej mąż się odkochał – zdarza się. Da sobie radę bez niego. Z pewnością nie od razu przyzwyczai się do życia w pojedynkę, ale poradzi sobie. Skupi się na tym, co dobre, spróbuje nawet cieszyć się wolnością, którą daje jej ten nowy status.

Dlatego robiła, co mogła, aby wspomóc ten proces – a jedną z tych rzeczy stało się jeżdżenie do Land's End dwupasmówką.

– Starą drogą możesz w poniedziałek wrócić z Aidanem – mówi teraz do Poll.

– No tak, może. – Poll odwraca się w stronę szyby, tak by matka nie widziała jej twarzy.

Żeby tylko między nimi było dobrze, modli się znowu Lily. Żeby tylko się nie rozstali.

– Jak tam w szkole? – pyta po dłuższej chwili Poll.

Lily opowiada jej o uczniu, który mało nie podpalił laboratorium chemicznego, i drugim, uzdolnionym pływaku, którego powołano do kadry olimpijskiej. I o rodzicach, którzy po skromnej wygranej w lotto ufundowali kamienną ławkę na szkolnym dziedzińcu. Nie wspomina o uczniu, u którego starszego brata zdiagnozowano właśnie białaczkę, ani o utarczkach w zarządzie czy oskarżeniu o napaść wysuniętym pod adresem jednego z młodszych nauczycieli. Poll nie potrzebuje złych wiadomości.

– Jakies ślubne plany?

Lily się uśmiecha.

– Agneta próbuje umówić mnie z florystką. Nie jestem pewna, czy uda mi się z tego wywinąć.

– Mamo, jesteś tym tak mało zainteresowana, że jeszcze można by pomyśleć, że nie chcesz wychodzić za mąż.

– Nie mam po prostu ochoty na to całe zamieszanie. Jestem na nie za stara.

Ślub zaplanowano na wrzesień, kilka tygodni po uprawomocnieniu się rozwodu. To będzie kameralna uroczystość, jedynie dzieci, Aidan, Agneta, ojciec i przyrodnia siostra Joego oraz dwoje jego kuzynów. Wymienią się obrączkami i przysięgami w urzędzie stanu cywilnego, a później udadzą na obiad w jakieś eleganckie miejsce.

Charliego tam nie będzie.

– Nie zaproszę cię – powiedziała mu. – Mam nadzieję, że rozumiesz.

Odparł, że oczywiście rozumie. Zachowanie przyjacielskich stosunków to jedno, jednak czymś zupełnie odmiennym byłaby obecność Charliego przy tym, jak Lily wiąże się na stałe z innym mężczyzną. Dla wszystkich byłoby to co najmniej niezręczne.

Z podróżą poślubną poczekają do ferii międzysemestralnych na koniec października, a może nawet do Bożego Narodzenia. Mnóstwo czasu na załatwienie wyjazdu, aczkolwiek Agneta co rusz jej przypomina, że takie czekanie do ostatniej chwili może ich słono kosztować. Myślą o tygodniu w Wiedniu, a może w Rzymie. W jakimś uroczym miejscu pełnym zabytków, i do tego niezbyt daleko, gdyż Lily nigdy nie była fanką długich lotów.

Przypomina sobie teraz, dlaczego zgodziła się zostać jego drugą żoną. Wymienia w głowie powody. To dobry człowiek. Jest serdeczny i szczodry i ją kocha. Zaskakuje prezentami; potrafi poprawić jej nastrój. Nie jest typem wesołka, ale raz na jakiś czas doprowadza ją do śmiechu. Jest może nieszczęśliwie namiętnym, ale za to troskliwym kochankiem.

– I nie rozglądałaś się nawet jeszcze za suknią.

– Och, suknia. Nie interesuje mnie to, w co się ubiorę.

– Mamo, właśnie o to mi chodzi. Mówimy o twoim ślubie.

– Wiem, wiem. Niedługo się tym zajmę, obiecuję. Będziesz mogła mi pomóc.

Jakiś czas później dojeżdżają do kolejnego ronda, tego, którym zjadą z dwupasmówki. Jeszcze pół godziny i będą na miejscu. Lily ponownie myśli o wieściach, jakie musi przekazać wszystkim w ten weekend, i zastanawia się, jak przyjmie je Poll. Podejrzewa, że z ich czworga to właśnie jej może być najtrudniej.

Na razie jednak ma do przekazania coś bardziej naglącego. Otwiera usta, lecz ubiega ją Poll.

– Dziwnie będzie w Land's End bez babci, prawda?

Posyła matce przelotny uśmiech, w którym jednak brak jest radości. Nie była tam od czasu, kiedy babcia się wyprowadziła.

Kiedy babcia została do tego zmuszona.

Lily odsuwa od siebie tę myśl. Nie miała wyboru; nie było innego wyjścia. Kiedy stało się oczywiste, że jej matka nie może dłużej mieszkać sama, bezskutecznie próbowała znaleźć opiekunkę, która się do niej wprowadzi. W końcu jedynym rozwiązaniem okazało się zabranie mamy z Land's End do miasta.

Nie do domu Lily, która pracowała na cały etat, a Charlie zdążył już wtedy prysnąć. Poll i Thomas wyprowadzili się, a Joe jeszcze się nie wprowadził. Nie było nikogo, kto pomógłby Lily w codziennej opiece nad mamą.

Odejście z pracy nie wchodziło w grę. Była nauczycielką, nie pielęgniarką, zresztą z czego by wtedy żyły? Dom opieki cieszył się dobrą opinią, wszyscy tak twierdzili. Personel był życzliwy, pokoje ciepłe i wygodne, no i cała czwórka miała niedaleko do tego miejsca. Nie, nie było wyboru, poza tym na tym etapie mama praktycznie nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje.

A mimo to poczucie winy nie daje za wygraną. Lily nadal czuje się tak, jakby zdradziła kobietę, która ją wychowała, kobietę, której jedynym domem był zawsze Land's End.

Trzeba Charliemu oddać, że nie stracił kontaktu z dawną teściową. Tuż po rozstaniu pojawiły się tarcia – mama nigdy nie bała się mówić otwarcie, co jej leży na sercu i Lily nie miała wątpliwości, że Charlie sporo się musiał nasłuchiwać tego pierwszego razu, kiedy skontaktował się z jej mamą – pozostawili to jednak za sobą i Charlie nadal jeździł do Land's End, działając w porozumieniu z Lily, tak by ktoś odwiedzał mamę w większość weekendów.

Razem z pozostałymi członkami rodziny Charlie był świadkiem powolnej dezintegracji Kitty, a kiedy Lily podjęła bolesną decyzję o zabranii jej z Land's End, to on towarzyszył jej w tej ostatniej podróży. Poll albo Thomas zrobiliby to, gdyby ich poprosiła, nie chciała jednak angażować ich w tak wyczerpujące psychicznie zadanie. Dlatego zwróciła się z tym do Charliego, który jej nie odmówił.

Oczywiście nigdy nie zabierał Chloë do Land's End ani do domu opieki.

– Myślę, że lepiej nie mówić o niczym Kitty, nie sądzisz? – zapytał Lily. – Nie byłaby zadowolona.

Owszem, nie zareagowałyby dobrze na to, że wymienił jej córkę na dziewczynę w wieku jej wnuczki, dlatego Chloë pozostała jego małą, nieprzyzwoitą tajemnicą. Ale Lily cieszyła się, że mama nie dowiedziała się o tym, że nie musiała znowu rozczarować się Charliem, dla którego zawsze miała tyle czasu.

Ale teraz Chloë z jakiegoś powodu przyjeżdża do Land's End i Lily musi się z tym pogodzić i być uprzejmą. I może Poll uda się odłożyć na bok własne uczucia i zrobić to samo.

To trzy noce. Jakoś przeżyją.

– Mam pewną wiadomość – mówi teraz lekkim tonem.

– Jaką?

– Chloë postanowiła do nas dołączyć.

Cisza. Zerka ukradkiem na córkę: Poll wpatruje się z nią z niedowierzaniem, a twarz ma bladą jak ściana.

– Żartujesz, mamó, przecież mówiłaś, że nie przyjedzie. Obiecałaś.

– Nie planowała przyjeżdżać, tak mi powiedziano. Ale twój tata do mnie zadzwonił, kiedy wyjeżdżałam z...

– Mamó, ona nie może przyjechać. Dlaczego to robi? Wszystko zepsuje!

– Nie wiem, skarbie, skąd ta zmiana planu. Posłuchaj, to tylko trzy noce.
– Trzy noce! Dlaczego nic nie powiedziałaś, kiedy po mnie przyjechałaś?
– Dlatego, że uznałam – mówi ostrożnie Lily – że możesz zmienić zdanie...
– Tak bym zrobiła! Wiesz, że tak by się stało!
– ... a naprawdę chcę, żebyś tam była. Potrzebuję cię, skarbie. – Szantaż emocjonalny, ale cóż innego może zrobić?

– Wcale nie, będą tam inni!
Poll była na granicy łez. Lily po raz kolejny skłęła w myślach Charliego.
– Kochanie, to moja pierwsza wizyta w domu po babci... po tym, jak odeszła. Inni nie rozumieją tak, jak ty, nie zdają sobie sprawy z tego, jakie to będzie trudne. Naprawdę cię potrzebuję, Poll.

Znowu cisza. Znowu zerka na córkę. Poll obgryza paznokiec. Lily siłą się powstrzymuje, aby nie trzepnąć jej w rękę.

– Nie będę dla niej miła.
– Nie musisz. Obiecuj mi tylko, że się nie pozabijacie.
Zero uśmiechu, zero reakcji.
– Damy sobie radę, Poll. Mnie też się to nie podoba, ale nie zamierzamy pozwolić, aby zepsuła nam weekend, tak?

Cisza.

– Okej, skarbie? Postarasz się? Dla mnie? Jeśli ja dam radę, to ty także.

Głośne westchnienie.

– Dobrze.

To wystarczy. Lily wyciąga rękę i ściska ramię Poll.

– Dziękuję, skarbie. Naprawdę bardzo ci dziękuję.

Jadą w milczeniu i jakiś czas później dojeżdżają do wsi. Znajome witryny, sklep żelazny McHugh's, stojące przed nim żółte butle z gazem. Frytkarnia Wesoły Rybak, następczyni tej, w której Lily i jej przyjaciele wydawali co piątek kieszonkowe na brązowe torebki frytek. Drogeria Fogarty's, gdzie Lily bywała ze swoją mamą. Pub Queally's, w stanie niezmienionym od lat, ulubiony lokal Charliego. Sąsiadujący z kościołem sklep Fox's z nową fasadą, której nie było jeszcze pod koniec lutego.

Raz jeszcze zerka na Poll.

– Pamiętasz lody, które babcia kupowała w Fox's tobie i Thomasowi po niedzielnej mszy?

– Mhm.

Poll odwraca się na fotelu i patrzy na swoją matkę.

– Mamo, myślisz, że babcia nadal tu jest... to znaczy: czy sądzisz, że na jakiś poziomie ona nadal istnieje?

To pytanie zaskakuje Lily.

– Boże, naprawdę tego nie wiem, skarbie.

– Ale jak ci się wydaje?

– Cóż... wydaje mi się, mam nadzieję, że zaznaje teraz spokoju. Czuję... że jest w lepszym miejscu, cokolwiek tym miejscem jest.

Ale czy w to wierzy? Od zawsze regularnie uczęszcza na niedzielną mszę, zamówiła na niedzielę mszę za mamę w kościele we wsi – ale ostatnimi czasy msza to niewiele więcej niż przyzwyczajenie, coś, co robi równie bezrefleksyjnie, jak kupowanie po niej niedzielnej gazety. Pełna wyćwiczonych bzdur – gazeta, a może jedno i drugie – ale część rytuału. Osobiście Lily wątpi w istnienie życia pozagrobowego i nie spodziewa się, że spotka ponownie swoich rodziców.

Zresztą, jak to by było stanąć twarzą w twarz z ojcem, który byłby młodszy niż ona w tej chwili? Jak by to miało wyglądać? A czy umysł jej matki w jakiś magiczny sposób by się zregenerował, czy też nadal patrzyłaby na córkę jak na obcą osobę? Tak wiele pytań bez odpowiedzi, ale tak już bywa, kiedy do głosu dochodzi wiara.

Poll znowu milknie. Wyjechawszy ze wsi, mijają porzewiałe ogrodzenie domu Kariny Clery i stary, maleńki cmentarz. Pochowano tam pięć pokoleń Murphych, jako ostatniego – ojca Lily. Rodzice jej matki też tu spoczywają, i ich rodzice. Mamy nie ma wśród nich – od jakiegoś czasu nie można już

grzebać tutaj zmarłych, dlatego pochowana została w miejscu, które Charlie i Lily wykupili w mieście kilkanaście lat temu, kiedy jeszcze zakładali, że będą ze sobą, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Co się z tym teraz stanie? Kto gdzie będzie leżał po śmierci? Będą musieli to ustalić. Przymuszczałnie Charlie wykupi sobie nowe miejsce, a obecne pozostawi dla Lily i Joego oraz swoich dzieci.

Swoich pierwszych dzieci. Skoro Chloë jest taka młoda, równie dobrze może mieć ich więcej. Jeśli do tego dojdzie, będzie najstarszym tatą w mieście, zmieniającym pieluchy po sześćdziesiątce. Co nie znaczy, aby za czasów Thomasa i Poll zbyt wiele ich zmienił – wtedy mężczyznom uchodziło to na sucho – lecz Lily podejrzewa, że teraz nie miałby wyboru.

Myśl o drugiej rodzinie przeszła jej już wcześniej przez myśl; stało się to od razu, gdy Charlie związał się z Chloë. I wcale jej nie cieszy taka perspektywa. Zupełnie nowe okoliczności, które trzeba brać pod uwagę, kolejne związki z Chloë, z którymi musieliby sobie radzić Thomas i Poll.

Skręcają w wąską drogę, która prowadzi do domu. Lily opuszcza lekko szybę, chcąc poczuć zapach morza. Jest tuż po czwartej, a deszcz na razie trzyma się z daleka.

Jeszcze ostatni zakręt i będą na miejscu.

POLL

Oto i on.

Jego piękna swojskość. Zaskakuje ją przyływ emocji. Ściskanie w klatce piersiowej, słoność w gardle, nagle łzy pod powiekami. Pochyla głowę i szuka w plecaczku chusteczek.

– Wszystko dobrze? – pyta jej matka.

Odpowiada, że tak, po czym przyciska chusteczkę do oczu, biorąc się w garść.

– Potrzebuję po prostu chwili – mówi niewyraźnie, ale mama rozumie ją i wysiada z samochodu.

Poll odchyła się na fotelu, zamyka oczy i głęboko oddycha. Wdech i wydech, wdech i wydech. To zbyt wiele, widok domu i świadomość, że babci w nim nie ma, do tego potworna myśl, że wkrótce zjawi się tutaj Chloë, że będą musieli dzielić go z nią.

Chciała, aby tata przyjechał sam. Chciała udawać, choćby przez jeden weekend, że Chloë nigdy nie stała się częścią ich życia. Sądziła, że istnieje niewielka szansa na to, aby między nią a tatą było tak jak wcześniej, teraz jednak taka opcja nie wchodziła w grę.

Po wielu minutach, kiedy mama zdążyła zniknąć w domu, kiedy minęła już chęć wrzasku, Poll otwiera oczy i jeszcze raz się rozgląda.

Drzewa się nie zmieniły, ale hortensje są przerośnięte. Balustrada wokół werandy potrzebuje świeżej warstwy farby, podobnie jak ramy okien. Widać wiek i zaniedbanie, co łamie jej serce – ale to nadal Land's End, nadal miejsce, które kocha, miejsce, które pamięta sprzed dwóch lat, sprzed dwudziestu dwóch lat i wszystkich lat pomiędzy.

Otwiera drzwi. Otula ją czyste powietrze. Wysiada, podchodzi powoli do furtki i wbija wzrok w rozciągający się przed nią ocean. Czeka, aż się zjawi i znowu go zobaczy. Po prawej stronie łuk plaży, fale obmywające brzeg, tak jak to zawsze robiły i zawsze będą. Kiedy Poll w mieście nie może zasnąć, wraca myślami właśnie tutaj, do stukania kamyków, które działa na nią kojąco i uspokajająco.

Wraca do samochodu. Z tylnego siedzenia bierze torbę z pościelą, następnie wchodzi po kilku stopniach prowadzących do drzwi wejściowych, czując się tak, jakby wkraczała do przeszłości. Swojej przeszłości.

Zaraz po przekroczeniu progu zatrzymuje się.

Te zapachy.

Delikatna woń wilgoci, subtelna słodycz starego drewna, mocny zapach dawno nieotwieranych książek, słoność morza. Piękna kompozycja zapachowa Land's End. Poll idzie powoli przez hol, omiatając wszystko spojrzeniem. Przypominając sobie to, czego nigdy nie zapomniała.

Stoi tu mahoniowy wieszak, prezent ślubny od rodziców dziadka. Stolik z marmurowym blatem, w rogu krzesło na wygiętych nogach, mosiężny stojak na parasole, cienka linia biegnąca ukośnie przez trzy czarno-białe płytki, pozostawiona przez maszynę do szycia, która zsunęła się z wózka, kiedy wywożono ją z domu do naprawy.

Wszystko wygląda tak jak dawniej, nie widać żadnego fizycznego dowodu...

Chwileczkę.

Jakaś nieokreślona zmiana w powietrzu? Czy właśnie to sprawia, że puls jej przyspiesza, a na ciele pojawia się gęsia skórka? Poll zatrzymuje się tuż przed schodami.

– Babcia – szepcze i kładzie na ziemi plecak i torbę.

Rzeczywiście? To możliwe? Czy tylko wyobraża sobie obecność babci tam, gdzie jej miejsce? Niemal ją czuje, niemal ją widzi – ale czy to po prostu pobożne życzenie? Rozbuchana wyobraźnia, zaklinająca, aby to była prawda?

– Tu jesteś.

Z kuchni wychodzi jej matka. Poll widzi, że zatrzymuje się i ściąga brwi. Może ona też to wyczuwa.

– Wszystko w porządku, skarbie? – pyta. – Jesteś bardzo blada. – Czyli nic nie wyczuwa, a jedynie martwi się o Poll. – Trudne to dla ciebie? O to właśnie chodzi?

– Nie, jest w porządku. – Poll nic nie powie. Zabrzmiałoby to nedorzecznie, urojenia małego

dziecka. – A ty jak się czujesz? – pyta, przypominając sobie wcześniejsze słowa mamy.

– Dobrze.

Rzeczywiście nie wygląda na przejętą. W ciągu ostatnich dwóch lat bywała tu przecież. Razem z Joem wiele razy przyjeżdżali, aby sprawdzić, co się dzieje z pustym domem, zwłaszcza zimą. Ale teraz jest inaczej. Teraz jej matka nie żyje. Na pewno jest jej trudno.

– Wspominałam już, że ciebie i Aidana umieściłam w zielonym pokoju?

– Tak. Super. – Poll staje u dołu schodów i patrzy do góry. Oczami wyobraźni widzi schodzącą na dół zaafekowaną babcie z naręczem pościeli i ręczników.

– Muszę wrócić się do wsi – mówi mama. – Zapomniałyśmy o mleku. Niedługo wrócę. Twoją walizkę zostawię na werandzie.

– Okej.

– Włączyłam ogrzewanie i pootwierałam okna w sypialniach, chociaż na godzinkę. Niech się trochę przewietrzy.

– Jasne.

Kiedy w oddali cichnie odgłos samochodu mamy, Poll wchodzi na górę razem z torbą z pościelą.

– Babciu – szepcze ponownie, potem głośniejszym głosem: – Babciu. To ja, Poll. Wróciłam. Wróciłam, babciu.

W zielonym pokoju wysypuje pościel na podwójne łóżko, następnie rozkłada prześcieradło i przesuwa dłonią, wygładzając materiał. Gdy to robi, przypomina jej się, że przed laty dokładnie to samo robiła razem z babcią każdego letniego poranka.

W otwartym pionowo oknie był zepsuty zamek. Mama otworzyła je i podparła tym samym kijkiem, co wiele lat temu. W czasie wakacji nigdy nie mieszkali w tym pokoju – zielony pokój był przeznaczony dla przyjeżdżających do pensjonatu goście, a Poll miała do niego wstęp tylko wtedy, gdy pomagała babci sprzątać go po śniadaniu, kiedy goście już się zebraли. Poll podpierała okno kijkiem, następnie ściągała poszewki i razem z ręcznikami kładła na podłodze na korytarzu.

Razem z babcią zakładały czystą pościel, a w łazience kładły świeże ręczniki. Do Poll należało przechadzanie się po pokoju z miotłką do kurzu – prawdziwe strusie pióra! – i sprawdzanie, czy goście czegoś nie zostawili.

Raz na podłodze obok toaletki znalazła pierścienek. Złoty, a przynajmniej w kolorze złota, z małym czerwonym kamieniem. Zbyt duży dla niej, luźny nawet na kciuku, mimo to bardzo pragnęła go mieć. Coś takiego oczywiście nie wchodziło w grę – babcia natychmiast odesłała pierścienek pani, która o nim zapomniała.

Poll siada teraz na skraju łóżka i zsuwa buty. Swoje miejskie buty, niepasujące tutaj. Dywanik przy łóżku wydaje się cienki i szorstki pod stopami, nie tak delikatny jak jasnoszara wykładzina w sypialni jej i Aidana. Ale kiedyś ten dywanik niemało kosztował i przyplłynął statkiem ze Stanów. Był to prezent od siostry babci, Cory, kiedy babcia pod koniec lat siedemdziesiątych zaczęła prowadzić pensjonat.

– Z nas wszystkich tylko Cora miała pieniądze – powiedziała jej babcia. – Wyszła za bankiera, Alberta Finkleblatta, kiedy sama miała dwadzieścia siedem lat, a on był już po czterdziestce. Bogaty jak nie wiem co, a o ich ślubie mówiło się w całym Chicago. Cora była jego trzecią żoną; szkoda, że nie widziałaś miny mojej matki, kiedy się o tym dowiedziała. Małżeństwo to jednak nie trwało długo: biedny Albert zaledwie trzy lata później utonął podczas rejsu na Karaibach. Cora została bogatą wdową, ale nigdy nawet nie spojrzała na innego mężczyznę, choć jestem pewna, że nie z powodu braku propozycji. Na pewno wielu ostrzyło sobie zęby na jej majątek.

Babcia miała cztery siostry i jednego brata. Poll od zawsze potrafiła wyrecytować ich imiona od najstarszego do najmłodszego: Maud, Gabriel, Pauline, Cora, Teresa, Kitty. Sześcioro dzieci i tylko jeden chłopiec. Tylko Kitty, czyli babcia, nie wsiadła na płynący do Ameryki statek.

– Maud i Gabriel popłynęli razem, a po roku ściągnęli do siebie Pauline. Kilka lat później w ich ślady poszły także Cora i Teresa.

– A ty nie chciałaś? – zapytała Poll, oczami wyobraźni widząc łzawę pożegnania, obietnice listów, machanie chusteczkami w stronę odpływającego statku z ryczącą syreną. Pasażerowie tłoczyli

się przy barierce, aby po raz ostatni spojrzeć na Irlandię, nim ta zniknie za horyzontem, często na zawsze.

– Nie mogłam, kotku – odparła babcia, lecz w jej głosie nie było słyhać nawet cienia żalu. – Kto by się opiekował naszymi rodzicami, gdybyśmy wszyscy wyjechali? Ktoś musiał zostać w domu.

Nikt z jej rodzeństwa nie wrócił do Irlandii, choćby tylko z wizytą. Nigdy więcej nie zobaczyła żadnego z nich. Maud i Pauline zginęły w pożarze pensjonatu jakiś miesiąc po tym, jak Cora i Teresa przybyły do Nowego Jorku. Cztery lata później Gabriel zapadł się pod ziemię i nie było wiadomo, co się z nim dzieje do czasu nadanego gdzieś w Wisconsin listu: twierdził, że ocalał go Jezus i że teraz pracuje na farmie w zamian za wikt i opierunek, a w wolnym czasie krąży od domu do domu i głosi Dobrą Nowinę.

List umieszczony został w małej, niebieskiej Biblii, a razem z nim zdjęcie. Chudszy i bardziej zarośnięty, niż pamiętała babcia, ale niewątpliwie był to Gabriel. Zginął tragicznie dwa lata później, w wielu zaledwie czterdziestu jeden lat, kiedy koń się spłoszył i kopnął go w głowę. Uratowawszy Gabriela raz, Jezus najwyraźniej za drugim razem był zajęty czymś innym.

Cora dożyła starości. Zmarła dziesięć lat przed swoją najmłodszą siostrą w wiosce dla emerytów w Arizonie. Nie miała dzieci, które by się nią zaopiekowały, ani nawet siostrzeńca czy siostrzenicy; żadne z pięciorga imigrantów nie doczekało się potomstwa.

Teresa, najmłodsza zaraz po babci, nie zabawiła długo w Stanach. Dwa lata po opuszczeniu Irlandii napisała, że wybiera się do Peru razem z przyjaciółką, Wilmą, gdzie będą pracować z sierotami w domu prowadzonym przez irlandzkie zakonnice.

Do czasu, kiedy w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat odeszła z tego świata, ona i Wilma zdążyły mieszkać w niemal wszystkich krajach Ameryki Środkowej i Południowej, przez cały czas opiekując się sierotami. Teresa spotkała swoje Waterloo w Boliwii, gdzie porwała ją lawina błotna, zabijając także wielu jej małych podopiecznych.

Kilka tygodni po tym, jak do babci dotarła ta wiadomość, na progu Land's End ujrzała drobną, brązową, pomarszczoną kobietę, w której oczach błyszczały łzy. W końcu poznała przyjaciółkę swojej siostry, Wilmę.

Ojciec z Trynidadu, matka z Cork. Pracowała w taniej restauracji w Nowym Jorku, a kiedy poznała Teresę, połączyły siły, zachęczone wizją misjonarskiego życia.

– Ona była moim światem – szlochała Wilma nad herbatą i kawałkiem posmarowanego masłem ciasta drożdżowego. – Byłyśmy dla siebie wszystkim.

Przez te wszystkie lata, z tych listów, które jej siostra przysyłała mniej więcej raz na sześć tygodni, babcia nigdy się nie domyśliła, że łącząca je więź to coś więcej niż przyjaźń.

Babcia, najmłodsza z sześciorga, przeżyła wszystkich. Opiekowała się rodzicami aż do ich śmierci, a potem wyszła za Roberta Murphy'ego, miejscowego farmera, który cierpliwie na nią czekał.

– Wprowadził się tutaj – powiedziała wnuczce. – Nie było mowy, abym opuściła ten dom. Wiedział o tym.

Takie rozwiązanie pasowało obojemu, gdyż farma Roberta zlokalizowana była zaledwie kilka kilometrów od Land's End. Piętnaście lat po tym, jak poprowadził babcię do ołtarza i przeniósł ją przez próg domu, w którym i tak już przecież mieszkała (nalegała), i dwanaście lat po tym, jak po raz pierwszy trzymał w ramionach małą córkę, Robert Murphy padł martwy w ogrodzie z pędzlem w ręce.

Jako dziecko Poll upajała się historiami babci, zafascynowana opowieściami o jej rodzeństwie, którego nigdy nie poznała, i człowieku, który umarł za wcześniej, aby stać się jej dziadkiem.

– Opowiedz mi jeszcze raz o ślubie Cory i Alberta Finkleblatta – błagała. Wspomnienia babci były o wiele ciekawsze niż bajka o zmyślonej służącej, która udała się na nudny bal w butach ze szkła – szkła! – i poznała nudnego, zmyślonego księcia. Opowieści babci pełne były prawdziwych ludzi, pełne prawdziwych tragedii i triumfów. – Opowiedz mi o wizycie Abigail. Opowiedz o tym, jak Gabriel przysłał Biblię.

A teraz babci już nie ma, a Poll zostały jedynie te historie, którymi dzieliła się z wnuczką, oraz albumy, do których wklejała zdjęcia wsunięte do przybywających z Ameryki kopert.

Ale teraz możliwe, że jest w tym domu albo może przebywa tutaj jej duch. To, co zostało, kiedy jej ciało zamknięto w trumnie, wróciło do Land's End. Poll tak bardzo pragnie w to wierzyć.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówi do babci. – Potrzebuję, abys pomogła mi przestać się bać.

Aby przestała bać się bycia szczęśliwą – o to właśnie chodzi, prawda? Z jakiegoś nieznanego powodu żywi przekonanie, że na to nie zasługuje.

Przynosi z korytarza walizkę, wyjmuje strój kąpielowy i szybko się przebiera. Spodnium wieszka w szafie – niemądry wybór, w Land's End nikt się nie stroi, co ona sobie myślała? Na strój nakłada dżinsy i niebieską koszulkę, stopy zaś wsuwa w żółte czółenka kupione na małym targu, kiedy wiosną zeszłego roku wybrała się do Francji, aby poznać córkę Aidana.

– Byliśmy młodzi – powiedział. Wcześniej, na trzeciej albo czwartej randce. – Sami byliśmy dziećmi. Rozstaliśmy się, nim Loulou skończyła rok. Éloise wróciła z nią do Francji, do swojego rodzinnego miasteczka.

– Byliście małżeństwem?

– Nie. Ale Éloise wyszła w międzyczasie za męża. On także jest Francuzem. Mają drugą córkę.

Loulou ma teraz szesnaście lat, jest spokojna i bezproblemowa. Filigranowa, niebieskooka i jasnowłosa, ma uśmiech, przez który wydaje się młodszą, i usta i podbródek Aidana.

Poll poznała także matkę Loulou. Ku jej uldze nie okazała się szykowną, piękną Francuzką, której się spodziewała, lecz osobą raczej się niewyróżniającą, niską i chudą. Idealnie uczesane ciemne włosy, idealnie proste plecy. Spryskała się ciężkimi perfumami i założyła szarą kopertową sukienkę z surowego jedwabiu. Pewnie nie mało kosztowała, ale podkreślała ziemistość cery.

Poll miała wrażenie, że dawna partnerka Aidana patrzy na nią z góry. Mówiła szybko po francusku, głównie do Aidana, gdy tymczasem Poll i Loulou siedziały bez słowa.

Och, kogo obchodzi Éloise i to, co sądzi na temat Poll? Kogo to obchodzi, skoro możliwe, że Poll i Aidan wkrótce się rozstaną?

W kuchni rozpakowuje pozostawiony przez mamę na stole karton z jedzeniem. Steki z łososia i sałatki, szarlotka z kruszonką i duży kartonik czekającej na ubicie śmietany. Kolację zje dziś pięć osób zamiast spodziewanych czterech. Jutro dojadą Thomas i Aidan, przez co w domu zrobi się równie gwarno jak za czasów pensjonatu.

Nalewa sobie wody z kranu i przykłada szklankę do ust. Zaskakuje ją metaliczny smak, o którym zdążyła zapomnieć. Babcia zawsze mówiła, że w niczym to nie szkodzi, ale tata w sekrecie trzymał w ich pokoju zapas wody butelkowanej.

– Halo?

Podskakuje, a szklanka o mało nie wypada jej z dłoni. W drzwiach stoi mężczyzna ze zdezelowanym wiadrem. Jest zaskoczony jej reakcją.

– Przepraszam, Poll, przepraszam, myślałem, że słyszysz, jak wchodzę. Drzwi były otwarte, więc po prostu...

O tym też zdążyła zapomnieć: że kiedy tutejsi mieszkańcy widzą otwarte drzwi, po prostu wchodzą.

– Gerry, witaj. Myślałam daleko stąd. Może usiądziesz?

– Właśnie się dowiedziałem, że tu jesteście – mówi, nie korzystając z jej zaproszenia – i chciałem zajrzeć i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Nie minęła godzina, wiejska poczta pantoflowa wiecznie żywa. Musiano zauważyć, jak jadą przez wieś.

– Przyjechaliśmy na weekend – wyjaśnia. – Mama i ja, a Thomas i tata i... cóż, pozostali dopiero dojadą. Takie... rodzinne spotkanie. Pomysł mamy. Aby... powspominać babcię.

Mężczyzna przekłada wiadro do lewej ręki, prawą zaś szybko czyni znak krzyża.

– Kitty, niech Pan ma ją w swojej opiece. Wspaniała sąsiadka. To miejsce bez niej nie jest już takie samo.

– Miło, że przyjechałeś na pogrzeb.

– To nic takiego, chciałem ją pożegnać. – Stawia wiadro na stole. – Przyniosłem trochę kartofli.

– Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony. Napijesz się herbaty? Mama pojechała po mleko i zaraz powinna wrócić.

Ale on już się wycofuje z kuchni.

– Nie, nie, nie zostanę. Będziecie się szykować do kolacji. Pozdrów ode mnie Lily. Możliwe, że jeszcze się zobaczymy.

I znika równie niespodziewanie, jak się pojawił.

Ziemniaki są nieco większe niż piłeczki do tenisa stołowego, z cieniutką skórką i przyklejonymi do niej grudkami ciemnobrązowej ziemi. Nachyla się i wdycha ich zapach. Oczami wyobraźni widzi, jak Gerry wbija widły w miękką glebę i wyciąga je z ziemi. Poll uwielbia młode ziemniaki, przepada za ich żółtym miąższem, świeżym, delikatnym smakiem. Jakże często się tu nimi raczyła, gotowanymi w mundurkach, z plastrem solonego, ubijanego przez babcię masła.

Gerry musi być już sporo po sześćdziesiątce. Jego farma podwoiła swój rozmiar, kiedy po śmierci dziadka kupił od babci ich ziemię. W młodości był całkiem przystojny, natomiast teraz czarne włosy przetykała siwizna, a twarz była ogorzala od pracy w słońcu. Nadal jednak w orzechowych oczach widać było ciepło.

Nigdy się nie ożenił, nigdy na horyzoncie nie było żadnej kobiety. Czy Poll durzyła się w nim trochę przed laty? Wydaje jej się, że tak. Ona i Thomas sporo czasu spędzali na farmie Gerry'ego – wtedy było na tyle bezpiecznie, że puszczano ich tam samych, każąc jedynie wrócić potem prosto do Land's End. Mgliście pamięta, że Thomas przez całą drogę trzymał ją za rękę, przypuszczalnie zgodnie z instrukcjami mamy. Mieli do przejścia najwyżej osiemset metrów, lecz dla jej małych nóg było to jak maraton.

Biedny Gerry miał do nich niesłychaną cierpliwość: nigdy ich nie przeganiał, pokazywał, jak należy karmić kury i gdzie szukać zniesionych jajek. Beształ ich tylko łagodnie, kiedy ześlizgiwali się po stogach siana, psując starannie zagrabione górki.

Poll nie pamięta, kiedy straciła zainteresowanie farmą. Chyba dość wcześnie, jako sześć- czy siedmiolatka. Może po prostu z tego wyrosła, może bardziej jej się spodobało pomaganie babci w Land's End. Thomas chodził tam jeszcze jakiś czas, w końcu jednak też z tego wyrósł i później ich kontakty z Gerrym ograniczały się do okazjonalnych rozmów, jeśli spotykali się gdzieś po drodze albo po niedzielnej mszy.

W jej głowie pojawia się wspomnienie, jak Gerry zabrał ją i Thomasa na przejażdżkę traktorem po skoszonej łące. Mogła mieć wtedy najwyżej cztery albo pięć lat, ale nadal pamięta towarzyszącą temu ekscytację. Kiedy po powrocie do domu opowiedziała o tym mamie, ta mało nie wyszła z siebie. Chciała od razu udać się do Gerry'ego i dać mu do wiwatu, ale babcia ją od tego odwiodła, obiecując, że sama z nim porozmawia.

Może dlatego Poll przestała chodzić na farmę – może mama uznała, że nie jest to już bezpieczne miejsce. Tak dawno temu, trudno było wszystko pamiętać.

Zanosi wiadro na półkę w komórce. Ziemniaki zostaną użyte jutro wieczorem jako dodatek do tego, co będzie na kolację. Kupią coś w supermarkecie, chyba że ojciec coś przywiezie. Wtedy będą na pewno steki, jego ulubione danie.

Niełatwo będzie zachowywać się grzecznie względem Chloë. Niełatwo się będzie uśmiechać, ukrywać uczucia, których nie umie się wyzbyć.

– To partnerka twojego taty – powiedział Aidan, kiedy Poll zwierzyła mu się ze swojej niechęci do Chloë. – Wybrał ją, czy ci się to podoba, czy nie, i teraz są razem. Lepiej się z tym pogódź.

Będzie musiała spróbować.

Słyszy nadjeżdżający samochód i modli się, aby to nie był ojciec. Za nic nie chciałyby znaleźć się z nimi sam na sam, choćby przez kilka minut. Oby to była mama albo Joe, któremu udało się wcześniej wyjechać z miasta.

Poll wślizguje się do salonu i wygląda przez okno. Oddycha z ulgą, kiedy się okazuje, że obok drzew zaparkował ciemnozielony land rover Joego. Obserwuje, jak mężczyzna wysiada z auta, następnie się przeciąga. Zdecydowanie woli spacerować niż jeździć.

Wychodzi na korytarz i otwiera na oścież drzwi wejściowe. Z powitalnym uśmiechem udaje się na podjazd.

– Joe, udało ci się.

– Poll. – Jak zawsze wita ją uściskiem. Za pierwszym razem ją to zaskoczyło, wkrótce jednak

przyzwyczaiła się. – Miło cię widzieć. Ładnie wyglądasz. – Pachnie pomarańczami. Mógłby jedynie zgolić brodę albo przynajmniej porządnie ją przystrzyc. – Uciekłem najszybciej, jak mogłem.

– Szybko ci to poszło. Ja i mama przyjechałyśmy całkiem niedawno.

– A kiedy spodziewacie się twojego taty?

– Dopiero później. Będzie z nim Chloë – dodaje.

– Tak? Sądziłem, że ma inne plany.

– Wygląda na to, że nie.

– No tak.

Ani śladu niechęci czy niepokoju – bo i czemuż miałoby być inaczej? To nie z jego ojcem Chloë zamieszkała. To nie w jego rodzinie wprowadziła zamęt. Joe prawie jej nie zna.

Wyjmuje z auta zielony plecak i przerzuca go sobie przez ramię.

– Co się stało z samochodem twojej mamy?

– Musiała wrócić do wsi po mleko. Dziwię się, że nie spotkałeś jej po drodze.

– Ano nie. Co u ciebie? – pyta, wchodząc za nią do domu.

– Wszystko dobrze, Joe. Zostaw tu plecak i chodź do kuchni.

Lubi go. Nie da się inaczej, zresztą pojawił się w życiu mamy na tyle długo po rozstaniu rodziców, że nie można go o nic obwiniać. Poll lubi go, ale nie łączą ich bliskie relacje, jeszcze nie. Może kiedy zostanie jej ojczymem, może kiedy ona do tego przywyknie, ta więź ulegnie pogłębieniu. Możliwe, że uda im się odtworzyć to, co dawniej łączyło ją z tatą.

A może i nie. Nie, raczej nie.

– Nastawię wodę – mówi Poll i podchodzi do zlewu. – A potem cię porzucę. Chcę przed kolacją popływać.

Malujące się na jego twarzy przerażenie jest niemal komiczne.

– Chyba nie mówisz poważnie? Zamierzasz pływać? Mam wrażenie, że nadal trwa zima.

– Och, daj spokój, wcale nie jest tak zimno. A formalnie rzecz biorąc, za kilka dni będzie lato.

– Formalnie rzecz biorąc, nie sprawi to, że będzie cieplej. Spacerować mogę przy każdej pogodzie, ale kąpać się w Atlantyku w czasie innym niż podczas upałów? W życiu. Masz przynajmniej piankę?

– Nigdy jej nie noszę.

Kręci głową.

– Jesteś zdecydowanie większą twardzielką niż ja.

Słyszą podjeżdżający pod dom samochód.

– To na pewno mama – mówi Poll i Joe wychodzi jej na spotkanie.

Całkiem dobrze dogaduje się z tatą, ale na pewno dojdzie do jakichś niezręcznych sytuacji, prawda? Rodzice tak długo byli małżeństwem, że Joe w towarzystwie taty z pewnością czuje się nieco skrępowany.

Czy mama dobrze zrobiła, zapraszając ich tu wszystkich? Ostatecznie nie podała żadnego konkretnego powodu, powiedziała jedynie, że bardzo by tego chciała. Wszyscy uznali, a przynajmniej Poll, że teraz, kiedy babcia nie żyje, dopadło ją uczucie nostalgii.

Słyszy na podjeździe jej głos, a potem śmiech Joego. Czeka na nich w kuchni.

– W supermarkecie spotkałam Karinę – oświadcza mama, chowając mleko do lodówki. – Nie mogłam się od niej uwolnić. Rano podrzuci nam jajka.

– Co u niej?

– Durna jak zawsze. Wróciła właśnie z tygodnia na jakiejś wyspie buddystów w Szkocji. Śpiewali o świecie nad brzegiem morza.

– Ona nie jest buddystką, prawda?

– No coś ty.

– Był tu Gerry – mówi Poll. – Przyniósł ziemniaki. Dałam je do komórki.

– Och, wspaniale. Tutejsze są takie smaczne.

– Lily, twoja córka zamierza iść pływać – wtrąca Joe, wyparzając dzbanek do herbaty. – Może przemówisz jej do rozsądku.

- Chciałabym. – Mama wzdyga się. – Nie będziesz pływać tam, gdzie nie masz gruntu, tak, Poll?
- Przecież ci obiecałam.
- I nie siedź zbyt długo w wodzie, bo jeszcze się nabawisz zapalenia płuc.
- Nie nabawię.

Nie minęło kilka minut, a zanurzyła się w zimnej, słonej wodzie: skóra ją mrowiła, spinało się każde zakończenie nerwowe, krew szybciej krążyła w żyłach. Poll zdążyła zapomnieć, jaka wiąże się z tym radość, jaka absolutna euforia. Jak mama i Joe mogą nie mieć na coś takiego ochoty? Zaczyna płynąć szybkim, energicznym kraulem, instynktownie dopasowując do tego rytmu swój oddech.

Zmęczony się, obraca się na plecy i nasłuchuje głuchego, uspokajającego ryku morza. Nad sobą, choć dzień jeszcze nie zgasł, widzi na północy pojedynczą gwiazdę. W stronę brzegu lecą mewy.

Zastanawia się, czy po powrocie do domu zostanie tam już ojca i Chloë.

Thomas dowie się o tym dopiero jutro. Przypuszczalnie w ogóle się nie przejmie; wygląda na to, że nie ma zdania na jej temat. Unika tematu, kiedy Poll próbuje to z niego wyciągnąć, mówiąc coś niezobowiązującego w stylu, że to nie ich sprawa, co ją oczywiście doprowadza do szału. No ale z pewnością nie aprobuje tego związku. Kto by aprobował coś równie bezsensownego?

Poll pamięta Chloë ze szkoły. Nie trzymały się razem, co to, to nie. Po pierwsze Chloë była od niej o rok starsza, lecz nawet gdyby przez cały czas siedziały w jednej ławce, i tak nie miałyby sobie nic do powiedzenia. Po prostu nic ich nie łączyło. Były niczym dwa odrębne gatunki, a ich życia dzieliły lata świetlne.

Chloë nigdy nie należała do żadnej paczki. Nie była częścią żadnej grupy. Chloë była po prostu... Chloë. Ale nigdy jej nie prześladowano tak, jak to się zdarza w przypadku samotniczek, które nie trzymają się przynajmniej z jedną lub dwoma innymi. Nikt nigdy nie wpadł na nią na korytarzu, doprowadzając do tego, że wypadły jej z rąk książki. Nikt się z niej nie śmiał, nikt nie stroił sobie żartów za jej plecami.

Nawet w wieku trzynastu lat – bo właśnie wtedy dwunastoletnia Poll zwróciła na nią uwagę – Chloë emanowała spokojną pewnością siebie, która dawała do zrozumienia, że ta dziewczyna nigdy nie zamartwia się tym, czy jakiś chłopak ją lubi, czy jej buty są wystarczająco cool albo czy dostanie chociaż jedną walentynkę. Chloë Richardson zachowywała się tak, jakby okres dojrzewania wcale nie był przerażającym torem przeszkód.

Co jakiś czas Poll widywała ją w miasteczku podczas weekendów, na ogół w towarzystwie więcej niż jednego chłopaka, z których wszyscy wyglądali na starszych od niej. Zawsze sprawiała wrażenie wyluzowanej, nosiła obszerne T-shirty albo swetry i idealnie sprane džinsy, a brązowe loki przewiązywała bandaną albo apaszką. Najczęściej wyglądała tak, jakby dopiero co wstała z łóżka – a mimo to była taka... poukładana.

Dla Poll stanowiła uosobienie naturalnej swobody. Raz zauważyła, jak Chloë wsuwa dłoń do tylnej kieszeni džinsów jakiegoś chłopaka i ją tam pozostawia. Sugerując w ten sposób, że być może zeszłej nocy nie spędziła sama.

A teraz noce spędza z mężczyzną, który mógłby być jej ojcem.

Poll robi wymach nogą, opryskując sobie twarz morską wodą. Dzięki energii zapewnionej przez pływanie postanawia, że nie pozwoli, aby Chloë zepsuła jej nastrój. Tak naprawdę musi przetrwać jeden wieczór – jutro będzie trzymać się do niej z daleka na tyle, na ile to możliwe, a potem zjawi się Aidan i zapewni jej wsparcie moralne.

Nad nią mruga druga gwiazda. Wiatr zawiewa jej słone krople na twarz. Poll robi się zimno. Obraca się na brzuch i zaczyna płynąć spokojną żabką. Nie odrywa wzroku od niebieskiego domu, który z każdą chwilą coraz bardziej się przybliża.

THOMAS

– Jakiego chleba używała? Zwykłego białego?

– Chyba tak.

– Okej, w takim razie biały chleb. Szkoda, że nie mamy wczorajszego. No trudno, będzie musiał wystarczyć dzisiejszy.

Nie mają wczorajszego chleba, dlatego że każdego popołudnia Freda kruszy bochenki, które im pozostały, i większość zamraża, aby następnie wykorzystać je do klopsów i zapiekanek rybnych albo jako posypkę do makaronu z sosem serowym, albo do faszerowania pomidorów i grzybów. Resztę zabiera do domu i wykłada do karmnika.

Freda smaruje teraz masłem sześć kromek białego chleba, po czym kroci je w trójkąty. Thomas smaruje tłuszczem naczynie do zapiekania.

– Pewnie nie wiesz, czy doprawiała cynamonem czy gałką muszkatołową?

– Nie mam pojęcia.

– Wobec tego damy trochę jednego i drugiego. – Freda wręcza mu słoiczek z przyprawami. – Możesz zmielić gałkę.

– Ile?

– Mniej więcej łyżeczkę.

Na pomysł puddingu chlebowego wpadł, leżąc w łóżku wczoraj wieczorem, kiedy jego myśli cofnęły się do spędzanych w Land's End wakacji. Wspominał cudowne, przygotowywane przez babcię jedzenie: ciepły bochenek smażonego na blasze chleba co rano; czasem kotleciki ziemniaczane na podwieczorek, smażone na patelni tak długo, aż stawały się złotobrazowe; tarty z agrestem z własnych krzaków; bułki skalne, chrupiące i przepyszne.

A potem przypomniał mu się pudding chlebowy, serwowany po każdym niedzielnym obiedzie. Drażniący, pikantny, warstwy chleba hojnie obsypane napęczniałymi rodzynkami, a na wierzchu cukrowa posypka. Do tego domowy sos z mleka i jajek, smakujący zupełnie inaczej niż ten, który mama robiła z paczki.

Pudding chlebowy. Nie jadł go od czasu wakacji spędzanych w Land's End, od lat o nim nie myślał. Na jego wspomnienie śliska mu napłynęła do ust.

Gdy tylko rano zjawił się w pracy, zapytał Fredę, czy zna przepis. Oczywiście, że znała – a kiedy podzielił się z nią swoimi planami, zaproponowała, że po zamknięciu kawiarni pomoże mu to ogarnąć.

– To tylko kilka minut. Upieczesz go w domu, a potem na spokojnie odgrzejesz.

Zabierze pudding do Land's End: to będzie jego wkład. Podoba mu się myśl, że wszyscy go zjedzą na babcinych talerzykach, jako swoisty hołd dla niej.

– Przywiozę deser na niedzielę – powiedział mamie przez telefon, a kiedy zapytała, co takiego, odparł, że jeszcze nie wie. Na pewno sądzi, że zabierze coś, co zostanie im w kawiarni.

Ściera na tarce małą, okrągłą gałkę muszkatołową.

– Powinnaś umieścić to w menu – rzuca.

– Moglibyśmy spróbować – przyznaje Freda i wbija do miski jajka. – Deser w stylu retro.

Kiedy jej powiedział, że umarła mu babcia, złożyła kondolencje. Na jej twarzy malowało się takie współczucie, że Thomasa dopadły jeszcze większe wyrzuty sumienia spowodowane tym, że nie jest pogrążony w żalu po śmierci babci.

Pamięta, kiedy po raz pierwszy zaczął się nad nią zastanawiać. To było podczas jednego z jego samotnych pobytów w Land's End, sześć albo siedem miesięcy przed tym, jak babcię zabrano do domu opieki. Podczas jednej zaledwie rozmowy trzy razy zadała mu to samo pytanie. Wróciwszy do miasta, powiedział o tym mamie, ta go jednak zbyła.

– Ja tam niczego nie zauważyłam – powiedziała. – Starzeje się i takie roztargnienie to coś normalnego.

Wkrótce jednak stało się jasne, że to nie tylko roztargnienie: było to coś znacznie bardziej niepokojącego. Wszyscy zaczęli dostrzegać zmiany w babci, ciągle pogarszanie się jej stanu,

rozszypywanie się. Bycie świadkiem tego procesu było dla wszystkich trudne.

Gdy Thomas dwa miesiące później ponownie odwiedził babcię, zdiagnozowano już u niej Alzheimer. We wsi znaleziono pomoc domową, kobietę, która przychodziła co rano i spędzała w domu wiele godzin. Rozmowy z babcią były teraz trudniejsze i często nie potrafiła znaleźć słów, które przecież tak dobrze znała. Nadal poznawała Thomasa, lecz przestała używać jego imienia, przestała wykazywać zainteresowanie jego życiem, co wcześniej było nie do pomyślenia.

W końcu jej potrzeby wykroczyły poza możliwości pomocy domowej i jedynym wyjściem okazał się dom opieki. Pamięta, że pomyślał, że to koniec pewnej ery.

Ale teraz, kiedy babci już nie ma, Thomas nie potrafi jej opłakiwać. Bardzo ją kochał, lecz nie rozpacza z powodu jej śmierci. Był wściekły, kiedy się okazało, że padła ofiarą jednej z najokrutniejszych chorób, kiedy widział, co z nią zrobiła – ale tym, co czuł w pierwszych tygodniach po jej śmierci, była przede wszystkim ulga.

Jak może się nie cieszyć, że uwolniona została z tego mglistego, przyprawiającego o konsternację miejsca, którym stał się dla niej świat? Czy to nie było najlepszym rozwiązaniem dla niej i wszystkich innych?

Ale spróbuj to wytłumaczyć Fredzie, której wielkie, szczodre serce wyzwala w nim poczucie wstydu. Spróbuj jej powiedzieć, że cieszysz się, że babcia odeszła.

– Moim ulubionym deserem w dzieciństwie – mówi teraz, posypując chleb rodzynekami – była tarta cytrynowa z bezą. Gdy po raz pierwszy jej posmakowałam, naprawdę sądziłam, że umarłam i trafiłam do nieba. Podaj mi gałkę.

Thomas przygląda się, jak miesza przyprawy z cukrem. Jest urodzoną kucharką, rzadko odmierzającą składniki. Sztuczne słodziki i niskotłuszczowe alternatywy traktuje ze sporą dozą podejrzliwości – „Zostawcie jedzenie w spokoju”, tak mawia – a stali klienci zajądają się jej kremowym chowderem, ciasteczkami maślanymi i słodkimi wypiekami.

Poznali się w szpitalu, gdzie on był nieszczęśliwym portierem, a ona pracowała w stołówce.

– Otwieram własny lokal – powiedziała mu pewnego dnia, gdy podczas popołudniowej przerwy pili razem herbatę. – W przyszłym tygodniu odchodzę. Życz mi powodzenia.

Nie mógł powiedzieć, że dobrze ją zna. Była przyjacielską osobą, jedną z niewielu, którym praca w szpitalu sprawiała autentyczną przyjemność, teraz jednak zamierzała stąd odejść. Bardziej z grzeczności niż ciekawości zapytał o lokalizację tej kawiarni.

– U zbiegu Market Place i Davis Street. Wcześniej mieściły się tam delikatesy, być może je kojarzysz.

Rzeczywiście.

– Niedługo zamieszkam w okolicy – rzekł. – Wprowadzam się do przyjaciół, aby łatwiej im było spłacać kredyt.

W końcu, w wieku dwudziestu pięciu lat, opuszczał rodzinny dom.

– No to koniecznie do mnie zajrzyj, jak już wszystko się rozkręci. Mam nadzieję, że za kilka tygodni będę już działać.

– Na pewno zajrzę – obiecał.

I tak się stało, niedługo po tym, jak kawiarnia otworzyła swoje podwoje. Zapropował Samowi i Mattowi, swoim nowym współlokatorom, aby wybrali się tam razem na lunch.

– Znam pewne miejsce.

Udali się do Glorious Food i zamówili francuską zupę cebulową z chrupiącymi kawałkami bagietki z serem, a na deser wyśmienite crumble z jagodami i śliwkami.

– Menu byłoby bardziej rozbudowane, gdybym miała kogoś do pomocy – wyjaśniła Freda. – Ale na razie mnie na to nie stać.

Pod oczami miała cienie, a mimo to jej twarz jak zawsze promieniała. Może po prostu była predystynowana do bycia szczęśliwą. Przypuszczalnie ta kawiarnia stanowiła spełnienie jednego z jej marzeń i cieszył się w jej imieniu.

Rozejrzawszy się jednak po niedużym lokalu – tylko siedem stolików, a pod oknem wysoki blat ze stołkami – Thomas dostrzegł, że dwa stoliki są jeszcze nieuprzątnięte, a na podłodze leży zmięta

serwetka i coś, co wygląda jak dziecięcy smoczek. Zdecydowanie potrzebna jej była pomoc.

Pomyślał o szpitalu, gdzie pracował już prawie rok. Pomyślał o surowej przełożonej pielęgniarek, której nie chciało się nawet zapamiętać jego imienia, i o udręczonych pielęgniarkach, które „pożyczały” go sobie, gdy tylko pojawiał się na oddziale, i o pacjentach, którzy przywoływali go, gdy tylko dostrzegli jego uniform, prosząc o baseny, wodę albo dodatkowe poduszki czy koce, do dostarczania czego nie był przecież upoważniony.

Wyobraził sobie pracę w tej niewielkiej kawiarni z Fredą jako szefową i w tej wizji nie było nic, co by mu się nie podobało.

– Pomyśl o mnie, kiedy będzie cię już stać – powiedział. – Żaden ze mnie kucharz, ale mogę się zająć całą resztą. Coś mi mówi, że byłbym doskonałym chłopcem na posyłki.

Obdarzyła go uśmiechem pełnym wdzięczności.

– Byłoby wspaniale, ale nie licz na to za bardzo. Na razie ledwie jestem w stanie utrzymać ten lokal.

Odeszła, aby zająć się innym klientem, natomiast Thomas do końca dnia rozmyślał o tym, w jaki sposób osiągnąć to, co szybko stało się jego nowym pragnieniem.

Następnego wieczoru zadzwonił do domu. Odebrał ojciec.

– Czy mógłbym pożyczyć trochę pieniędzy? – zapytał go Thomas.

Pauza.

– Ile?

– Tyle, aby wystarczyło na życie przez kilka miesięcy, może ciut dłużej. Nie musiałbyś dać mi wszystkiego od razu, ale na przykład co tydzień albo co miesiąc.

Minęło kilka kolejnych sekund.

– Co planujesz, Thomasie?

Opowiedział ojcu o kawiarni i o tym, że Fredzie potrzebna jest pomoc.

– Gdy tylko zaczniesz osiągać zysk, będzie mi płacić, a ja wtedy będę cię spłacał. Tyle że trochę to może potrwać.

– Chcesz pracować w kawiarni?

Ton głosu ojca był spokojny, lecz Thomas usłyszał w nim nutkę krytyki i milczący osąd.

– Chyba by mi się spodobało – odparł. – Wiem, że liczyłeś na coś lepszego.

– Nie o to chodzi – odparł ojciec, lecz Thomas wiedział, że właśnie o to. – Jak długo istnieje ten lokal?

Zamknął oczy.

– Niedługo, dwa tygodnie. Ale jedzenie jest fantastyczne, a kiedy wpadłem tam wczoraj, kawiarnia była prawie pełna. – Nie dodał, że „prawie pełna” oznaczało cztery zajęte stoliki.

– A jeśli zbankrutuje?

– Znajdę inną pracę i spłacę cię co do grosza.

Ponownie na chwilę zapadła cisza.

– I naprawdę sądzisz, że będzie ci się podobać tego typu praca? – Głos pełen powątpiewania, niepotrafiący albo nie chcący uwierzyć, że ktoś mógłby polubić takie skromne zajęcie.

– Będzie. Wiem, że będzie.

Thomas nie miał pewności, skąd u niego to przekonanie. Nigdy nie pracował w kawiarni ani w podobnym miejscu. Nawet nie interesował się jakoś szczególnie jedzeniem. Ale im dłużej myślał o chodzeniu codziennie do tego małego lokalu i posiadaniu za szefa kogoś pokroju Fredy, tym większą zyskiwał pewność, że jest to coś, czego pragnie.

– Pozwól, że omówię to z twoją matką, a potem oddzwonię. – I niecałe pół godziny później tak zrobił: – Ile wynosi twój czynsz?

Thomas mu powiedział.

– I oprócz tego potrzebowałbyś pieniędzy na inne wydatki?

– Niewiele, bo mam trochę oszczędności. – Oszczędności były skromne, ale potrzeby także.

– No dobrze – rzekł ojciec. – Zgadząmy się.

– Oddam wszystko – powtórzył Thomas.

– Na razie się tym nie martwmy. Co powiesz na to, abyśmy dali temu pomysłowi trzy miesiące i przekonali się, co będzie?

Trzy miesiące to dość ambitnie. Trzy miesiące na to, aby mała kawiarnia Fredy zaczęła przynosić dochód, aby zyskać pewność, że przetrwa. Z drugiej jednak strony, jak długo mógł wymagać, by ojciec go wspierał?

– Super – rzekł więc. – Wielkie dzięki.

Następnego dnia, świadomy delikatnego, lecz uporczywego ukłucia strachu – co on, u licha, wyprawia? – wręczył w szpitalu wypowiedzenie. Wracając z pracy, ponownie zajrzał do kawiarni. Zbliżała się pora zamknięcia: krzesła leżały obrócone na stolikach, Freda myła podłogę i właśnie wyszli ostatni klienci.

– Thomas – rzekła lekko zdziwiona jego widokiem. – Kawę znajdziesz w...

– Nie przyszedłem na kawę – przerwał jej. – Przyszedłem zaoferować swoje usługi.

Wyjaśnił całą sytuację i obserwował, jak uśmiech powoli znika z jej twarzy.

– Zrezygnowałeś z pracy? Mój Boże, Thomas, mówiłam, że nie mogę ci płacić.

– Nie musisz, nie od razu. – Opowiedział o prośbie wystosowanej do ojca. – Mamy trzy miesiące, poradzimy sobie, Fredo.

Nadal miała ściągnięte brwi.

– Ale nie mogę pozwolić, abys pracował tu za darmo, nie byłoby to właściwe. Może w szpitalu zgodzą się znowu cię przyjmą, jeśli wyjaśnisz, że popełniłeś błąd.

– Nie popełniłem błędu – zaprotestował. – Nie znoszę tej pracy. – Dopóki nie wypowiedział głośno tych słów, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wiele w nich prawdy. – Posłuchaj, sam dokonałem wyboru i czuję, że dobrze robię. A moi rodzice spokojnie mogą mnie przez jakiś czas utrzymywać. Oboje dobrze zarabiają.

– Nie o to chodzi. Naprawdę powinieneś być uzgodnić to najpierw ze mną.

– Nie mogłem – odparł. – Wiedziałem, że w życiu się nie zgodzisz.

Nic nie odpowiedziała, jedynie nadal przyglądała mu się z niepokojem – i nagle do Thomasa dotarło, że Freda tak naprawdę nigdy nie zapytała, czy chciałby tę pracę. Zaoferował niezobowiązująco swoje usługi, a ona nie odmówiła – teraz jednak to było coś innego. Zjawił się niezapowiedziany i jej się narzucał, a w szpitalu spalił za sobą mosty.

Jakież to z jego strony niefrasobliwe i ryzykowne. Freda miała oczywiście rację – powinien to być lepiej przemyśleć, a przed złożeniem rezygnacji przyjść do niej i powiedzieć, co zamierza. Miałaby wtedy szansę wytłumaczyć – a na pewno zrobiłaby to w bardzo delikatny sposób – że tak naprawdę potrzebny jej ktoś, kto potrafi gotować, albo ktoś bardziej rozmowny czy młodszy.

Ktoś inny niż on.

– Przepraszam – powiedział. – Masz absolutną rację. Niepotrzebnie założyłem, że chcesz właśnie mnie. Znajdę sobie coś innego.

– Och, Thomas – powiedziała szybko. – Gdybym kogoś szukała, byłbyś moim pierwszym wyborem. Jesteś uczciwy i pracowity, a to jedyne, czego mi trzeba. Ale nie mogę pozwolić, abys pracował bez wynagrodzenia, nie mogę i już.

Uspokoili go te słowa. Teraz musiał ją jedynie przekonać, aby go przyjęła do pracy.

– Posłuchaj, to może spróbujemy na razie tylko na miesiąc? Jeśli masz się poczuć lepiej, to będę rozglądał się w tym czasie za czymś innym, ale pozwól mi tu przychodzić przez miesiąc i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Na jej twarzy nadal malowały się wątpliwości.

– Miesiąc.

– Jeden miesiąc. A jeśli nie wypali, znajdę sobie coś innego.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Ale Thomas wiedział, że do tego nie dojdzie. Uczyni siebie niezbędnym. Freda będzie na nim polegać, już on tego dopilnuje.

Ostatecznie zgodziła się, aczkolwiek niechętnie. Dwa tygodnie później – i zaledwie tydzień przed

tym, jak jego rodzice ogłosili separację – po raz ostatni wyszedł ze szpitala, nazajutrz zaś rozpoczął pracę w kawiarni.

I od samego początku – po trzech różnych kierunkach na uczelni, po całej liście nieodpowiednich dla siebie prac – wiedział, że w końcu znalazł swoje powołanie. Robił w kawiarni wszystko oprócz gotowania. Przyjmował zamówienia, serwował jedzenie, sprzątał stoliki i zmywał naczynia, i żadna z tych czynności nie budziła jego sprzeciwu. Był tak zajęty, że napawało go zdumieniem, w jaki sposób Freda radziła sobie sama przez te pierwsze tygodnie, no i miał pewność, że jego pomoc jest rzeczywiście potrzebna. Freda zapewniała mu wyżywienie w ciągu dnia – „Chociaż tyle mogę zrobić” – i często wysyłała go do domu z resztkami dań wystarczającymi dla trzech osób, zresztą ku zachwytowi Sama i Matta.

Zaskakujące rozstanie rodziców nie wpłynęło na jego pracę: ojciec nadal co tydzień robił przelew na konto Thomasa. Pod koniec pierwszego miesiąca Freda poruszyła temat braku wynagrodzenia.

– Nadal fatalnie się z tym czuję. Kawiarnia ledwie na siebie zarabia i nie wypłacam pensji sobie, nie mówiąc o pracowniku. Kusi mnie, aby znaleźć ci inną pracę, tak bym uspokoiła sumienie.

– Nawet o tym nie myśl – oświadczył. – Uwielbiam tu pracować. To ty mi wyświadczasz przysługę.

Na co ona zaśmiała się i oświadczyła, że w takim przypadku podziękowanie mu za współpracę byłoby wręcz niegrzeczne.

Taka sytuacja regularnie się powtarzała: Freda wyrażała zaniepokojenie, on ją uspokajał, aż w końcu jedenaście tygodni po tym, jak Thomas zaczął pracę, mała kawiarnia przyniosła zysk, a jej właścicielka wręczyła swojemu jednemu pracownikowi pierwszy czek.

– Czuję się zażenowana wysokością tej kwoty. Gdy tylko będę mogła, zapłacę ci więcej.

Prawie cztery lata później jego zarobki nadal stanowiły zaledwie dwie trzecie tego, co dostawał w szpitalu, i na koniec każdego miesiąca praktycznie nic mu nie zostawało, ale za to każdego ranka wstawał z uśmiechem na twarzy.

Dobrze się uzupełniają. Czują się swobodnie w swoim towarzystwie. Freda nie daje odczuć, że to ona jest szefową.

Ojciec nie zgodził się, aby Thomas go spłacał.

– Nie potrzebuję tych pieniędzy – powiedział. – Cieszę się, że jesteś szczęśliwy w tej pracy.

Rodzice odwiedzili go w kawiarni, każde osobno – oczywiście oboje byli oczarowani Fredą, która nie zgodziła się przyjąć pieniędzy za kawę i ciasto – lecz Thomas świadomy jest tego, że deprymuje ich fakt, że ich syn wylądował w takim miejscu. Nie szkodzi. Jest zadowolony i wypłacalny, a im będzie to musiało wystarczyć.

– No dobrze – mówi teraz Freda, przykrywając naczynie folią aluminiową. – Tylko uważaj, aby po drodze tego nie przechylić, bo masa się wyleje. Piecz to na piątce około czterdziestu minut, aż wszystko stężeje, a wierzch zrobi się złoty.

– Okej.

– I proszę. – Z kieszeni fartucha wyjmuje złożoną kartkę. – Zapisałam ten przepis na sos.

– Zamierzałam zrobić taki z paczki – oświadcza po to tylko, aby zobaczyć jej reakcję.

Zgodnie z jego oczekiwaniem wygląda na oburzoną.

– Thomasie Cunningham, nie wolno ci zepsuć puddingu chlebowego sosem z paczki, on w ogóle się nie umywa do prawdziwego. Babcia nie robiła własnego sosu?

– Tak, ale ona...

– To naprawdę proste. Potrzebujesz jedynie jajek, mleka i cukru, bo ekstrakt waniliowy i mąkę kukurydzianą dostaniesz ode mnie. Przyrzeknij, że go zrobisz.

Przyrzeka, rozbawiony jej uporem.

– Jeśli zrobią się grudki, będę wiedział, czyja to wina.

– Nie powinny, o ile tylko będziesz mieszał masę podczas dolewania mleka. Ale gdyby jednak do tego doszło, przetrzyj sos przez sitko i nikt nie zauważy różnicy.

– Ach, te branżowe sztuczki.

– Otóż to.

Sprzątnąwszy, wychodzą z kawiarni. Thomas opuszcza rolety i wręcza Fredzie klucze.

– Wielkie dzięki.

– Nie ma za co, cieszę się, że mogłam pomóc. Dzięki za dzisiaj. Miłego wieczoru.

Gdy wraca, ruch uliczny okazuje się większy niż zazwyczaj. Początek długiego weekendu, wszyscy uciekają z miasta. Jutro o tej porze on też tak zrobi.

Ponownie żałuje, że do Land's End nie przyjedzie Chloë, żałuje, że ma na ten weekend inne plany.

Nie jest pierwszym obiektem jego uczuć. W szkole średniej przez ponad dwa lata wzdychał w sekrecie do Phoebe, siostry kolegi z klasy. Nigdy się oficjalnie nie poznali – Thomas niezbyt blisko kolegował się z jej bratem – ale był dojmująco świadomy jej istnienia. Uczęszczała do tej samej żeńskiej szkoły co Poll – była rok od niej młodsza – a w soboty pracowała w kiosku swojego taty.

Thomas co jakiś czas tam zachodził. Na drżących nogach zbliżał się do lady i kupował czekoladę, której wcale nie chciał, ledwie mając śmiałość spojrzeć Phoebe w oczy. Nigdy nie dała do zrozumienia, że go zna, choć przypuszczalnie rozpoznawała jego twarz. Trudno to było nazwać romanssem wszech czasów.

Na studiach to była Angela z Cork. Brązowowłosa, brązowooka, ładna Angela. Byli w jednej grupie na zajęciach z filmu: cały tydzień na nie czekał. Uwielbiała Woddy'ego Allena i Quentina Tarantino – i Georffreya Matthews, kolegę ze studiów. Tak jak Phoebe ledwie była świadoma istnienia Thomasa – miał za mało pewności siebie, aby włączać się do grupowych dyskusji – lecz jeszcze długo po tym, jak rzucił studia, na dźwięk akcentu z Cork jego serce fikało koziołka, a przed oczami pojawiała się jej twarz.

Z Chloë było inaczej. Te wcześniejsze to były próby, teraz to coś prawdziwego. Teraz to miłość, nawet jeśli skazana na niepowodzenie.

Czy jego ojciec coś podejrzewał? Raczej nie. Oby nie. A Poll i mama? Czy któraś z nich żywi podejrzenia, czy też pomysł, że Thomas miałby darzyć Chloë uczuciem, jest zbyt niedorzeczny, aby w ogóle pojawił się w ich głowach? Mógł mieć tylko nadzieję, że tak właśnie jest.

Nigdy z nikim nie rozmawiał na ten temat. Gdyby chciał, mógłby się zwierzyć Samowi, który by zrozumiał i nie osądzał. Przypuszczalnie poradziłby Thomasowi, aby wziął się w garść i znalazł kogoś, u kogo ma rzeczywiście szansę, ale na pewno by się nie śmiał, nie drwiłby sobie z niego.

Sęk w tym, że Chloë zawsze jest dla niego naprawdę miła. Sęk w tym, że czasami odnosi wrażenie, jakby... z nim flirtowała. To, jak na niego patrzy, jak się uśmiecha. Przysięgłby, że raz puściła do niego oko. I zwraca się do ojca per „staruszku”, nawet w jego obecności. Tata zbywa to śmiechem, jakby w ogóle go to nie dotykało – ale może dotyka ją. Może różnica wieku zaczyna mieć znaczenie.

Thomas jest od niej niecałe dwa lata starszy. Jest tyczkowaty, nieśmiały i nie ma skończonych studiów. Nie jest bogaty ani przystojny i nie odziedziczył po ojcu tego jego swobodnego uroku, ale może Chloë potrafi zajrzeć w głąb niego. To wcale nie jest niemożliwe, prawda? Da się go przecież kochać, no nie?

Jej zainteresowanie równie dobrze może być wytworem jego wyobraźni, a może i nie. Sam fakt, że nie jedzie z tatą do Land's End, także może coś oznaczać. Może rzeczywiście podoba jej się Thomas; może czeka na jakiś sygnał, że to uczucie jest odwzajemnione.

Tyle że oczywiście nie może tego zrobić. Oczywiście, że nie może wyznać swoich uczuć, a przynajmniej dopóki ona jest z jego ojcem. Jedyne, na co może mieć nadzieję, to koniec ich związku. Może wtedy, może po jakimś czasie ona i Thomas znajdą sposób na to, aby być razem bez otwierania starych ran i powodowania nowego rozdźwięku w rodzinie. Doskonale wie, że to płonna nadzieja.

Dociera do domu. Włącza piekarnik i w czasie, kiedy ten się rozgrzewa, udaje się na górę i otwiera laptop.

Słucha Masseneta. Ogląda Chloë.

CHARLIE

– Powinam zabrać suszarkę?

Jej głos dobiega z korytarza. Trzy noce, a ona pakuje chyba swój cały dobytek.

– Zabierz.

Kusi go, aby jej przypomnieć, że przecież nie jadą do hotelu. Zastanawia się w jakim stanie jest teraz dom. Przepuszczalnie Lily nie pozwoliła mu przez te ostatnie dwa lata popaść w ruinę.

Przypomina mu się jedna z ostatnich wizyt, kiedy on i Lily zabrali stamtąd Kitty. Pamięta, jak Lily starannie zapięła swojej mamie pasy w samochodzie. Do tego czasu oprócz zdrowia psychicznego zaczęło szwankować fizyczne, a jej chód, wcześniej szybki i energiczny, teraz był jedynie ostrożnym szuraniem. Pamięta, jak w milczeniu zapakował do bagażnika małą walizkę z ubraniami i karton z tymi kilkoma drobiazgi, które miały jej towarzyszyć w domu opieki.

Biblia od brata, album ze ślubnymi zdjęciami, należący do jej matki różaniec z zielonymi paciorkami, srebrny zegarek kieszonkowy po ojcu, kiwająca się głowa, którą Poll podarowała jej kilka lat wcześniej. Żadna z tych rzeczy nic już dla niej nie znaczyła, ale Lily je wybrała, może w nadziei, że gdzieś tam w zamglonym umyśle Kitty przywołają choćby cień wspomnień i zapewnią odrobinę pociechy.

– Dokąd jedziemy? – zapytała z rozdrażnieniem, gdy minął słupki bramy.

Lily odparła pogodnie, że zabierają ją na miłą przejażdżkę. Charlie obserwował w lusterku wstecznym twarz Kitty, kiedy zabierali ją coraz dalej od domu, i pocieszał się myślą, że jest już raczej obojętna na co, co się dzieje.

Obok niej siedziała Lily i przez całą podróż do miasta trzymała ją za bezwładną rękę. Lily, z twarzą równie pozbawioną wyrazu jak twarz jej matki, słabo reagująca na jego próby nawiązania rozmowy. Miał pewność, że czyni sobie wyrzuty, gdy tymczasem po prostu zabierała Kitty w bezpieczne miejsce.

Jeszcze raz miał wrócić do Land's End, kiedy jakiś miesiąc po opuszczeniu domu przez Kitty Lily mu powiedziała, że zamierza go porządnie wysprzątać.

Zaproponował wtedy, że przyjedzie pomóc, spodziewając się dezaprobaty ze strony Chloë, która miała mu za złe wizyty w Land's End po tym, jak on i Lily się rozstali, ale czuł, że jest to winien Kitty, która zawsze była dla niego taka dobra.

– Zabierasz ładowarkę do telefonu?

– Tak.

Lepiej nie wspominać, że w Land's End brak jest zasięgu. Lepiej udać potem, że o tym zapomniał.

Cieszy się, że Chloë jedzie, cieszy się, że zmieniła zdanie. Miło mu się zrobiło, kiedy przyznała, że za bardzo by za nim tęskniła.

Jest jednak nie w sosie – coś się musiało stać. Kłótnia z koleżanką albo z matką. Nic nie powiedziała, a on nie pytał. Życie go tego nauczyło.

Sprawdza godzinę: wpół do piątej. Czuje ukłucie zniecierpliwienia. Powiedział jej, że wyjeżdżają o czwartej, ale Chloë nigdy nie należała do osób, które potrafią się szybko spakować.

Charlie przegląda się w wiszącym nad gymsem kominka lustrze, przejeżdża dłonią po brodzie, wyczuwając ostre igiełki zarostu. Jest w całkiem dobrej formie jak na mężczyznę w swoim wieku. Może ciut zaniedbany, bo dbanie o siebie nigdy nie było jego mocną stroną, aczkolwiek Lily zawsze trzymała go w ryzach. Może powinien wybrać się do fryzjera, no i na pewno zgubić nieco tłuszczu z brzucha. Oczy lekko przekrwione – tak się kończyło niewysypianie.

W łóżku – a czasem poza nim – były lepsze rzeczy do roboty. Chloë jest namiętna i pozbawiona zahamowań, no i nie ma absolutnie żadnych kompleksów. Często chodzi po domu w wyjątkowo skąpej bieliźnie i lubi medytować i praktykować jogę nago.

Zjawia się teraz jak na zawołanie. Wydaje się zdenerwowana. Zabiera z parapetu świeczkę. Bierze do Land's End świeczkę? Charlie gryzie się w język i ponownie zerka na zegarek. Za dwadzieścia

piąta.

– Jak długo będziemy jechać?

– Mniej więcej dwie godziny. – Pyta go o to chyba po raz trzeci. – Powinniśmy się wkrótce zbierać, skarbie, żeby wyruszyć przed największymi korkami...

Ale ona zdążyła znowu zniknąć. Może ta świeczka to ostatnia rzecz do spakowania.

Poll i Lily na pewno są już na miejscu. Oczami wyobraźni widzi, jak zajeżdżają pod dom, otwierają drzwi wejściowe, tchną w wielki dom życie, i aż go świerzbi, aby już ruszyć w drogę.

Bagażnik jest już zapakowany do granic możliwości – oprócz pościeli Chloë uparła się zabrać olbrzymią patchworkową narzutę po babci, którą normalnie wyciągają tylko w największe mrozy. On z kolei dopakował sześć butelek czerwonego wina, kupionych podczas przerwy na lunch, mięso na steki oraz niedużą walizkę na kółkach.

Co, u licha, ją zatrzymuje?

Kiedy wchodzi do sypialni, ona rozmawia właśnie przez telefon.

– Tak – mówi. – Zgadza się, tak. – I: – Wiem, mówiłaś mi.

Charlie wskazuje leżącą na łóżku zamkniętą walizkę. Chloë kiwa głową, po czym odwraca się od niego.

Lekko poirytowany – mogła mu powiedzieć, że jest gotowa, a przez telefon porozmawiać w samochodzie – zabiera walizkę.

Pamięta, że kilka dni temu wspomniała mu, że jej matka spędza długi weekend w Budapeszcie – a może Bukareszcie? – z jednym ze swoich chłopaków. Nadia jest Szwedką, siedem lat młodszą od Charliego. Atrakcyjna i w pełni tego świadoma. Długie włosy, jaśniejsze niż u córki. Niebieskooka, wysoka i smukła. Otwarcie zlustrowała go wzrokiem, kiedy Chloë postanowiła ich ze sobą poznać. Tuż przed czterdziestką została wdową – mąż zginął w wypadku w miejscu pracy. Od tamtej pory nie narzeka na brak adoratorów.

Gdy wraca do mieszkania, Chloë wychodzi właśnie z sypialni.

– Gotowa – rzuca. Wsuwa telefon do torby i posyła Charliemu uśmiech, który znika równie szybko, jak się pojawił.

Tak, zdecydowanie coś jest na rzeczy.

Niemal od razu grzęzną w korku. Jeśli tak będzie wyglądać cały wyjazd z miasta, nie zdążą na kolację albo pozostali będą musieli przez nich czekać.

Na pewno będzie tam Joe, no i Poll. Charlie wyobraża sobie, jak siedzą w pięcioro wokół wielkiego stołu Kitty, starając się prowadzić uprzejmą rozmowę. Unikając tematów, które mogłyby zaognić sytuację. Pogoda, tak, to zawsze bezpieczny temat. Nowa wiolonczela, nad zakupem której intensywnie się zastanawia. Film Scorsese, który widział z Chloë w zeszłym tygodniu. Zbliżający się koncert na uczelni z okazji zakończenia roku...

A może lepiej nie. Nie, o tym akurat nie wspomni.

To na koncercie doszło do pierwszego spotkania Lily i Chloë. Co roku jest to okazja dla studentów, by zaprezentować swoje umiejętności, szansa na publiczny występ. Na widowni teoretycznie mógł zjawić się każdy, w praktyce jednak większość słuchaczy to rodzice i rodziny studentów.

Lily zawsze się zjawiała na tego typu występach. Po koncercie grono pedagogiczne wraz z osobami towarzyszącymi udawało się do restauracji na późną kolację. Będąca na drugim roku Chloë zdecydowała się zagrać *Méditation* Masseneta.

– Dobra jest – mruknęła Lily, kiedy jej występ dobiegł końca, a Charlie poczuł dumę.

Wtedy nic się jeszcze między nimi nie działo – ich relacja miała ulec zmianie dopiero w następnym roku. Podziwiał jej talent i tyle, a może po prostu do tego tylko się przyznawał.

Gdy Charlie i Lily opuszczali salę, wpadli na Chloë, która także wychodziła. Z pokrowcem na skrzypce pod pachą, z powiewającym wokół szyi szalikiem w kolorze rdzy.

Charlie dokonał wzajemnej prezentacji. Nadal pamięta to lekkie poczucie nierzeczywistości, ukłucie wyrzutów sumienia, kiedy wymieniły uścisk dłoni. Czy było to ostrzeżenie przed jego przyszłą niewiernością, podświadome potwierdzenie romansu, do którego nieuchronnie zmierzali on i Chloë?

Ich rozmowa okazała się nijaka. Lily pochwaliła występ Chloë; Chloë podziękowała

i skomplementowała naszyjnik Lily. To było nic, króciutka wymiana zdań, trwająca ledwie kilka sekund, ale właśnie tak wyglądało ich pierwsze spotkanie.

Jeden ze studentów nagrał występ Chloë i umieścił go na YouTube. Przez kolejne tygodnie Charlie oglądał go zahipnotyzowany, kiedy już Lily poszła spać. Podziwiał muzykę, to wszystko – ale wieczór za wieczorem coraz bardziej upajał się jej zieloną sukienką, przechyloną, piękną głową. Grała z na wpół zamkniętymi oczami, a uchylone usta odsłaniały równe, idealne zęby.

Nie, nie wspomni ani słowem o koncercie.

Oba pasy kompletnie się teraz zatrzymały. Wygląda na to, że nieprędko wyjadą z miasta. Chloë nachyla się i wkłada do odtwarzacza płytę. Kilka sekund później zaczyna śpiewać ten ładniutki narkoman, który swego czasu spotykał się z jedną z długonogich supermodelek.

Przed nimi robi się miejsce. Gdy Charlie powoli jedzie, jakiś samochód z sąsiedniego pasa skręca, aby się wcisnąć, przez co on musi gwałtownie zahamować. Klnąc cicho, zwalcza pokusę zatrąbienia na tego idiotę.

– Powinniśmy byli wcześniej wyjechać – stwierdza Chloë.

To wystarcza.

– A czyja to wina?

Patrzy na niego, a między jej brwiami pojawia się niewielka zmarszczka.

– Moja? – W jej głosie pobrzmiewa groźny ton.

– Nieważne – burczy Charlie. Lepiej nie wszczynać kłótni, nie teraz.

W odpowiedzi nachyla się i pogłasnia muzykę. Robi wszystko, by go zirytować i czeka, aż zacznie narzekać. Za bardzo by za nim tęskniła, dobre sobie – przypuszczalnie jedzie z nim tylko dlatego, że wie, że Lily i Poll nie będą z tego zadowolone.

Bębni palcami o kierownicę. Robi głęboki wdech, a podczas wydechu liczy w myślach do dziesięciu. W żaden sposób nie poprawia mu to nastroju.

Dzień jest szary i ponury. Cały ranek mżyło i zanosi się na to, że niedługo porządnie się rozpada. Myśli tęsknie o kąpieli w Atlantyku, wyobraża sobie słone powietrze, którym wkrótce będzie się cieszył: to na pewno dobrze mu zrobi.

– W przyszłym tygodniu mamy występ – mówi w tym momencie Chloë.

Odwraca się zaskoczony w jej stronę. Ona siedzi ze wzrokiem wbitym przed siebie.

– Tak? Nic nie mówiłaś.

– Dopiero się dowiedziałam.

Ta rozmowa przez telefon.

– Co to takiego?

– Ślub.

– Ślub? Nie jest tak, że muzykę rezerwuje się z wielomiesięcznym wyprzedzeniem?

– Pierwszy zespół ich wystawił.

– W jakim hotelu?

– W Donegal.

– Donegal?

Rzuca mu spojrzenie pełne jadu.

– Tam ludzie także się żenią.

Boże, potrafi być taka irytująca.

– I nie znaleźli nikogo bliżej?

Wzruszenie ramion.

– Skontaktowano się z Lawrence'em. Tyle tylko wiem.

Lawrence. To by wiele wyjaśniało. Najślabsze ogniwo w kwintecie smyczkowym, gra na wiolonczeli tak, jakby to było ukulele, ale tylko on ma znane nazwisko, więc uchodzi mu to płazem. To Lawrence załatwia im najwięcej występów, uroczystości organizowanych przez ludzi, którzy chcą powiedzieć, że grał dla nich syn Toma Carthy'ego – tak, tego Toma Carthy'ego.

Gra w kwintecie nie przynosi kokosów. Mimo relacji z Tomem Carthym – gwiazdą jednego przeboju, o ile ktoś miałby odwagę, aby to przyznać – grupie udaje się zagrać dwa albo najwyżej trzy

razy w miesiącu, a honorarium po rozbiciu go na pięć osób trudno uznać za imponujące. Ono oraz ta żałosna pensyjka z teatru wystarczają Chloë akurat na książki i kosmetyki. Dobrze, że Charlie zarabia tyle, że starcza dla obojga.

– Cóż, mam nadzieję, że zwrócą wam za podróż.

– Załatwili nam nawet nocleg w hotelu.

– Zostajecie na noc?

Kolejne miażdżące spojrzenie.

– Nie będziemy przecież jechać taki kawał drogi.

Czyli jednak spędzą noc osobno.

– Kiedy to będzie?

– W czwartek.

Może sprawdzi, czy któryś z jego kolegów jest wtedy wolny. Fajnie by było spędzić wieczór na mieście w towarzystwie kogoś ze swojego pokolenia. Mogliby wybrać się na curry, a potem kilka drinków.

– Co się z tobą dzieje? – pyta. – Zła jesteś na mnie? Zrobiłem coś nie tak?

Chloë wzrusza ramionami.

– Nic się nie dzieje. Po prostu nie lubię, jak bierze się mnie w krzyżowy ogień pytań.

– Co takiego?

– Wypytyujesz mnie o ten występ. To przecież moja praca.

– Ja cię wypytuję? Jedynie pytałem. Nie wolno mi już nawet pytać?

– Och, odpuść – mówi ze znużeniem. – Odpuść, Charlie.

– W porządku.

Nie wygra, wie to z doświadczenia. Opuszcza szybko. Chwilę później ponownie ją unosi, nie mając ochoty wdychać spalin. Samochody przejeżdżają kilka metrów, po czym znowu się zatrzymują. W aucie przed nimi, tym, które się wpełchnęło, na tylnym siedzeniu klęczy cztero-, może pięcioletni chłopiec z krótko obciętymi włosami i mierzy Charliego wyzywającym spojrzeniem. Charlie również patrzy na niego, zachowując kamienną twarz. Nie jest teraz w nastroju na uśmiechy, o nie. Czy dziecko w tym wieku nie powinno siedzieć w foteliku albo przynajmniej mieć zapięte pasy?

Chłopiec nagle pokazuje język: a to paskuda. Bez namysłu Charlie robi to samo. Dziecko rozciąga szeroko usta, nie przestając pokazywać języka, i mruży oczy. Charlie ponownie je naśladuje.

Chloë pociąga nosem.

– Głupota – burczy.

Trudno ocenić, czy ma na myśli zachowanie jego czy tego chłopca.

– On zaczął. Gówniarz mały.

– Charlie.

– No co? Jest przecież gówniarzem. Możemy ściszyć muzykę?

Chloë nieco ją ścisza, ale nie na tyle, aby robiło to jakąś różnicę. Samochody nadal stoją – ile jeszcze minie czasu, nim uda im się wyjechać z miasta? W aucie przed nimi chłopiec robi bardziej groźną minę, obnażając zęby. Raz jeszcze Charlie robi to samo, odczuwając coś w rodzaju zjadliwego zadowolenia.

– Przestań, Charlie. Przestraszysz go.

– Przestraszę? Chyba żartujesz. Ten mały to zawodowiec.

Twarcz Charliego przybiera jeszcze bardziej złowrogi wyraz, do tego unosi rękę zaciśniętą w pięść i nią potrząsa. Chłopiec odwraca głowę – zdaje się mówić coś do kogoś siedzącego z przodu – a chwilę później drzwi kierowcy otwierają się. Z samochodu wysiada mężczyzna o wyglądzie mięśniaka i rusza w ich stronę.

O co mu chodzi? Charliemu nieco szybciej bije serce. Zaciska dłoń na kierownicy. Na widok drugiego kierowcy wszystko się w nim spina.

– Oho – burczy Chloë. – Nadchodzi tatko. Narobiłeś sobie kłopotów.

Mężczyzna sięga do drzwi. W ułamku sekundy Charlie wciska guzik blokujący zamek. Z rosnącym niedowierzaniem obserwuje, jak nieznajomy szarpie za klamkę, a twarz wykrzywia mu

gniew. Czy to naprawdę się dzieje w środku dnia, w otoczeniu świadków, z powodu kilku zabawnych min? Chryste przenajświętszy.

– Charlie – jęczy Chloë. Głos ma zmieniony. – Zrób coś!

Posyła jej gniewne spojrzenie.

– Zrób coś? A co sugerujesz?

– Nie wiem, powstrzymaj go!

Mężczyzna zaczyna walić pięścią w szybę od strony Charliego. Chloë wydaje cichy okrzyk przerażenia, w tle zaś zawodzi piosenkarz narkoman.

– Wysiadaj, skurwielu! – krzyczy mężczyzna. – Wysiadaj, cioto!

Przy każdym walnięciu samochód się kołysze.

– Charlie! – woła Chloë, ale tym razem ją ignoruje.

W ustach ma sucho, zimno mu w twarz ze strachu, knykie pobielają od zaciskania dłoni na kierownicy. Nagle ma problem z oddychaniem i z braku powietrza zaczyna mu się kręcić w głowie. I modli się, aby powstrzymać parcie na pęcherz.

Przemoc na małym czy dużym ekranie nigdy nie robiła na nim wrażenia. Może oglądać różnego rodzaju akty przemocy, ale to akurat jest coś innego. Coś osobistego i przerażającego. Ten człowiek jest niski, lecz dobrze zbudowany, a pokryte piegami ręce ma grube niczym pnie. Bez problemu znokautowałby Charliego kilkoma dobrze wymierzonymi ciosami.

Jego atak na samochód staje się coraz bardziej szaleńczy.

– Wysiadaj! – krzyczy, z całą siłą waląc w szybę.

Chloë kwili cicho, podciągając kolana pod brodę.

Charlie zerka szybko przez szybę od strony pasażera. Na sąsiednim pasie samochody także stoją, więc nie da się uciec od tego szaleńca. Jest mgliście świadomy gapiących się na nich pasażerów pobliskich aut, uradowanych tym, że coś przerywa monotonię korków. Później opowiedzą o tym kumplom w pubie albo podczas kolacji. Ktoś pewnie nagrywa filmik, który później wrzuci na Facebooka. Czy komuś w ogóle przyszło do głowy, aby zadzwonić po pomoc?

Telefon. Obszukuje kieszenie – gdzie on jest? Pewnie w marynarce, która powędrowała do bagażnika. Chloë siedzi sztywno na swoim fotelu, błada, ze spojrzeniem wbitym w napastnika.

– Twój telefon – warczy Charlie i wyłącza tę beznadziejną muzykę. – Gdzie go masz?

Nie reaguje, jakby w ogóle go nie usłyszała.

– Telefon! – woła. – Dzwon na policję, ale już, Chloë!

Ich prześladowca zmienia taktykę i też obiema pięściami wali w dach. Twarz ma wykrzywioną wściekłością.

– Wysiadaj! – ryczy. – Wysiadaj, kutasie!

Odgłos uderzanego metalu okazuje się potwornie dudniący. Chloë wciska twarz w kolana.

– O Boże, o Boże, o Boże – jęczy. – Niech on przestanie, niech przestanie.

To się nie dzieje naprawdę. To absurdalne, nedorzeczne. Dlaczego nikt nie reaguje?

– Dzwon na policję! – woła ponownie Charlie, lecz ona nadal nie reaguje. Odpina pasy i nachyla się do jej torby, która stoi między fotelami. Wciska ją Chloë. – Znajdź ten cholerny telefon! – wrzeszczy. – Teraz! Zrób to!

Kiedy nie wykonuje żadnego ruchu, aby ją wziąć, siedząc ze wzrokiem przyklejonym do mężczyzny na zewnątrz, Charlie klnie głośno, po czym odwraca torbę do góry nogami i wysypuje zawartość. Szuka na podłodze, między tubkami, chusteczkami, portfelem i długopisem, przy wtórze nieustępliwego walenia w dach. Gdzie on, u licha, jest?

Nigdzie. Nie znajduje telefonu. Prostuje się – serce wali mu jak młotem, krew dudni w uszach. Co teraz? Odwraca głowę i napotyka wściekłe spojrzenie napastnika. Tak nie może dłużej być, musi coś zrobić. Przez ułamek sekundy wciska guzik opuszczający szybę.

– Nie! – krzyczy Chloë, w końcu reagując.

Charlie ją ignoruje i opuszcza szybę o dwa, może trzy centymetry.

Mężczyzna natychmiast wsuwa palce w szparę, próbując bardziej opuścić szybę. Za obgryzionymi paznokciami widać brud.

– Ty tchórze! – wrzeszczy. – Robiący miny do dziecka! Próbujący wystraszyć mi chłopaka!

Kropla śliny ląduje na wardze Charliego – ściera ją.

– Na litość boską – odpowiada, na tyle spokojnie, na ile jest w stanie. – Pan przesadza. – Słyszysz, jak jego zbyt wysoki głos przedstawiciela klasy średniej wypowiada słowa typowe dla klasy średniej. – To była tylko zabawa. Pański syn wcale się nie przestraszył, to on zaczął.

Ale mężczyzna nie słucha. Nie przestaje napierać na szybę i stękając, opiera się na niej całym swoim ciężarem, próbując ją opuścić – dobry Jezu, jeśli uda mu się włożyć do środka pięść, będzie po Charliem.

– Wsiadaj! – ryczy i kopie w samochód.

Chloë wydaje z siebie kolejny przerażony krzyk.

Ile trwa ten koszmar? Dla Charliego całą wieczność. Ktoś musiał zadzwonić po pomoc, na pewno to zrobił.

– Proszę przestać! – woła. – Proszę przestać!

Ścisza go boleśnie w żołądku, a usta ma tak sztywne ze strachu, że ledwie jest w stanie uformować słowa. Kątem oka dostrzega dziecko, od którego się wszystko zaczęło: obserwuje tę scenę z otwartymi ustami i pustym wzrokiem.

Sznur samochodów na sąsiednim pasie nieco się przesuwa, w końcu zaczyna się poruszać w wolnym tempie. Gdzieś za Charliem słychać klakson. Rozgniewany mężczyzna odwraca się i piorunuje winowajcę wzrokiem. Dźwięk się nie powtarza. Charlie wciska guzik unoszący szybę, tylko odrobinę, przycinając mężczyźnie palce.

– Aaa!

Wyrywa je, na nowo rozwścieczony. Samochód się trzęsie, gdy ciało mężczyzny napiera na niego raz za razem, na co Chloë reaguje piskliwym krzykiem, który sprawia, że Charlie ma ochotę zacisnąć dłonie na jej szyi.

Nagle za nimi rozlega się ryk klaksonów – tym razem więcej kierowców wyraża swoje zniecierpliwienie. Może próbują w ten sposób wyrzucić presję na tym opryszku, zmusić go, aby dał Charliemu spokój. Czuje, jak krew uderza mu do głowy, jak w żyłach krąży adrenalina.

– Do kurwy nędzy! – wrzeszczy przez niewielką szparę w szybie. – Odpierdol się i daj nam spokój!

Przyciska dłonią własny klakson i nie puszcza, chcąc mieć swój wkład w tę kakofonię.

W samochodzie przed nimi otwierają się drzwi od strony pasażera i wyłania się kobieta o surowych rysach twarzy.

– Wsiadaj! – woła. – Wsiadaj, odpuść sobie!

Mężczyzna po raz ostatni wali w szybę, po czym odchodzi w stronę swojego samochodu. Charlie obserwuje to, ledwie śmiać mieć nadzieję. To tyle? Czy to rzeczywiście koniec? Drżącą dłonią unosi do końca szybę.

Klaksony za nim nie przestają dudnić, fałszywie brzmiący chór tonów i rytmów. Ku bezbrzeżnej uldze Charliego agresor wsiada do samochodu i zatraskuje drzwi, a chwilę później rusza, samemu także wciskając klakson. Chłopiec na tylnym siedzeniu pokazuje Charliemu środkowy palec i szczyrzy się z zadowoleniem. Rośnie kolejny oprych.

Charlie rozwiera dłonie – są mokre od potu. Wyciera je w dzinsy. Pod pachami jest równie mocno spocony; koszula lepi mu się nieprzyjemnie do pleców. Bierze drżący oddech, po czym wypuszcza powietrze. Powtarza ten proces, ignorując buczenie klaksonów.

Otarłszy rękawem czoło odwraca się w stronę Chloë, która nadal siedzi zwinięta w kulkę i z pochyloną głową.

– Okej? – pyta, a usta ma sztywne z napięcia.

Zero odpowiedzi, zero reakcji.

Trzęsą mu się nogi, kiedy dodaje gazu i zwalnia sprzęgło. Zjeżdża na pobocze i gasi silnik, pozwalając, aby sznur samochodów przesuwał się bez niego.

Sięga po rękę Chloë. Ta odsuwa się od niego.

– Hej – mówi. – Daj spokój. Jestem po twojej stronie, pamiętasz?

Nadal nic. Schyla się, podnosi torbę i wkłada do niej wysypaną zawartość. Chloë znowu się od niego odsuwa, kiedy podaje jej torbę, dlatego odstawia ją z powrotem między fotele.

Otwiera drzwi i ostrożnie wysiada z auta, modląc się, aby nie ugięły się pod nim nogi. Samochody suną powoli, a świadkowie ataku są już daleko. Nikt się nie zatrzymał. Nikt nie wysiadł po tym, jak napastnik odjechał, aby sprawdzić, czy nic im się nie stało. Z pewnością dziękowali swoim szczęśliwym gwiazdom, że to Charlie znalazł się na linii ognia, a nie oni.

Ogląda samochód. Kilka sporych wgnieceń na drzwiach od kopniaków, mniejsze wgniecenia na dachu od siły pięści. W trakcie ataku Charliemu nawet nie przyszło do głowy, aby spojrzeć na rejestrację. Próbuje sobie teraz przypomnieć choćby markę czy kolor tego drugiego auta, przekonuje się jednak, że w głowie ma pustkę. I szczerze wątpi, aby Chloë także cokolwiek zapamiętała. Co nie znaczy, aby się tym przejmował; w tej chwili chce po prostu o tym wszystkim zapomnieć.

Przechodzi powoli na tył samochodu i opiera się ciężko o maskę. Raz za razem wypełnia płuca powietrzem. Słabo mu, czuje się tak bardzo wyczerpany fizycznie tym incydentem, jakby właśnie przebiegł maraton. Pojawiło się to nie wiadomo skąd – bez ostrzeżenia zostali obłączeni. Tak szybko się to wszystko działo.

Kiedy czuje już nieco większe opanowanie, zaczyna chodzić to w jedną, to w drugą stronę. Odklejając sobie od pleców koszulę, czuje kwaśną woń potu. Próbuje zebrać myśli, próbuje otrząsnąć się z pozostałości lepiącego się do niego strachu. Pewnie pomogłaby mała brandy: gdy wyjadą za miasto, mogliby zajechać do jakiegoś pubu. I tak późno się zjawią w Land's End i dodatkowe dziesięć minut nie zrobi większej różnicy. Szkoda, że zważywszy na brak zasięgu w domu, nie może dać Lily znać.

Chloë pozostaje skulona na swoim miejscu. Charlie widzi przez szybę jej spuszczoną głowę, boleśnie bezbronną linię szyi. Nie powinien był na nią krzyczeć, bez względu na to, pod jaką znajdował się presją. Była potwornie przerażona i nie potrafiła mu pomóc. Przypomina mu się ich zjadliwa wymiana zdań tuż przed atakiem – to pewnie także nie pomogło. Brandy robi dobrze też i jej.

Biegnie myślami do Land's End. Wyobraża sobie, jak siedzi na werandzie ze szklanką czegoś dobrego, obserwując zapadający zmrok. Obraz ten wypełnia go nową siłą. Za dwie godziny będą tam, zostawiwszy za sobą to, co się właśnie wydarzyło.

Wraca do samochodu. Ogląda ślady pozostawione przez palce tamtego człowieka. Opuszcza szybę do połowy i wyciera je ścierką, której używa do przecierania przedniej szyby. Szoruje zawzięcie po obu stronach szyby, aż znikają wszystkie ślady.

Chowa szmatkę i odwraca się w stronę Chloë.

– Przepraszam, że nakrzyczałem na ciebie – mówi, ale ona nadal milczy, nie podnosząc głowy. – Chloë, nie myślałem jasno. Spanikowałem; nie wiedziałem, co mówię. Myślałem, że ten człowiek zrobi mi krzywdę. Zrobiliby, gdyby tylko mnie dorwał, i tobie może także. Przepraszam, że wyżyłem się na tobie, naprawdę tego nie chciałem.

Nadal cisza. Nie zasługuje na to.

Przejdzie je. Musi dać jej po prostu trochę czasu.

Siedzą. Mija minuta, dwie minuty. Czy to możliwe, że jest dopiero za dwadzieścia szósta? Wydaje się, jakby od ich wyjazdu minęło kilka godzin. Milczą, bez muzyki, a tymczasem weekendowy sznur samochodów mija ich obojętnie.

W końcu przekręca kluczyk w stacyjce, daje kierunkowskaz i włącza się do ruchu.

Chloë unosi głowę.

– Dokąd jedziemy? – Wypowiada te słowa tak cicho, że Charlie ledwo je słyszy.

Zerka na nią: nadal strasznie blada i wyglądająca na przerażoną. Przywołuje na twarz wymuszony uśmiech.

– Jak to: dokąd jedziemy? – Kładzie jej dłoń na ramieniu. – Do Land's End, a gdzieżby indziej?

Wrywa mu ramię. Wzrok ma dziki.

– Co? Nie! – Głos ma nagle wysoki i drżący. – Nie mogę, nie chcę! Chcę do domu! Musisz mnie zawieźć do domu!

– Chloë...

– Nie! – Szamocze się z pasami. – Nie, nie mogę jechać... nie możesz... zatrzymaj samochód!

Zatrzymaj się! – Pasy ustępują z kliknięciem; ona odwraca się i chwyta za klamkę.

– Chloë, co ty robisz?

Chwyta ją jedną ręką, a drugą skręca na pobocze i gwałtownie hamuje, przez co zostaje otrąbiony przez innego kierowcę.

– Co się dzieje? – Przytrzymuje ją; ona się rzuca, ale Charlie nie ustępuje. – Chloë, zatrzymałem się, zobacz, stoimy. Już po wszystkim, Chloë. Jego już nie ma. Nic się nam nie stało, nie zrobił nam krzywdy. – Próbuje mu się wyrwać i z zewnątrz z pewnością wyglądało to tak, jakby ją atakował. – Chloë, proszę, przestań, przestań. Już dobrze, nic ci się nie stanie. – Nie przestaje mówić, nie przestaje mieć nadziei, że jakimś cudem uda mu się ją uspokoić na tyle, aby zmieniła zdanie w kwestii wyjazdu.

Jadą tam. Muszą. On musi jechać, musi ją przekonać – ale najpierw Chloë musi się uspokoić.

W końcu przestaje z nim walczyć i zaczyna płakać.

– Nie chcę. Nie mogę – upiera się, pozwalając płynąć łzom. – Nie mogę, po prostu nie mogę... – Kręci energicznie głową. Najgorszy atak paniki minął, ale nie zmieniła zdania. – Zawieź mnie do domu – błaga. – Proszę, Charlie. Po prostu zawieź mnie do domu.

– Ale skarbie, właśnie czegoś takiego potrzebujemy. Musimy uciec od...

– Nie!

– Chloë, wszystko jest spakowane, jesteśmy umówieni, a morskie powietrze...

– Nie!

Znowu zaczyna się rzucać, a zrozpaczony Charlie widzi, że musi jej ustąpić. Nie będzie wyjazdu. Donikąd nie pojedą. No bo jak, skoro tak bardzo jest temu przeciwna?

– Okej – mówi. – Zawiozę cię do domu. – Chloë natychmiast rozluźnia się w jego ramionach. – Pojedziemy do domu, jeśli tego właśnie chcesz.

Przez tego drania i jego bachora stracił ostatnią szansę na wyjazd do Land's End. Zawraca, a Chloë siedzi spokojnie, osuszając mokre policzki wyjętą z torby chusteczką.

Musi dać znać Lily, aby na nich nie czekała – ale jak? Będzie musiał nagrać wiadomość głosową i mieć nadzieję, że w końcu ją odsłucha. Kiedy nie przyjadą, z pewnością będzie próbowała się do niego dodzwonić, aczkolwiek będzie to wymagało wyjazdu do wsi – ale powinien zadać sobie trud i pierwszy podjąć próbę skontaktowania się.

Co sobie pomyśli, kiedy się dowie, że jednak nie przyjadą? Wyobraża sobie, że ona dla odmiany będzie zadowolona. Och, a jakie znaczenie ma to, co będzie myśleć Lily? Liczy się to, że on nie przyjedzie.

Nie może winić Chloë. Doznała szoku, a krzyki i przekleństwa Charliego dołały oliwy do ognia. Musi zachować cierpliwość, nie może wyzwalać w niej poczucia winy.

W drodze do domu staje się świadomy wilczego głodu.

– Masz ochotę zatrzymać się na jakieś jedzenie? – pyta, ona jednak kręci głową.

Próbuje sobie przypomnieć, czy mają coś w lodówce... zaraz, przecież w bagażniku czekają steki kupione z myślą o Land's End.

Myśli o dobrze przyprawionym mięsie skwierczącym na rozgrzanym maśle, mięknięcej obok niego cebulce, butelce Bordeaux, które otworzy do kolacji, i lodach na deser.

Nie pomaga. Nic nie pomaga. Liczy się tylko to, że weekend został zepsuty i że być może nigdy więcej nie zobaczy Land's End.

Jedzie, tyle że nie w tę stronę, co trzeba.

LILY

Odczekali dwadzieścia minut, potem kolejnych dziesięć i jeszcze dziesięć. Lily wyłożyła na talerze pięć porcji łososia i dwie schowała do lodówki.

Starła się nie okazywać irytacji. Nie dość, że Chloë wprosiła się na ostatnią chwilę, to jeszcze teraz kazali na siebie czekać. Charlie wiedział, że kolacja jest o siódmej, więc powinien się przynajmniej postarać przyjechać punktualnie.

We troje zjedli łososia z sałatką, na deser zaś szarlotkę. W tym czasie niebo za oknem przybrało granatowy odcień. Kąpiel w morzu dobrze zrobiła Poll: wróciła uśmiechnięta i ożywiona, nawet jeśli wyglądała na porządnie zmarzniętą. Wzięła prysznic, przebrała się i zeszła na dół, a potem przez całą kolację buzia jej się nie zamykała. Widać było, że maksymalnie wykorzystuje czas bez gości.

Wpół do dziewiątej. Dziewiąta. Wpół do dziesiątej. Do tego czasu naczynia były już pozmywane, Joe rozpałił ogień w kominku, a Poll rozłożyła na stoliku planszę do gry w Monopoly. Zamiast jednak usiąść do gry, czekali przed telewizorem na odgłos samochodowych kół na żwirowym podjeździe – na próżno.

A teraz jest za kwadrans dziesiąta i Lily w końcu wstaje z kanapy.

– Pojadę do wsi – postanawia. – Będę musiała zadzwonić do niego i sprawdzić, co ich opóźnia.

– Pojadę z tobą.

Joe także wstaje, ale ona mu mówi, że nie trzeba, że niedługo wróci.

– Jeśli nie wrócę do dziesiątej... – Urywa, nie mając pewności, w jaki sposób dokończyć to zdanie.

Jeśli nie wróci do dziesiątej, to będzie oznaczać, że coś im się stało. To będzie oznaczać, że musi zostać tam, gdzie można korzystać z telefonu, gdzie Lily może zrobić to, co trzeba, móc się kontaktować i być dostępną pod telefonem. Niepotrzebnie po wyprowadzce mamy tak szybko odłączyli telefon stacjonarny.

– Niedługo wrócę – powtarza, świadoma malującego się na twarzy Poll niepokoju. – Na pewno utknęli w korku.

Ale nawet weekendowe korki aż tak by ich nie opóźniły. Przez całą drogę do wsi powtarza sobie, że w przyjeździe przeszkodziło im coś mało znaczącego, jakiś drobiazg, i że żadnemu z nich nie stało się nic złego.

Zdarza jej się słyszeć, że dobrze się sprawdza w sytuacjach kryzysowych. Nie zawsze jest to komplement, bo to może oznaczać brak uczuć, może oznaczać to, że w przeciwieństwie do innych nie daje się ponieść emocjom.

Nie płakała, odkąd mama umarła, ani razu. Co za osoba nie płacze, kiedy traci matkę? Poll na pogrzebie szlochała – wyprodukowała wystarczająco łez za nich wszystkich – za to Lily przez całą ceremonię miała suche oczy. Co to o niej mówi?

Gdy Lily dojeżdża do wsi, jej telefon wydaje z siebie serię piknięć. Wraca do życia, przypomina o świecie poza Land's End. Zajeżdża pod supermarket i gasi silnik. Wyjmuje telefon z torby i kładzie go na kolanach, nagle bojąc się sprawdzić, co na nią czeka. A jeśli coś im się jednak stało? A jeśli mieli wypadek?

A jeśli Charlie nie żyje?

Och, na litość boską. Mrużąc w półmroku oczy, zerka na wyświetlacz. Jedno nieodebrane połączenie i wiadomość głosowa. To numer Charliego. Czyli żyje, skoro mógł jej zostawić wiadomość. Zakładając oczywiście, że to on ją nagrał. Mogła to zrobić Chloë – skorzystać z jego telefonu, dlatego że w swoim nie ma numeru Lily.

To nie Chloë.

Bardzo cię przepraszam, że muszę odwołać w ostatniej chwili nasz przyjazd, ale coś nam wypadło i nie damy rady. Nie chcę się teraz wdawać w szczegóły, ale zadzwonię do ciebie we wtorek. Miłego weekendu.

Kasuje wiadomość, po czym unosi rękę, odpowiadając na powitanie mijającego samochód

mężczyzny. Chyba jeden z McGinnów, aczkolwiek lepiej zna to starsze pokolenie, jego ojca i ciotki.

„Coś nam wypadło”. Co mogło wypaść w czasie, jaki upłynął od ich ostatniej rozmowy? Zaledwie kilka godzin temu mówił o stekach. Twierdził, że nie może się doczekać, kiedy znowu zobaczy Land's End.

Pokłócił się z Chloë. Szybko jednak Lily odsuwa od siebie tę myśl. Gdyby rzeczywiście się pokłócili, przyjechałby sam, tak jak to wcześniej planował.

W takim razie coś się stało matce Chloë. Albo jakaś sytuacja awaryjna na uczelni, aczkolwiek nie przychodzi jej do głowy nic na tyle naglącego, aby nie mogło poczekać do końca weekendu. Może zepsuł mu się samochód – ale nie, coś by na ten temat wspomniał.

Odpuszcza sobie zastanawianie się nad powodami i zamiast tego skupia się na konsekwencjach. Oczywiście nieobecność Chloë to plus, ale Charliego chętnie by ugościła, choćby z powodu Poll. Mieliby szansę na ponowne nawiązanie kontaktu bez obecności Chloë.

No i nie będzie steków na jutrzejszą kolację. A tak się cieszyła, że ktoś zaserwuje jej porządną porcję mięsa.

Ale ogólnie to dobra wiadomość.

Powinna potwierdzić odsłuchanie wiadomości, dać mu znać, że ją odebrała. Zamiast tego z przekornym uczuciem satysfakcji chowa telefon do torby. Niech się Charlie trochę pozastanawia. Zawraca i z irytacją mieszącą się z ulgą kieruje się w stronę domu.

W czasie drogi zastanawia się, co o Land's End pomyślałaby sobie Chloë. Przypuszczalnie uznałaby dom za stary i podniszczony, i taka jest przecież prawda. Ale Charlie zawsze go kochał. Oczami wyobraźni Lily widzi, jak w tym właśnie miejscu opuszcza szybę na początku każdego wakacji.

– Poczujcie morze! – nakazywał dzieciom. – Poczujcie Ocean Atlantycki! Jesteśmy prawie na miejscu!

Wszystkie te rodzinne tradycje, wszystkie wspólne wspomnienia zostały odsunięte na bok, kiedy jej powiedział, że to koniec – i choć sama miała problem z pogodzeniem się z tym, to ona musiała przekazać mamie wieści o rozstaniu.

Trzeba przyznać, że jej matka powiedziała bez ogródek, co o tym myśli.

– Oboje jesteście za starzy na takie bzdury. Co, u licha, do tego doprowadziło?

Miłość, a raczej utrata miłości, brak miłości. Oczywiście Lily nie powiedziała tego na głos, bo wtedy jej praktyczna matka wzniosłaby oczy ku niebu. Ona i mama były ulepione z tej samej gliny. Dobre w czasie kryzysu, kiepskie w żonglowaniu emocjami.

Jest już prawie pod domem, kiedy coś sobie uświadamia: Charliego nie będzie tu jutro, kiedy podzieli się swoją wiadomością. Co nie znaczy, aby miało to jakieś wielkie znaczenie, bo przecież na tym etapie jego relacja z Land's End była już mocno nadwyreżona. Mimo wszystko po powrocie do miasta da mu znać – czuła, że ma prawo wiedzieć, co Lily planuje zrobić z tym miejscem.

– Nie przyjadą – informuje pozostałą dwójkę i na ich twarzach dostrzega uczucie ulgi.

Podczas tych rzadkich okazji, kiedy się spotykają, Charlie i Joe dobrze się dogadują, lecz myśl o spędzeniu całego długiego weekendu pod tym samym dachem, co eks Lily, przypuszczalnie nie napawała Joego radością.

Otwierają czerwone wino. Nienajgorsze jak na niecałe osiem euro – jak sobie radzili, zanim na rynek weszły Lidl i Aldi, wypychając Tesco i pozostałe markety? Przez godzinę grają w Monopoly, po czym Lily wycofuje się, rozdzielając swoje nieruchomości między Joego i Poll.

– Czy mi się zamykają – wyjaśnia, co niemal jest prawdą.

Poza tym ma ochotę pobyć sama. Z jakiegoś powodu czuje w tej chwili taką potrzebę.

– Niedługo przyjdę – obiecuje Joe.

– Nie spiesz się.

Na górze szybko się rozbiera i wsuwa pod przywiezioną z miasta pościel. Przy każdym ruchu łóżko głośno trzeszczy. Materac jest bardziej miękki niż ten w domu, z wgłębieniem na środku.

Łóżko, na którym pięćdziesiąt dwa lata temu przyszła na świat. Może nawet na tym materacu. Nadal nie ma pewności, co czuje w związku ze spaniem tutaj, w pokoju, który zawsze utożsamiała z mamą. Próbuje sobie przypomnieć, o co Poll pytała ją w samochodzie – coś o tym, gdzie według niej

trafiła jej matka. Lily zbyła ją wtedy czymś ogólnikowym.

– Gdzie jesteś? – pyta teraz, lecz z ciemności nie dochodzi żadna odpowiedź. Jakżeby inaczej.

Butelka z gorącą wodą, którą napełniła przed kolacją, zdążyła już zrobić się letnia, ale Lily nie chce się wstawiać, by napełnić ją jeszcze raz. Z podciągniętymi pod brodę kolanami i zamkniętymi oczami nasłuchuje dobiegającego zza okna cichego pohukiwania.

Jako dziecko strasznie bała się tego dźwięku. Nawet gdy już wiedziała, że to tylko niegroźna pieśń sowy – sowy uszatej, tak mówił ojciec, przypuszczalnie mającej swoje gniazdo w zagajniku na końcu ogrodu – i tak przywoływało to obraz zakapturzonego mężczyzny idącego powoli przez trawnik, a potem zatrzymującego się pod jej oknem.

Wsuwa rękę pod drugą poduszkę i znajduje jedną z piżam Joego. Zawsze je zakłada, lato czy zima. Charlie sypia – sypiał – w bokserkach i T-shircie, nigdy w piżamie. Lily zastanawia się czasami, czy celowo próbowała znaleźć kogo, kto stanowi zupełne jego przeciwieństwo. Czy to podświadomość pchnęła ją w ramiona zapewniającego jej bezpieczeństwo Joego?

Joe jest bezpieczny. Nic w tym złego, bezpieczeństwo jest dobre. Jest godny zaufania i można na nim polegać, no i kocha ją, a jej dzieci go akceptują.

To będzie drugi ślub dla obojga – pierwsza żona Joego zginęła w wypadku samochodowym sześć lat przed tym, jak poznał Lily. Nie mieli dzieci, choć byli małżeństwem z ponad dwudziestoletnim stażem. Nie wyjaśnił powodów, a ona nie pytała.

Mijają minuty. Sowa ucichła, pewnie pofrunęła polować gdzieś dalej. Kilka skrzypnięć, kilka trzasków, odgłosy pracującego budynku, dźwięki, które nie budzą w niej lęku.

Wyobraża sobie, jak mama krząta się wieczorami po tym pokoju, kremując sobie twarz, przebierając się koszulę nocną. Ustawiając budzik na wpół do siódmej, dzięki czemu miała czas na to, aby przed przebudzeniem się gości pensjonatu upiec chleb i kiełbaski.

W końcu powieki stają się cięższe i przychodzi sen.

POLL

Nie może zasnąć. Leży na boku, twarzą do okna. Nie zaciągnęła zasłon – no bo jak mogłaby odgrodzić się od gwiazd? Pamięta, że jako dziecko zawsze zachwycała się nocnym niebem w Land's End, że niezliczona liczba jarzących się punkcików była dla niej czymś magicznym. Dopóki nie dowiedziała się, że jest inaczej, zakładała, że gwiazdy świecą tylko tutaj – w mieście jakoś nigdy nie była ich świadoma – no i wierzyła, że kiedy o zmierzchu słońce chowa się za horyzontem, to zanurza się powoli w oceanie.

Nadal kocha tutejsze niebo nocą, nadal nie znosi odgradzać się od niego zasłonami.

Włosy pachną jej morzem. Podczas prysznicu po pływaniu szybko je splukała, nie użyła jednak szamponu, nie chcąc całkowicie usunąć tej woni. Strój kąpielowy wisi samotnie na sznurku w ogrodzie za domem. Jutro znowu będzie pływać, a jeśli Thomas zjawi się o odpowiedniej porze przed kolacją, zabierze go ze sobą. Poll cieszy się, że tata tak wcześnie nauczył ich pływać; jeśli będzie miała kiedyś dzieci, zrobi to samo.

Przekręca się na drugi bok. To miejsce wyzwała tak wiele wspomnień. Szczęśliwych i smutnych, sprzed wielu lat i całkiem niedawnych.

Przypomina jej się, jak Thomas każdego lata zbierał muszelki, zafascynowany ich kształtami i kolorami. Oczami wyobraźni widzi, jak szoruje każdą z nich starą szczoteczką do zębów w misce, do której babcia nalewa gorącą wodę, a potem osusza je ostrożnie ręcznikiem, by w końcu ułożyć na parapecie w ich pokoju. Wraz z końcem wakacji zawsze odnosił je na plażę, tam, gdzie było ich miejsce.

Noc jest chłodna i Poll podciąga kołdrę nieco wyżej. Po tym, jak ona i Thomas przestali jeździć na rodzinne wakacje, ten pokój stał się sypialnią rodziców. Oni nadal przyjeżdżali tu co lato, nadal spędzali miesiąc z babcią. Nierozłączna para, jak Flip i Flap – dopóki nie zabrali jej i Thomasa na kolację i nie oświadczyli, że się rozstają, zaledwie kilka miesięcy po tym, jak Poll zorganizowała dla nich przyjęcie niespodziankę z okazji srebrnych godów.

A teraz mama śpi w sąsiednim pokoju z Joem, a tata...

Przynajmniej Chloë nie przyjeżdża. Ależ poczuła ulgę, kiedy mama przekazała tę wiadomość. Trochę jednak szkoda, że tata też się nie zjawi, sam, tak jak wcześniej planował.

Żałuje, że nie zabrała grubych skarpetek, bo ciepło w łóżku jest tylko tam, gdzie leży butelka z wodą. Tęskni za Aidanem, tęskni za jego ciepłem, tym, jak czasami w środku nocy wyciąga rękę, aby przyciągnąć ją bliżej siebie, nawet we śnie. Jeśli się rozstaną, tak właśnie będą wyglądały kolejne noce. To właśnie będzie ją czekać, jeśli nie stawi czoła dręczącym ją demonom.

I jeśli związek jej i Aidana się rozpadnie, będzie się musiała wyprowadzić z mieszkania – i wtedy co? Wróci do rodzinnego domu, który z mamą dzieli teraz Joe? A co z jej sztuką? Kto będzie sprzedawał jej głowy? Och, ich rozstanie narobiłoby tyle zamieszania, zarówno w jej sercu, jak i życiu.

Nie może do niego dojść. Poll nie może do tego dopuścić.

Odrzuca kołdrę, a razem z nią te myśli. Zakłada buty, z szafy wyjmuje zieloną marynarkę i narzuca ją na piżamę. Choć korytarz pogrążony jest w ciemności, bez problemu odnajduje drogę do schodów, po czym cicho schodzi na dół, przesuwając opuszkami palców po małych wybrzuszeniach na tapecie.

W salonie bierze poduszkę z fotela na biegunach. Cicho otwiera drzwi wejściowe, przechodzi przez werandę, po czym siada na górnym stopniu, gdzie ona i Thomas spędzili tyle letnich wieczorów. Obejmuje kolana i podnosi głowę – oto i księżyc, mały i cienki, C wyrwane z alfabetu i zawieszony na niebie. Przypominają jej się kubki z czekoladą.

Różowa pianka marshmallow dla Poll, biała dla Thomasa, unoszące się na hojnej porcji bitej śmietany. Nie piła gorącej czekolady od ponad dekady, nadal pamięta jednak niebiańską lepkość roztopiającej się pianki. W ciepłe letnie wieczory siadali tu we dwoje ze swoimi kubkami i obserwowali zachód słońca razem z rodzicami i babcią, a nawet gośćmi pensjonatu, którzy mieli ochotę do nich dołączyć.

Gdzieś nad nią pohukuje sowa. Zupełnie zapomniała o sowach, o tym, że zawsze stanowiły część

tutejszej wieczornej ścieżki dźwiękowej. Uwielbia tworzoną przez nie muzykę, tak delikatną i aksamitną. Przed laty te dźwięki kołysały ją do snu.

Skrzypnięcie za nią sprawia, że się odwraca, nic jednak nie dostrzega. Ciaśniej otula się marynarką. Nie boi się – tutaj nigdy nie czuje strachu. To tylko chłód przyprawia ją o drżenie, to tylko nocne powietrze sprawia, że przechodzi ją dreszcz.

Aidan jest teraz w łóżku i śpi pod wąską kołdrą z pokoju dla gości, bo przecież dużą zabrała ze sobą do Land's End. Wyobraża go sobie skulonego, okulary, książka i telefon na nocnej szafce. A może jeszcze nie śpi, tęskniąc za nią równie mocno, jak ona za nim.

– Bądź grzeczna – powiedział całując ją na pożegnanie. – Tylko mi nie ucieknij z jakimś rybakiem.

– Wokół Land's End więcej jest rolników niż rybaków – odparła.

Mnóstwo rolników, a okoliczne pola pełne upraw i zwierząt. Gerry Flaherty uprawiał pszenicę i jęczmień, nie hodował trzody, a jedynie kury – no i miał przed laty psa, prawda? Krzyżówkę owczarka collie z jakąś inną rasą, a może więcej niż jedną. Jak on się wabił?

Przywołuje z pamięci czarno-biały pysk, potężne ciało, komicznie długie uszy, zawsze poruszający się ogon – i razem z tym obrazem pojawia się imię: Clarence. Kichała, gdy tylko się do niej zbliżał, dlatego musiała zachowywać dystans. Pies truchtał sobie po podwórku, podczas gdy ona i Thomas gonili się nawzajem, albo drzemał w słońcu przy stogu siana. Był tam także kot, chudy rudzielec bez imienia, a przynajmniej Poll go nie znała. Większość czasu spędzał w kuchni Gerry'ego, wyciągnięty na starym kocu w kącie.

W kuchni była także matka Gerry'ego. Poll zupełnie o niej zapomniała, o tej kościstej, milczącej postaci w czerni, zawsze siedzącej na fotelu przy piecu, otulonej kocem. Podczas tych rzadkich okazji, kiedy ona i Thomas zawędrowali do kuchni, nie zwracała na nich żadnej uwagi. Zmarła, kiedy Poll była zbyt młoda, aby dobrze ją zapamiętać.

Ponownie przechodzi ją dreszcz. Wchodzi do domu, żeby kompletnie nie przemarznąć. W kuchni napełnia czajnik wodą i po cichu udaje się na górę po butelkę. Gdy czeka, aż woda się zagotuje, skubie resztki łososia z kolacji, mimo że kiedy ostatni raz odważyła się wejść na wagę okazało się, że jest półtora kilo na plusie. Thomas je jak koń i co? Skóra i kości. Poll wystarczy, że spojrzy na ciasto i już waży pół kilo więcej.

Kątem oka dostrzega jakiś ruch. Odwraca się i widzi, jak po płytkach przemyka maleńka myszka, po czym znika w szparze między kuchenką a ścianą – kolejny aspekt Land's End, o którym zdążyła zapomnieć.

– Zobacz, babciu – mówi cicho. – Nadal tu są.

Babcia przez wiele lat prowadziła wojnę z myszami, rozstawiając pułapki z serem, nasypując trutkę do pokrywek od słoików i kładąc je obok szpar, goniąc je z miotłą, gdy tylko jakaś udało jej się wypatrzeć. Raz pożyczyła w desperacji kota Gerry'ego Flaherty'ego, mimo że nie uznawała wpuszczania kotów do domu – zwłaszcza do kuchni – ale on był już wtedy za stary albo za leniwy. Obwąchał kąty, po czym zabrał się za mycie.

Nic nie działało. Babcia nigdy nie wygrała wojny z polnymi myszami.

Wróciwszy do łóżka, zdeterminowana Poll zamyka oczy. Zegar w kuchni powiedział, że jest dwadzieścia pięć po drugiej; nie pamięta, kiedy ostatni raz nie spała o tak późnej porze.

I nagle słyszy głos babci.

Nie posypuj pieprzem tych butów.

Czysto i wyraźnie. Siada na łóżku.

Słowa te nie mają sensu, ale głos brzmi dokładnie tak, jak go zapamiętała – jest głośny, głęboki i stanowczy. Głos babci, choć to przecież niemożliwe.

Nasłuchuje, lecz na próżno. Powoli znowu się kładzie.

Nie posypuj pieprzem tych butów. Zupełnie bez sensu, ale może tak miało być. Może to głos jest ważny, a nie wypowiedane przez niego słowa.

Za oknem pohukuje sowa. W końcu Poll zasypia.

SOBOTA, 29 KWIETNIA

THOMAS

Zanosi sok pomarańczowy do niewłaściwego stolika. Dwa razy serwuje kawę zamiast herbaty. Zupełnie zapomina o zamówionej jajecznicy.

Przeprasza, przeprasza i przeprasza. Nie myśli jasno. Przez całą noc, choć próbował się od nich odganiać, głowę miał pełną myśli o Chloë.

– Nareszcie spokój – mówi Freda, kiedy minęła pora śniadania i kafejka opustoszała.

Thomas przygotowuje tacki ze sztucami na lunch. Freda sprawia dzisiaj wrażenie przygaszonej, zupełnie jak nie ona. Może zirytowały ją te jego pomyłki.

– Przepraszam, jestem dzisiaj trochę... rozstrojony.

– Właśnie widzę. – Ale w jej głosie nie słyhać złości. – Nic się nie przejmuj. – Ustawia czyste kubki obok ekspresu do kawy.

Thomas zawija w serwetki widelce i łyżeczki do deserów.

– Upięknem wczoraj ten pudding.

– I jak wyszedł?

– Myślę, że dobrze.

– To świetnie. – Uśmiech ma wymuszony. – Na pewno będzie wszystkim smakował.

– Mam taką nadzieję.

Wygląda przez okno na padający od rana deszcz. Za kilka godzin będzie w drodze do Land's End. Zastanawia się, jak się potoczy ten weekend, jak uda mu się spędzić dwa dni i dwie noce w towarzystwie ojca.

Nie licząc dylematu związanego z jego uczuciami względem Chloë, Thomasa coś gryzie, coś się dobija do świadomości. Gdy umieszcza na tacy ostatnie sztuczce, drzwi się otwierają i wchodzi nowi klienci.

I przez kilka kolejnych godzin, kiedy serwuje kawę, nalewa do misek zupę, kasuje należność i sprząta stoliki, nie daje mu spokoju myśl, że o czymś zapomniał.

CHARLIE

Przez cały wieczór dąsała się, karząc go za to, że ośmielił się podnieść na nią głos.

– Krzyczałaś na mnie. Przeklinałaś.

Jakby to miało największe znaczenie, jakby fakt, że jego samochód był w tym czasie atakowany przez rozwścieczonego opryska i że jemu, Charliemu, groziło realne niebezpieczeństwo, w ogóle się nie liczył.

Czuł się wyjątkowo pokrzywdzony. Dla niej wyrzekł się swojego weekendu i oto, co otrzymał w zamian. Zrezygnował z wyjazdu, którego wyczekiwał z taką radością, a ona skupiała się tylko na kilku przekleństwach.

– Byłem pod presją. Sądziłem, że ciebie także może zaatakować.

– Niby dlaczego? Ja nic mu nie zrobiłam.

– Nie szkodzi. Ten idiota był tak wściekły, że nie wiadomo było, do czego się może posunąć. Posłuchaj, rozumiem, że się bałaś, naprawdę, ale uważam, że jesteś trochę zbyt przewrażliwiona.

Okazało się, że jej telefon cały czas znajdował się obok niej w schowku na drzwiach. Każdy z odrobiną oleju w głowie w chwili rozpoczęcia ataku wyjąłby go i zadzwonił pod 112.

W końcu uszła z niej para. Odrzuciwszy propozycję Charliego, który chciał zrobić steki – „Jak możesz w ogóle jeść?” – bez słowa udała się do łóżka. W czasie, kiedy szykował sobie kolację, Charlie próbował dodzwonić się do Lily, włączała się jednak poczta głosowa, dlatego nagrał wiadomość. Nie wdawał się w szczegóły, nie miał na to ochoty.

Po kolacji usiadł z otwartym do niej winem i wściekał się na ten cały bałagan. Powinni być już teraz w Land's End, raczyć się po kolacji kawą na werandzie albo wybrać się do Sully's na piwo. On byłby już po pływaniu; może nawet Poll dołączyłaby do niego. Zamiast tego pił w samotności i za dużo, miał marudną dziewczynę i zniszczony samochód.

Gdyby wcześniej wyjechali z miasta, gdyby tak długo się nie pakowała, to nie doszłoby do spotkania z tym zbirem i jego synalkiem. Gdyby wybrał inną trasę, obwodnicą zamiast przez centrum, tego wszystkiego dałoby się uniknąć. Gdyby Chloë nie zmieniła zdania w kwestii towarzyszenia mu, sam wyjechałby znacznie wcześniej i szybko dotarłby na miejsce.

Lily się nie odezwała, ale z pewnością odsłuchiwała jego wiadomość, w przeciwnym razie skontaktowałyby się. Na pewno zirytowała ją ta druga zmiana planów, ale czuła także ulgę, że nie będzie musiała spędzać weekendu w towarzystwie Chloë.

Kiedy położył się do łóżka, ona już spała, a przynajmniej świetnie udawała. Zachowywał dystans, licząc, że do rana Chloë zmięknie – kiedy jednak krótko po dziewiątej obudził się z pulsującym bólem głowy, ona zdążyła już zniknąć, mimo że soboty były dniami, kiedy wylegiwali się nawet do jedenastej.

W kuchni rozejrzał się za jakimś liścikiem, nic jednak nie znalazł. Poszła poskarżyć się na niego jednej ze swoich przyjaciółek albo wydać jego pieniądze w którymś z lokalnych butików. Zapił kawą trzy paracetamole, a do miseczki nasypał płatki, na które wcale nie miał ochoty. Wmusiwszy w siebie kilka łyżek, umył zęby, ubrał się i pojechał na drugi koniec miasta do Philipa, mechanika, który od lat serwisował jego auto.

Pokazał mu szkody, a Philip zagwizdał.

– Kogo zdenerwowałaś?

Charlie opowiedział mu w skrócie, co się stało.

– Możesz się tym zająć?

– Mogę, ale nie wcześniej niż we wtorek. Niestety dzisiaj jestem zawałony robotą.

Wtorek, za trzy dni. Dobrze chociaż, że samochodem bez problemu można jeździć; kilka wgnieceń nie wpływało na jego sprawność. Co nie znaczy, aby teraz, kiedy Land's End nie wchodziło w rachubę, miał jakieś plany wyjazdowe.

– W takim razie do wtorku – rzucił i wszedł do auta.

Włożył kluczyk do stacyjki i znieruchomiał. Dlaczego miał stracić cały weekend?

Dlaczego nie mogli dzisiaj jechać do Land's End? Chloë pewnie nie od razu dałaby się namówić,

ale im dłużej o tym myślał, tym większego nabierało to sensu.

Wyjechał z warsztatu w znacznie lepszym nastroju. Wieczorem niczego nie rozpakowywali, więc właściwie od razu mogli ruszyć w drogę. Nie będzie w stanie powiadomić o tym Lily, chyba że nagra jeszcze jedną wiadomość, którą jego była żona może odsłucha, a może nie – ale czy nie mogli się po prostu tam zjawić? Przy dwóch parach i Thomasie przynajmniej jeden pokój i tak będzie wolny, nawet jeśli zdążyli zrobić jakieś przetasowanie.

Nadal mogli jechać. Nic ich nie powstrzymywało. Nadal spędziliby tam dwie noce. Jedyne, co musiał zrobić, to przekonać Chloë.

W drodze do domu zatrzymał się pod kioskiem i kupił gazetę. Gdy wychodził, odsunął się od drzwi, aby przepuścić kobietę, która właśnie wchodziła.

– Charlie – przywitała się.

Głowił się – wyglądała znajomo, zgoda, na pewno miał już okazję poznać te wielkie zęby i spiczasty podbródek – ale nie mógł sobie przypomnieć, kto to taki.

– Gloria. – Jej uśmiech nieco przygasł. – Gram z Chloë w kwintecie. Altówka.

– Gloria, oczywiście. – Gloria i jej altówka, jak mógł zapomnieć? Goryl, tak ją nazywała Chloë, choć według niego wcale nie była aż tak potężna. – Wybacz, trochę za dużo wina wczorajszego wieczoru. Zaśmiała się, a ostrość tego dźwięku sprawiła, że podkurczyły mu się palce u stóp.

– A jak się czuje Chloë?

– Dobrze, bo okazała się bardziej rozsądna i wcześniej poszła spać.

– To super.

Minęła chwila. Charlie zrobił krok w stronę drzwi.

– Cóż...

– Nie masz dla nas żadnych występów? Aktualnie mamy straszną posuchę! – Kolejny piskliwy śmiech wgrzający się w jego skronie.

– Nie jedziesz za tydzień do Donegal?

– Donegal? – Ściągnęła brwi. – Po co miałabym tam jechać?

– Mam na myśli całą grupę. Kwintet. Chloë mówiła, że gracie tam na jakimś ślubie.

– Na ślubie? Nic mi o tym nie wiadomo, chyba że zamierzają się tam wymknąć beze mnie! – I znowu się zaśmiała, niemal go dobijając.

– W takim razie musiałem coś źle zrozumieć – rzekł i położył rękę na klamce. – To pewnie także przez to wino. A teraz muszę cię przeprosić, Chloë czeka na gazetę. – Uniósł ją jak dowód rzeczowy.

– Pozdrów ją ode mnie.

– Oczywiście.

W drodze do domu głowił się nad tym. Chloë mówiła, że to Donegal i że ślub będzie w przyszłym tygodniu, był tego pewny. Czwartek, gotów się był założyć, że czwartek. Gloria najwyraźniej nie była na ostatniej próbie.

Ale przecież Lawrence zadzwoniłby do niej, aby dać znać o Donegal, prawda? Czy przed wyrażeniem zgody na występ nie musiałby sprawdzić, czy ta data wszystkim pasuje?

Chyba że nie było żadnego występu.

Ale po co Chloë miałyby to zmyślić? Dlaczego chciałyby spędzić noc poza domem, bez niego? Jeśli potrzebowała przestrzeni dla siebie, mogła ją mieć w ten weekend, i to aż trzy noce.

Nie miało to sensu. Później ją o to zapyta, na razie jednak priorytetem było namówienie jej na wyjazd do Land's End.

– Halo? – zawołał po wejściu do mieszkania.

Odpowiedziała mu cisza. Zadzwonił do Chloë, lecz włączyła się poczta głosowa. Chodził od pomieszczenia do pomieszczenia, niecierpliwie czekając, aż się zjawi. Włożył kosmetyczkę do nierozpakowanej jeszcze walizki, zresztą walizka Chloë także stała praktycznie nieruszona. Musiał je jedynie zanieść do samochodu.

Po raz drugi wybrał jej numer i ponownie włączyła się poczta głosowa.

– Wracaj do domu – rzekł. – Musimy pogadać.

Minęła jedenasta i jego zniecierpliwienie zaczynało zamieniać się w gniew. Ból głowy nie

ustępował. Raz jeszcze próbował się dodzwonić do Chloë, z takim samym rezultatem jak wcześniej. Tym razem nie ufał sobie na tyle, aby nagrać wiadomość – bał się, że powie coś, czego potem będzie żałował.

A teraz dochodziło południe, a jej nadal nie ma w domu.

Charlie siedzi w salonie, kartkuje gazetę, a gniew sprawia, że wszystko w nim się spina. Czas mija, gniew rośnie – aż w końcu za dziesięć pierwsza rozlega się dźwięk klucza obracanego w zamku. Upuszcza gazetę i wychodzi na korytarz.

– Gdzie byłaś? – Pilnuje się, aby w jego głosie nie słychać było oskarżenia. Troska, nie oskarżenie. Jeszcze nie teraz.

– W mieście.

Kładzie kurtkę na grzejniku. Wie, że Charlie nie znosi, kiedy tak robi. Liczy w myślach do dziesięciu, kiedy Chloë rzuca klucze na parapet i wchodzi do kuchni. Myśl o Land's End. Zachowaj spokój.

– Chloë, naprawdę mi przykro z powodu wczoraj. Wiesz o tym, powtarzałem to wiele razy. Nie sądzisz, że pora mi wybaczyć?

Chloë wrzuca do kubka torebkę zielonej herbaty, a jemu posyła spojrzenie nadal pełne urazy.

– Skarbie, fatalnie się czuję z tym, że na ciebie nakrzyczałem. Gdybym mógł cofnąć czas, to tak bym zrobił.

Chloë nalewa wodę do czajnika, po czym go włącza. Odgarnia włosy z twarzy.

– Próbowalesz się do mnie dodzwonić – mówi. Jakiś cudem udaje jej się sprawić, że brzmi to tak, jakby dopuścił się przestępstwa.

– Kochanie, przyszła mi do głowy pewna myśl. – Spokojnie. Krok po kroku.

Chloë mruży oczy.

– Wiem, że wieczorem byłaś zbyt zdenerwowana, aby jechać do Land's End i to rozumiem, naprawdę.

Opiera się o blat, krzyżuje ręce na piersi.

– Ale naprawdę uważam, że dzisiaj powinniśmy jechać. Nie możemy pozwolić, aby ten idiota zniszczył nam cały długi weekend.

– To ty go zniszczyłeś, drażniąc tego chłopca.

Dzięki ogromnej sile woli Charliemu udaje się oprzeć pokusie zaserwowania ciętej riposty. Między nimi zapada krępująca cisza. „Cierpliwości”, myśli Charlie. „Nie denerwuj się. Nie powiedziała: nie”.

Woda zagotowuje się, a kiedy Chloë nie reaguje na wyłączenie się czajnika, Charlie napełnia jej kubek i stawia na stole.

– Usiądź – mówi, ona jednak pozostaje tam, gdzie stoi.

– Sam sobie jedź – wyrzuca z siebie – skoro jesteś taki chętny.

Bardzo go to kusi. W ciągu kilku minut mógłby wrzucić swoją walizkę do auta i odjechać. Zostawić ją samą z tą potworną traumą albo irytacją na niego, czy czymkolwiek, przez co zamieniła się w taką zołzę. Mógłby ją tu zostawić, aby pocieszała się medytacją, jogą i cholerną zieloną herbatą. Szczerze mówiąc, poczułby ulgę, gdyby mógł się wyrwać bez niej.

Ale nie może jechać tam sam, nie po tym, jak wczoraj powiedział Lily, że zjawią się razem. Nie może im powiedzieć o wczorajszym ataku i o tym, że Chloë była zbyt rozstrojona, aby jechać, bo wyszedłby na pozbawionego uczuć drania. Nie mógł także przyznać, że się pokłócili i ona nie chciała jechać – nie zniósłby litości albo, co gorsza, rozbawienia, z jakim mogłoby się spotkać to wyznanie.

Zresztą Lily i tak by się domyśliła, dlatego przetyka teraz swoją urazę i próbuje raz jeszcze.

– Kochanie, nie pojechałbym przecież bez ciebie, nie po tym, co się stało. Widzę, że nadal jesteś zdenerwowana, ale według mnie to tym bardziej jest dobry pomysł. Zmiana otoczenia i parę dni nad morzem naprawdę dobrze ci zrobi.

Chloë przygryza dolną wargę.

– Nie sądzisz, że byłoby to lepsze niż pozostanie tutaj, gdzie to się wydarzyło?

Unosi ramię. Nadal nie mówi nie.

– To naprawdę piękna lokalizacja, spokój, a plaża jest dosłownie za progiem domu. Tak bym

chciał, abyś to zobaczyła. Z przyjemnością ci wszystko pokażę, a to przypuszczalnie moja ostatnia okazja.

Ujmuje jej brodę, unosi, patrzy jej w oczy, czeka, aż odpowie takim samym spojrzeniem.

– Można tam chodzić na spacer, a nawet przejechać się rowerami, gdybyśmy mieli taką ochotę. – Nadal są tam rowery? Charlie nie ma pojęcia. – Albo, gdybyś wolała, mogłabyś czytać sobie przy kominku. Robiłabyś to, co tylko byś chciała.

Chloë wzdycha ciężko i odwraca głowę – ale rozważa ten pomysł. On to czuje.

– Nie chciałabyś wyjechać z miasta? Pomyśl o świeżym powietrzu. No, a nocne niebo jest tam doprawdy niezwykle. – Śmieje się lekko. – Moglibyśmy wykąpać się na golasa w morzu przy blasku księżyca, kiedy pozostali poszliby już spać.

– Na golasa? W taką pogodę?

– Cóż, może jednak nie, ale spacer po plaży jak najbardziej wchodzi w grę. – Co jeszcze? – A mieszkańcy wsi są wyjątkowo serdeczni. Jestem przekonany, że chętnie by cię poznali.

Jawne kłamstwo. Nie przychodzi mu do głowy ani jedna osoba, która chciałaby poznać kobietę, która zastąpiła w jego życiu Lily. Lily, która wychowała się w Land's End, która była jedną z nich.

– Widzę, że ty podjąłeś już decyzję. – Nadal nadał się, niemniej nieco bardziej otwarta na tę propozycję.

– Cóż, bardzo chciałbym tam pojechać, ale tylko z tobą. Myślę, że dobrze by nam zrobił taki wyjazd, Chloë. Naprawdę.

Ostatecznie dostaje to, czego chce. Chloë ustępuje. Niechętnie, z urazą, niemniej zgadza się jechać. Jemu to wystarczy.

Zabiera się do zanoszenia rzeczy do auta, by Chloë nie miała czasu zmienić zdania. Sam robi wszystko, gdy tymczasem ona stoi z założonymi rękami. Kiedy alarm jest już aktywowany, a mieszkanie zamknięte, wsiada bez słowa do samochodu i otwiera książkę. Charlie zbyt się cieszy, aby się tym przejmować. Zanim dojadą na miejsce, Chloë znowu będzie sobą... albo prawie sobą.

Za dziesięć drugą. Nawet jeśli ruch okaże się spory, na miejscu powinni się zjawić przed wpół do czwartej.

Uruchamia silnik. Choć chce mu się wesoło gwizdać, tłumi w sobie tę pokusę.

CHLOË

Cała jest rozedrgana, niczym narkoman na głodzie. Bez względu na to, ile razy je czyta, słowa w książce nie mają żadnego sensu. A na Charliego ledwie jest w stanie patrzeć i nie mieć przy tym ochoty odgryźć mu głowy, wybuchnąć płaczem albo jedno i drugie.

Im więcej o tym myśli, tym bardziej ją to dobija. Będzie miała zabieg. Ona, która nienawidzi bólu, krwi i igieł, dobrowolnie położy się na stole operacyjnym. Dostanie narkozę, a w czasie, kiedy będzie nieprzytomna, zaatakowane zostanie jej ciało.

Zadrecza się myśleniem o czwartku i związanymi z tym poszczególnymi etapami. Podróży na lotnisko z Abby, która zapewne będzie ją zabawiać cczą gadaniną. Dużej brandy, którą o dziesiątej rano zamówi na lotnisku, z pewnością otoczona mężczyznami w garniturach, z których co najmniej jeden będzie próbował zwrócić na siebie jej uwagę albo ją zagadywać. Drugiej brandy, którą wypije w samolocie – dlatego, że bez względu na przekazane jej zalecenia o poszczeniu od północy w środę nie miała zamiaru zjawić się w klinice zupełnie trzeźwa.

Nie chce myśleć o tym, co się stanie, kiedy przekroczy jej próg, bo jeśli to robi, zbiera jej się na mdłości. Ale i tak to jedyne, o czym jest w stanie myśleć. Skalpele i inne narzędzia tortur. Ból po zabiegu, bo to oczywiste, że się pojawi. Wpływ, jaki to wszystko będzie miało nie tylko na jej ciało, ale także psychikę.

Gdyby nie czwartek, wczoraj jakoś dałaby sobie radę. Napaść względnie szybko dobiegła końca. Agresor odjechał, a oni wyszli z tego bez szwanku, natomiast zachowanie Charliego okazało się do przewidzenia – tyle że wszystko to miało miejsce w czasie, kiedy ona cała już była w rozsypce. I dlatego zareagowała jak rozhisteryzowana idiotka. Jedyne, czego pragnęła, to wrócić do domu. Nie była w stanie znieść myśli o stawieniu w takim stanie czoła jego rodzinie.

Ranek nie okazał się ani trochę lepszy. Po fatalnie przespanej nocy wymknęła się z łóżka, ubrała w łazience i wyszła z domu. Całe przedpołudnie spacerowała po mieście, jakby nie dostrzegając nic dookoła, zatrzymała się w pewnym momencie na kubek zielonej herbaty, którą oparzyła sobie język, i słodką bułkę, która równie dobrze mogła być upieczona z gliny – jedzenie nie sprawiło jej przyjemności.

Zadzwoił telefon. Zobaczyła na wyświetlaczu imię Charliego i odczekała, aż ucichnie. „Wróć do domu”, powiedział za drugim razem. „Musimy pogadać”. W pierwszej chwili sądziła, że odkrył jej kłamstwo o Donegal, okazało się jednak, że chce po prostu nadal jechać do tego swojego ukochanego domu wakacyjnego.

Powinna się przyznać? Powinna mu powiedzieć? Nie – nie mogła. Coś takiego nie wchodziło w grę. Ale dręczyły ją wyrzuty sumienia, że załatwi to wszystko bez jego wiedzy.

Dlatego ustąpiła. Zgodziła się jechać, gdyż chciała mu to w pewien sposób wynagrodzić – i oto jechali po raz drugi, kierując się w stronę milczącej urazy Poll, rezerwy Lily i cielecego wzroku Thomasa. Nie dotknie jej to – miała w tej chwili większe zmartwienia na głowie niż nieudana rodzina Charliego. Zajmie się własnymi sprawami. Będzie tolerować ich towarzystwo, maksymalnie go unikając. I kto wie? Może wyjazd z miasta rzeczywiście dobrze na nią podziała.

– Mały dziś ruch – stwierdza Charlie.

– Mmm.

Jakże kiepsko ukrywa on swoją radość z powodu tego, że dostał to, czego chciał. Aż ją korci, aby zmasać mu z twarzy to zadowolenie. Nie, ma ochotę wtulić się w jego ramiona i błagać, aby ją chronił.

Ze wzrokiem utkwionym w kartce zaklina czwartek, aby nigdy nie nadszedł.

POLL

O trzeciej, zmęczeni czekaniem, aż przestanie padać, ona i Joe zakładają płaszcze przeciwdeszczowe.

– Na pewno nie idziesz? – pyta raz jeszcze mamę, ale ona woli zostać przy kominku ze swoimi krzyżówkami.

– Gdybyście przechodzili obok sklepu, to kupcie kilka pomidorów.

Dlatego Poll postanawia zrobić z Joem dużą pętlę: obok pubu, przez Hill Road, w dół przy starym cmentarzu, a potem wieś od drugiej strony. Stamtąd złapią jakąś okazję, a gdyby nikt się nie zatrzymał, zawsze mogą wrócić pieszo.

Deszcz zacina, niesiony przez wiejący od morza wiatr. Późnym rankiem obudził ją dźwięk uderzających o szyby kropli. Leżała w łóżku, zastanawiając się, czy nie iść popływać – co tam deszcz, skoro i tak byłaby cała mokra? – wtedy jednak przypomniała sobie, że strój kąpielowy nadal wisi na dworze, a przecież wystarczająco trudno było założyć mokry strój w ciepły letni dzień.

Gdy zeszała na dół, zastała mamę i Joego pochylonych nad starymi albumami ze zdjęciami.

– W dzbanku jest herbata – powiedział mama.

Poll naląła sobie duży kubek, wzięła do ręki jeden z albumów i przekartkowała strony wypełnione zdjęciami czarno-białymi i tymi w kolorze sepii. To byli jej pradziadkowie – on wybudował Land's End, ona pracowała jako sprzedawczyni w lokalnym sklepie z draperiami. Oboje formalni i poważni w dniu ślubu, gdyż w tamtych czasach nie zachęcano do uśmiechania się do zdjęć.

Kolejna strona i oto ich dzieci, babcia i jej rodzeństwo, młodsze siedzące rzędem w jednym wielkim wózku, poważni w swoich czepkach, a starsze stojące sztywno obok. Włosy dziewczynek, ciemne i gęste, związane były szerokimi białymi wstążkami, Gabriela zaczesane do tyłu i nabrylantynowane. Krótkie spodenki z szelkami. Pulchne kolanka, podkolanówki, błyszczące buty ze sprzączkami. Pełen nadziei uśmiech, nieświadomy burzliwych lat, jakie czekają na niego po drugiej stronie Atlantyku.

Kolejna kartka, tym razem zdjęcia w kolorze, przysyłane do domu razem z listami z Ameryki. Cora i Teresa w dniu, w którym dopłynęły na miejsce – stoją na statku w porcie w Nowym Jorku i mają na twarzach identyczne uśmiechy. Piękne ciemne oczy Teresy, loki Cory pod małym kapelusikiem, czekającej na to, aby oczarować niejakiego pana Finkleblatta. O proszę, oto i oni na następnej stronie, Cora i Albert. Oboje uśmiechnięci, on obejmujący ją w talii. Olśniewająca suknia w kolorze koralowym, elegancki smoking. Albert, jasnowłosa i szczupły, okrągłe okulary na długim nosie, na twarzy maluje się duma ze zdobycia młodej Irlandki, błogo nieświadomy, że dane im będzie spędzić ze sobą tak mało czasu.

Pod koniec albumu nastąpił przeskok i wklejono do niego zdjęcie przedstawiające ją i Thomasa, mniej więcej w wieku czterech i sześciu lat, stojących przed sklepem i jedzących niedzielne lody w wafelkach. Poll w niebieskiej sukience w żółte kropki – chyba nawet ją pamięta – i w białych sandałkach, na brudnej twarzy szczęście. Co się stało, że w pewnym momencie zastąpiły je niepewność i niepokój?

Zjadła tost, wypila herbatę i urządziła sobie spotkanie z przeszłością, a w tym czasie padał deszcz. Później zagrała z pozostałymi w remika i quiz, odliczając godziny do przyjazdu Aidana. O wpół do trzeciej zjedli zupę z krakersami i serem, a o trzeciej ona i Joe ubrali się i wyszli.

Podczas spaceru zaznajamia go z różnymi starymi farmami i charakterystycznymi obiektami w okolicy. Jakies półtora kilometra od Land's End pokazuje częściowo tylko wybudowany kamienny mur, wysoki na niemal dwa metry i ciągnący się pomiędzy dwiema ogromnymi kolumnami.

– To miało być wejście do ekskluzywnego kurortu wakacyjnego – wyjaśnia Joemu. – Deweloper tyle tylko wybudował, nim zbankrutował. To był początek kryzysu, około dwa tysiące ósmego. Bardzo smutno to teraz wygląda, prawda? Wrota donikąd.

– Kiepskie zgranie w czasie. Teraz, kiedy gospodarka jest w lepszym stanie, możliwe, że ktoś przejmie tę inwestycję.

– Możliwe. Dobrze by było, gdyby coś z tym zrobiono.

Mijają dom malarza samotnika, który kilka lat temu zdobył jakąś ważną nagrodę i odmówił jej przyjęcia.

– Nikt nie wie dlaczego. Babcia twierdziła, że zawsze był dziwakiem, nawet jako młody chłopak.

Przechodzą obok ruin niewielkiego domu, który spalił się przed laty, odbierając w ten sposób życie dwóm mieszkającym razem braciom, starym kawalerom.

– Byliśmy na pogrzebie, kościół pękał w szwach. Miałam wtedy chyba dziesięć lat. Pamiętam ciszę, jaka panowała na dziedzińcu, kiedy z kościoła wynoszono trumny.

Choć deszcz już tak nie zacina, nadal nie daje za wygraną. Poll twarz ma całą mokrą; woda spływa po grzbiecie nosa i skapuje z czubka. Nie przeszkadza jej to; zdejmje kaptur, aby deszcz moczył także włosy.

W wiejskim supermarkecie kupują pomidory, czekoladę, dwie butelki wątpliwej jakości wina oraz sześć mandarynek dla Joego, który dziennie musi zjeść co najmniej dwie.

– Akurat to uzależnienie nie jest wcale takie złe – mówi, a Poll musi przyznać mu rację.

W drodze powrotnej deszcz w końcu przestaje padać. Poll pokazuje Joemu dom Kariny.

– Odziedziczyła go po wuju mamy czy jakoś tak. Do użytku nadaje się tylko jedna trzecia budynku, pozostała część to ruina.

– Karina, czy to nie ta Amerykanka, która rano przyniosła nam jajka?

– Tak. Mieszka tu od ponad czterdziestu lat, ale nadal sprawia wrażenie, jakby dopiero co wysiadła z samolotu. Kiedy Thomas i ja byliśmy mali, grała na banjo. Przynosiła je wieczorami do Land's End i grała razem z tatą. – Śmieje się. – Wyobrażasz sobie wiolonczelę i banjo?

– Nie bez trudu.

– W sumie brzmiało to całkiem dobrze, a przynajmniej tak wtedy uważaliśmy. – Wskazuje na cmentarz po drugiej stronie drogi. – Byłeś już tam?

Kiwa głową.

– Twoja mama mnie tam zabrała podczas naszej ostatniej wizyty.

Poll przygląda się wysokiemu murowi.

– Spoczywają tutaj praktycznie wszyscy jej krewni. – Pauza. Mur staje się niewyraźny. – Z wyjątkiem babci – dodaje. – Nie było dla niej miejsca.

– Szkoda.

Po jej policzku spływa łza. Ociera ją szybko.

– Chodź, mama będzie się zastanawiać, gdzie się podziewamy.

– Tęsknisz za nią – mówi cicho Joe.

– Tak.

Nie dane mu było poznać babci. Nie ukrywano go przed nią jak Chloë, tyle że kiedy został jej przedstawiony, kilka tygodni po tym, jak Poll i Aidan oficjalnie zostali parą, babcia już im się wymykała. Nadal dało się prowadzić z nią rozmowę – krótką i nieskomplikowaną – lecz wspomnienie o niej po pięciu minutach ulatywało z jej umysłu.

A tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy na specjalnie wyprawionym rodzinnym obiedzie powiedziano jej o zaręczynach mamy i Joego – na tę okazję została przywieziona z domu opieki – nie było już nawet mowy o prostej rozmowie. Słowa najwyraźniej nic już dla niej nie znaczyły.

Lily pokazała jej pierścionek: spojrzała na niego pustym wzrokiem, po czym rozejrzała się po siedzących wokół stołu osobach jak małe dziecko szukające znajomej twarzy.

– Pora już wracać do domu? – zapytała drżącym głosem. Do tego czasu jedynym znanym jej domem był dom opieki.

Jednak, co ciekawe, nigdy nie zapomniała taty. Gdy choroba postępowała, zaczęła mylić mamę ze swoją dawno nieżyjącą siostrą Pauline, a na Poll mówiła często Lily, tata jednak do samego końca pozostał Charliem. Gdy umierała, był razem z nimi, członek rodziny, jak w czasach, kiedy on i mama byli jeszcze razem.

Zbliżają się do łąki z pasącymi się na niej krowami. Czarne głowy unoszą się na ich widok.

– Joe – mówi Poll. – Wiem, że to może brzmieć trochę... Po prostu od chwili, kiedy wczoraj

weszłam do domu, mam wrażenie, że babcia jest... że może nadal przebywa w Land's End. Dziwne, co?

Przez chwilę się zastanawia.

– Może. A może nie. Kto wie, dokąd trafiamy po śmierci? Kto wie, jak wygląda życie po życiu, o ile rzeczywiście istnieje?

– To był jej jedyny dom. Nigdy nie mieszkała w żadnym innym miejscu. Kochała je.

– No cóż – mówi Joe, a ona czeka na więcej. Na próżno.

– Więc sądzisz, że mogła tu wrócić.

– Mogła – przytakuje. – Rzeczywiście mogła.

Zero skrępowania czy zażenowania. Żadnego spojrzenia z ukosa sugerującego, że powinna zbadać sobie głowę. Akceptujący jej słowa bez oceniania.

Wsuwa mu rękę pod ramię. Skręcają w ścieżkę prowadzącą do Land's End, a ją trochę już bołą nogi.

A na końcu ścieżki stoi samochód jej ojca.

LILY

Przyjechali. Są tutaj.

Kiedy usłyszała samochód, sądziła, że to Thomas albo Aidan przyjechali wcześniej, niż zapowiadali.

Błąd. Ani Thomas, ani Aidan.

Patrzyła z okna salonu, jak Charlie wysiada. To wgniecenia w aucie? Miał wypadek? Czy dlatego wczoraj nie przyjechali? A teraz był sam? Stąd nie widziała, czy ktoś siedzi na miejscu pasażera.

Gdy wyszła z domu, otwierał właśnie bagażnik.

– Jednak przyjechałeś.

Trzeba mu oddać, że miał na tyle przyzwoitości, aby wyglądać na zakłopotanego.

– Nie miałem jak dać ci znać. Zostawiłbym jeszcze jedną wiadomość, ale...

– W porządku – przerwała. – Cieszę się, że jednak dałeś radę. Co się stało z samochodem?

Wyjął z bagażnika walizkę.

– Obraziłem niewłaściwego kierowcę, oto, co się stało. Później ci opowiem. Mam nadzieję, że takim niezapowiedzianym przyjazdem nie sprawiamy ci kłopotu.

My?

W tym momencie otworzyły się drzwi od strony pasażera i wysiadła ona. Lily pomyślała, że jest bledsza niż zazwyczaj, aczkolwiek minęło trochę czasu od ich ostatniego spotkania. Owinięta niebieską chustą. Założyła włosy za ucho, zerknęła na dom, po czym uśmiechnęła się sztywno do Lily.

– Chloë, witaj w Land's End – rzekła Lily, a każde słowo kosztowało ją niemało wysiłku. – Charlie cię oprowadzi. – Nie ma mowy, aby to ona odgrywała rolę przewodnika.

– Prawdę mówiąc, jestem naprawdę zmęczona – odparło dziecko bez uśmiechu. – Chciałabym się położyć, jeśli to nie problem.

– Oczywiście – odparła gładko Lily. Co sobie tylko dama życzy. – Charlie, macie ten dwuosobowy pokój od tyłu. Rozgośćcie się.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się. Wróciła do salonu i zajęła swoje miejsce. Słyszała, jak wchodzi na górę, a potem Charlie kilka razy pokonuje drogę dom – samochód. Zero pomocy ze strony wykończonej ukochanej.

Teraz, piętnaście minut później, on nadal się nie pojawił. Uspokaja biedne dziecko, upewnia się, że niczego mu nie trzeba. A może postanowili...

Nie.

Lepiej, aby jej myśli nie biegły w tym kierunku.

Nie potrafi skoncentrować się na krzyżówce. Niepotrzebnie ich zaprosiła. Czemu w ogóle czuła się w obowiązku, aby to zrobić? Owszem, Charlie był zżyty z mamą, odwiedzał ją do samego końca – ale co z tego? Nikt mu nie kazał tego robić, to była jego własna decyzja. Lily nie jest mu nic winna, a w dniu, w którym od niej odszedł, Land's End przestało być jego domem.

Zamyka krzyżówki i podchodzi do okna. Gdzie się podziewają Joe i Poll? Czemu tak długo ich nie ma? Boi się reakcji córki na nowo przybyłych, mimo to wolałaby, aby tu byli, zwłaszcza Joe.

Przynajmniej przestało padać. Wieczór może się okazać całkiem przyjemny. Po kolacji proponuje może wyjście do Sully's. Lepiej iść do pubu niż siedzieć tutaj i udawać, że są jedną wielką, szczęśliwą rodziną.

W końcu słysząc kroki na schodach. Opuść, mówi sobie. Bądź miła. Co on takiego zrobił oprócz tego, że przyjął twoje zaproszenie?

– Tutaj! – woła i Charlie otwiera łokciem drzwi, piastując w objęciach karton z butelkami z czerwonymi folijkami na szyjkach.

– Przynieść korkociąg?

– Dobry pomysł.

Nie ma jeszcze szóstej, ale to w końcu długi weekend, prawda?

Z kuchni dobiega dźwięk wyciąganego korka. Brzęk kieliszków, ciche bulgotanie płynu.

Wraca i wręcza jej kieliszek. Wino jest tak ciemne, że niemal czarne. Lily po raz pierwszy dostrzega fałdki wokół talii Charliego, nową obwisłość pod brodą. Gdyby nadal byli małżeństwem, zachęcałyby go do większej aktywności fizycznej, zabierałyby go na wieczorne spacer.

– Gdzie pozostali?

– Poszli na spacer. Niedługo powinni wrócić.

– Thomas i Aidan jeszcze nie przyjechali?

– Nie, spodziewam się ich nie wcześniej, jak w porze kolacji.

Stawia swój kieliszek na gzymsie kominka i kuca, aby dołożyć do ognia kilka bryłek torfu. Szybko poczuł się jak w domu. Lily ponownie nakazuje sobie bycie miłą: to był jego dom, lato po lecie. Chętnie pomagał wtedy mamie, kosząc trawę i podcinając krzewy. Płacąc Terence'owi Mulcahy'emu za przyczepkę torfu, zamawiając Bernarda Ryana do czyszczenia kominów. Sprawdzając, czy na poddaszu nie zagnieździły się nietoperze, myszy albo coś jeszcze gorszego.

Wolała, gdy miał krótsze włosy. Najwyraźniej Chloë preferuje długie. Lily sączy wino i wyczuwa wiśnie i coś ciemniejszego, bardziej ziemistego. Zawsze lubiła wybierane przez niego wina.

– Opowiedz mi o samochodzie – mówi.

Charlie siada na krześle naprzeciwko niej i opowiada o dziecku robiącym miny przez szybę i rodzicu, który się zdenerwował, kiedy on odpowiedział tym samym.

– Nam nic się nie stało, ucierpiał tylko samochód.

– Nikt nie próbował go powstrzymać? Staliście w korku, na pewno widziało to mnóstwo ludzi.

Z jego gardła wydobywa się śmiech, w którym brak jednak radości.

– To nie był tego rodzaju człowiek, z którym się chciało zadzierać, uwierz mi. Nie mogłem mieć do nikogo pretensji o brak interwencji, sam bym się zachował tak samo.

Lily próbuje to sobie wyobrazić. Ich dwoje uwięzionych w samochodzie na łasce jakiegoś wściekającego się zbira. Oczami wyobraźni widzi brutalną siłę, której wymagało spowodowanie takich wgnieceń. Nie uważa siebie za tchórza, ale tego rodzaju bezmyślna przemoc uczyniłaby z niej trzęsący się strzęp człowieka.

– Chloë z pewnością była przerażona.

Charlie poprawia się na krześle i pociąga łyk wina.

– Owszem, zdenerwowała się.

– Wezwaliście policję?

– Nie, ja nie miałem dostępu do telefonu, a Chloë nie mogła znaleźć swojego.

– Ale potem?

Wzrusza ramionami.

– Po co? Żadne z nas nie pomyślało, aby zapamiętać rejestrację.

– Więc pojechaliście po prostu do domu? Nie zgłosiliście tego? Charlie, on wyrządził szkodę twojemu samochodowi, nie może ująć mu to płazem.

Rzuca jej spojrzenie. Zna je. Spojrzenie, które każe odpuścić temat. Które każe się wycofać.

Ale ona nie odpuszcza.

– Ale przecież było tylu świadków. Ktoś na pewno...

– Nikt nic nie zrobił – mówi na tyle głośno, by dała sobie spokój. Wzdycha ciężko i odgarnia włosy z czoła. – Lil, kiedy odjechaliśmy, nikt się nawet nie zatrzymał, aby sprawdzić, czy nic nam się nie stało. A zresztą, co by to dało, gdyby było inaczej?

– Ktoś mógł zapisać numer rejestracyjny. Teraz jemu ujdzie to płazem, a ty będziesz musiał zapłacić za wszystkie szkody. To się po prostu wydaje nie fair, Charlie.

– Dam sobie radę. – Bierze kolejny łyk, rozsiada się wygodnie, wyciąga nogi w stronę ognia. – Szczerze mówiąc, teraz, kiedy tu jestem, chcę o tym zapomnieć. Dobrze znowu się tu znaleźć, Lil.

Lily łagodnieje. On zawsze kochał ten dom. Ponownie myśli o podjętej przez siebie decyzji. Mogłaby powiedzieć mu teraz – chce, aby Charlie się dowiedział – coś ją jednak powstrzymuje. Nie teraz, nie, kiedy jest taki spięty.

– Dobre wino.

– Bordeaux.

Uśmiecha się. Takie to przewidywalne. Między nimi zapada cisza. Przychodzi jej do głowy myśl, że dokładnie tak bywało przed laty: dokładnie tak siadywali, kiedy już dzieci wyrosły z rodzinnych wakacji, a oni przyjeżdżali tu sami. On siedział po prawej stronie kominka, ona po lewej. Mama zawsze preferowała bujany fotel.

Na małym stoliku pod oknem nadal stoi gramofon jej dziadków, mimo że nie przetrwały żadne z ich starych płyt. Na gzymsie kominka jest miejsce kryształowego wazonu, który otrzymali w prezencie ślubnym. Dzisiaj są w nim gałązki kolcolistu, które Lily ścięła wcześniej z rosnącego przy drodze krzaku.

Na ścianie naprzeciwko okna stoi wielki regał na książki ze zbiorami jej dziadka, kompletem dzieł Dickensa, Chaucera i innych, wszystkie w okładkach w kolorze granatu lub rdzawej czerwieni, na grzbietach wyblakłe, złote tytuły. Na ścianie na lewo od kominka wiszą oprawione w srebrne ramki zdjęcia, a wszyscy na nich obecni już nie żyją, z wyjątkiem Lily i jej rodziny.

Charlie ponownie poprawia się na fotelu.

– Od czasu, kiedy to się stało, jest na mnie zła, Lil. Krzychałem na nią, nawet zakląłem. Chciałem jedynie, aby znalazła telefon. To była gorączka chwili, ona tego jednak tak nie postrzega.

„Przestań”, myśli Lily. „Nie mieszaj mnie w wasze domowe sprawy”.

– O rety – rzuca lekko, byle coś powiedzieć. – Kłopoty w rajku.

Charlie unosi w milczeniu kieliszek.

– Przepraszam – mówi ona po chwili. – To nie było miłe.

– Chloë przesadza. Ten zbir próbował się włamać do samochodu i spuścić mi łomot, a ona sprzeciwia się kilku słowom na „k”. To nie fair.

Czy rzeczywiście szuka u niej współczucia? Obserwując, jak torf czerwienieje i jarzy się w kominku, Lily pozwala, aby cisza się przedłużała.

– Może to nie ze mną powinieneś rozmawiać – mówi w końcu. – To znaczy o tym.

Odwraca się w jej stronę.

– Przepraszam. Masz rację.

Oczy ma przekrwione. Mało snu zeszłej nocy. Pewnie oboje kiepsko spali.

– Pomyślałeś o stekach? – pyta, nagle przypominając sobie o nich.

– Steki. – Wyraz jego twarzy ulega zmianie. – Do diaska – mówi cicho. – Wczoraj miałem je w samochodzie. Zabrałem je do domu. Jednego usmażyłem dla siebie, a resztę włożyłem do zamrażalnika. Jasna cholera.

Biedny Charlie, jego weekend nie układa się zgodnie z planem. Lily oczami wyobraźni widzi leżące w zamrażalniku mięso – ciekawe, że Chloë nie miała ochoty na steki. Poszła do łóżka, bo niedobry Charlie powiedział do niej kilka brzydkich słów.

– Spokojnie. Nie spodziewaliśmy się was, pamiętasz? Mamy quiche. Karina zjawiała się rano z tuzinem jajek.

– Naprawdę?

– Owszem.

– Wystarczy dla nas? Możemy jechać gdzieś na kolację.

– Nie bądź niemądry, jest całe mnóstwo jedzenia. Gerry przyniósł też wczoraj ziemniaki.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście.

– Okej. Jutro mógłbym zabrać wszystkich do Sully's.

– Do Sully's? A to masz gest. – Uśmiechem łagodni lekką drwinę. – Może jutrem będziemy się martwić jutro?

– Dzięki, Lil.

– Po powrocie do domu będziesz miał mnóstwo steków.

Charlie próbuje się uśmiechnąć, słabo mu to jednak wychodzi. Bierze łyk wina, po czym opuszcza kieliszek.

– Jak to jest, Lil? – pyta. – To znaczy znowu być tutaj.

Zmiana tematu zbija ją z tropu. Zastanawia się przez chwilę. Przypomina jej się to dziwne

uczucie, którego doświadczyła wczoraj po wejściu do domu. Uczucie, że coś jest nie tak, mimo że wszystko wyglądało dokładnie tak, jak powinno. Nie mówiła nic Poll, żeby jej nie denerwować.

– Jest... – Urywa i kręci głową. – Sama nie wiem... inaczej. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Lil, nie ma tu już twojej mamy – mówi łagodnie. – Jest jeszcze wcześniej, minęło zaledwie kilka tygodni.

Powoli kiwa głową.

– Przypuszczalnie chodzi właśnie o to.

– Dobrze się czujesz, Lil?

– Tak. Myślę, że tak.

Mija chwila.

– Mnie też jej brakuje – mówi cicho Charlie.

To wyznanie wzrusza ją. To dziwnie intymna chwila, którą przerywa odgłos kroków na szutrowym podjeździe.

– To na pewno Poll i Joe.

Charlie wstaje i wbija wzrok w drzwi. Zastanawiając się z pewnością, jak zostanie przyjęty przez córkę.

Poll zobaczy samochód. Zostanie ostrzeżona.

Drzwi otwierają się. To nie Poll.

– Hej – wita się Joe. – Jednak przyjechaliście.

Przechodzi przez pokój z wyciągniętą ręką. Dobry, stary Joe, zawsze można na nim polegać.

Charlie wstaje i ściska mu dłoń.

– Jak leci?

– Świetnie. Nie mogę narzekać. Co się stało z samochodem?

Charlie przedstawia mu skróconą wersję wydarzeń.

– Boże przenajświętszy, rozumiem, że wezwano policję?

– Nie.

– Gdzie jest Poll? – wtrąca Lily.

– Poszła po strój kąpielowy. Znowu idzie pływać.

Nie weszła, aby przywitać się z ojcem. Niezbyt dobry początek – ale oto i ona, ze strojem w ręce. Na szczęście Lily pomyślała o tym, aby zdjąć go z linki, nim się rozpadało.

– Cześć, tato. – Błady uśmiech. To już coś. – Sądziłam, że nie przyjedziesz.

– Poll, tak dobrze cię widzieć. Jednak się udało. Za nic nie chciałem, aby mnie to ominęło.

Przykro słuchać serdecznego tonu w jej głosie, a ostrożnego – w jej. Smutno obserwować dystans między nimi. Tragicznie – nie wiedzieć jak pomóc.

– Mogę iść z tobą? – pyta Charlie.

Sekunda, dwie sekundy. „Proszę”, błaga w duchu Lily. „Proszę”.

– Jasne. Do zobaczenia na plaży.

I już jej nie ma. Wchodzi na górę, nie odkrywając jeszcze, że Chloë też przyjechała.

Charlie dopija wino i odstawia kieliszek na gzyms.

– Jesteś tak samo szalony jak twoja córka – stwierdza Joe. – Pływać w taką pogodę?

Charlie szczyrzy się; humor mu wrócił.

– Powinieneś kiedyś spróbować, Joe, naprawdę działa to ożywczo. Lil, mam otworzyć drugą butelkę, aby wino odpoczęło przed kolacją?

– Proszę bardzo.

– No dobrze, wobec tego na razie.

Po jego wyjściu Joe siada na zwolnionym przez niego fotelu.

– Ta twoja córka ma niezłą kondycję. Zrobiliśmy chyba z piętnaście kilometrów. Kupiliśmy to, co chciałeś – leży w kuchni.

Patrzy na niego. Na jego normalność, brak podtekstów. Cóż za ulga.

– Nalej sobie wina – mówi. – Przynies tu butelkę.

THOMAS

Składa koszulę i kładzie ją na T-shirtach. Dokłada szorty i dżinsy, bieliznę i skarpetki. Do kosmetyczki chowa szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia, żel pod prysznic, dezodorant i wodę po goleniu. Już-już ma zamknąć walizkę, ale do głowy przychodzą mu kąpielówki.

Nie pamięta, kiedy ostatni raz miał je na sobie. Chyba podczas samotnej wrześnieowej wycieczki na Guernsey, kiedy jeszcze pracował w szpitalu. Wynajął wtedy rower i objechał całą wyspę wzdłuż i wszerz – nie było to trudne, bo mierzyła pięć kilometrów na piętnaście – i pływał w zatoczkach, ignorując mżawkę, która towarzyszyła mu podczas prawie całej wycieczki. W porównaniu z Atlantykiem woda tam była ciepła jak zupa.

Gdy w końcu namierza kąpielówki i odwraca się, aby dołożyć je do walizki, na ubraniach zdążył się już rozgościć Rasputin.

– Sorry, stary. – Unosi kota i kładzie go na łóżku.

Rasputin niespiesznie się przeciąga: najpierw przednia część ciała, potem tylna – i zeskakuje, po czym podchodzi do drzwi.

Thomas słyszy, jak kot schodzi na dół. Poszedł szukać pozostałej dwójki, która wczoraj wieczorem poleciała do Austrii. „Ani śladu Von Trappów” – napisał mu rano Sam. „Ale za to jest słońce. Jedziemy w Alpy trochę pojeźdź. Baw się dobrze na rodzinnej niasiadówce”.

Sam nie mówił mu, co sądzi o tej wycieczce do Land’s End. Nie musiał.

– Co, wszyscy tam jadą? Dawni partnerzy, nowi partnerzy, cała wielka patchworkowa rodzina? Czyj to był pomysł?

– Mamy – odparł Thomas. – No i nie będzie Chloë, ale cała reszta owszem.

– No tak. – Pauza. – Ale będzie twój tata i, przypomnij mi, jak ma imię facet twojej mamy?

– Joe.

– Właśnie, Joe. Już to robiliście? To znaczy spędziliście wszyscy razem noc pod jednym dachem?

– Nie, to będzie pierwszy raz.

– Okej.

Nic więcej nie powiedział, ale już to dawało pojęcie, co Sam o tym myśli. On nie widział problemu. Rodzice rozstali się dawno temu, oboje mieli nowych partnerów, a skoro nie będzie Chloë, między Poll a tatą nie powinno dochodzić do śpięć.

W kuchni wyjmuje z lodówki pudding. Wygląda obiecująco z chrupiącym wierzchem, tak jak obiecała Freda. Owija naczynie folią aluminiową i wstawia je ostrożnie do pudełka, w którym przysłyły nowe buty sportowe Matta. Znosi je do samochodu i stawia w rogu bagażnika, następnie układa wokół swoją pościel. Walizka wędruje na tylne siedzenie razem z dwoma sześciopakami piwa. Sporo rzeczy jak na dwie noce.

Wraca do domu i jeszcze raz sprawdza, czy zamknął wszystkie okna. Do miski Rasputina nasypuje suchą karmę, a do drugiej dolewa wodę. Zamyka drzwi wejściowe i wsiada do samochodu, a przez cały ten czas coś mu nie daje spokoju.

Rasputin zaopiekowany. Rano przed pójściem do pracy zajrzy Kellie, ich sąsiadka, aby go nakarmić, będzie także do niego przychodzić podczas weekendu. To nie chodzi o kota – ale w takim razie o co?

Ruch okazuje się mniejszy, niż się spodziewał: większość mieszkańców musiała wyjechać już wczoraj. Na obrzeżach miasta zajeżdża na stację benzynową i tankuje. Gdy płaci, zauważa na ladzie zdrapki lotto i ni z tego, ni z owego prosi o sześć.

Wychodzi z budynku i kieruje się w stronę swojego auta.

– Przepraszam...

Odwraca się i widzi nastolatka z dużą butelką coli.

– Nie jedziesz może do Galway?

Brudna bluza od dresu, pod nią widać kołnierzyk drugiej. Workowate dżinsy, którym przydałoby się porządne pranie. Na nogach nieskazitelnie czyste, wyglądające na drogie adidas, stanowiące

jaskrawy kontrast z resztą stroju. Chuda twarz, zapadnięte policzki. Na lewej skroni wyglądająca na świeżą dwucentymetrowa rana, a na niej trzy czarne szwy. Przekrwione oczy, spierzchnięte usta. Brązowe, krótko obcięte włosy.

– Mógłbym się z tobą zabrać?

Thomas nie chce się na to zgodzić. Nigdy w życiu nie brał autostopowicza, nieufnie podchodził do nieznamych – ale jak mógł teraz odmówić? Ten chłopak ma nie więcej jak szesnaście lat i wygląd osoby, która w nocy raczej nie sypia w łóżku i rzadko je trzy posiłki w ciągu dnia.

Nic się nie stanie, jeśli komuś pomoże. Niech to będzie jego dobry uczynek na dziś. Freda byłaby z niego dumna.

– Nie jadę do Galway, ale mogę cię podwieźć spory kawałek.

– Dzięki, stary.

Otwiera drzwi i siada na fotelu pasażera. Gdy tylko Thomas wsiada do samochodu, uderza go silna woń niemytego ciała. Zdejmuje kurtkę i rzuca ją na tylne siedzenie, obok walizki. Kupony lotto chowa w skrytce pod kierownicą i opuszcza szybę do połowy, mimo że nadal pada. Mają jakieś sto kilometrów do zjazdu z dwupasmówki, gdzie wysadzi chłopaka: dobra godzina jazdy, a więc deszcz czy nie deszcz, będzie potrzebował świeżego powietrza.

Uruchamia silnik i kieruje się w stronę wyjazdu ze stacji.

– Kiepski dzień – mówi, zastanawiając się, o czym będą rozmawiać, kiedy wyczerpie się temat pogody.

Cisza. Zerka w lewo i widzi, że chłopak ma odchyloną głowę i zamknięte oczy. Możliwe, że jest wykończony po bezsennych nocach na ulicy.

Thomas wyciąga rękę, aby włączyć radio, ale się powstrzymuje. Zastanawia się, jak to się stało, że ten chłopak jest w takim stanie. Jego wygląd mógłby sugerować jakieś uzależnienie, narkotyki albo alkohol – coś, co sprawia, że zdrowe jedzenie nie jest priorytetem, podobnie jak kwestie higieny. U jego stóp leży butelka coli. Trudno to uznać za zbilansowaną dietę.

Może da mu kilka euro – czy gdyby zasugerował, aby kupił sobie za to porządne żarcie, zabrzmiałoby to protekcyjnie? Dobroczynność nie powinna nieść ze sobą żadnych warunków?

Freda powiedziała, że nie. Nakarmiłaby tego chłopaka bez zadawania żadnych pytań albo dałaby mu drobne, gdyby o nie poprosił. I nie oczekiwałaby podziękowań.

Freda.

Urodziny Fredy.

Dzisiaj są jej urodziny. Dzisiaj obchodzi trzydzieste urodziny.

Zapomniał o jej urodzinach, kompletnie zapomniał. Zapomniał zaskoczyć ją świeczkami na cieście, zapomniał namówić klientów kawiarni, aby odśpiewali jej *Sto lat*. Nie kupił jej nawet cholernej kartki. Nie złożył nawet życzeń.

Jest na siebie strasznie zły. Powinien był ustawić sobie przypomnienie w telefonie. Nie, nie powinien tego w ogóle potrzebować, bo minęło zaledwie kilka dni, odkąd wspomniała o urodzinach. Jakie to z jego strony bezmyślne, że o nich zapomniał.

Nic dziwnego, że cały dzień była taka milcząca. Nie była zmęczona, lecz rozczarowana. Nie oczekiwała ciasta czy nawet kartki. Ucieszyłaby się, gdyby po prostu wspomniał o jej święcie, tyle że on zbyt był zajęty sobą, weekendem i tą niemożliwą sytuacją z Chloë.

Wynagrodzi jej to. W przyszłym tygodniu da jej spóźniony prezent. Nie miał pojęcia co, ale może Poll pomoże mu coś wymyślić.

Po godzinie jazdy deszcz słabnie, aż w końcu zupełnie przestaje padać. Jego pasażer nadal się nie rusza, emitując nieprzyjemną woń. Kiedy ostatni raz brał prysznic albo choćby mył się w publicznej toalecie? Kiedy ostatni raz zmieniał ubranie? Samochód będzie wymagał porządnego przewietrzenia – jak dobrze, że jechał do Land's End, gdzie morska bryza zrobi swoje.

W końcu Thomas zauważa rondo, na którym musi zjechać z drogi prowadzącej do Galway. Zmienia pas na prawy, zjeżdża z ronda, następnie zatrzymuje się na porośniętym trawą poboczu. Zegar na desce rozdzielczej wskazuje szóstą dwadzieścia pięć; w Land's End zjawi się koło siódmej. Akurat na kolację.

– Jesteśmy na miejscu – mówi. – To tutaj musisz wysiąść.

Oczy chłopaka natychmiast się otwierają. Cały czas udawał tylko, że śpi, czy też życie na ulicy nauczyło go czujności?

– Wróć do ronda i skręć w prawo – mówi mu Thomas. – Do Galway masz jakieś dwadzieścia minut. Jest spory ruch, nie powinieneś mieć problemu ze złapaniem kolejnego stopa. – Aczkolwiek to akurat ze względu na jego stan pozostaje kwestią wątpliwą.

Czeka, aż chłopak otworzy drzwi, tak się jednak nie dzieje. Zamiast tego odpina pasy i spod bluzy wyjmuje nóż z długim cienkim ostrzem.

Na ten widok Thomasowi serce podchodzi do gardła.

– Sorry, stary – mówi chłopak. Wcale nie sprawia wrażenia, jakby mu było przykro. Już prędzej jest znudzony. Nawet się lekko uśmiecha.

Do twarzy Thomas napływa krew. Patrzy to na nóż, to na pozbawioną emocji twarz chłopaka. Otwiera usta, aby coś powiedzieć, nie wydostaje się z nich jednak żaden dźwięk.

– Potrzebny mi twój samochód, stary. I portfel.

Jego samochód, jego pieniądze.

– Podwoziłem cię – wykrztusza w końcu Thomas.

Na twarzy chłopaka pojawia się drwiący uśmiezek.

– Chcesz za to medal? – Wymachuje w powietrzu nożem, a Thomas odsuwa się, waląc plecami o drzwi. – No już, stary. – Tym razem twardszy ton. – Nie każ mi cię pociąć. A przysięgam, że to zrobię. Dawaj portfel i wysiadaj.

Co może zrobić? Możliwe, że ten chłopak coś wziął. Mógł być nieprzewidywalny. Thomas nie wiedział, czy spełniłby swoją groźbę – ale czy mógł ryzykować?

Mijają ich samochody. Chce dać im znać, ale się boi. Nie widząc żadnej alternatywy, z kieszeni koszuli wyjmuje portfel – wcześniej zamierzał dać mu pieniądze! – i podaje w milczeniu, myśląc o osiemdziesięciu euro, które wypłacił na stacji benzynowej.

Portfel ląduje w kieszeni džinsów.

– I telefon.

– Nie mam. – Modli się, aby przypadkiem teraz nie zadzwonił. – Zostawiłem w domu.

– Gówno prawda. – Na szczęście nie ciągnie tematu. – Wysiadaj. No już, ruchy. – Ponownie zamachuje się nożem, a ostrze mija twarz Thomasa zaledwie o centymetry.

– Pozwól mi zabrać swoje rzeczy – prosi Thomas, wskazując na leżącą z tyłu walizkę. – Tam nie ma nic cennego.

Ale chłopak trzyma już rękę na drążku skrzyni biegów, czekając na przejście fotela kierowcy. Z bliska jego smród staje się jeszcze bardziej dojmujący.

– Założę się, że masz tam telefon. Wypierdalaj.

– Daj mi przynajmniej kurtkę – błaga Thomas. – Znowu zanoszi się na deszcz.

– Pierdolić twoją kurtkę – odparowuje chłopak, zaciskając dłoń na rękojeści noża. – Wypierdalaj. – Kolejne dziabnięcie. – Ale już, inaczej cię wypatroszę.

Thomas otwiera drzwi, a w jego głowie odbywa się gonitwa myśli. Czy dałby radę zasygnalizować coś przejeżdżającemu samochodowi? Czy miał szansę na powstrzymanie tego aktu przemocy? Ale ma pecha, bo nie jedzie akurat żadne auto, a te na rondzie znajdują się za daleko.

W ostatniej chwili nachyla się i próbuje wyszarpnąć kluczyki ze stacyjki, bez żadnego planu poza tym, aby nie dopuścić do zabrania mu samochodu – ale chłopak z krzykiem rzuca się w jego stronę z nożem i Thomas szybko zabiera rękę, ledwo uniknąwszy kontaktu z ostrzem.

Drzwi się zatraskują. Nóż ląduje na fotelu pasażera. Chłopak dodaje gazu i zawraca z piskiem opon. Szczercząc się, macha Thomasowi, następnie odjeżdża.

W krwi Thomasa buzuje wściekłość i szok. Podlicza straty. Bak pełen paliwa. Prawie sto euro w gotówce. Karty płatnicze, kurtka, walizka z ubraniami i przyborami toaletowymi. Klucze od domu, przytwierdzone do tych od samochodu. Co jeszcze?

Piwo. Pościel w bagażniku. Pudding w kartonie.

Co ma zrobić? Nie jest w stanie jasno myśleć. Chodzi po trawiastym poboczu, próbując się

skupić. Bez kurtki jest mu zimno.

Telefon: wyjmuje go z kieszeni džinsów. Musi zadzwonić na policję, zgłosić kradzież – ale z przerażeniem dostrzega, że bateria jest prawie rozładowana. Ładowarkę ma oczywiście w walizce.

Możliwe, że baterii wystarczy tylko na kilka minut. Jeśli wykorzysta te minuty na telefon na policję, nie będzie się mógł skontaktować z nikim innym. Policja raczej nie wyśle po niego radiowozu, nawet jeśli wyjaśni, w jakiej się znalazł sytuacji. Musi zadzwonić do kogoś, kto może go stąd zabrać – ale do kogo?

W Land's End nie ma zasięgu. Co nie znaczy, aby chciał tam teraz jechać – po co, skoro nie ma ubrań na zmianę ani pieniędzy – ale nie może pozostać na poboczu, a do Land's End ma bliżej niż do domu.

Wtedy przypomina sobie o Aidanie, który też tam dziś jedzie. Wyjechał z miasta wcześniej niż Thomas? A może jest już na miejscu?

Może nie. Może chociaż w tym przypadku dopisze mu szczęście. Szybko przewija listę kontaktów i wybiera numer Aidana. Modli się, aby odebrał, modli się, aby wcześniej go nie rozłączyło. Jeśli tak się stanie, jego jedyną nadzieją pozostanie czekanie, aż w pewnym momencie pojawi się na drodze. To albo jazda na stopa, czego jeszcze nigdy nie robił.

Ma szczęście.

– Thomas, wszystko w porządku?

– Aidan, mam słabą baterię. – Szybko podaje swoją lokalizację i opisuje pokrótce, co się stało. – Jedziesz już?

– Tak, myślę, że za piętnaście minut dotrę do ciebie. Trzymaj się.

Piętnaście minut – mogło być znacznie gorzej. W jego głowie pojawia się myśl, że on i Aidan powinni się byli umówić na wspólną podróż. Dlaczego żaden z nich tego nie zaproponował? Uniknięto by wtedy tego całego zamieszania, nawet jeśli mieliby pecha i napotkali na swojej drodze tamtego nastolatka, bo raczej nie próbowaliby porwać samochodu z dwiema osobami w środku, bez względu na to, jak bardzo był napruty. A Thomas mógłby wrócić w poniedziałek z mamą albo z tatą, albo z Aidanem i Poll.

Nagle przypomina mu się sześć kuponów lotto, które kupił na stacji benzynowej. Myśl, że ten gówniarz może coś wygrać, tylko wzmacnia jego wściekłość.

Policja. Musi szybko zadzwonić na policję – ale gdy wybiera numer alarmowy, pojawia się jeden sygnał, a potem ekran staje się czarny.

Chwilę później znowu zaczyna padać deszcz.

CHARLIE

Zdażył zapomnieć głębię swoich uczuć względem tego miejsca. Gdy tylko skręcił na podjazd, gdy tylko jego oczom ukazał się dom, wróciła cała miłość, zalewając go falą ciepła.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł do Chloë, ona zaś podniosła głowę znad biografii Morrisseya – piosenkarza, którego głosu Charlie nie mógł znieść – i przyjrzała się domowi.

– Duży – powiedziała tylko.

Niepotrzebnie go to rozczarowało, bo przecież nie znała tego domu tak jak on i nie powinien oczekiwać od niej entuzjazmu.

Dom wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętał. Albo prawie tak. Hortensjom przydałoby się podcięcie, fasada aż się prosiła o odnowienie, niemniej był to ten sam dom, który widział, kiedy wieczorem zamykał oczy.

Wysiadł z samochodu i odetchnął cudownie czystym powietrzem. Jak bardzo się za tym wszystkim stęsknił. Jego spojrzenie powędrowało ku oknu zielonego pokoju. Liczył, że właśnie tam umieściła ich Lily, tak by Chloë mogła podziwiać widok na morze.

Mylił się. Dostali pokój z tyłu domu bez widoku na morze. Kolejne rozczarowanie, ale to akurat nie tak wielkie. Przyjechał tutaj i tylko to się liczy.

Tyle że po pływaniu jest mu tak strasznie zimno. Ręce ma lodowate i nie przestaje szczerkać zębami.

– Ty pierwsza – powiedział do Poll po powrocie, a teraz, dziesięć drżących minut później, nadeszła jego kolej na prysznic.

Lustro nad zlewem zaparowało. Wyciera je ręcznikiem i widzi potargane siwe włosy, kredowobiałą, pobrużdżoną twarz, sine usta.

Ależ wygląda staro. Te wszystkie zmarszczki. Kiedy do tego doszło?

Co ona w nim widzi?

Odkręca wodę pod prysznicem nad wanną. Ściąga mokre kąpielówki i wchodzi do wanny. Zapomniał, jakie słabe jest tu ciśnienie wody, za to jest cudownie gorąca. Stojąc pod jej strumieniem, czuje, jak ciepło powoli wraca do jego ciała.

Bierze z umywalki kostkę mydła i nucąc *Piątą symfonię* Beethovena – da da da daaaa, da da da daaaa – zmywa ze skóry sól. Dobrze dziś będzie spał, tutaj zawsze sypia jak niemowlę.

Dobrze, że poszedł z Poll popływać, nawet jeśli nie rozmawiali zbyt dużo, a ich słowa były ostrożne i wyważone. Zapytała o samochód, on chciał wiedzieć, jak jej praca. Wspomniał o galerii i filmie, który widział, i sądził, że jej także by się spodobał. Ona opowiedziała mu o niedawnym przypadkowym spotkaniu ze wspólną znajomą. Wszystkie te tematy pozostawały powierzchowne, nie sugerując, że rozmówców łączą więzy krwi.

Mimo to dobrze było mieć ją tylko dla siebie. Charlie nie pamiętał, kiedy miało to miejsce po raz ostatni. Jutro też mogą iść popływać – zapowiadano przecież na niedzielę dobrą pogodę?

Ma nadzieję, że nie będzie jej przeszkadzać obecność Chloë. Na razie chyba jeszcze o niej nie wie. On nie wspominał nic o tym podczas kąpieli w morzu, tchórzliwie wołąc nie burzyć tej delikatnej równowagi. Ma nadzieję, że gdy Poll się o tym dowie, nie wpadnie w gniew.

Tak by chciał, aby zaakceptowała ich związek. Czy to taka zbrodnia, że zakochał się w kimś znacznie od siebie młodszym? Owszem, rozumie, że może czuć się nieco skrępowana tym, że ona i Chloë są prawie w tym samym wieku – ale czy ma go karać do końca życia za to, że poszedł za głosem serca, nieważne, dokąd go zaprowadził?

Poll i Aidan są ze sobą ile – dwa lata? Nieco dłużej? Na razie nic nie słyhać na temat tego, aby zamierzali się pobrać. Nie przeszkadza mu, że taki stary piernik jak on nie spieszy się ponownie do ołtarza, ale trochę mu smutno, kiedy młodzi zdają się tracić zainteresowanie tą instytucją.

A może to on i Lily zniechęcili ją do małżeństwa. Czemu miałyby chcieć czegoś, co dla jej rodziców zakończyło się porażką?

Wychodzi z wanny i wyciera się ręcznikiem, który Chloë kupiła kilka tygodni temu razem

z dwoma innymi. Jest szary, miękki i cudownie gruby, no i przypuszczalnie kosztował więcej niż on by wydał. Nauczył się nie czytać zbyt dokładnie wyciągów z karty kredytowej.

Wyciera lustro, otwiera okno i wychodzi z łazienki. Nie myśląc, udaje się do znajdującego się przy schodach pokoju rodzinnego. Gdy tylko otwiera drzwi, dociera do niego, że się pomylił.

Rozgląda się po znajomym pomieszczeniu. To największa z sypialni, gdzie mała Kitty sypiała razem z czterema starszymi siostrami, zanim te po kolei otrzyły własny kąt. To pokój, który dwa pokolenia później przypadał podczas wakacji w udziale Charliemu, Lily i dzieciom.

Wraca myślami do wielu spędzonych tutaj nocy. Do łóżka piętrowego, na którym spali Thomas i Poll, wstawionego do wnęki obok komina; do łóżka na drugim końcu pokoju, które dzielił z Lily. Stoją tu także komoda z trzema przepastnymi szufladami oraz duża szafa, gdzie mieściły się ich pozostałe letnie ubrania.

Dwa parapety są teraz puste, widzi je jednak takimi, jak przed laty, z należącymi do Thomasa kolekcjami muszelek. Na gałce szafy wisiał zawsze płócienny worek, do którego wrzucano wiaderka, łopatki i sieci do łowienia ryb; pod piętrowym łóżkiem leżały japonki i sandały, natomiast na komodzie stały tubki z kremem do opalania i środkiem antyseptycznym.

Walizki chowano do szafy. Na nocnej szafce leżały jego książki. W rogu stała wiolonczela. Na gałce od łóżka wisiał biały słomkowy kapelusz Lily.

Ponownie widzi to wszystko oczami wyobraźni. Ich czwórkę razem, Thomasa i Poll śpiących spokojnie w jednym pokoju z rodzicami. Charlie pamiętał, jak leżał w łóżku i słuchając ich cichych sennych odgłosów, pojękiwań i westchnień, sam zasypiał, wtulony w Lily. Pamięta, jak budził się rano – bardzo wcześnie – kiedy jedno z dzieci, albo i oboje, pakowało się sennie do ich podwójnego łóżka.

Ależ byli wtedy wszyscy szczęśliwi. Brał to szczęście za pewnik i nie wyobrażał sobie, że nadejdzie czas, kiedy to wszystko się zmieni.

Zamyka cicho drzwi i otwiera następne. Zasłony nie są zaciągnięte – Chloë tego nie lubi. Dopiero po jakimś czasie nauczył się spać przy odsłoniętych oknach.

Cicho zamyka za sobą drzwi. Chloë leży skulona na łóżku i spod kołdry widać jedynie jej włosy.

– Zimno tu – powiedziała, kiedy ścielił jej łóżko. – Strasznie zimno.

– Ogrzewanie jest włączone – wyjaśnił. – Stare domy trudno jest ogrzać.

– Powinieneś był mi powiedzieć.

Ale co? Że w domu, o którym wiedziała, że ma prawie sto lat, będzie chłodniej niż w ich nowoczesnym mieszkaniu z oknami z podwójnymi szybami? Zaczyna mieć jej dość. Po przyjeździe praktycznie nie odezwała się do Lily, nie złożyła kondolencji z powodu śmierci matki, nie podziękowała za zaproszenie do Land's End. I nie zareagowała także dobrze na wiadomość, że jest jedna łazienka dla wszystkich. Ciekawe, co będzie, kiedy spróbuje skorzystać z telefonu.

Lepiej by było, gdyby przyjechał tu sam.

Charlie kładzie kąpielówki na kaloryferze, po czym kuca, aby wyjąć z walizki coś do ubrania. Za oknem miarowo pada deszcz. Słyszy jakiś szelest na łóżku i odwraca się. Chloë wspiera się na łokciu i obserwuje go z poważną miną.

– Cześć – mówi.

– Cześć.

– Byłem pływać z Poll.

Wzdryga się.

– W deszczu?

– Rozpadało się dopiero po naszym powrocie.

Od snu ma lekko zaróżowione policzki. Zawsze uwielbiał to, jak wygląda zaraz po przebudzeniu. Wyjmuje bokserki, dżinsy, bluzę. Może powinien pójść do niej, może ich ciała potrzebują ponownie się złączyć, pozwolić, aby seks odgonił brzydotę wczorajszego dnia.

Ale są pod tym samym dachem, co jego była żona. Są w domu, w którym on i Lily tyle razy uprawiali seks, wymykając się na górę w te popołudnia, kiedy dzieci przebywały gdzieś razem z Kitty. Przekręcając klucz w zamku, by nikt im nie przeszkodził.

Chloë nie była na pogrzebie Kitty, nie zapytała go, czy chciałby, aby mu towarzyszyła.

Przypuszczalnie lepiej się stało, że nie pojechała, jednak bolało go trochę, że tego nie zaproponowała. A teraz przebywa w domu Kitty, nie okazując mu żadnego szacunku. Oto przebywa w domu kobiety, która po śmierci pierwszej stała się dla niego drugą matką, kobiety, która była na tyle wielkoduszna, aby wybaczyć mu rozstanie z jej córką.

Zakłada bokserki i pozwala ręcznikowi opaść.

– Idę pomóc przy kolacji – mówi. – Zawołam cię, kiedy będzie gotowa.

– Dobrze. – Ponownie znika pod kołdrą.

Charlie kończy się ubierać, po czym cicho wychodzi z pokoju.

POLL

– Dobrze, że nie przyjechaliśmy tutaj z powodu pogody – stwierdza jej matka, stojąc w oknie salonu, o które uderzają krople deszczu. Ładnie wygląda w tym odcieniu błękitu. Krój sukienki podkreśla szczupłą figurę. – To przez ten deszcz pewnie są korki.

Poll milczy. Aidan obiecał, że zamknie dziś galerię godzinę wcześniej. Nawet gdyby rzeczywiście były korki, do tego czasu powinien już tu być. Próbowwała zadzwonić do niego z supermarketu, kiedy Joe płacił za zakupy, ale włączyła się od razu poczta głosowa.

– Nie mogę się doczekać twojego przyjazdu – powiedziała. – Jedź ostrożnie.

Drzwi się otwierają i wchodzi Joe z naręczem czarnych bryłek torfu.

– Prognozy na jutro wyglądają obiecująco – oświadcza, wkładając bryłki do wiklinowego kosza. – Ma być koło dziewiętnastu stopni.

Na twarzy jej matki maluje się powątpiewanie.

– Dziewiętnaście stopni w kwietniu?

– Tak mówią.

W kominku od południa pali się ogień. W przeciwległych rogach pokoju niczym wartowniczeki stoją mosiężne lampy z kremowymi kloszami, rzucając dwa kręgi stonowanego światła. Poll siedzi na bujanym fotelu, od zawsze jej ulubionym. Pamięta, jak w deszczowe popołudnia siadywała na nim na kolanach babci, podczas gdy Thomas i tata budowali na podłodze domki z klocków lego.

Zapada zmierzch, a niebo przybiera odcień ołowiu. Trudno sobie wyobrazić, że jutro ma być ciepło, trudno uwierzyć, że niebo może być błękitne, no ale trzeba mieć nadzieję, że tak właśnie się stanie.

W drzwiach pojawia się jej ojciec w jednym z fartuszków babci. Włosy ma zaczesane do tyłu.

– Wszystko gotowe – mówi z zadowoleniem. W ręce trzyma kieliszek czerwonego wina.

– Och, świetnie. Joe, dołóż kilka bryłek do ognia, żeby w międzyczasie nie zgasł.

– Nie czekamy na pozostałych? – pyta Poll.

– Nie sędzę, aby się o to pogniewali. Poll, dasz Chloë znać, że kolacja gotowa?

– Ja to zrobię – mówi szybko tata.

Ale ona zdążyła już wstać z fotela i nie patrząc na ojca, kieruje się ku schodom. Wczoraj mama gotowa była czekać i czekać, kiedy sądziła, że on i Chloë są w drodze, za to dziś nie może poczekać pięciu minut na Aidana i Thomasa.

Oczywiście, że nie to stanowi powód jej rozdrażnienia.

– Powiedział ci, że też przyjechała? – zapytała mama, kiedy tata brał prysznic.

Nie powiedział. Nie zrobił tego, kiedy pływali – być może zbyt wielki był z niego tchórz. Może wolał, aby to mama wykonała za niego brudną robotę.

Przynajmniej Aidan niedługo się tu zjawi.

Powinna była poczekać i przyjechać tu dzisiaj razem z nim.

Wchodzi niespiesznie po schodach, świadoma spojrzenia taty. Uśmiechnie się. Będzie uprzejma, nawet jeśli miałoby to ją zabić. Nie da po sobie poznać, że jest wytrącona z równowagi, ale na pewno nie będzie się zachowywać przyjacielsko.

Puka do drzwi.

– Tak?

– Kolacja gotowa.

Odgłos kroków. Drzwi się otwierają.

Chloë ma na sobie chabrową tunikę sięgającą połowy uda, na nią zaś zarzuciła granatową chustę. Do tego wąskie, szare spodnie, czarne czółenka ze złotymi ćwiekami. Włosy zebrała wysoko w luźny koczek, który przewiązała cienkim szalikiem w jaśniejszym odcieniu szarości niż spodnie.

Oczy ma obwiedzione czarną kreską, usta jasnorożowe. Cera wręcz promienieje.

Przy niej Poll czuje się zaniedbana i gruba. Tak lubiana przez Aidana wzorzysta bluzka i Iniane spodnie nagle wydają się krzykliwe i bez gustu.

– Cześć – mówi Chloë. – Dawno się nie widziałyśmy. Przykro mi z powodu waszej babci.

– Nie byłaś na pogrzebie.

Te słowa wymykają jej się. Nie miała pojęcia, że je wypowie. Przecież nawet nie chciała jej na pogrzebie babci – a mimo to proszę. Szczere. Oskarżycielskie.

Wyraz twarzy Chloë nie ulega zmianie.

– Nie uznałam tego za konieczne, skoro jej nawet nie znałam.

– A mimo to przyjechałaś do jej domu.

A więc to by było na tyle, jeśli chodzi o uprzejmość i nieokazywanie tego, jak bardzo jest rozstrojona faktem, że ta osoba miała czelność się tu zjawić.

Mija kilka sekund.

– Zostałam zaproszona. Twoja matka mnie zaprosiła.

Ton głosu ma teraz zimny. Wpatruje się spokojnie w Poll. W jej spojrzeniu widać wyzwanie.

– Kolacja gotowa – powtarza Poll i z łożądkiem zwiniętym w supeł odwraca się w stronę schodów.

Kolacja upływa w napiętej atmosferze. Widać to w oschłym uśmiechu matki, słychać w wymuszonym śmiechu ojca. Tylko Joe sprawia wrażenie nieświadomego, a może po prostu decyduje się to ignorować.

Poll kładzie na swoim talerzu trójkąt tarty, ignorując parującą miskę ziemniaków od Gerry’ego. Morskie powietrze zazwyczaj pobudza jej apetyt, dzisiaj jednak w ogóle nie chce jej się jeść.

Pobyтови tutaj towarzyszy połączenie radości ze smutkiem. Za każdym razem, kiedy wchodzi do domu, widzi babcię albo jej echo. Składając narzutę, myjąc podłogę, krojąc marchewkę, wycierając kurz z poręczy. Gdy wcześniej zamykała okno w pokoju Thomasa, wyjrzała przez nie i oto babcia, a raczej jej duch, kosiła trawę.

Wcale nie napawa jej to lękiem. To wszystko przypomina oczywiście o stracie – mówi do Poll: „Oto, co miałaś, a czego już nie masz” – ale przywołuje też dobre wspomnienia, wspomnienia z czasów, kiedy babcia była zdrowa i silna, a prowadzenie co lato pensjonatu nie nastroczało jej żadnych trudności.

Pływanie z ojcem także było smutne. Tak wiele zmieniło się między nimi od czasu, kiedy on i mama się rozstali. Starali się, oboje się starali podczas wspólnej kąpieli w morzu. Możliwe, że on nieco bardziej, niemniej przepaść między nimi pozostawała ogromna.

– Wina? – pyta jej matka, trzymając butelkę nad kieliszkiem Poll, ona jednak kręci głową. Nie jest w nastroju na wino, zbyt denerwuje się tym, że Aidan jeszcze nie przyjechał.

– Sałatki?

Siedząca po przeciwnej stronie stołu Chloë podaje jej miskę. Ani jednym słowem nie odezwała się do taty, odkąd weszła do pokoju, odkąd wpłynęła tu niczym dziedziczka. Wylewnie przywitała się z Joem, za to tacie nie poświęciła ani jednego spojrzenia.

W sałatce znajdują się krążki czerwonej cebuli, które Poll będzie musiała wyjąć. Ojciec zapomniał, że nie znosi surowej cebuli, że przed jej dodaniem zawsze odkłada się dla niej porcję sałatki? A może pamięta, ale się tym nie przejmuje?

– Charlie mówił mi, że byliście pływać – kontynuuje Chloë.

„Charlie mówił mi” – celowo o nim wspomina, przywołując to, że są razem. Udając przy wszystkich, że zachowuje się przyjaźnie względem Poll.

– Tak – odpowiada Poll, świadoma nieufnego spojrzenia matki, która siedzi jak na szpilkach, bojąc się, że zdenerwowana Poll się skompromituje.

– Jutro możesz do nich dołączyć – wtrąca Joe i puszcza oko do Chloë.

Śmieje się. Wysoki, nieszczery dźwięk. Trzepocze do niego rękami.

– Niestety nie pływam.

– Pływasz – odzywa się tata. – Gdy w zeszłym roku byliśmy w Grecji, pływałaś.

– Nie powiedziałam, że nie umiem pływać, ale że tego nie robię. Nie w Irlandii. – Ton głosu ma chłodny, uśmiech znika z jej twarzy. Wypowiada te słowa, nie patrząc na tatę.

Ten bez słowa wraca do jedzenia. Nóż Lily zgrzyta o talerz. Joe odchrząkuje i teatralnie nakłada sobie drugą porcję sałatki. Być może w końcu także i on wyczuwa panujące przy stole napięcie.

– Panowie się spóźniają – odzywa się Poll, byle coś powiedzieć. – Dawno powinni już tu być. Aidan mówił, że wcześniej wyjedzie.

– Może w galerii był dziś ruch – stwierdza Chloë. – Raczej by jej nie zamknął, gdyby ktoś zamierzał wydać u niego okrągłą sumkę.

Kolejny szeroki uśmiech, ale wszystko, co mówi, jest naszpikowane kolcami.

– Ja bym się nie przejmował – mówi Joe. – Deszcz zawsze wszystko opóźnia. Niedługo się zjawia.

– Mam nadzieję.

Po kolacji dojadają resztki szarlotki, następnie raczą się kawą i kupionymi przez Joego miętowymi czekoladkami. Po świeczkach, które mama włożyła do starych, porcelanowych świeczników babci, spływa wosk; kilka kropli spada na stół. Rozmowa się nie klei. W końcu, nie będąc w stanie znosić dłużej przeciągającej się ciszy, Poll odsuwa krzesło i wstaje.

– Idę na werandę. Potrzebuję świeżego powietrza.

– Poll, zmarzniesz tam – mówi jej matka. – A krzesła są w szopie, więc nie ma na czym siedzieć.

– Nie będę tam długo.

– Przynajmniej weź mój szal. Leży na łóżku.

Po raz kolejny wchodzi na górę i otwiera drzwi pokoju, który dawniej należał do babci. Wchodzi do niego po raz pierwszy od przyjazdu, bojąc się tego, jak się zachowa jej serce.

Rozgląda się. Jest tu znajomo, ale inaczej.

Na wysokim mahoniowym łóżku leży teraz należąca do mamy kołdra, lecz Poll pamięta niebieską pluszową narzutę, wałek, złożony koc w kratkę.

W rogu stoi wielka szafa, obok niej zaś komoda. Pod oknem różowe krzesło, na którym babcia siadała z wełną i drutami, podczas gdy Poll na łóżku urządzała przyjęcia dla lalek. Kiedy stukanie o siebie drutów cichło, Poll podnosiła wzrok i przyłapywała babcię, jak ta spogląda w milczeniu na morze. Być może wspominając brata i siostry, którzy przepłynęli na drugi jego koniec i nigdy nie wrócili do domu.

Na toaletce brak jest koronkowego bieżnika. Poll pamięta, jak leżały na nim różne babcine drobiazgi. Szklany słoiczek z kremem do twarzy, złota szminka – zawsze w tym samym odcieniu różu, Candy coś tam. Puder z płaską, okrągłą gąbeczką, przypominający Poll grzyby, które podczas deszczu wyrastały pod drzewami na końcu ogrodu. Żłobkowy flakonik perfum o zapachu rosnącej przy szopie lawendy. Wysadzone muszelkami pudełko na biżuterię, które mama zrobiła dla niej dawno temu, kiedy chodziła jeszcze do szkoły.

Poll przesuwając dłoń po nierównej powierzchni tapety, od lat malowanej na kremowo. Ileż tam znajdowało się już warstw? Przygląda się stojącym w nogach łóżka męskim kapciom w kratkę. Tak, Joe to tego typu człowiek, który zabiera na weekendowy wyjazd własne kapcie. Tata nigdy nie miał kapci – po domu chodził w płóciennych butach, czy to latem, czy zimą.

Podchodzi do łóżka i siada na skraju materaca. Przez otwarte drzwi dobiegają z kuchni ciche głosy, męski śmiech. Poll przywołuje obraz siedzącej przed toaletką babci, psikającej perfumami nadgarstki, wyjmującej z pudełka sznur pereł i zakładającej go na szyję.

– Potrzebna mi pomoc – mówi. Słowa te w cichym pokoju brzmią zaskakująco głośno. – Potrzebna mi twoja pomoc. Tak bym chciała wiedzieć, czy rzeczywiście tu jesteś.

Nasłuchuje. Cisza. Po kolejnej minucie wstaje. Bierze szal – z miętowego kaszmiru, cudownie miękki i lekki – po czym wraca na dół i wychodzi na werandę. Bez kompletu wiklinowych mebli wydaje się taka długa i pusta. Jeśli jutro rzeczywiście będzie ładne, to powinni je wyjąć z szopy.

Deszcz przestał padać, a przynajmniej na razie, wieczór jednak pozostaje wilgotny i zimny. Poll widzi oczami wyobraźni karambol na dwupasmówce, zakrwawione ciała uwięzione w szponach pogiętej blachy. W taką pogodę może do tego dojść w ułamku sekundy, wszyscy się spieszą, asfalt śliski od deszczu. Wystarczyłoby, aby jeden rozmawiający przez telefon idiota skręcił nieświadomie na przeciwny pas ruchu...

Przestań. Skończ z tym. Coś go opóźniło i tyle. Przyjedzie i zasypie ją przeprosinami za spóźnienie. Thomas także, druga ofiara korków. Powinni byli przyjechać razem. Czemu żadne z nich

o tym nie pomyślało?

Wdycha chłodne powietrze. Wszystko jest świeżo wyprane – tak zawsze mówiła babcia po deszczu. Liście błyszczące i ociekające wodą, żwir lśniący. Morze ciche i spokojne, a jego powierzchnia niemal bez zmarszczek.

Szal pachnie kwiatowymi perfumami mamy. Z drewnianej balustrady łuszczy się biała farba. Mogłaby się tym zająć. Mogłaby tu przyjechać latem i pomalować ją na seledynowo, a może wybrałaby gołębią szarość. Jeśli ona i Aidan rozstaną się, będzie miała się czym zająć, oderwać myśli od tej straty.

Może przeprowadziłaby się tutaj, w szopie urządziła sobie pracownię, znalazła nowego klienta na głowy. Mogłaby stać się garncarką odludkiem, tak jak ten malarz, który rzadko pojawia się we wsi. Tak, to by się mogło udać.

Nie uważa, że czułaby się tu samotna – a na pewno nie bardziej niż w mieście, otoczona ludźmi, którym nie może pozwolić na to, aby ją pokochali.

Przechodzi na drugi koniec werandy. Piętnaście kroków. Kiedy była mała, miała wrażenie, że to cały kilometr.

Jakiś dźwięk w oddali – samochód? Wraca szybko na schodki i wyęży słuch. Tak, zdecydowanie samochód, jadący w tym kierunku. Widzi teraz na drodze snop światła rzucany przez reflektory. Thomas czy Aidan?

Gdy auto skręca na podjazd, Poll z radosnym biciem serca rozpoznaje saaba. Patrzy, jak zatrzymuje się za należącym do Joego land roverem – a potem nie potrafi się dłużej powstrzymać. Przewiesza szal mamy przez balustradę. Zbiega po schodkach, a kiedy Aidan wysiada, rzuca mu się w ramiona, niemal go przewracając.

– Hej... – Aidan unosi rękę i przytrzymuje okulary, które o mało nie spadły mu z nosa. – Spokojnie, Poll!

– Myślałam, że coś ci się stało. – Tuli się do niego, przyciska twarz do zagłębienia w jego szyi, wdycha jego zapach. Nie chce go stracić. – Spóźniłeś się, bardzo się bałam, wszyscy się martwiliśmy. Dlaczego jesteś tak późno?

Czuje, jak ją obejmuje – och, cóż za rozkosz płynąca z jego dotyku.

– Poll – mówi delikatnie. – Coś rzeczywiście się stało, ale nie mnie.

Słyszy, jak otwierają się drzwi od strony pasażera. Zaskoczona unosi głowę i zerka ponad ramieniem Aidana.

– Thomas – mówi.

LILY

Miał nóż.

Groził jej synowi nożem.

Jakiś zwyrodnialec, jakaś menda wyrzuciła jej syna z jego własnego samochodu, grożąc mu przy tym nożem. Po tym, jak Thomas okazał mu życzliwość, po tym, jak zabrał go z ulicy, ten drań gotowy był zrobić mu krzywdę. Być może nawet zabić. Odsuwa od siebie tę myśl, nie będąc jej w stanie znieść.

Gniew, jaki czuje w stosunku do napastnika, tej żalostnej kreatury, której nie miała okazji poznać, jest pierwotny i zażarty. Wściekłość pochodząca z głębi jestestwa Lily, zrodzona ze ślepego instynktu macierzyńskiego nakazującego chronić młode, nawet jeśli to młode jest już dorosłe. Myśl o tym, co ten chłopak zrobił Thomasowi i co mógł mu zrobić, sprawia, że jej dłonie zaciskają się w pięści, a wszystkie mięśnie twarzy się napinają. Gdyby rzeczywiście wyrządził jej synowi poważną krzywdę, gotowa byłaby go zabić.

Najpierw Charlie, teraz Thomas. Wygląda to tak, jakby zaatakowano jej rodzinę. Poll jest następna? A może ona? Czy są tu bezpieczni?

Oczywiście, że tak. To po prostu niefortunny zbieg okoliczności. Korki podczas długich weekendów, opóźnienia i podenerwowanie, mnóstwo okazji do tego, aby z ludzi wychodziło zło.

W czasie, gdy nowo przybyli jedzą kolację, pozostali poznają resztę historii. Aidan zabrał Thomasa po wypadku, czekającego w deszczu na poboczu. Z telefonu Aidana zadzwonili na policję i usłyszeli, że Thomas powinien nazajutrz pojechać na komisariat, aby złożyć pełne zeznanie. Zatrzymali się w przydrożnym pubie, tak by Thomas mógł się przebrać i wypić gorącą whiskey.

Nadgarstki wystają mu spod rękawów swetra Aidana; spodnie od dresu są równie krótkie. Idealnie pasują tylko kaptcie Joego, które ten zaoferował mu po przyjeździe. Przemoczone rzeczy Thomasa suszą się na kaloryferach w całym domu.

Lily patrzy, jak je zostawioną dla niego tartę. Ma go ochotę przytulić. Thomas wygląda na zaszokowanego, oszołomionego. Lily żałuje, że jej syn nie ma nikogo specjalnego, tak jak Poll ma Aidana, a ona Joego.

Telefon podłączył do ładowarki, mimo że tutaj akurat nic to mu nie da. Do jego butów upchano gazety. Poll, jedyny kierowca, który nie pił wina, udała się samochodem matki do wsi, by zadzwonić pod numer alarmowy i zgłosić kradzież kart płatniczych Thomasa.

Łóżko pościelono mu zapasową kołdrą, przywiezioną przez Lily na wszelki wypadek, oraz ciężką patchworkową narzutą użyczoną przez Charliego i Chloë. Butelkę z gorącą wodą owinięto T-shirtem Charliego.

Najbliższy komisariat znajduje się w Galway, jakieś czterdzieści pięć minut drogi stąd. Jutro po południu Aidan lub Charlie zawiezie tam Thomasa. Robią dla niego, co tylko się da, starając się zminimalizować traumę związaną z tym, co się stało, a mimo to Lily czuje się bezsilna i wściekła.

A pod tą wściekłością pozostaje świadoma nieprzerwanej irytacji związanej z obecnością Chloë w Land's End. Ta irytacja pozbawiona jest logiki – ta dziewczyna otrzymała przecież zaproszenie – a mimo to nie chce odpuścić.

Sama Chloë także nie sprawia wrażenia, jakby miała ochotę tu być. Widać, że nadal jest obrażona na Charliego po tym, jak ten wczoraj na nią nakrzyczał. Prawie w ogóle nie patrzy w jego stronę, warczy, jeśli on ośmieli się do niej odezwać, nie przejmując się tym, co sądzą o tym pozostali. Lily kusi, aby mocno nią potrząsnąć, kazać jej dorosnąć i przestać zachowywać się jak rozpuszczony, bezduszny bachor.

No i te włosy przewiązane absurdalnym szalikiem. Wygląda jak jakaś sprzątaczką hipiska. Do tego chuda jak bezdomne zwierzę – jak Charlie może coś takiego uważać za atrakcyjne? Cóż za śliczną, normalną figurę ma w porównaniu z nią Poll. Może przydałoby jej się zgubić kilka kilo, ale lepsze to niż bycie chudą jak szczapa.

Thomasa na jej widok zamurowało, bo oczywiście nie spodziewał jej się tutaj. Nie wiedział o zmianie planów. Jest jak zamknięta księga, dlatego trudno ocenić, co tak naprawdę sądzi na temat jej

i Charliego, z pewnością jednak nie pochwała ich związku, nawet jeśli dla świętego spokoju chodzi z nimi na kolację.

Lily prześlizguje się wzrokiem po siedzących wokół stołu osobach. Powinna przekazać swoją nowinę teraz, dopóki wszyscy są obecni, tyle że to nie jest odpowiednia pora – Thomas nadal dochodzi do siebie po tym, co się stało, ona zaś w duchu gotuje się ze złości. Zaczeka do jutrzejszego wieczora, kiedy wszystko na pewno się uspokoi.

Wlewa resztę wina do kieliszka Aidana i spogląda pytająco na Thomasa.

– Chcesz, żeby tata otworzył jeszcze jedną butelkę?

Kręci głową.

– Dzięki, nie trzeba.

– Tak sobie myślałem – rzuca Charlie – czy by nie przejść się do Sully's na kieliszek czegoś mocniejszego przed snem.

– Ja odpadam – mówi od razu Lily. Ostatnie, na co ma w tej chwili ochotę, to włączenie się po ciemku. Nie ten nastrój.

– Ja też – wtrąca Chloë. – Wcześniej się dziś położę.

Boże, znowu będzie spać, co się dzieje z tą dziewczyną?

– Rozumiem, że Sully's to bar? – pyta Aidan.

– Taki, do którego mamy najbliżej – wyjaśnia Lily. – Niecały kilometr stąd.

– Co ty na to, Poll, idziemy?

– Czemu nie? Thomas, też pójdziesz?

Kręci głową.

– Spasuję, nie mam dziś na to ochoty. Może jutro.

– A ja się przyłączę – odzywa się Joe, posyłając szybkie spojrzenie Lily. – Nie masz nic przeciwko?

– Oczywiście, że nie – odpowiada, bardziej cierpko niż zamierzała. Nie potrzebuje przecież jej pozwolenia, aby iść na piwo.

Dwadzieścia minut później, sprzątnąwszy ze stołu i znalazłszy w czeluściach domu dwie latarki, są gotowi do wyjścia.

– Nie zmywaj – mówi Charlie. – Zajmiemy się tym po powrocie.

Doskonale wie, że Lily nie zniesie widoku brudnych naczyń w zlewie. Miałby nauczkę, gdyby rzeczywiście je zostawiła.

W międzyczasie Chloë znika, mówiąc dobranoc gdzieś w przestrzeń. Do kolacji nie piła wina, a później zaparzyła własną zieloną herbatę – taka z niej zdrowo żyjąca damusia. Nie zaoferowała także pomocy w zmywaniu, odczeka pozostawiając brudne naczynia Lily i Thomasowi.

Kiedy w kuchni jest już czysto, Lily zaparza dzbanek herbaty i razem z nim udają się do salonu, gdzie jest przytulnie, ciepło i pachnie torfem.

Mama zawsze kochała kominki. Czy to lato, czy zima wieczorem, zawsze rozpałała ogień w obu salonach, zresztą ku zachwytowi amerykańskich gości. Oczywiście pod koniec jej życia otwarty ogień stał się problemem, bo istniały obawy, że może spalić dom. Nie przekonała się do zainstalowanego przez Charliego elektrycznego kominka, zresztą Lily wcale jej się nie dziwiła: paskudztwo bez duszy.

Zastanawia się, co się z nim stało. Co z nim zrobiono po tym, jak Kitty trafiła do domu opieki? Charlie zaniósł go pewnie na strych, kiedy przyjechali posprzątać dom, jakiś miesiąc po wyprowadzce Kitty.

Thomas dorzuca do ognia. Lily przynosi z kuchni jego buty i stawia je na krawędzi paleniska.

– Jak się czujesz? – pyta go.

– Lepiej. Jedzenie pomogło.

Lily siada tam, gdzie zawsze.

– Co za potworność. Tak bardzo bym chciała, aby w ogóle się nie wydarzyła.

– Ja też. – Wstaje i otrzepuje kolana za krótkich spodni. – Mam nadzieję, że nie zostałam, bo uznałaś, że musisz się mną opiekować.

– W żadnym razie. Nie jestem dziś w nastroju na Sully's.

– Nie? – Thomas uśmiecha się blado i krzyżuje ręce na piersi. – Przypuszczalnie to moja wina.

– No coś ty. To znaczy oczywiście, że zdenerwowałam się tym, co się stało... – zerknięcie w stronę drzwi, zniesienie głosu – ... ale jeśli mam być szczerą, to wolałabym, aby Chloë tu nie było. Jej obecność strasznie mnie drażni.

Mija chwila. Thomas siada na bujanym fotelu.

– Wiem, że ją zaprosiłam, tyle że... zaskoczył mnie jej przyjazd. Kiedy w ogóle się jej nie spodziewaliśmy.

Ponownie nic nie mówi, jedynie odpycha się stopą od podłogi, delikatnie kołysząc. Ma oczywiście rację, że nie ciągnie tematu.

– Pamiętasz? – pyta Lily, głównie po to, aby zmienić temat. – Mieliliśmy grafik dla tego fotela, dla ciebie i Poll. Abyście przestali się kłócić, kto ma na nim siedzieć.

Śmieje się.

– Naprawdę?

– Zmiana chyba co dwadzieścia minut.

– Zabawne.

Przez chwilę oboje milczą. W końcu Thomas zaczyna coś mówić, po czym urywa. Lily czeka.

– Kiedy to się stało – mówi w końcu – znaczy się ta cała historia z samochodem, miałem ochotę wrócić do domu. Naprawdę nie chciałem tu przyjeżdżać.

– Rozumiem.

– Tak... ale teraz cieszę się, że przyjechałem. Fajnie tu wrócić.

– To dobrze.

Sączą herbatę, a w kominku migocze ogień.

– Co dziś robiłaś?

– Ja? Och, nic takiego. Rano Karina Clery podrzuciła jajka, stąd tarta. Zaprosiłam ją na kawę i siedziała ze dwie godziny – wiesz, jaka jest gadatliwa. Po jej wyjściu zrobiłam sobie spacer wzdłuż plaży, a potem się rozpadało. Większość popołudnia spędziłam na rozwiązywaniu krzyżówek i drzemaniu.

– Ładowaniu baterii.

– Właśnie tak. – Lily bierze łyk herbaty. – Mam nadzieję, że dobrze będziesz dziś spał. Że nie będziesz rozpamiętywał tego, co się stało.

– Postaram się.

– Pamiętaj, że to tylko samochód, a rzeczy da się zastąpić. Najważniejsze, że tobie nic się nie stało.

– To prawda.

– Przypomnij mi, abym zmieniła ci wodę w butelce.

Uśmiecha się.

– Mamo, sam to ogarnę. Jestem już dużym chłopcem.

Oczywiście, że ogarnie. Oczywiście, że jest. Niełatwo się wyzbyć matczynych nawyków. Lily ziewa.

– Zmęczona jesteś – mówi Thomas.

– Trochę. To to morskie powietrze.

Kostki ma takie blade i chude. Jako dziecko z trudem przybierał na wadze, mimo że wciskała w niego mnóstwo ziemniaków i zapiekank. Biedna Poll, wystarczyło, że spojrzała na jedzenie. Życie nie było fair.

Zapada komfortowa cisza. Gdy Lily wyciąga nogi w stronę ognia, do jej głowy napływają wspomnienia. Pierwszy mleczak Poll pod poduszką w Land's End. Złamana ręka Thomasa po upadku z roweru. Wyrzucona przez fale złachmaniona lalka, z miejsca adoptowana przez Poll, z nowym strojem wydzierganym przez mamę.

Cofa się myślami jeszcze dalej, do własnego dzieciństwa. Przypomina sobie kremową warstwę śmietanki na górze szklanej butelki z mlekiem, którą co rano dolewała do owsianki. Ukochany płaszczyk z zielonego aksamitu, noszony tylko w niedzielę. Podekscytowanie towarzyszące otwieraniu paczek od

cioci Cory z Ameryki, owiniętych w szary papier i ciasno przewiązanych sznurkiem.

Niestety zawartość często okazywała się potwornym rozczarowaniem. Starannie złożone sukienki, które rzadko dobrze na niej leżały, działające jej na nerwy lalki z porcelanowymi głowami. Raz intensywnie zielony, robiony na drutach kapelusz, prawdziwe paskudztwo. Na szczęście mama także uznała, że jest okropny i oddała go pewnej rodzinie we wsi, która miała więcej małych głów niż kapeluszy.

Czasem jednak Corze zdarzało się trafić w dziesiątkę. Czerwone, wełniane rajstopy w czarne groszki, w których Lily uparcie chodziła, mimo że były za duże o co najmniej dwa rozmiary, przez co opadały w kroku i musiała je nieustannie podciągać. Serwis kawowy dla lalek, na widok którego dosłownie zaparło jej dech w piersi. Wsuwki do włosów w kolorach amerykańskiej flagi, na tyle egzotyczne, że co najmniej przez tydzień zazdroszczono ich jej na szkolnym podwórku.

Pamięta radość jej matki, kiedy zaginiony brat Gabriel w końcu się odezwał gdzieś z samego środka Ameryki. Niedługo wcześniej zmarł ojciec Lily – kilka miesięcy, nie więcej – ale tego dnia, w którym przyszedł list od Gabriela, mama uśmiechnęła się po raz pierwszy od czasu, kiedy została wdową.

Przysłana razem z listem Biblia przez kolejne miesiące leżała na kredensie w kuchni. Otwierano ją co wieczór po kolacji i jedna z nich odczytywała ustęp lub dwa. Do zdjęcia umieszczonego między jej kartkami zakupiono srebrną ramkę.

Pamięta także szloch matki, zaledwie dwa lata później, kiedy Cora przysłała telegram z informacją o śmierci Gabriela. Nie widziała go od tylu lat, ale śmierć jedyne go brata ją załamała. Od tamtej pory minęły prawie cztery dekady, lecz Lily wciąż pamięta, jak bardzo jej się to wtedy wydawało okrutne. Po co los oddał go siostrze po tak długim czasie, by wkrótce znowu go odebrać? Było to tak samo bezwzględne, jak odebranie Lily i mamie taty.

– Jakie to jest dla ciebie, mamó? Przebywanie tutaj, to znaczy: po babci.

Pytanie wyrывa ją z zadumy. Mija kilka sekund, nim udaje jej się odsunąć od siebie przeszłość.

– Jest... inaczej. Trochę inaczej. Pewnie to nieuchronne, skoro... – Urywa, zaskoczona nagłym ścisaniem gardła, pieczeniem pod powiekami. Mruga i próbuje raz jeszcze: – Skoro jej już nie ma.

Lily odchrząkuje i mruga. Jakie to niemądre z jej strony. To przez te wszystkie wspomnienia i grzebanie w przeszłości.

Jest świadoma tego, że Thomas przygląda jej się zatroskany.

– Dobrze się czujesz, mamó?

– Tak. – Zbyt szybko pije herbatę, która parzy ją lekko w przełyku. – Dobrze – powtarza. – Po prostu jestem trochę zmęczona. Właściwie, jeśli się nie pogniewasz, pójdę już na górę.

– Oczywiście, że nie. Ja też nie będę długo tu siedział. Śpij dobrze.

Dziesięć minut później twarz i zęby ma umyte i leży pod kołdrą w łóżku swojej matki, z kolanami podciągniętymi pod brodę, tuląc butelkę z gorącą wodą.

Czy dobrze robi, wyrzekając się Land's End? Czy rozstanie się z miejscem, które zawsze nazywała domem, nie jest szaleństwem? Ale ma to przecież sens, prawda? Dlatego że teraz, kiedy mama nie żyje, a Charlie odszedł, wszystko się zmieniło i nie ma powodu, aby dłużej się tego trzymać. Co więcej może zrobić poza pożegnaniem się z tym miejscem?

Mieli tu zamieszkać na emeryturze, ona i Charlie. Mieli dożyć tu swoich dni, jeśli tylko dopisałoby im szczęście i do końca mogliby się cieszyć jasnością umysłów i niezależnością. Jednak tak się nie stanie. Alternatywą jest wspólne zamieszkanie w Land's End z Joem, a jej trudno to sobie wyobrazić.

Joe nie jest związany z tym miejscem, nie łączy go z nim przeszłość. Dopiero w ten weekend spędził pierwszą noc pod tym dachem. Nie można od niego oczekiwać, że pokocha ten dom tak, jak kocha go ona, jak kocha go Charlie. Kochał.

Nie, nadal kocha.

Więc przez większość czasu dom będzie stał pusty. Ona i Joe będą tu oczywiście czasem przyjeżdżać, Poll i Aidan i Thomas pewnie także. Weekendy, może tydzień w okolicy świąt wielkanocnych, może dłużej w lecie – ale dom będzie nieuchronnie popadał w ruinę, aż znajdzie się

w takim stanie, że nie będzie jej stać na naprawy. Joe na pewno chciałby pomóc, ale nie mogła na to pozwolić – zresztą jego zarobki nie mogły się równać z dochodami Charliego.

Dlatego jedynym rozwiązaniem jest sprzedaż, przekazanie domu komuś, kto będzie go kochał i opiekował się nim tak, jak na to zasługuje. Oczywiście, że dla nich wszystkich będzie to cios, ale to jedyne racjonalne rozwiązanie tej kwestii.

Słyszy, jak Thomas wchodzi na górę, słyszy wodę spuszczaną w toalecie, wodę puszczaną pod prysznicem. Czy ma w ogóle szczoteczkę do zębów? Po raz kolejny Lily zalewa falą gniewu w stosunku do napastnika. Przypomina jej się pytanie syna o to, jak to jest być tutaj, i zbiera jej się na płacz. To był trudny rok, różne wyzwania w szkole, śmierć mamy i wisząca nad nią presja ślubu.

Może mogliby przełożyć ślub, choćby o kilka miesięcy. Może to trochę za wcześnie po śmierci mamy. Mogliby poczekać do Bożego Narodzenia, prawda? Po co ten pośpiech? Joe może być niezadowolony – bardzo chce uczynić z niej porządną kobietę – ale jeśli mu wyjaśni, co czuje, na pewno zrozumie.

W czerwcu miną dwa lata, odkąd się poznali na turnieju golfowym. Po tym, jak jej drużyna wygrała z jego zespołem, postawił jej drinka w klubie. „Aby pokazać, że nie żywię urazy”, tak powiedział.

Uznała to za urocze i spodobało jej się, że jest weterynarzem. Cieszyła się, że po rozstaniu z Charliem ktoś znowu jej pragnie, i poczuła ulgę, że nie będzie musiała reszty życia spędzić w pojedynkę.

W domu zapada cisza, słysząc jedynie znajome skrzypnięcia. Myśli o Thomasie w jednym z pokoi z tyłu domu, Chloë w drugim. Szkoda, że ci dwoje nie są parą. Miałoby to o wiele większy sens: dzielił ich tylko rok albo dwa. Ale oczywiście byłiby totalnie niedobrani. Chloë owinęłaby sobie biednego Thomasa wokół palca – nigdy nie byłby dla niej wystarczająco dobry. Zresztą ona nie jest w jego typie, za bardzo zadziera nosa.

Tuli butelkę z gorącą wodą i w końcu zasypia.

NIEDZIELA, 30 KWIETNIA

THOMAS

Jest tuż przed szóstą w ten ostatni dzień kwietnia i dopiero robi się jasno. Dwudziestodwuletni Thomas Cunningham stoi na lodowato zimnych kamieniach nad brzegiem Atlantyku zupełnie nagi i stara się nie drżeć. Wczesnoporanne powietrze jest chłodne; woda, szara jak stal, tysiąc razy zimniejsza. Każda najmniejsza fala docierająca do jego stóp sprawia, że cały się spina.

Kręci mu się w głowie ze zmęczenia, szczypią go oczy, ale płatanina myśli nie pozwala zasnąć. Przed oczami cały czas ma obraz grożącego mu nożem nastolatka, nakazującego wysiąść z auta.

Udawało mu się zasnąć tylko na chwilę i za każdym razem budził się z głośno walącym sercem, spocony, zbyt zmęczony, aby zapalić światło i poczytać zabraną na górę gazetę, zbyt wyczerpany, aby zrobić cokolwiek poza ponownym zapadnięciem w kolejny niespokojny sen, w którym czekał na niego ten sam potworny scenariusz.

W końcu, po kolejnym gwałtownym przebudzeniu, Thomas miał dość. Nadal było ciemno, a przez cienkie zasłony nie przedostawała się choćby zapowiedź poranka. Przez kilka pierwszych sekund miał problem ze zorientowaniem się, gdzie się znajduje. Wiedział, że to nie jego łóżko, jednak otaczające go powietrze pachniało znajomo. W końcu udało mu się znaleźć włącznik lampki.

Jego przytępiony umysł nie od razu rozpoznał ten pokój. Thomas zarejestrował wzorzystą tapetę – paprocie, lilie – krzesło, na którym leżały nieznajome ubrania, kremową toaletkę z upstrzonym plamami lustrem, pod oknem mały stolik z porcelanową miską i dzbankiem w kwiaty. Land's End, w końcu to do niego dotarło – to oraz fakt, że w sąsiednim pokoju śpi Chloë.

Nie, odsunął od siebie tę myśl. Nie mógł wspominać teraz szoku, jakiego po wejściu do kuchni doznał na jej widok. Nie mógł rozmyślać o tym, że jednak przyjechała, że jednak tu była – a teraz on tkwił tu uwięziony, a jego jedyny środek ucieczki został mu ukradziony. Uwięziony, a mimo to nadal jej pragnął, nadal darzył ją zakazanym uczuciem.

Sięgnął po zegarek. Zamrugał, aż w końcu cyfrowy wyświetlacz stał się wyraźny. Piąta pięćdziesiąt jeden, czyli niedługo powinien nadejść świt. Odrzucił ciężką kołdrę i potrząsnął głową, odsuwając od siebie potworne obrazy. Musiał wstać, musiał zrobić coś, co go odciągnie od tej koszmarnej nocy.

Zdjął należący do taty T-shirt i założył ubrania pożyczone od Aidana, po czym wyszedł boso na korytarz. W łazience opróżnił pęcherz i ukradł ręcznik. Zszedł po cichu na dół, zabrał z salonu swoje buty i wyciągnął gazety, których nawcisła do nich mama. Założył je, nie zwracając sobie głowy sznurowaniem. Były jeszcze ciut wilgotne, nie mógł jednak iść na plażę w kapciach Joego.

Otworzył drzwi i wyszedł z domu. Przez dłuższą chwilę stał na werandzie – tak, na niebie widać było teraz pierwsze oznaki świtu, biegnącą wzdłuż horyzontu wstęgę jaśniejszej szarości, wypychającą światło do góry. Drzwi zostawił uchylone, po czym udał się na plażę. Parę metrów od brzegu rozebrał się szybko, zanim zdążył zmienić zdanie.

A teraz stoi na kamykach, nadal zaspany, z podkulonymi palcami u stóp, pocierający szybko dłonie.

– Wchodź szybko – mówił zawsze tata. – Nie zwlekaj. Im dłużej czekasz, tym jest trudniej.

Thomas bierze głęboki oddech i rzuca się w morze, robiąc dwa długie kroki, wydając cichy okrzyk, kiedy lodowate krople odbijają się od jego ciepłej skóry.

Kiedy robi się zbyt głęboko, aby przeskakiwać przez fale, a okrągłe kamyki na dnie ustępują miejsca piaskowi, w końcu cały się zanurza.

Nigdy dotąd nie kąpał się nago. Nigdy nie przyszło mu to głowy, nawet jeśli miał taką okazję, ale skoro kąpielówki stracił razem z resztą bagażu, nie ma wielkiego wyboru. Przekonuje się ze zdziwieniem, że podoba mu się to doznanie. Takie poruszanie się w wodzie bez żadnej odzieży daje niezwykle poczucie swobody. Żadnych ograniczeń, żadnej bariery między skórą a morzem.

Gdy tak płynie, zaczyna poprawiać mu się nastrój. Nie na darmo mówi się, że aktywność fizyczna wytwarza hormony szczęścia, prawda? Naturalne uczucie euforii wywołane energicznymi ruchami – a te akurat są wyjątkowo energiczne. Zanurza głowę, a słona woda wpływa mu do otwartych ust.

Wraz z poprawą nastroju pojawia się postanowienie. Thomas obiecuje sobie, że nie będzie rozmyślał o utracie samochodu. Jest to niedogodność – no i strasznie irytuje go myśl o pozostałych rzeczach, zwłaszcza ulubionej koszuli – ale nie koniec świata. Do pracy chodzi pieszo, więc tu akurat nic się nie zmieni. A policjant, z którym wczoraj wieczorem rozmawiał przez telefon Aidana, powiedział mu, że samochód przypuszczalnie się znajdzie. *Sprawdzimy zwyczajowe miejsca. Możliwe, że będzie zniszczony, ale o ile nie zostanie wykorzystany do popełnienia przestępstwa, sprawca raczej nie będzie zwracał sobie głowy paleniem go.*

Płynie dalej, a jego myśli kierują się ku matce. Nie pamięta, aby widział kiedykolwiek jej łzy – ale wczoraj wieczorem było blisko. Poczul się wtedy bezradny i skrępowany. A kiedy poszła na górę, ulżyło mu, bo nie musiał zajmować się jej smutkiem. Teraz wstyd mu z tego powodu.

Po powrocie zabierze ją na kolację, tylko we dwoje. Będzie do niej częściej dzwonił. Będzie lepszym synem. Cieszy się, że znalazła Joego, bo po tylu latach z tatą samotność na pewno była dla niej trudna.

Niebo nad nim coraz bardziej jaśnieje, a szarość przecinają wstążki w kolorze lawendowym, fioletowym i różowym. Między nimi pojawia się także żółta poświata, co Thomas bierze za dobry znak. Po wczorajszym deszczu należy im się trochę słońca.

Nad jego głową przelatuje mewa, ciemna plamka na tle nieba, zaczynająca dzień równie wcześnie jak on. Normalnie w niedzielę lubi dłużej pospać, a często wstaje dopiero tuż przed południem.

Pójdą dzisiaj na mszę. Dawno już nie był w kościele – porzucił ten zwyczaj tuż po skończeniu dwudziestu lat – ale ten poranek jest dla babci. Kościół we wsi jest mały i stary; pamięta, jak lubił unoszący się w nim zapach. Przypuszczalnie kadzidło.

Po lunchu on i jego ojciec albo on i Aidan pojedą do Galway na komisariat policji. Nie napawa go entuzjazmem perspektywa ponownego przeżywania tego, o czym wolałby zapomnieć, ale trzeba to zrobić i już.

Nadal przyzwyczajają się do tego, że wrócił do Land's End. Wczoraj powiedział mamie, że cieszy się, że tu przyjechał, i niezależnie od zamieszania wprowadzonego nieoczekiwaną obecnością Chloë naprawdę tak uważa. Przypomina sobie to, o czym zapomniał, migawki ze wszystkich spędzonych tutaj wakacji.

Pokój rodzinny u szczytu schodów, piętrowe łóżko, on na górze, Poll pod nim. Zabawa w dwadzieścia pytań, dopóki jedno z nich nie odpadnie.

Chodzenie z mamą albo tatą do wsi – jakże się to wydawało daleko! Wydawanie kieszonkowego na cukierki i sorbety w Fox's albo raz na jakiś czas szarpnięcie się na frytki w Wesołym Rybaku.

Budowanie zamków na większej plaży, tej piaszczystej na drugim końcu wsi. Wolał jednak ich plażę. Jako mały chłopiec wierzył, że należy do nich, aż pewnego dnia zapytał babcię dlaczego pozwala, aby przychodzili tam inni ludzie.

– Nikt nie jest właścicielem plaży – wyjaśniła. – My mamy to szczęście, że mieszkamy najbliżej.

Pora wracać, bo zimno zaczynało się robić nieznośne. Gdy Thomas zawraca, przypomina mu się epizod z wczoraj, coś, o czym nie powiedział przy stole. Gdy czekał w deszczu na Aidana, jeden z przejeżdżających samochodów zwolnił i zatrzymał się obok niego. Czarny, wyglądający na drogi sedan, rejestracja z hrabstwa Kerry. Szyba opuściła się do połowy, wypuszczając powiew ciepłego powietrza.

– Podwieźć gdzieś pana? – zapytał kierowca.

Koszula i krawat, w średnim wieku, łysiejący. W radiu jazz, marynarka wisząca na haczyku nad szybą z tyłu. Thomas podziękował i powiedział, że nie trzeba, że na kogoś czeka. Nie wyjaśnił braku kurtki podczas deszczu, nie wspominał o utracie samochodu. Nie miał serca, aby ubierać to wszystko w słowa.

Mężczyzna sięgnął do schowka po stronie pasażera i wyjął złożoną czarną parasolkę.

– Proszę wziąć chociaż to.

– Co? Nie, ja...

– Proszę wziąć – powtórzył. – W bagażniku mam drugą.

Tak więc Thomas przyjął parasolkę i podziękował kierowcy, ten zaś machnął mu ręką na

pożegnanie, po czym zamknął szybę i odjechał.

Miło z jego strony, że się zatrzymał, aby sprawdzić, czy może pomóc. Przypomniał Thomasowi, że dobro istnieje. Przypomina mu się, że parasolka nadal się znajduje w samochodzie Aidana.

Brzeg jest coraz bliżej. Musi być już koło wpół do siódmej, nadal za wcześnie, aby spodziewać się, że ktoś już wstał. Jest zmęczony po tej porannej aktywności, a brak snu robi swoje. Zaparzy herbatę, zabierze ją na górę i może zdrzemnie się jeszcze na dwie godzinki.

Gdy dopływa do brzegu, widzi niebieską fasadę domu, wyróżniającą się na tle kolorów wsi: zieleni, żółci i brązów. Wychodzi z wody, chcąc jak najszybciej się ubrać. Wyciera się ręcznikiem, po czym zakłada spodnie. Jego własne ciuchy na pewno są już suche – dobrze mieć znowu rzeczy, które na niego pasują.

Zakłada pożyczony sweter i własne buty. Przebiega przez plażę, a potem przez podjazd. Zatrzymuje się na korytarzu i nasłuchuje, do jego uszu nie dociera jednak żaden dźwięk oprócz jego przyspieszonego oddechu.

Wchodzi do kuchni.

– Cześć, Thomas.

Chloë opiera się o kaloryfer, a w dłoniach trzyma parujący kubek. Jest okutana w kilka warstw ubrań – niebieskich, lawendowych, liliowych. Włosy ma rozpuszczone, usta blade i niepomalowane, powieki bez makijażu.

Oczy ma wielkie, a pod nimi widać cienie. Wygląda młodo i pięknie, ale sprawia wrażenie bardzo zmęczonej. Jej widok, tak nieoczekiwany, rozstraja go równie mocno jak wczoraj.

– Byłam na plaży – mówi. – Widziałam twoje rzeczy. Też nie mogłeś spać?

Była na plaży?

– Nie.

Cała się wzdryga.

– Nie mam pojęcia, jak mogłeś pływać w takie zimno. Na pewno jesteś bardzo zahartowany. – Pociąga z kubka duży łyk. – Musiałam zaparzyć herbatę, aby się rozgrzać. W czajniku została woda.

– Dzięki.

Thomas przerzuca ręcznik przez oparcie krzesła, świadomy swojego niechlujnego wyglądu. No i do tego za małe ubrania. W milczeniu włącza czajnik, a do kubka wrzuca saszetkę z herbatą. Jej wzrok sprawia, że czuje mrowienie na zimnej skórze. W kuchni unosi się delikatna woń wczorajszej kolacji.

– Przykro mi z powodu twojego samochodu – bąka Chloë.

– No.

– Dziwne, że oboje doświadczyliśmy w samochodach czegoś przerażającego, prawda?

Zerka na nią i widzi cień uśmiechu. Też się próbuje uśmiechnąć, usta ma jednak zeszytywniałe.

– Przynajmniej my nadal mamy nasz – dodaje.

Nasz.

A więc tak wygląda zaraz po przebudzeniu. Tak by wyglądała, gdyby leżał przy niej przez całą noc. Gdyby on się obudził, ona się obudziła, i odwróciliby się twarzami do siebie.

Parzy herbatę i wsypuje do niej cukier. Z lodówki wyjmuje mleko. Czy kiedykolwiek byli ze sobą sam na sam? Wydaje mu się, że nigdy.

Wykorzysta tę szansę. Powie jej, co czuje, i do diaska z konsekwencjami.

Zrób to. Zrób to.

Dolewa mleko do herbaty. Trzęsie mu się ręka, z zimna albo ze strachu. Serce objęta się boleśnie o zębra, gardło ma ściśnięte. Na dłoniach i czole czuje pot.

– Chloë...

– Dlaczego tak tu zimno? – pyta go. W tym samym czasie ich głosy się zderzają.

Thomas urywa. Słowa pozostają w nim. Bum, bum, bum, wali serce, próbując wyrwać się z klatki piersiowej. Jak to możliwe, że ona tego nie słyszy?

– Nie uważasz, że w tym domu jest zimno? Wiem, że włączono ogrzewanie, ale ja nadal zamarzam. Charlie twierdzi, że tylko ja.

Charlie.

Jest z Charliem. Jest z jego ojcem.

Dociera do niego, że Chloë czeka na odpowiedź.

– To stary dom – mówi więc. – Pewnie się do tego przyzwyczailiśmy.

– On też tak twierdzi.

Miesza herbatę. Brzęknięcie łyżeczki o ściankę kubka okazuje się zbyt głośne.

Chloë odkleja się od kaloryfera i odstawia kubek do zlewu.

– Pójdę spróbować jeszcze zasnąć. Na razie.

– Na razie.

Po jej wyjściu wieszka ręcznik na kaloryferze, płucze jej kubek i odstawia na suszarkę.

Wróciwszy do swojego pokoju, ponownie się rozbiera, po czym wchodzi pod ciężką kołdrę. Zamyka oczy i próbuje odtworzyć dzisiejsze pływanie, próbuje przywołać euforię, jakiej wtedy doświadczył, tyle że zdążyła w międzyczasie zniknąć. Odepchnęła ją ta krótka wymiana zdań w kuchni.

Prawie to zrobił, prawie rzucił bombę atomową. Ona go powstrzymała – ale czy stało się to przypadkiem czy też wyczuła, na co się zanosi, i nie chciała tego usłyszeć?

Czy jeszcze kiedyś trafi mu się taka okazja?

Czy chce tego? Byłby skłonny zaryzykować? Tak wiele do stracenia, ale za to wszystko do zyskania.

Tuż przed siódmą, gdy pierwsze nieśmiałe promienie słońca padają ukosem na Atlantycką, Thomas zasypia, pogrążając się w cudownej nieświadomości. Na toaletce stoi zimna i zapomniana herbata.

CHARLIE

– Gdzie byłaś? Obudziłem się, a ciebie nie było.

Nie otrzymuje odpowiedzi. Materac ugina się lekko pod jej ciężarem, gdy kładzie się z powrotem do łóżka. Jej stopa muska jego łydkę; czuje, jak bardzo jest lodowata.

– Gdzie byłaś? – pyta raz jeszcze.

– Na plaży.

– Na plaży? Jest środek nocy. – A raczej dopiero świta: z tego, co widzi, niebo nadal jest bardziej ciemne niż jasne. – Która godzina?

– Ćśś. Jest wcześnie. Idź spać.

Charlie zamyka posłusznie oczy.

– Thomas tam był – szepcze Chloë, tak cicho, że ledwie ją słyhać.

Od razu unosi powieki.

– Co takiego? Thomas?

– Mm.

Przekręca się i spogląda w błądy księżyc jej twarzy.

– Thomas był na plaży?

Słyszy ziewnięcie, czuje poranny oddech.

– Pływał.

– Thomas pływał?

– Ćśś. Jestem zmęczona. I zimno mi. – Otula się ciasniej kołdrą.

– Nadal tam jest?

– Nie wiem.

Odwraca się na drugi bok, zabierając jeszcze więcej kołdry. Odprawiając go.

Charlie słucha jej oddechu, który po chwili staje się wolny i miarowy. Zасыpia szybko jak małe dziecko. Leży przy niej, zupełnie już rozbudzony, i zastanawia się, czy zejść i sprawdzić, jak wygląda sytuacja.

Dlaczego Thomas miałby pójść pływać sam o tak wczesnej porze? Jest dobrym pływakiem, zgoda, a na tej plaży nie pojawiają się niebezpieczne prądy – no ale jednak. Jako dzieci Thomas i Poll byli przestrzegani przed pływaniem w pojedynkę. Tak, Charlie sam tak robi, często pływa sam, ale on jest starszy i głupszy i niewielka byłaby strata dla wszystkich, gdyby złapał go skurcz i zabrał z tego padołu.

Słyszy jakiś dźwięk – czy rzeczywiście? Nasłuchuje w bezruchu. Ciche kroki na schodach. Kliknięcie otwieranych drzwi, drugie kliknięcie towarzyszące ich zamykaniu.

Thomas.

Jego syn, który nie skończył studiów. Obsługiwał stoliki i mył podłogę w tej ciasnej kafejce. Nigdy nie był w związku, a przynajmniej do żadnego się nie przyznał. Mieszka z parą gejów – dlatego, kto wie, może on też...? Jest wystarczająco dorosły, aby się ujawnić rodzinie, tyle że dotąd tego nie zrobił.

Sądząc po tej pracy bez perspektyw, nie ma żadnych oszczędności. W listopadzie skończy trzydzieści lat, przyszedł na świat pięć i pół miesiąca po tym, jak Charlie poprowadził Lily do ołtarza.

Thomas, ich mała wpadka.

Zamyka oczy i przekręca się na bok – lecz przeszłość nie pozwala mu znowu zasnąć.

– Spóźnia mi się okres – tak mu powiedziała Lily.

To był marzec. Poznali się we wrześniu rok wcześniej, gdy Charlie dołączył do grona pedagogicznego w szkole, gdzie pracowała Lily, po tym, jak w jego poprzedniej pracy zmalała liczba uczniów i stał się zbędny. Zaczynał się przekonywać, że nauczyciele muzyki są bardziej zbędni niż ci, którzy uczą prawdziwych przedmiotów, a raczej tych, które w świecie akademickim uważane były za prawdziwe.

W październiku zaprosił ją na randkę. W grudniu po raz pierwszy poszli ze sobą do łóżka.

Uważali – nie byli przecież głupi. On miał dwadzieścia siedem lat i nie był już pożądanym nastolatkiem, który nie wie, jak nie dopuścić do poczęcia dziecka, albo się tym nie przejmując. Stosowali antykoncepcję, nigdy nie ryzykowali – aż jednej nocy pod koniec lutego w newralgicznym momencie pękła prezerwatywa. A dwa tygodnie później Lily spóźnił się okres.

Fatalne zgranie w czasie. Charlie robił doktorat z muzyki i rozglądał się za lepszą pracą, z większymi zarobkami i prestiżem. Lily niedawno skończyła dwadzieścia dwa lata, drugi rok pracowała w szkole, ciesząc się niezależnością, jaką zapewniały jej praca i pensja. Żadne z nich nie miało w planach dziecka, nie wtedy.

Rozmawiali o tym. Analizowali różne opcje. Zgodzili się, że to za wcześnie, że zaledwie pięć miesięcy minęło od ich pierwszej randki. Może ich związek by przetrwał, może zdecydowałiby się spędzić resztę życia właśnie ze sobą, zbyt wcześniej było jednak na podjęcie decyzji, prawda? Nie mogli pozwolić, aby dziecko ukształtowało ich całą przyszłość.

Ostatecznie lot do Anglii i klinika w Londynie wydały się najbardziej rozsądnym rozwiązaniem. Lily skonsultowała się z koleżanką, której siostra kilka lat wcześniej podjęła taką samą decyzję, i uzyskała wszystkie potrzebne informacje.

Dzień Świętego Patryka tamtego roku wypadł we wtorek; szkoła zdecydowała, że poniedziałek także będzie dniem wolnym, dzięki czemu powstał długi weekend. Dokonali stosownych ustaleń. Lily powiedziała swojej matce, która spodziewała się jej wtedy w Land's End, że Charlie zaprosił ją na ślub przyjaciela w Londynie. Wybierali się tam całą grupą, tak powiedziała, robiąc z tego krótkie wakacje.

Rodzice Charliego usłyszeli, że zostanie on w mieście, aby się uczyć; zaakceptowali to wyjaśnienie bez żadnych pytań. Jedyne jego ojciec, u którego niedawno zdiagnozowano nowotwór, który potem, przed końcem roku odbierze mu życie, wyraził nadzieję, że Charlie nie pracuje zbyt ciężko.

– Pamiętaj, aby mieć także czas na zabawę – rzekł mu przez telefon.

Charlie wyobraził sobie jego konsternację i rozczarowanie, gdyby wiedział, co planują. Nie było w tym nic z zabawy.

Wszystko zostało załatwione, wizyta w klinice ustalona na poniedziałek. Wczesnym rankiem w niedzielę podjechał po Lily swoim mini i udali się na lotnisko w Shannon. Była milcząca, ale spodziewał się tego. Sam też czuł się nieswojo, niepokojąc się tym, co ich czeka. Pragnął, aby już było po wszystkim, aby mógł wrócić do życia wstrzymanego przez ciążę. Czuł także silny instynkt opiekuńczy względem Lily i dojmujące poczucie winy, że w jakiś sposób ją teraz zawodzi. Ale tego przecież chciała, prawda? Oboje tego chcieli.

Prawda?

W hali odlotów kupił herbatę i drogie bułeczki. Zjadł swoją bez przyjemności; Lily skubała swoją, aż w końcu owinęła ją w serwetkę.

– Zjem później – wyjaśniła, próbując się uśmiechnąć.

Przez cały lot siedziała ze wzrokiem wbitym w tę samą stronę gazety, a tymczasem on męczył się z krzyżówką w „Irish Timesie”, z którą zazwyczaj nie miał najmniejszego problemu.

Wylądowali w Londynie. Charlie wyjął ze schowka nad głowami ich torby, następnie zszedł schodkami na asfalt. Czekał na dole; z samolotu wyłonili się po kolei wszyscy pasażerowie, ale nie ona.

Zostawił torby na ziemi – kto miałby je ukraść? – i wrócił do samolotu. Przedstawił się tej samej stewardessie, która kilka minut wcześniej pożegnała go uśmiechem.

– Moja dziewczyna – powiedział, zerkając w stronę rzędów. – Nie wysiadła z samolotu.

Jedna ze stewardes zaprowadziła go do Lily, siedzącej na miejscu 11B, tam, gdzie ją zostawił. Błada, spokojna, milcząca.

Zająwszy miejsce 11C, ujął jej dłoń, a w tym czasie stewardessa dyskretnie się oddaliła.

– Skarbie, chodź – powiedział łagodnie. – Musisz wsiąść, tylko ty jeszcze tego nie zrobiłaś.

Odwróciła się w jego stronę.

– Nie mogę tego zrobić – rzekła. – Nie mogę.

– Lily, rozmawialiśmy o tym. Ustaliliśmy, że to...

– Wiem – ale nie mogę. Po prostu nie mogę.

Więc ostatecznie nie zrobili tego. Pojechali metrem do Londynu, zostawili bagaże w małym

hoteliku, w którym Charlie zarezerwował dwie noce, a resztę dnia spędzili w parku św. Jakuba, spacerując w bladym słońcu, odpoczywając co jakiś czas na jednej z ławek.

I ustalili nowy plan.

– Weźmiemy ślub – oświadczył, gdy stali na mostku, a ona kruszyła resztki bułki i rzucała pływającym po jeziorze kaczkom.

Spojrzała na niego.

– Charlie, nie musisz tego robić.

– Chcę.

Miał dwadzieścia siedem lat. Pora, aby się ustatkował. Oboje mieli stałą pracę, którą na szwank mogłoby narazić wspólne zamieszkanie bez ślubu. Był przekonany, że kocha Lily, ona zaś utrzymywała, że kocha jego, no i była w ciąży z jego dzieckiem.

Tak właśnie trzeba było zrobić.

– Chcesz? – zapytał. – Wziąć ślub. Chcesz za mnie wyjść?

Jej spojrzenie omiotło jego twarz, zatrzymując się na ustach.

– Chyba tak – powiedziała powoli. – Ale wołałabym, żeby nie było to... takie.

Na małym palcu miał złoty sygnet, który rodzice sprezentowali mu w dniu ukończenia studiów.

Zdjął go i padł na kolano.

– Charlie...

– Lily Murphy, czy uczynisz mi ten ogromny zaszczyt i zostaniesz moją żoną? – Wsunął jej sygnet na palec. Oczywiście okazał się za luźny. – Czy przymkniesz oko na fakt, że dzieje się to wcześniej, niż się spodziewaliśmy i po prostu wyjdiesz za mnie, jeśli obiecuję, że będę dobry dla ciebie i naszego dziecka?

Przygryzła wargę. Widział, że oczy ma pełne łez. Wstał i wziął ją w ramiona. Mijający ich turyści udawali, że nic nie widzą. Przed nimi w oddali Big Ben, za nimi pałac Buckingham.

– Chcesz tego? – szepnęła mu do ucha, wtulając się w niego. – Naprawdę?

– Tak. Naprawdę.

– Nie mówisz tego tylko ot tak?

– Nie mówię tego tylko ot tak. – Zawahał się. – Jedno jednak muszę jasno powiedzieć.

Odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

– Co?

– Chcę z powrotem mój sygnet. Nie możesz go zatrzymać.

Minęła chwila. Po jej policzku spłynęła jedna łza. Lily wydała dźwięk, który był ni to śmiechem, ni szlochem, po czym znowu się w niego wtuliła.

Przed powrotem do Irlandii wszystko ustalili. Pobiorą się najszybciej, jak uda się to zorganizować. Ona chciała ślubu w kościele; on także, głównie ze względu na swoich rodziców. Jedyne, co musieli zrobić, to podzielić się wielką nowiną.

Łatwo powiedzieć. Obie matki podniosły larum.

– Złapała cię na dziecko – wściekała się jego matka. – Najstarsza sztuczka na świecie: zajdź w ciążę, zmusz mężczyznę do ślubu. Co ty o niej wiesz? Czym się zajmuje jej rodzina?

– Ojciec nie żyje. Matka prowadzi pensjonat nad morzem.

– Pensjonat!

Zmienił taktykę.

– Lily jest nauczycielką, tak jak ja. – Do tego akurat matka nie mogła mieć obiekcji.

W sumie nie miała, ale to wcale nie poprawiło sytuacji.

– Dla niej dobrze, krótki dzień pracy, długie wakacje do opieki nad dzieckiem – ale co z tobą? Masz ambicje. Mierzysz wyżej niż praca w szkole średniej, Charlie. A to ci w tym przeszkodzi.

– Nie przeszkodzi. Nadal będę mógł zrobić doktorat. – Nie był tego taki pewny. Chciał, ale czy będzie to teraz wykonalne?

– Z małym dzieckiem w domu? Masz pojęcie, ile dziecko kosztuje i jak wiele wymaga pracy? No i gdzie będziecie mieszkać? Pomyślałeś o tym?

I tak dalej, i tak dalej, nie potrafiąc albo nie chcąc dostrzec, że wina nie leży wyłącznie po stronie

Lily, że oboje brali udział w poczęciu jej pierwszego wnuka.

Z Kitty wcale nie poszło łatwiej.

– Dlaczego bardziej nie uważałeś? – zapytała ostro, kiedy Lily zostawiła ją samą z Charliem i poszła zajrzeć do kotletów jagnięcych, które szykowała, aby udobruchać matkę. – Jesteś starszy. Powinieneś być zachować się bardziej odpowiedzialnie.

Charlie zaczął jej wyjaśniać, że pękła prezerwatywa, ale Kitty mu przerwała.

– Na litość boską, oszczędź mi drastycznych szczegółów. Najważniejsza kwestia: kochasz moją córkę?

– Kocham.

Był tego pewny. Tęsknił za nią, kiedy nie była przy nim, lubił spędzać z nią czas. Była troskliwa, kochająca i inteligentna. Byli seksualnie dobrani. Czy to wszystko nie wskazywało na miłość?

Kitty jeszcze nie skończyła.

– Jak zamierzacie sobie poradzić, skoro oboje pracujecie? Mam nadzieję, że nie oczekujesz od Lily, aby zrezygnowała z pracy?

– Oczywiście, że nie. Coś wymyślimy.

I wymyślili. Poradzili sobie – głównie dzięki Kitty, która ostatecznie okazała się darem niebios i mogli na nią liczyć, kiedy z końcem lata zamknęła swój pensjonat. Po narodzinach Thomasa na kilka dni wprowadziła się do ich wynajętego mieszkania i oświadczyła, że chętnie przyjedzie, gdy tylko będą potrzebowali odetchnąć, gdy będą mieli ochotę na krótki wyjazd tylko we dwoje.

Co drugi weekend spędzali w Land's End. W niedzielę Kitty żegnała się z nimi i obdarowywała jedzeniem, które wystarczało na cały tydzień, i zachęcała do rychłego powrotu.

– Przyjedźcie tu na wakacje. Zostawię jeden pokój dla waszej trójki.

Ostatecznie jego matka także zaakceptowała tę sytuację – aczkolwiek ona i Lily nigdy nie zbliżyły się do siebie tak, jak Charlie i Kitty. Trudno się dziwić, skoro miały tak mało czasu na wytworzenie się więzi, gdyż jego matka przez pierwsze tygodnie życia Thomasa opiekowała się umierającym mężem, a wkrótce potem sama także zachorowała na raka płuc. Zmarła niecałe dwa lata po usłyszeniu diagnozy, gdy Lily była w ciąży z Poll.

Mimo traumatycznego początku ich małżeństwo przetrwało. Czy na początku Charlie rzeczywiście ją kochał? Po tylu latach nie ma już takiej pewności. Ale trwał przy niej, zaprowadził ją do ołtarza. Jeśli tym, co do niej czuł, nie była miłość, to na pewno coś przybliżonego, a podczas kolejnych lat to uczucie tylko przybrało na sile.

Może z ręką na sercu stwierdzić, że przez ponad dwie dekady byli szczęśliwi. Na ogół. Mieli wzloty i upadki, ale która para nie ma? Po urodzeniu Poll Lily przechodziła trudny okres, podczas którego często płakała i mimo zmęczenia miała problemy ze snem. Pomagał, jak tylko mógł, ale miał własne wyzwania – załatwianie spraw zmarłej matki i kończenie pracy naukowej. Nie był to dla nich dobry okres, ale jakoś dali sobie radę.

Zdarzały się także wyboje w czasie, kiedy dzieci dorastały, ale ogólnie było dobrze. Na swój sposób stanowili idealną parę, a jeśli czasem zdarzało mu się marzyć, że wiedzie bardziej ekscytujące życie, beształ się w duchu i kazał sobie dziękować Bogu za to, co ma.

A potem naukę w college'u muzycznym rozpoczęła nowa studentka – Chloë Richardson – i przypomniawszy mu o tym, o czym zdążył zapomnieć. Mimo to skłonny był nie podejmować drastycznych decyzji, odczekać, aż podekscytowanie romansiem z Chloë wypali się, aż znudzi jej się ktoś tyle starszy, ona jednak miała inny plan. Choć młoda, doskonale wiedziała, czego chce. Po roku ukradkowych spotkań zażądała od niego, aby dokonał wyboru – a on wybrał ją, kończąc swoje małżeństwo.

Czy to miłość? Z pewnością. Pomimo dzielących ich różnic, nie wspominając o dużej różnicy wieku, on nadal jest jej oddany. Z kolei ona jest niecierpliwa, wymagająca, egoistyczna, troskliwa, zabawna, nietaktowna i czarująca. Bez wątpienia czasami doprowadza go do szału – na przykład teraz – ale nawet temu towarzyszy pewna doza ekscytacji. Na dobre i na złe, przy niej Charlie czuje, że żyje. Ta dziewczyna w każdy możliwy sposób jest częścią niego.

Czy czuł się tak kiedyś z Lily? Czy roztopiała jego serce uśmiechem lub pocałunkiem? Nie potrafił powiedzieć, minęło zbyt wiele lat, aby mieć pewność – ale gdyby tak rzeczywiście było, czy by

to utracili? Czy byłby teraz z inną?

Kładzie rękę na ciepłych, nagich plecach Chloë. Ona wzdycha przez sen, poza tym jednak nie reaguje. W sierpniu miną cztery lata ich związku – oficjalnego, bo do tego dochodzi jeszcze rok ukrywania się. Czy za dwadzieścia lat, choćby dziesięć, nadal będą parą? Za dekadę on będzie zbliżał się do siedemdziesiątki, a Chloë będzie kobietą w kwiecie wieku.

Mało prawdopodobne. Dlatego zamierza cieszyć się tym, co ma i nie myśleć o przyszłości.

Leży obok niej i obserwuje, jak niebo robi się powoli niebieskie, aż w końcu do pokoju dolatuje zapach kawy. Wstaje, pozostawiając w łóżku śpiącą kochankę. Zakłada ubrania z wczoraj i przeczesuje palcami włosy. A potem wychodzi z pokoju i udaje się na dół.

POLL

– Dzień dobry – mówi tata. – Wcześniej wstałaś.

Nie spodziewała się go. Sądziła, że to mama albo Thomas, bo to oni byli rannymi ptaszkami w rodzinie.

– Poczulem zapach kawy – dodaje.

Ma na sobie te same rzeczy, co wczoraj: szafirowy sweter z granatowym paskiem przy szyi i na ściągaczu, no i jak zwykle džinsy. Kiedy nie jest akurat w pracy, zawsze zakłada džinsy. Jest nieogolony, zarost ma szczeciniasty i siwy. Worki pod oczami, wokół zewnętrznych kącików głębokie zmarszczki. Lekko przygarbione ramiona.

Za kilka lat zaczniesz być starszym mężczyzną.

Wskazuje na dzbanek ze stali nierdzewnej.

– Mam zaparzyć więcej czy...?

– Powinno wystarczyć.

Wyjmuje z kredensu kubek.

– Chcesz dolewkę?

– Nie, dzięki.

Dolewa mleka i miesza, ignorując cukierniczkę. Zawsze sładził dwie łyżeczki, udaremniając wysiłki mamy, która dążyła do tego, aby zredukować ilość cukru do jednej. Może dba o linię: gdy zobaczyła go wczoraj w kąpielówkach, trudno było nie dostrzec odkładających się w talii waleczków tłuszczu.

Podchodzi i staje obok niej przy oknie. Jest wzrostu Aidana, ma jakieś pięć centymetrów więcej niż ona. Poll wyczuwa delikatną woń kwiatowych perfum Chloë; unosi kubek, aby jego miejsce zajął zapach kawy.

– Zastanawiam się – mówi tata – co się teraz stanie z tym miejscem.

Wzrusza ramionami.

– Nic wielkiego. Mama i Joe będą tu przyjeżdżać, a kiedy przejdą na emeryturę...

Co się wtedy stanie? Kto wie? Przez jej głowę po raz kolejny przebiega myśl o tym, żeby samej tu zamieszkać. Budzić się każdego ranka w zielonym pokoju, mając za towarzystwo jedynie ducha.

– Koniec pewnej ery – stwierdza tata.

Koniec pewnej ery nastąpił cztery lata temu, kiedy on i mama wszystko zmienili. Koniec pewnej ery nastąpił dwa lata temu, kiedy babcia po raz pierwszy i ostatni wyprowadziła się ze swojego domu.

– Mam nadzieję, że on niczego nie zmieni w tym domu, znaczy się Joe. Mam nadzieję, że nie będą go próbowali zmodernizować.

Poll odwraca się do niego.

– A jakie to ma dla ciebie znaczenie? – pyta, a pytanie to brzmi bardziej nieprzyjemnie, niż zamierzała. – Przecież ty już tu nie będziesz przyjeżdżał, prawda?

Na chwilę ich spojrzenia spotykają się.

– Nie – odpowiada spokojnie tata. – Nie sądzę. – Pochyla głowę, aby podmuchać na kawę. Bierze łyk, wraca do stołu i dodaje jeszcze trochę mleka. – Lubisz mocną – mówi. – Zapomniałem o tym.

Poll żałuje swoich słów, ale nie potrafi mu tego powiedzieć. W ciszy, jaka zapada między nimi, rozlega się krzyk mewy. Niebo jest jasnoniebieskie, bez choćby śladu chmur. Będzie dziś zdecydowanie ładniej niż wczoraj.

– Thomas pływał wcześniej w morzu – odzywa się tata.

Jest zaskoczona.

– Wcześniej niż teraz?

– Jakoś o świcie. Chloë go widziała. Poszła na plażę, nie mogła spać.

Poll pije kawę i myśli o Thomasie i Chloë na plaży o brzasku. Nie, Thomasie w wodzie, Chloë na brzegu. Nadal trudno jej to sobie wyobrazić.

– Mama chce, żebyśmy poszli dzisiaj na mszę – mówi. – Za babcię.

– Wspominała o tym.

– To znaczy nasza czwórka. Nie pozostali.

Ojciec otwiera usta, po czym je zamyka. Znowu otwiera.

– Przykro mi, Poll – mówi delikatnie. – Wiem, że nie jest ci łatwo.

Poll odsuwa się, bo musi. Zbyt szybko unosi dzbanek, aby dolać sobie kawy, i rozlewa trochę na blat. Niełatwo patrzeć, jak ojciec robi z siebie głupca z dziewczyną w jej wieku. Nie, zdecydowanie nie jest to łatwe.

– To znaczy ze stratą babci, z którą byłaś tak zżyta. Pobyt tutaj na pewno jest dla ciebie trudny.

Ach. Powinna się była domyślić. On uważa, że nie zrobił niczego złego.

– Idę posiedzieć sobie w ogrodzie – mówi do niego. – Do zobaczenia na śniadaniu. – Z kubkiem w ręce idzie w stronę drzwi.

– Poll...

Czuje ściskanie w żołądku. „Nie”, myśli. „Nie prosź mnie o to, abym dała Chloë szansę. Nie mów, że nadal mnie kochasz. Nawet się nie zbliżaj do tych kwestii”.

Nie robi tego.

– Nie będzie ci za zimno? – pyta.

– Nie.

Na piżamę narzuciła marynarkę Aidana, a na stopach ma tylko skarpetki. Powinna założyć coś więcej – przez zimne płytki drzewieją jej palce u stóp – ale w ogrodzie będzie lepiej niż tutaj.

Tata dopija kawę i wstawia kubek do zlewu.

– I tak już idę – mówi, a coś w jego przygarbionej sylwetce sprawia, że Poll znowu czuje wstyd.

– Później moglibyśmy iść popływać – proponuje ojcu. – Zapowiada się ładny dzień.

W odpowiedzi otrzymuje uśmiech pełen wdzięczności, przez który czuje się jeszcze gorzej.

– Byłoby super – mówi tata. – Może po mszy.

– No.

Nad nimi słycać jakieś dźwięki. Kroki, otwierające się drzwi.

– Lepiej już pójdę – rzuca tata – jeśli chcę wskoczyć pod prysznic przed porannym zamieszaniem. Dzięki za kawę, skarbie.

Poll słyca jego cichych kroków na schodach. Trzymając kubek z kawą, wychodzi przez spiżarnię do ogrodu. Tutaj niebo ma jeszcze piękniejszy odcień błękitu, a zza wzgórz na wschodzie wyłania się słońce. To będzie wspaniały dzień – ale poranne powietrze pozostaje na tyle chłodne, że ciaśniej otula się marynarką Aidana.

Dobrze dziś spała, morskie powietrze zrobiło swoje, nie dręczyły jej żadne koszmary, a przynajmniej nic nie pamięta. Przypuszczalnie z Aidanem było podobnie – nadal smacznie spał, kiedy wychodziła na palcach z pokoju, aby zaparzyć kawę.

Podoba mu się ten dom. Po kolacji szybko go po nim oprowadziła, kiedy wszyscy zajmowali się jeszcze Thomasem.

– Rozumiem, dlaczego tak go kochasz – rzekł, przytulając ją i całując w policzek. – Ma charakter.

Później w pubie miał doskonały nastrój i nalegał, aby zagrali w rzutki, mimo że jest w tym fatalny.

Osoba patrząca na nich z boku mogłaby uznać, że wszystko jest w porządku. Nikt nie domyśliłby się, jakie Poll toczy ze sobą batalie.

Przysiada na żeliwnej ławeczce pod kuchennym oknem i nasłuchując ptasich treli, obejmuje dłońmi kubek. Trawa skąpana jest w rosie. Otaczające trawnik krzewy aż się proszą o przycięcie – babcię bardzo by zasmucił ten widok.

Słycać spuszczenie wody w toalecie. Chwilę później zaczyna lecieć woda pod prysznicem. Dom się budzi. Poll powinna się ubrać, ale nie ma ochoty porzucić spokoju, jaki zapewnia jej ogród. Podnosi wzrok na zasłonięte okno pokoju zajmowanego przez jej brata i myśli o jego samotnej morskiej kąpieli przed świtem.

Później zawiezie go do Galway; pożyczy samochód od mamy. Powie pozostałym, że chce to

zrobić. Aidan nie będzie miał nic przeciwko, że na kilka godzin zostanie sam, z pewnością znajdzie tu sobie coś do roboty.

Ona i Thomas spędzają ze sobą za mało czasu, zważywszy na fakt, że nie mają więcej rodzeństwa. Powinna częściej zaglądać do kafejki; mogłaby robić to w takiej porze, aby mógł spokojnie usiąść i z nią pogawędzić. Poll cieszy się, że w końcu znalazł sobie pracę, którą lubi. Trochę to trwało, ale udało się.

W życiu nie pomyślałaby, że jej brat wylądował w kawiarni – w ogóle nie umie gotować – ale sprawia wrażenie bardzo zadowolonego. Może ten lokal nie jest jakoś szczególnie modny, ale za to miły i przytulny. Z drugiej strony o Thomasie też nie można powiedzieć, że jest modny. A trzeba mieć chyba serce z kamienia, aby nie umieć dogadać się z Fredą.

W oddali słychać bicie dzwonów – wezwanie na pierwszą niedzielą mszę. Kościół przed laty zawsze był pełny, do komunii ustawiała się kolejka ludzi w kolorowych letnich strojach, część turystów, część miejscowych.

Książd miał brodę – tyle tylko pamięta. Wyglądał trochę jak Jezus z podręcznika do religii, tyle że miał krótsze włosy.

Słyszy kroki. W tylnych drzwiach pojawia się jej matka.

– Poll. Cóż za piękny poranek.

Ma na sobie liliowy polarowy szlafrok, który wygląda znajomo – obciążone materiałem guziki, na lewej stronie wyhaftowany kwiat – do tego grube szare skarpetki z plamkami czerni; za wielkie, aby należały do niej. Włosy ma przygniecione po jednej stronie, policzek różowy i widać na nim ślady po zagnieceniu na poduszce. Wygląda młodziej.

– Musiałam się napić kawy – mówi do niej Poll. – Jest jeszcze trochę w dzbanku, choć pewnie zdążyła już wystygnać.

– Niedługo zaparzę świeżą. – Mama opiera się o gałkę w drzwiach i wkłada ręce do kieszeni szlafroka. – Ta fuksja – dodaje, wskazując na nią głową. – Mój ojciec posadził ją rok przed śmiercią.

Poll spogląda na krzew po ich lewej stronie, maleńkie czerwone i fioletowe pączki. W języku irlandzkim *Deora Dé*, łączy Boga. Nie wiedziała, że posadził ją jej dziadek.

– Jaki on był? Przypomnij mi.

– Och – mówi cicho jej matka. I tylko tyle.

Kiedy milczenie się przeciąga, Poll odwraca się i widzi, że mama przyciska nasady dłoni do oczu.

– Mamo? Wszystko w porządku?

– Na litość boską – odpowiada szybko, po czym potrząsa głową, a palcem wskazującym i kciukiem ścisną nos. – Po prostu... przyjazd tutaj, bycie tu teraz... może to trochę za wcześnie... – Ściąga brwi i raz jeszcze potrząsa głową. – Och, sama nie wiem, co ja próbuję... – Urywa i sięga do kieszeni szlafroka po chusteczkę, następnie wydmuchuje nos.

Poll przesuwają się na ławce.

– Usiądź – mówi i jej matka tak właśnie robi.

Zaciska obie dłonie na zimnej krawędzi ławki, nie patrząc na córkę, lecz na ogród.

– Rozstroił mnie to – stwierdza. Poprawia się na ławce, strzepuje coś ze szlafroka i wkłada ręce do kieszeni. – Jak było wczoraj w Sully's? – pyta, obdarzając Poll wymuszonym uśmiechem.

– W porządku. Spotkaliśmy Nancy i Bernarda Cahillów.

– Wyszli z domu? Jak tam biedna Nancy?

– Dobrze. Pytała o ciebie.

– Umarł ich syn, wiedziałas? Chyba z sześć miesięcy temu. Ich jednak, zginął podczas przechodzenia przez ulicę. Ty go nie znasz, był kilka lat starszy od ciebie.

Poll go znała. Ale się durzyła w Dannym Cahillu. Kiedy miała dziesięć lat on, osiemnastolatek, przed wyjazdem na studia pracował w wakacje za ladą lokalnej frytkarni. Miał wesołe brązowe oczy i kruczoczarne włosy. Żonglował kielbaskami, aby ją rozśmieszyć. Ją i Thomasa nazywał miejskimi cwaniaczkami, ale tylko się z nimi droczył.

– Pamiętam, jak mi o tym mówiłaś – mówi teraz. – Pojechałaś na pogrzeb. Pojechałabym z tobą, tyle że miałam wtedy tamto zatrucie.

– No tak.

Pamięta, jak opłakiwała go cicho, leżąc w łóżku z okropnymi skurczami brzucha.

– Biedna Nancy – powtarza jej matka.

Zapada cisza, przerywana jedynie przez warkot traktora i świergot ptaków. Poll sączy zimną kawę.

– Przydałoby mu się nieco uwagi – stwierdza jej matka. – Prawda? Oгородowi.

– Też mi to przyszło do głowy. Mogłabym poprosić Aidana, aby skosił później trawnik.

Moglibyśmy pożyczyć od kogoś kosiarkę.

– Nie rób tego, nie chcę, żeby pracował w ten weekend. Kiedy przyjadę tu następnym razem, wynajmę kogoś we wsi, aby skosił trawę.

– Nie miałby nic przeciwko, mam. Na pewno.

– Nie, Poll. Jest gościem. A to jest wolny weekend.

Po trawie skacze rudzik. Na chwilę się zatrzymuje i przygląda się im z przechylnym łebkiem. Pewnie się zastanawia, kto wkroczył na jego terytorium.

– Zresztą sądziłam, że Aidan jedzie z Thomasem do Galway – dodaje mama.

– Właściwie to ja chętnie to zrobię, ale będzie mi potrzebny twój samochód. Aidan nie bardzo lubi, gdy ktoś inny siada za kierownicą jego auta.

– Oczywiście, że możesz wziąć mój. Tylko jedź ostrożnie.

– Jasne.

Jej matka zaplata pasek od szlafroka.

– Aidanowi podoba się dom?

– Tak. Twierdzi, że ma charakter.

Cichy śmiech.

– Zdecydowanie.

Słońce wspina się coraz wyżej, powietrze nieco się ociepla. Traktor nadal kaszle.

– Gerry pracuje od samego rana – stwierdza mama. – Szkoda, że nigdy się nie ożenił, prawda? Kiedyś wydawało mi się, że podoba mu się twoja babcia.

Poll patrzy na nią zaskoczona.

– Babcia? Naprawdę? A nie był od niej sporo młodszy?

– Nie tak sporo, siedem albo osiem lat. Nie sądzę jednak, aby dał ją radę okiełznać.

Poll próbuje wyobrazić sobie Gerry'ego i babcię razem. Tak, na pewno strasznie by dyrygowała tym biednym, łagodnym człowiekiem.

– Co się stanie z jego farmą? To znaczy po jego śmierci.

– Och, pewnie trafi w ręce kuzyna. Mieszka w Belgii albo Holandii, nie pamiętam. Kuzyn w drugiej linii, a może i trzeciej. Przyjechał tu po śmierci matki Gerry'ego. Jak on miał na imię? Jakos tak inaczej. Miał paskudne bokobrody. Ty go nie będziesz pamiętać, byłaś za mała.

Bezpośrednio nad nimi kołuje leniwie mewa. Coś szeleści w krzakach. Przez ciało Poll przebiega dreszcz i natychmiast mocniej zaciska dłoń na kubku.

– Poznajesz to? – pyta jej matka, dotykając kołnierzyka szlafroka. – Znalazłam go wczoraj. Leżał złożony na półce w jej garderobie. Myślałam, że wszystko zabraliśmy.

Poll kiwa powoli głową.

– Wiedziałam, że gdzieś już go widziałam. – Wraca do niej wspomnienie. Raz babcia zachorowała, grypa albo coś w tym rodzaju, i tylko wtedy Poll widziała ją nie w pełni ubraną. Zeszła do kuchni w tym szlafroku, z gorączką i wstrząsana dreszczami, ale uparła się, aby zrobić śniadanie dla gości pensjonatu. Mama musiała ją stamtąd praktycznie wygonić.

– Robiliśmy śniadania – mówi Poll. – Dla gości, wtedy, kiedy była chora. Robiliśmy je we dwie przez kilka dni. Pierwszego ranka przypaliłam owsiankę.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie tego.

– Dlaczego nie pojechał razem z nią do domu opieki? Szlafrok.

Matka wzrusza ramionami.

– Sądziłam, że go zapakowałam, na miejscu jednak okazało się, że nie. Kupiłam jej nowy.

- Żółty.
- Zgadza się.

Poll nie towarzyszyła rodzicom tamtego dnia, kiedy pojechali po babcię do Land's End. Głośno tego nie mówiono, ale wszyscy wiedzieli, że nigdy już tam nie wróci. Poll była w Land's End tydzień wcześniej. Pojechała na cały weekend, rzekomo po to, aby powiedzieć babci o Aidanie – reszta rodziny jeszcze o nim nie wiedziała – ale tak naprawdę było to jej pożegnanie z Land's End, bo wiedziała, że więcej nie zobaczy tego miejsca, a przynajmniej nie w najbliższej przyszłości.

W tamtym czasie babcia większość dni spędzała w domu, a trzy panie ze wsi na zmianę przychodziły sprzątać i ją karmić, no i zostawały także na noc. To było rozwiązanie tymczasowe, dopóki nie znajdzie się dla babci miejsce w domu opieki. Nie było innej opcji. Poll to rozumiała, ale i tak serce ją bolało na myśl, że babcia przeniesiona zostanie w jakieś anonimowe miejsce, a opiekować się nią będą obcy ludzie.

– Poznałam kogoś – powiedziała jej. – Chyba to ktoś wyjątkowy. – Trzymała chłodną, bezwładną dłoń w swojej, w oczach szukała błysku zrozumienia. – Ma na imię Aidan, jest właścicielem galerii. Sprzedaje moje głowy. Zaprosił mnie kilka razy na kolację.

A babcia patrzyła na nią niewidzącym wzrokiem, nie odzywając się ani słowem.

Jej matka wstaje.

– Chyba zabiorę się za śniadanie. Musimy pilnować czasu, żeby zdążyć na mszę. Chodź, dotrzymasz mi towarzystwa.

– Zaraz przyjdę.

Poll przygląda się, jak dwa motyle tańczą wokół siebie. Nie za wcześnie na nie? Ostatnio pory roku zupełnie się pomieszały.

Co takiego nie daje jej spokoju? Co drapie ją od środka, domagając się jej uwagi?

Odtwarza w myślach odbytą z mamą rozmowę – fuksja, niesforny ogród, Danny Cahill, Gerry zbyt miękki dla babci, szlafrok – jednak na próżno. Może to po prostu kofeina miesza jej w głowie.

– Dzień dobry, piękna.

W drzwiach stoi Aidan. Ubrany, z wilgotnymi włosami. Na jego widok zalewa ją fala miłości i strachu, w równych proporcjach. Posyła mu promienny uśmiech.

– Hej. Kiedy wstałam, ty spałeś jak zabity.

– Teraz jestem pomocą kuchenną. Odpowiadam za smażenie jajek.

– Pomogę ci. – Wylewa resztę kawy na trawę i wraca za nim do domu.

LILY

Gniewnie dźga widelcem kielbaski. Co się z nią, u licha, dzieje? Nigdy albo prawie nigdy nie płacze – a tutaj najpierw wczoraj o mało nie pękła przy Thomasie, a dziś przy Poll. Jeszcze pomyślała, że dzieje się z nią coś niedobrego.

– Wszystkie wbić, Lily? – pyta Aidan, zaglądając do miski z dużymi brązowymi jajkami od szczęśliwych kur Kariny.

– Ile zostało?

– Cztery.

– To daj wszystkie.

Lily przynosi ze spiżarni ciężką patelnię i zapala pod nią gaz. Jest po prostu zmęczona, ostatnie miesiące w pracy przed wakacjami zawsze są zabójcze – a zostało jeszcze pięć tygodni. Wylewa na patelnię odrobinę oleju.

No i jeszcze ślub i związany z nim stres, nawet jeśli mieliby go nieco przesunąć. Dodaje kielbaski.

I martwi się o Poll oraz w mniejszym stopniu o Thomasa. Potrząsa patelnią.

I stara się być uprzejma i akceptować obecność Chloë.

Nic dziwnego, że jest trochę rozstrojona.

Weź się w garść. Rozmawiaj z Aidanem. Powiedz coś.

– Poll mówiła, że podoba ci się dom.

– Jest świetny. Dorastanie w nim to musiało być nie byle co.

– To prawda.

Przed śmiercią taty miała szczęśliwe dzieciństwo, a potem przed długi czas czuła się samotna, zdezorientowana i smutna. Gdy mama otworzyła pensjonat, początkowo trudno jej się było przyzwyczaić do spotykania nowych osób na schodach, słyszenia w nocy nieznanomych chrapnięć, wyczuwania na korytarzu nowych zapachów. Przez jakiś czas miała wrażenie, że Land's End nie należy już do nich.

W odpowiednim czasie wokół stołu gromadzą się ludzie. Zaserwowane zostają kielbaski, kaszanka, smażone jajka i góra tostów. Zachwycają się zmianą pogody. Ci, którzy wybrali się wczoraj do Sully's, opowiadają Lily o grze w rzutki i druzgocącej porażce Aidana. Aidan oświadcza, że o wiele lepiej radzi sobie w szachach, a Thomas od razu rzuca mu wyzwanie, aby po mszy zagrali partyjkę. W porównaniu z wczorajszą kolacją atmosfera jest o niebo weselsza.

Jest kwadrans po dziesiątej, talerze zostały uprzątnięte, a po Chloë nadal ani śladu.

– Źle spała – mówi im Charlie. – Obudziła się o świcie.

Thomas przewraca swoją kawę i robi się małe zamieszanie. Lily dostrzega, że Charlie wymyka się z jadalni z kubkiem.

– Powiedz jej, że kiedy wstanie, niech się poczęstuje jedzeniem! – woła za nim.

Joe i Aidan postanawiają wybrać się z nimi na mszę. W sześćcioro odbywają dwudziestominutowy spacer do kościoła, a dzień jest niezmiennie przyjemny. To jeden z tych ciepłych dni późną wiosną, który pojawia się nie wiadomo skąd i równie szybko znika.

Samochody na drodze zwalniają. Kilka szyb opuszcza się i otrzymują propozycje podwózki. Lily dziękuje machnięciem ręki, delektując się słońcem.

W kościele nic się nie zmienia. Odkąd sięga pamięcią, ma taki sam wystrój, tak samo w nim pachnie. Dolly Brady gra na organach, jak zawsze od czasu, kiedy Lily chodziła do gimnazjum. Takie same szepty w ławkach, mężczyźni stłoczeni na końcu nawy.

Po mszy ludzie podchodzą do niej, aby uściskać jej dłoń i złożyć kondolencje. Znajomi i sąsiedzi mamy, ludzie, których Lily знаła przed laty. Niektórych łatwo sobie przypomina, tych, którzy stąd nie wyjechali, tych, na których wpadała podczas rodzinnych wakacji w Land's End. Z innymi jest trudniej, tymi, którzy wyprowadzili się stąd mniej więcej w tym samym czasie co ona i którzy pojawiają się tu tylko w niektóre weekendy.

Świadoma jest spojrzeń posyłanych Joemu, konsternacji u niektórych, kiedy widzą, że jest tu także Charlie. Wszyscy wiedzą o rozstaniu – czegoś takiego nie da się tutaj utrzymać w tajemnicy.

Oczywiście mama, kiedy jej umysł jeszcze sprawnie działał, nie rozsiewała plotek, natomiast jeśli ktoś ją pytał o Lily, to mówiła prawdę. Nawet gdyby tego nie robiła, zauważono by, że Lily i Charlie przyjeżdżają do Land's End osobno. Dodano by dwa do dwóch.

Po wyjściu z kościoła zatrzymuje ją Karina Clery i kiedy w końcu kończą rozmawiać, pozostali zniknęli już z oczu Lily. Gdy idzie ulicą, dostrzega Charliego pogrążonego w rozmowie z Dinnym Reillem, jednym z miejscowych rybaków.

– Lily.

Głos za nią. Odwraca się.

– Timmy Scanlon – mówi. – Kopę lat.

Ujmuje wyciągniętą dłoń, czuje zgrubienia, jakich się nabawił w swojej pracy.

– Wróciłem do domu na weekend – wyjaśnia mężczyzna. – Zobaczyłem cię w kościele. A twoja biedna matka odeszła.

– Tak, kilka tygodni temu.

Timmy Scanlon. Przez całą podstawówkę chodzili do tej samej klasy. Jej pierwszy chłopak; musieli mieć wtedy koło trzynastu lat. W każde popołudnie odprowadzał ją do domu, a czasem zatrzymywali się we frytkarni na jedną porcję frytek na dwoje. Kradł jej buziaka przy furtce Land's End ustami smakującymi jeszcze octem. Chodzili ze sobą z sześć tygodni, nim któreś z nich straciło zainteresowanie? Nie potrafiła sobie przypomnieć rozstania, tego, czy przebiegło w przyjaznej atmosferze czy wprost przeciwnie.

– Co u twojego taty? – pyta.

Malachy Scanlon, rybak przez całe swoje dorosłe życie, aczkolwiek czasy spędzone na morzu dawno już za nim. Musiał mieć dobrze po osiemdziesiątce, ale z tego, co słyszała, nadal co drugi wieczór chodził do pubu Queally's na piwo.

– Wszystko dobrze. Nie chodzi już na mszę, słucha jej w radiu. Raczej nie wstaje z łóżka prędzej niż na obiad.

– Nadal mieszka sam?

– Tak. Cały czas powtarzam, że jeśli chce, może się przenieść do nas, ale on chce tu mieszkać tak długo, jak się da. Ma bardzo dobrych sąsiadów.

– Na pewno.

Timmy nigdy nie zapowiadał się na mędrca. Od początku dla wszystkich było jasne, że on i nauka niewiele mają ze sobą wspólnego. Szkoła była wyrokiem, który musiał odsiedzieć, nim będzie mógł podążyć za głosem serca i dołączyć do ojca na jego kutrze.

W szkole średniej zaczął chodzić na lekcje stolarstwa i ku zaskoczeniu wszystkich odnalazł nową pasję. Po ukończeniu szkoły przeprowadził się do Galway, odbył staż w stolarni i ożenił się z dziewczyną stamtąd. Mieli dziecko, które zmarło, nim ukończyło tydzień, i drugie, które obecnie miało lat naście. Albo i więcej.

Dzięki mamie była na bieżąco z tym, co się dzieje u Timmy'ego. To ona jej powiedziała wiele lat temu o tym, że samochód matki Timmy'ego zjechał z nabrzeża do wody. Największa tragedia we wsi od lat. Teresita Scanlon. Depresja nie była słowem, którego wtedy często używano. Nazywano to wypadkiem – ale kto wiedział, jak było naprawdę?

– Słyszałem – mówi teraz cicho Timmy – że ty i Charlie... słyszałem, że się rozstaliście, Lily. Przykro mi to słyszeć.

Jest zaskoczona. Nikt nigdy nie wspominał przy niej o rozstaniu.

– Mam nadzieję, że się nie wyrwałem przed szereg.

– Nie, po prostu... Nadal jesteśmy przyjaciółmi – odpowiada Lily. – Jest tu z nami, on także przyjechał na weekend. – Kątem oka widzi, że nadal rozmawia z rybakiem. – Tam jest.

Timmy się nie odwraca.

– Wiem, że tu jest, widziałem go w kościele. Mimo wszystko szkoda, że już nie jesteście parą.

– Nasze małżeństwo przetrwało dwadzieścia pięć lat – mówi. Co daje mu prawo, aby rozmawiać

o rozpadzie jej małżeństwa, skoro obecnie są sobie praktycznie obcy? – Dotarliśmy po prostu do końca drogi – dodaje. – I tyle. Żadnych wielkich dramatów.

Timmy kiwa głową.

– Ja i Jenny też prawie się rozstaliśmy. Parę lat temu.

To ostatnie, co spodziewała się usłyszeć.

– Naprawdę?

Nigdy nie poznała jego żony, aż do teraz nie wiedziała nawet, jak ma na imię.

– Mieliśmy taką fazę. – Spuszcza wzrok. – Chyba poczuliśmy, że niewiele zostało w nas uczuć.

A potem... Sam nie wiem, uznaliśmy, że może powinniśmy... dać sobie jeszcze jedną szansę. – Podnosi na nią wzrok i uśmiecha się. Ma taki sam nieśmiały uśmiech jak przed laty. – Kiedy doszło co do czego, Lily, to się okazało, że tak naprawdę wcale nie chcę być bez niej.

„Tak naprawdę wcale nie chcę być bez niej”. Te proste słowa ją wzruszają.

– W takim razie cieszę się, że wam się udało – mówi lekko.

Nie wspomina o Joem, który stoi przy kościelnej bramie, cierpliwie czekając. Możliwe, że Timmy nie wie o jego istnieniu. Mogłaby podejść z nim do bramy, mogłaby ich sobie przedstawić – ale coś jej mówi, że lepiej Joego w to nie mieszkać. Że to może tylko wszystko skomplikować.

– Cóż – mówi Timmy. – Muszę lecieć, bo tata zacznie się niepokoić.

Lily wyciąga rękę, on zaś ujmuje ją na chwilę swoimi obiema.

– Miło cię było spotkać – uśmiecha się Lily. – Pozdrów ode mnie Malachy’ego.

– Oczywiście. Dbaj o siebie, Lily.

Przygląda mu się, jak odchodzi w swoim niedzielnym garniturze, wracając do życia, o którym ona nic nie wie. Do żony, którą prawie zostawił, ale jednak nie. Do małżeństwa, na którym nie postawili kreski.

Może powinna była nieco bardziej protestować, kiedy Charlie chciał rozstania. Może powinna była przełknąć dumę i mocniej walczyć o to, co ich łączyło.

Charlie dogania ją, gdy Lily idzie w stronę bramy.

– Wypływam z Dinnym na popołudniowy połów – oświadcza. – Umówiliśmy się o drugiej na nabrzeżu.

Na jego twarzy maluje się zadowolenie. Powinna się była domyślić, po co zagaduje rybaka: każdy pretekst dobry, by dostać się na łódź.

– A co z Chloë? – pyta.

Widzi lekką zmianę w wyrazie jego twarzy, minimalne zeszywnienie uśmiechu, którego nie wychwyciłby nikt oprócz niej.

– Zapytam ją czy chce też płynąć – mówi, ale słyszy w jego głosie powątpiewanie.

Przypuszcza, że Chloë wolałaby wyrwać sobie po kolei wszystkie rzęsy niż wsiąść na kuter rybacki.

– Charlie, nie możesz jej porzucić. Nie możesz tak zniknąć.

– Wcale nie znikam. Powiedziałem, że dam jej wybór.

Chloë odmówi, on się zwinie, a oni będą ją mieli na głowie przez całe popołudnie. „Jeszcze tylko jeden dzień”, mówi sobie w myślach. „Dasz radę”.

Docierają razem do bramy.

– Przepraszam – mówi Lily do Joego. – Nie dało się uniknąć kilku pogawędek.

– Żaden problem. Pozostali już poszli. Powiedzieli, że kupią gazety.

Mijają aptekę, supermarket, pierwszy z miejscowych trzech pubów.

– Rozmawiałam z Timmym Scanlonem.

Charlie ściąga brwi.

– Timmy Scanlon. Znam go?

– Rzadko się widywaliście. Od lat mieszka w Galway. Był moim pierwszym chłopakiem.

Unosi brwi.

– Ach tak? Żałuje, że cię stracił?

– Ani trochę. Ożenił się z dziewczyną z Galway.

– Widzę, że miałaś powodzenie – wtrąca Joe, a ona odpowiada ze śmiechem, że niezupełnie.

Nie dodaje, że Charlie Cunningham był jej pierwszym porządnym chłopakiem, jej pierwszym prawdziwym związkiem po kilku flirtach, które prowadziły donikąd. Pierwszym mężczyzną, z którym poszła do łóżka, jedynym przed Joem.

– Thomas pływał – odzywa się Charlie. – Dziś rano, bardzo wcześnie. Przed wschodem słońca.

Lily podnosi na niego wzrok.

– Pływał? Nic o tym nie mówił.

– Chloë była na plaży. Widziała go.

– Chloë, na plaży?

– Nie mogła spać.

Lily przez chwilę przetrawia tę drugą porcję zaskakujących informacji, po czym wraca do tej ważniejszej.

– Nie podoba mi się myśl, że pływał w pojedynkę.

– Mnie też nie. Powinniśmy z nim porozmawiać.

– Charlie, Thomas w listopadzie kończy trzydzieści lat. Myślę, że czas na tego typu rozmowy dawno już minął.

– Trzydzieści – mówi tylko.

W ich stronę idą mężczyzna i kobieta, mężczyzna trzyma za rękę małą dziewczynkę. Dziecko liże nabożnie loda w waflu, poświęcając mu całą swoją uwagę. Przypomina Poll w tym wieku, której niesforne włosy mama każdego dnia po śniadaniu splatała w warkocz.

– Macie ochotę na lody? – pyta Joe.

Lily spogląda na Charliego.

– Ja tak, jeśli ty też. – Minęły lata, a nawet dekady, odkąd po raz ostatni jadła loda w waflu.

– No to idziemy – mówi Charlie do Joego.

Lody mają konsystencję bitej śmietany, są zimne i pyszne. Zdążyła zapomnieć, jak pyszne. Znowu ma siedem lat. Jest dziewczynką z dwiema kitkami, w niebieskiej sukience z kieszeniami i białych podkolanówkach, które ciągle opadają. Ma surową, lecz sprawiedliwą matkę i ojca, który ją uwielbia.

Dochodzą do obrzeży wsi. Mijają znak ograniczenia prędkości do osiemdziesięciu kilometrów. Mija ich samochód, który jedzie z prędkością zdecydowanie większą od dopuszczalnej, słysząc dudniącą muzykę i Lily przypomina się ten chłopak, który groził Thomasowi nożem.

– Co z kolacją? – pyta Charlie. – Zabieram wszystkich do Sully's?

– Owszem, chyba że masz ochotę na tosty z serem.

Menu w pubie jest ograniczone – burgery, skrzydełka kurczaka, smażona w głębokim tłuszczu ryba dnia – ale jeśli chcą zjeść poza domem, jedyną alternatywą pozostaje hotel, który jest starodawny i koszmarnie drogi.

Wróciwszy do domu, na werandzie zastają Poll – siedzi na jednym z rattanowych foteli, które po śniadaniu przynieśli z szopy i umyli. Na ich widok opuszcza gazetę.

– Thomas i Aidan grają w szachy – informuje.

Nic nie wspomina o Chloë.

– Gotowa na pływanie? – pyta ją Charlie.

– Gotowa. – Składa gazetę i odkłada ją na sąsiedni fotel.

A więc umówili się wcześniej na wspólną kąpiel w morzu. Lily dziękuje w duchu temu bóstwu, które akurat słucha.

– Twoja rodzina jest szalona – stwierdza Joe.

Uśmiecha się i bierze go pod ramię.

– Chodź, zajmiemy się lunchem.

W lodówce znajduje na wpół opróżnioną butelkę Sancerre i wyjmuje dwa kieliszki – dlaczego nie? Joe bawi się starym radiem, aż w końcu natrafia na stację grającą jazz. Z góry schodzi dwoje pływaków owiniętych ręcznikami.

– Jeśli zjawi się Chloë, przekażcie jej, że spotkamy się na lunchu.

Lily zastanawia się, gdzie poszło sobie to dziecko. Może praktykować jogę na łące. Medytować pośród krów. Przy odrobinie szczęścia pozna się z bykiem Terence'a Mulcahy'ego.

Kroją chleb i smarują go masłem, a na to układają ser, szynkę i plastry pomidorów. Z salonu dochodzi krzyk – czego? Triumfu? Niepokoju?

– Trochę sobie myślałem – odzywa się Joe, rozsmarowując na kanapkach majonez.

– O czym?

– O tym miejscu. – Starannie układa plastry sera, pilnując, aby pokrywały całą kanapkę. – Wczoraj mi to przyszło do głowy, kiedy byłem na spacerze z Poll.

Lily unosi kieliszek i bierze łyk. Jest coś bezwstydnego i bardzo pysznego w picu wina, kiedy świeci słońce. Przypomina jej to wakacje za granicą, siedzenie w słońcu w południe, sączenie wina, jedzenie sałatki i cieszenie się piękną pogodą.

– Ale co takiego? – pyta Joego.

– Pomysł, co zrobić z tym miejscem.

Nieruchomieje w trakcie krojenia kanapki na dwie części. Jedna z jej brwi lekko się unosi.

– Co z nim zrobić? Co masz przez to na myśli?

– Cóż, dom stoi pusty, no nie? Byliśmy tu w ciągu ostatniego roku ile razy? Sześć? Siedem?

Lily czuje, że w jej wnętrzu pojawia się coś twardego. Opuszcza powoli nóż, następnie kładzie ostrożnie kanapki na tacy.

– To miejsce, jak je nazywasz, jest moim domem. Tutaj się urodziłam, tu mieszkałam do osiemnastego roku życia. Stoi pusty, dlatego że moja matka zachorowała na Alzheimera i musiała się wyprowadzić.

Joe podnosi na nią wzrok.

– Przepraszam, skarbie, źle to zabrzmiało. Uważam, że to wspaniałe miejsce... dom. Naprawdę. Tyle że według mnie mógłby być z niego większy użytek. Szkoda, że stoi pusty.

To twarde coś rośnie i zaciska się.

– No więc, co to za pomysł? – Dotyka palcem nóżki kieliszka, lecz go nie podnosi.

Joe układa na serze plastry pomidora.

– Może to zabrzmieć trochę głupio – posyła jej szybki uśmiech – i wiem, że wyskakuję z tym ni z gruchy, ni z pietruchy, ale pomyślałem, że mógłbym mieć tutaj swoją praktykę. – Układa na górze kromkę chleba, obojętny – jak może być tak obojętny? – na jej rosnące niedowierzanie. – Oczywiście więcej miałbym tu do czynienia ze zwierzętami hodowlanymi, ale nie szkodzi, szybko bym się przyzwyczaił.

Mógłby mieć tu swoją praktykę. Przenieść ją do Land's End.

To chyba jakiś żart. Albo sen. Zdrzemnęła się przed lunchem i zaraz się obudzi.

– Pomyślałem także, że to idealne miejsce na azyl dla zwierząt, co by idealnie współgrało z praktyką. No bo spójrz tylko na tę przestrzeń za domem – zmieściłoby się tam co najmniej pół tuzina osiołków.

Azyl dla osłów.

Pół tuzina za domem, depczących trawę. Jedzących trawę tam, gdzie umarł jej ojciec.

Rośnie w niej gniew.

– A ja? Gdzie w tym planie jest miejsce dla mnie?

Słyszy teraz chłód w jej głosie. Ponownie podnosi wzrok, a na jego twarzy maluje się ostrożność.

– Cóż... sądziłem, że gdybyś chciała nadal pracować, to mogłabyś dojeżdżać. Oczywiście zależałoby to od ciebie, ale mogłabyś mieszkać w mieście od poniedziałku do piątku, a tutaj przyjeżdżać na weekendy. Tylko przez kilka lat – albo mogłabyś odejść na wcześniejszą emeryturę. Dałoby się to zrobić, prawda? Przecież mieszkając tutaj, nie potrzebowalibyśmy pieniędzy. Zwłaszcza, gdybyśmy sprzedali drugi dom.

Lily odkłada nóż i ponownie bierze do ręki kieliszek. Wypija całe wino. Czuje, jak zimny płyn rozlewa się w jej przełyku. Wyciąga rękę i wyłącza radio, uciszając puzon, który nagle zaczął ją potwornie drażnić.

– Zajęty byłeś – mówi, a buzujący w niej gniew jest gorący niczym wrzątek. – Robieniem

planów.

– Lily, skarbie, to tylko pomysł. Jeśli ci się nie podoba...

– Charlie i ja planowaliśmy zamieszkać tu na emeryturze. – Ton głosu ma ostry. – Żadnego dojeżdżania, żadnych osłów, żadnych chorych zwierząt. Tylko my, po przejściu na emeryturę.

– Cóż – mówi Joe po dojmująco długiej chwili milczenia. – To mi powiedziałaś.

Piorunuje go wzrokiem, bo jeszcze nie skończyła.

– Ten dom należy do mnie. Nie jest twój, lecz mój. Nie do ciebie należy decyzja, co z nim zrobić.

– Przepraszam. Ja tylko...

– Mój dom – powtarza. – Wychowałam się tutaj. To moja decyzja, nie twoja. A ten dom w mieście, który tak chętnie sprzedajesz, także jest mój, mój i Charliego. Gdybyś nie pamiętał, to on jest właścicielem jego połowy. To ty się tam wprowadziłeś. Sprzedałeś swój dom i wprowadziłeś się do mojego.

– Okej. – Kiwa powoli głową. – Przepraszam, Lily. Nie pomyślałem. Nie chciałem cię zdenerwować.

– Cóż, ale jednak to zrobiłeś. – Czuje, że do oczu znowu napływają jej łzy. Przełyka ślinę, zaciska zęby. „Nie płacz”, nakazuje sobie. „Nie rób tego. Nie pozwól, aby to zobaczył”. Marzy o tym, aby mogła zostać sama, ale wypełniła ten dom ludźmi.

Jej dom. Joe chce tu pracować. Chce wypełnić ogród, jej ogród, osłami.

I wtedy przypomina sobie, o czym zapomniała przez gniew.

– Sprzedaję go – oświadcza. – Zaraz po powrocie do miasta wystawiam dom na sprzedaż.

Opada mu szczęka.

– Sprzedajesz to miejsce?

– To nie jest miejsce, przestań tak mówić. To jest dom.

– Lily, skarbie...

– Nie. – Cofa się przed nim i pociera mocno usta, aby przestały drżeć. – Postanowiłam go sprzedać. Zamierzałam wczoraj o tym wszystkim powiedzieć, ale potem przyjechał Thomas ze swoją wiadomością i nie mogłam. Zamierzam zrobić to dziś wieczorem, więc nic, proszę, nie mów.

– Dobrze.

Lily bierze do ręki nóż i szybko mrugając, kroi chleb. Joe w milczeniu smaruje kromki masłem. Pomieszczenie wydaje się zbyt małe dla nich obojga.

– Przepraszam – powtarza. – Idiota ze mnie.

Lily nie zaprzecza.

– Chcę przełożyć ślub – mówi, ponownie odkładając nóż.

– Przełożyć?

– O kilka miesięcy. To się dzieje zbyt szybko po rozwodzie i po... mamie. Potrzebuję więcej czasu.

Długo jej się przygląda. Lily bierze ze stołu mały plasterek szynki i wkłada go do ust, mimo że to ostatnie, na co ma ochotę.

– Okej – mówi w końcu Joe.

– Moglibyśmy poczekać z tym do Bożego Narodzenia. Kilka miesięcy nie robi różnicy.

– W porządku. Jeśli tylko tego chcesz.

Kiedy tace są pełne, Joe odkłada nóż na suszarkę, ostrożnie, jakby to była bomba.

– Pójdę wziąć prysznic przed lunchem.

Lily kiwa głową, nie patrząc mu w oczy. Gdy zostaje sama, wlewa sobie do kieliszka resztę wina, i pije je bez przyjemności. Teraz jest to po prostu kieliszek wina pity zbyt wcześnie w ciągu dnia.

Opiera się o stół i przeczesuje palcami włosy. Nie powinna mówić tego, że Land's End należy do niej; zabrzmiało to małostkowo. Zwłaszcza że wkrótce nie będzie należeć do żadnego z nich.

Jeśli się nie sprzeda, ten pomysł z osłami może wcale nie być taki głupi. Zawsze lubiła osły, takie spokojne, łagodne stworzenia. Może i miło by było mieć za domem parę. Na pewno nie szóstkę.

Niepotrzebnie poruszyła także pomysł przełożenia ślubu – Joe uzna, że powodem jest jego wielki plan. Później mu wyjaśni, kiedy będzie miał czas, aby ochłonać.

Gdy wyciera noże, do kuchni wchodzi Thomas.

– Aidan wygrywa – mówi i Lily przypomina sobie, że mieli grać w szachy. Thomas bierze z suszarki szklankę i umieszcza ją pod kranem. – Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak – odpowiada pogodnie. Coś jej przychodzi do głowy. – Thomas, tata mi mówił, że rano pływałeś zupełnie sam.

Oblewa się rumieńcem.

– Wcześniej się obudziłem – bąka. – Nie mogłem spać.

– Ale nie powinieneś robić tego sam, kotku, bez mówienia nam o tym. Gdyby coś ci się stało... Jest już w drzwiach. Wygląda to tak, jakby uciekał.

– Wiem. Więcej tego nie zrobię.

– Teraz możesz iść. Poll i tata poszli pływać. W szachy możesz zagrać później.

– Chyba spasuję. O tej porze roku trochę dla mnie za zimno.

Zamykają się za nim drzwi, a ona znowu zostaje sama. Owija tace z kanapkami folią i zaparza w dzbanku herbatę. Nalewa sobie kubek i wychodzi za dom, przypominając sobie wcześniejszą rozmowę z Poll.

Obchodzi powoli ogród, oceniając jego stan. Dociera do muru na jego końcu i zatrzymuje się. To drzewo, na którym wisiała jej huśtawka, róg, w którym rozkładała latem koc i urządzała przyjęcia dla lalek.

Od czasów jej dzieciństwa w ogrodzie nastąpiło kilka zmian. Taras przed oknem w kuchni zrobiono, kiedy mama zarobiła dzięki prowadzeniu pensjonatu tyle, że mogła sobie na niego pozwolić. Jedno z drzew trzeba było ściąć po burzy, kiedy zostało częściowo wyrwane z ziemi. Małą drewnianą szopę zastąpiła większa, blaszana.

Lily myśli o do połowy pomalowanym krześle kuchennym, tym, nad którym pracował jej ojciec, kiedy umarł. Pamięta, że trafiło do starej szopy. Ostatecznie pocięto je i spalono?

Miejsce, w którym umarł, dokładnie tam, gdzie upadł, znajduje się gdzieś po jej prawej stronie. To się stało, kiedy była w szkole. Kilka minut po dużej przerwie sekretarka wywołała ją z klasy i zaprowadziła do gabinetu dyrektora, gdzie czekała na nią Myra Dillon, koleżanka mamy, ze złymi wiadomościami wypisanymi na jej rumianej twarzy.

Lily powiedziano delikatnie, tulono i uspokajano, kiedy szlochała. Myra zawiozła ją do domu, rower umieściwszy w bagażniku swojego auta. Dopiero jakiś czas później, kilka dni po pogrzebie, kiedy snuła się przygnębiona po ogrodzie, dostrzegła na trawie coś, co sprawiło, że przysiadła na piętach.

Ślady niebieskiej farby na zielonych źdźbłach, dowód na to, że w chwili nagłej śmierci taty pędzel upadł mu na trawę. Pędzel został stąd zabrany, tak samo puszka z farbą i niedokończone krzesło, ale na trawie nadal znajdował się dowód jego straty.

Przyłożyła dłoń do tego miejsca i przyjrzała się palcom, ale trawa zdążyła zaschnąć. Wyrwała garść niebieskich źdźbeł i wsunęła je do kieszeni. Trzymała je przez kilka tygodni, ukryte między kartkami starego notesu. Kiedy w końcu je wyrzuciła? Nie pamiętała już teraz.

Lily wraca na ławkę i do teraźniejszych problemów. Jak Joe mógł pomyśleć, że przez kilka kolejnych lat chciałyby dojeżdżać do pracy? Jeździć co tydzień tam i z powrotem, zupełnie sama? Jakby byłby sens małżeństwa? A kiedy w końcu przesłaby na emeryturę, on nadal planował pracować? Czy musiałyby mieszkać w domu, w którym mieści się gabinet weterynarza?

Siedzi, nie zważając na upływ czasu. W końcu okno w kuchni się otwiera.

– Mamo, zaraz będziemy jeść. Wchodzisz?

Poll, z włosami upiętymi w wilgotny koczek. Twarz ma zarumienioną od gorąca i od pływania. Ładnie wygląda – ale ona zawsze wygląda ładnie dla swojej matki.

– Zaraz przyjdę – mówi do niej.

CHLOË

Sterta ubrań na plaży i ani śladu po nim.

Przez większą część nocy dryfowała między snem a jawą, tęskniąc za ciepłem narzuty jej babci, którą pożyczyci Thomasowi. Słyszac co rusz nieludzkie wrzaski jakiegoś stworzenia nocnego, widząc w kątach pokoju kształty, których nie potrafiła zidentyfikować. Rozstrojona od chwili, kiedy przekroczyła próg tego domu.

Jej zachowanie było niemądre. To tylko stary, nędzny dom pełen przeciągów i wspomnień. Winę za jej stan ponosiło to, co ją czeka, a nie otoczenie.

Przyjazd tutaj okazał się błędem. Lily przynajmniej starała się ukryć fakt, że nie chce tutaj Chloë, ale Poll była otwarcie wroga. „Nie byłaś na pogrzebie” – tak jakby Chloë miała obowiązek wziąć udział w pochówku osoby zupełnie jej obcej.

A kiedy podczas kolacji próbowała być dla niej miła, podając sałatkę, nawiązując rozmowę, Poll zachowywała się co najwyżej grzecznie. Męcząca była uporczywość, z jaką robiła z Chloë wroga publicznego numer jeden. Zgoda, to Chloë zainicjowała romans z Charliem, to ona odegrała aktywną rolę w rozstaniu rodziców Poll, ale to małżeństwo od dawna było martwe, w przeciwnym razie Charlie nigdy by się tak łatwo nie zgodził go zakończyć.

A on sam wcale jej niczego nie ułatwiał, bardziej przejmując się powrotem do łask tej swojej najdroższej córki niż czymkolwiek innym. Idąc z nią pływać, praktycznie od razu po ich przyjeździe, zaraz po kolacji znikając razem z nią i pozostałymi w pubie. Co nie znaczy, że Chloë marzyła teraz o jego uwadze, co to, to nie – ale przecież przebywała w otoczeniu jego rodziny, w domu, gdzie we czworo spędzili tyle czasu. Można by pomyśleć, że okaże jej więcej wsparcia, że bardziej się zatroszczy o jej dobre samopoczucie.

Godziny się dłużyły, a ona nadal nie mogła zasnąć. W dodatku Charlie wypełniał pokój swoimi piwnymi wyziewami. W końcu nie wytrzymała. Nie miała jak sprawdzić godziny, ale niebo zaczynało delikatnie się rozjaśniać. Świt musiał być już blisko – na pewno.

Założyła to, co miała na sobie wczoraj wieczorem. Do tego owinęła się kilkoma warstwami chust, które wcześniej rozłożyła na kołdrze, aby było jej cieplej. Zeszła w półmroku na dół. Balustrada była zimna pod jej dłonią niczym marmur, a skrzypiący stopień sprawił, że serce podeszło jej do gardła. Ten dom przyprawiał ją o dreszcze, koniec, kropka.

Przeszła przez hol i położyła rękę na drzwiach, aby je otworzyć – i przekonała się ze zdziwieniem, że są uchylone. Były takie przez całą noc? Zapomnieli je zamknąć po powrocie z pubu? Nic dziwnego, że w tym domu panuje taki ziąb.

A co z bezpieczeństwem? Niektórzy mogą sądzić, że w domu tak starym i dużym znajdują się drogie antyki – możliwe, że przestępcy już go mają na oku.

Nie odezwie się ani słowem, bo od razu uznałoby to za krytykę. Wspomni o tym tylko Charliemu i wieczorem każe mu sprawdzić, czy wszystko jest zamknięte.

Jeszcze jedna noc, tyle tylko musiała znieść.

Wystawiła głowę za drzwi. Za furtką na ciemnej, oleistej powierzchni morza połyskiwały małe światełka. Niebo z czarnego zaczynało się robić szare, nadal pełne gwiazd, nadal z cienkim łukiem księżyca. W zimnym powietrzu unosiła się świeża, całkiem przyjemna woń.

Kochała plaże. Podczas podróży z matką miała okazję znaleźć się na tych wyjątkowo spektakularnych: Kajmany, Floryda, Jamajka, Meksyk. Bezkresy białego piasku, palm i słońca. Tutaj raczej nie miała co szukać czegoś podobnego, ale mimo wszystko postanowiła sprawdzić.

Wyszła na werandę i przymknęła za sobą drzwi. Szybkim krokiem przeszła przez szutrowy podjazd. Charlie mówił, że na plażę schodzi się po schodkach – rzeczywiście, widać było przerwę w niskim murku, praktycznie zaraz naprzeciwko furtki. Faktycznie, nie dało się znajdować bliżej morza.

Stanęła na najwyższym stopniu i próbowała coś dojrzeć w bladym świetle świtu. Plaża miała kształt szerokiego łuku, kamyki były szare i połyskujące. Przed nią, z sześć, siedem metrów dalej, morze łączyło się z brzegiem. Fal właściwie nie było.

Coś zwróciło jej uwagę, blisko krawędzi wody. Ciemna kupka czegoś – to wodorosty? Zeszła na dół i zobaczyła ubrania.

Bluza, spodnie, rzucone byle jak na kamienie. Wyglądające spod spodu buty.

Schyliła się i podniosła z ziemi bluzę. Okazała się zimna, lecz sucha. Czerwona albo rdzawoczerwona – w tym świetle trudno było mieć pewność.

Thomas miał na sobie wczoraj wieczorem czerwoną, pożyczoną od Aidana bluzę.

Thomas.

Przebiegła wzrokiem po powierzchni wody, nasłuchując krzyków. Może po prostu poszedł popływać – ale o tej porze? A jeśli to nie było pływanie, to w takim razie co? Z jakiego innego powodu miałby rozebrać się i wejść do wody?

Nie. Thomas by tego nie zrobił.

Ale mógł pójść pływać i napotkać trudności, prawda? Mógł go złapać skurcz albo prąd mógł go zabrać na otwarte morze. No nie?

W jej głowie odbywała się gonitwa myśli. Jak długo leżały tu te ubrania? Skąd mogła wiedzieć. To odpływ czy przypływ? Ta sama odpowiedź. Powinna wrócić do domu i obudzić Charliego? Powinna wszcząć alarm? Ale skoro nie było śladu Thomasa, to czy już nie za późno?

Musiała coś zrobić, musiała działać – gdy jednak odwróciła się tyłem do morza usłyszała plusk, a potem drugi. Obejrzała się i zobaczyła, jak ktoś porusza się w wodzie, ciemny kształt kierujący się w stronę brzegu.

To na pewno on. Zalała ją fala ulgi. Upuściła bluzę i szybko wróciła do domu, a kiedy zjawił się on, mokry i zziębnięty, ona zdążyła już zaparzyć herbatę.

Biedny Thomas. Biedny, chudy, tyczkowaty, rumieniący się Thomas. Tak różny od ojca, jak się tylko dało. Jak zawsze małowówny, jak zawsze beznadziejnie oddany. Jakby ktoś jej pokroju miałby w ogóle zwrócić uwagę na kogoś takiego jak on. No ale trudno winić go za to, że się w niej zakochał, prawda? Dobrze, że Charlie nigdy się nie zorientował, bo na pewno doszłoby do karczemnej awantury.

Zasnęła niemal od razu po powrocie do łóżka. Gdy się obudziła, słońce znajdowało się wysoko na niebie, a na poduszce czekał liścik od Charliego z informacją, że wyszedł i że spotkają się po mszy. Wzięła prysznic – beznadziejne ciśnienie wody, w łazience nieprzyjemna woń wilgotnych ręczników, na krawędzi wanny kręcony włos. Ubrała się i zeszła na dół.

W domu panowała cisza. Wyglądało na to, że wszyscy udali się do kościoła. Wszyscy modlili się o wieczny odpoczynek duszy kochanej zmarłej babci. Zrobiła sobie tost – nie było razowca, tylko biały chleb – i wypita herbatę, zachwycając się rozlewającymi się na kuchennych płytkach promieniami słońca. W takim świetle to miejsce wyglądało niemal znośnie i było tu niemal ciepło. Mimo wszystko przydałby się porządkny lifting.

Po śniadaniu przeszła się po pomieszczeniach na parterze, przesuwając ręką po zakurzonych listwach lamperii, zerkając na stojące na kredensie oprawione w ramki zdjęcia, zdejmując z półek książki, aby przyłożyć twarz do ich pożółkłych kartek.

Otworzyła album ze zdjęciami i jej oczom ukazał się młody, ciemnowłosy Charlie w ogrodzie – może w tym – trzymający na rękach małą dziewczynkę, dwu- albo trzyletnią. To na pewno Poll. Stał boso na trawie, w podwiniętych dżinsach i kraciastej koszuli z rękawami podciągniętymi do łokci. Ojciec i córka patrzyli na siebie, niemal stykając się nosami, i uśmiechali się.

Ona była wtedy w wieku Poll. Gdyby Charlie napotkał ją i jej rodziców, może połaskotałby ją pod brodą, rzuciłby uwagę na temat tego, jaka z niej śliczna dziewczynka. Możliwe, że wzięłby ją na rękę i też tak się uśmiechnął.

A ona być może była teraz w ciąży z dziewczynką, jego drugą córką. Powiedział jej, że nie chce więcej dzieci, ale co, gdyby wiedział o jej ciąży? Zmieniłby zdanie?

Nie mógł się o tym dowiedzieć. Ona nie mogła mu powiedzieć, nie mogła ryzykować.

Przekręciła kartkę i oto znowu on, siedzący na metalowej ławce między młodszą Lily a jakąś starszą kobietą. Te same ubrania, przypuszczalnie ten sam dzień.

Przyjrzała się starszej kobiecie, szukając podobieństw do Lily. To na pewno ta nieżyjąca teściowa, kobieta, dla której Charlie miał tyle czasu, nawet kiedy zniedołężniała. Kobieta, której wstydił

się powiedzieć o Chloë.

Minęło południe. Wyszła na werandę i wsłuchiwała się w morze, tak inne od tego sprzed kilku godzin, zielone i turkusowe pod błękitnym niebem. Wszystkie samochody stały na swoich miejscach, co oznaczało, że do kościoła udali się pieszo.

Wróciła na górę po książkę. Założyła na siebie jeszcze jedną warstwę ubrań, po czym udała się na plażę, gdzie uśmiechnęła się do mężczyzny z dwójką małych dzieci, przypuszczalnie bliźniąt.

– Jaki przyjemny, ciepły dzień – rzucił do niej, a ona przyznała mu rację.

Oddalała się, czując na sobie jego spojrzenie.

Dotarła do miejsca, gdzie kończyły się kamienie. Znalazła drewniany przełaz prowadzący do wąskiej ścieżki. Gdy nią szła, z jednej strony miała łąki, z drugiej morze, aż w końcu ścieżka oddaliła się od morza i zawiodła ją do niewielkiego zagajnika, przez który płynął strumień spieszący ku wielkiej wodzie.

I oto tu jest, daleko od nich wszystkich. Oto jest, daleko od domu, który jej nie chce.

Siada w cieniu, opiera się o pień i otwiera książkę.

Czyta. Mijają godziny.

POLL

Podczas trzeciej próby puszcza cztery kaczki. Wydaje głośny okrzyk radości i skacze z ręką uniesioną w triumfalnym geście zwycięstwa, przez co siedzące nieopodal na składanych krzeselkach cztery panie odwracają się w jego stronę, lekko zaniepokojone.

– Uspokój się, bo straszysz turystów – mówi mu Poll, posyłając paniom przeprasające spojrzenie. – Zresztą rekord to pięć, więc nadal mnie nie pobiłeś.

Aidan grzebie w kamieniach.

– Na razie. – Wybiera nowy kamyk. Starannie celuje, po czym rzuca go ukośnie na wodę. Odbija się tylko dwa razy, po czym znika. – Do diaska!

Poll śmieje się.

– No i kto tu jest mistrzem?

Oboje są boso, a spodnie mają podwinięte do kolan. Jej włosy, całe w soli, są jeszcze bardziej niesforne niż zazwyczaj. Przedramiona ma różowe od słońca i wiejącego od strony morza wiatru. Obserwuje, jak Aidan znowu szuka kamyka. Kładzie mu rękę na włosach i przeczesuje je palcami.

– Hej, a gdybym zabrał cię wieczorem na kolację?

– Na kolację?

– Aha. Chyba jest w okolicy jakiś lokal, do którego możemy się wybrać?

– Po jednym wieczorze masz dość mojej rodziny?

Podnosi na nią wzrok i szeroko się uśmiecha.

– Masz świetną rodzinę. Chcę cię po prostu całą dla siebie. To co, jest tu jakaś kafejka, restauracja albo coś w tym rodzaju?

– We wsi jest hotel. Trochę sztywniacki, ale jedzenie mają w porządku.

– Sztywniacki z dobrym jedzeniem, może być. Trzeba zrobić rezerwację?

– Nie sądzę, nie pod koniec kwietnia.

– To świetnie. – Obejmuje jej nogi i opiera się brodą o kolana. – Poll Cunningham – mówi.

– Co?

– Nic. Po prostu Poll Cunningham.

Nagle czuje skrępowanie. Słońce przywiodło dzisiaj na plażę całkiem sporo ludzi. Po prawej stronie na czerwonym kocu siedzą starszy pan i dziewczynka, na oko dziesięcioletnia. Otaczają ich torby, ręczniki i złożone ubrania. Dziewczynka siedzi pochylona i nawijając na palec długie czarne włosy, czyta komiks. Mężczyzna z podwiniętymi rękawami koszuli i rudymi, przetykanymi siwizną włosami opiera się na łokciach i wpatruje w morze.

Kawałek za nimi dwoje dzieci, bladych jak duchy, tapla się na brzegu; pilnuje ich kobieta w komicznie wielkim kapeluszu. W wodzie dalej od brzegu widać dwie, nie, trzy głowy.

– Wstawaj – mówi Poll. – Puść mnie.

Tak robi i wyciąga do niej ręce. Ona je chwytą i pomaga mu wstać.

– Jesteśmy pod obserwacją – mamrocze Poll, czując na sobie spojrzenia pań.

Aidan nawet nie patrzy w ich stronę.

– No to dajmy im chociaż jakiś powód. – Kładzie dłonie na jej ramionach i całuje ją głośno, teatralnie, najpierw w jeden policzek, potem w drugi. Odpycha go ze śmiechem.

Tak dobrze im razem. Dlaczego dla niej to za mało? Dlaczego przepelnia ją nieufność? Dlaczego musi to psuć swoimi lękami? Bo te lęki nadal są obecne, tylko ukrywają się pod radosną fasadą. Może jedynie tyle babcia jest w stanie zrobić z za grobu. Może czynienie cudów ją przerasta.

A może wcale jej tu nie ma.

– Chodź – mówi – musimy iść do Gerry'ego po kosiarkę.

Mimo zakazu mamy Poll wzięła sprawy w swoje ręce.

– Wiem, że oferowałeś się, że to zrobisz, ale czy miałbyś coś przeciwko, gdybym to ja zawiozła Thomasa do Galway? – zapytała Aidana po mszy. – Mama pożycz mi swoje auto. Mam ochotę spędzić trochę czasu z bratem. Nie powinno nam długo zejść.

– Jasne. Znajdę sobie jakieś zajęcie.

– Gdybyś chciał, to mógłbyś skosić trawę. Mama mówiła, że musi wynająć kogoś do tego. Ale nie czuj się zobligowany.

– Mogę skosić. Macie kosiarkę?

– Nie, ale możemy pożyczyć od Gerry’ego.

Mama pewnie się zirytuje, ale szybko jej przejdzie.

Gdy mijają cztery panie na krzeselkach, jedna z nich rzuca:

– Przepraszam, panienko?

Akcent ma amerykański, może kanadyjski. Poll zatrzymuje się. Kobieta ma granatowe spodnie i jasnoniebieski płaszcz przeciwdeszczowy. W fałdach płaszcza okruszki herbatników. Siwiejące włosy ujarzmione trwałą ondulacją, w uszach złote kółka wielkości spodków. Poll ocenia ją na sześćdziesiąt parę lat. Zamierza się poskarżyć, że Poll i Aidan zakłócali spokój na plaży?

– Wolno mi spytać, czy mieszkają państwo w tej okolicy? – W jej głosie nie słychać irytacji.

– Nie, przyjechaliśmy tu na weekend – odpowiada Poll. – Ale dość dobrze znam okolicę.

– Och, czy w takim razie wie może pani, czy ta pani z pensjonatu nadal tu mieszka? Z tego dużego niebieskiego domu nad plażą?

Dużego niebieskiego domu. Poll mocniej ściska dłoń Aidana.

– Chodzi pani o... Kitty Murphy?

Kobieta cała się rozpromienia, prezentując idealnie białe zęby i różowe dziąsła.

– Właśnie tak, moja droga – przytakuje skwapliwie. – Chodzi mi właśnie o nią. Zna ją pani?

– Tak, cóż, to znaczy...

– Nadal tu mieszka? Wiem, że pensjonat jest nieczynny, bo próbowałyśmy, prawda? – Odwraca się w stronę towarzyszek, które zgodnie kiwają głowami. – Próbowałyśmy dokonać rezerwacji, ale nie ma już go w ofercie, więc musiałyśmy znaleźć inne miejsce, we wsi, no ale chciałam tu przyjść i sprawdzić, czy Kitty nadal tu jest. Bo widzi pani, byłam tu kiedyś i chciałam się przywitać i przedstawić ją moim przyjaciółkom, ale zobaczyłyśmy na podjeździe samochody i nie chciałyśmy przeszkadzać.

Wszystkie cztery panie przyglądają jej się wyczekująco. Wszystkie cztery czekają na to, co im powie.

– Prawdę mówiąc... Kitty jest... Kitty była... moją babcią. Ona... była chora. I kilka tygodni temu zmarła. Przykro mi.

W gardle czuje wielką gulę, którą próbuje przełknąć. Mruga szybko oczami, walcząc z napływającymi do nich łzami.

– Och! – Kobieta natychmiast poważnieje i przyciska dłoń do klatki piersiowej. – Och, mój Boże, tak bardzo mi przykro, moja droga. Bardzo, bardzo przykro to słyszeć. – W jej oczach także pojawiają się łzy, a pozostałe panie przyglądają się Poll z milczącym współczuciem.

– Kiedy pani tu była? – pyta Poll, nie puszczać ręki Aidana.

– Dawno temu, moja droga. Och, biedna Kitty, tak mi przykro, że nie dane mi już było się z nią spotkać. Taka cudowna kobieta. Taka cudowna, serdeczna kobieta.

– Wszystko w porządku, Cecily? – pyta ją jedna z przyjaciółek. – Chcesz chusteczkę? A może soku? – Sięga do dużej czerwonej torby u ich stóp.

– Nie, nie... – Cecily macha ręką, nie odrywając wzroku od Poll. – Przyjechaliśmy tu w podróż poślubną – wyjaśnia. – Bob i ja. – Wyjmuje skądś chusteczkę i dotyka nią wewnętrznych kącików oczu. – W przyszłym miesiącu byłoby czterdzieści lat. Byliśmy pierwszymi gośćmi pani babci i spędziliśmy tutaj naprawdę wspaniały czas. Pogoda nas nie rozpieszczała, ale Kitty była taka... – Urywa, zaciska na chwilę usta, znowu przeciera oczy chusteczką. – O mój Boże, co za wiadomość. Co za wiadomość.

– Cecily – mówi cicho druga przyjaciółka.

– Nic mi nie jest, Patsy, dziękuję. – I znowu zwraca się do Poll: – Moje kondolencje, kochana. Kitty ja i przez wiele kolejnych lat wymieniałyśmy się listami. Widzi pani, planowałam wrócić. Bardzo chcieliśmy tu jeszcze przyjechać, no ale potem zaczęły pojawiać się dzieci, a Bob zbyt był zajęty swoją pracą i... cóż, ostatecznie do tego nie doszło. A te listy... cóż, w końcu się urwały, wie pani, jak to jest,

ale nigdy nie zapomniałam tej kochanej kobiety. Dała mi przepis na chleb z sodą, który do dziś piekę.

Prawda? – Popatrzyła na przyjaciółki.

Skinienia głów. Uśmiechy.

– Piecze.

– O, tak.

– Jest pyszny.

– Przekażę mamie, że panią spotkałam. Jest córką Kitty.

Twarcę Cecily rozjaśnia się.

– Jej córka – tak! Pamiętam... Lily, prawda?

– Zgadza się. – Poll zastanawia się, jak jej matka zareagowałaby na niezapowiedzianych gości.

Postanawia zaryzykować. – Jest tutaj. Przyjechaliśmy w kilka osób na weekend. Chciałyby panie podejść i się przywitać? Jestem pewna, że...

– O nie, nie... – Unosi w proteście rękę. – Nie będziemy przeszkadzać w tym smutnym czasie, moja droga, nie, w żadnym razie. Pozdrów ją, proszę, ode mnie, ale przypuszczam, że nie będzie mnie pamiętać. Nie, chętnie tu posiedzimy i podelektujemy się słoneczkiem.

– A... pani mąż?

– Och. – Urywa i kręci głową. – Nie ma go już ze mną, moja droga.

– Och, przykro mi.

– Nie, on żyje – dodaje pospiesznie. – Nie, nie, rozwiedliśmy się, będzie już piętnaście lat. To było dobre posunięcie. On nie był... cóż, powiedzmy po prostu, że tak było lepiej dla wszystkich. – Na jej twarz powraca uśmiech, aczkolwiek już nie tak promienny. – Życie, prawda, moja droga?

Życie. Rodzice Poll postanawiają się rozstać, oboje znajdują sobie nowych partnerów. Poll, niepotrzebująca wielkiej zachęty do tego, aby się zakochać, nie potrafi jednak z jakiegoś powodu utrzymać tej miłości. Thomas, szczerzy i serdeczny, brak w nim jednak odwagi, aby oddać komuś swoje serce. To po prostu życie, niezgłębione życie.

– Cóż...

– Dziękuję za zaproszenie, moja droga. Naprawdę to doceniam. I przekaz, proszę, nasze kondolencje swojej matce i całej rodzinie.

Poll wyciąga rękę.

– Wspaniale było panią poznać. Dziękuję za tyle życzliwych słów o babci.

Cecily ją ujmuje.

– Powiedziałałam samą prawdę, moja droga. I tak się cieszę, że poznałam wnuczkę Kitty. – Posyła Aidanowi surowe spojrzenie. – Proszę dobrze się opiekować tą młodą kobietą.

– Tak jest – zapewnia z powagą.

Poll macha pozostałym paniom.

– Miłych wakacji.

Pożegnawszy się z grupką pań, zaczynają się oddalać.

– Ciekawe to było – odzywa się Aidan.

– Mm.

Cóż za zbieg okoliczności, że spotkali na plaży pierwszych gości babci. Nowożeńców Cecily i Boba, którzy ostatecznie się rozstali. Blisko piętnaście lat temu, jak mówiła Cecily, a tutaj byli czterdzieści lat temu. Co oznaczało, że ich małżeństwo przetrwało... dwadzieścia pięć lat.

Tyle samo, co mamy i taty, którym mało brakowało do dwudziestu sześciu.

Chwileczkę.

– Jaką mamy dziś datę? – pyta.

– Ostatni dzień kwietnia, prawda? Jutro będzie pierwszy maja.

Pierwszy maja.

– To ich rocznica. Jutro.

– Czyja rocznica?

– Mamy i taty. To znaczy byłaby. Pierwszy maja.

– Naprawdę? Która.

Liczy. Nie jest to trudne. Thomas w listopadzie skończy trzydzieści lat.

Miała jakieś trzynaście lat, kiedy dotarło do niej, że kiedy rodzice brali ślub, to mama musiała być już w ciąży z Thomasem. I co z tego, skoro potem nadal ze sobą byli?

Pamięta, że kiedy się rozstali, zastanawiała się czy może ich całe małżeństwo nie było błędem, czy wzięli ślub tylko po to, aby uniknąć skandalu, a potem zatrzymało ich przy sobie dziecko, no i tak było łatwiej, niż się rozstać.

Ale potem pojawiło się drugie dziecko, a po nim jeszcze dwadzieścia cztery lata. Czy rzeczywiście wytrzymałoby się w związku z niewłaściwą osobą taki szmat czasu? Musiała łączyć ich miłość. Miłość musiała być obecna po obu stronach, no nie?

– Trzydzieści lat – mówi teraz. – To byłaby ich trzydziesta rocznica.

– Perłowa.

Patrzy na niego.

– Trzydziesta nazywana jest perłową.

– Skąd to wiesz?

Aidan uśmiecha się.

– Sprzedaję biżuterię, zapomniałaś?

Jutro mają trzydziestą rocznicę ślubu, a raczej mieliby. Czy ktoś jeszcze o tym pamięta? Pewnie nie. Teraz to tylko data, a jej znaczenie dawno uległo wymazaniu.

– Na srebrne gody wyprawiłam im przyjęcie niespodziankę – mówi.

– Naprawdę?

Skontaktowała się ze wszystkimi przyjaciółmi rodziców, zobowiązując ich do zachowania tajemnicy. Poprosiła znajomych muzyków taty, aby zagrali; zaaranżowała to tak, że inna para znajomych zaprosiła ich na koktajle do lokalnego baru, a w tym czasie w domu zgromadzili się goście. Jedzeniem zajęła się ona i jej trzy koleżanki: minitarty, kiełbaski we francuskim cieście, pizza i skrzydełka z kurczaka. Zamówiła wielki tort z umieszczonym na lukrze zdjęciem ślubnym. Namalowała transparent z napisem „Wszystkiego najlepszego z okazji Srebrnych Godów”.

Mama i tata wydawali się zachwyceni. Gawędzili i tańczyli przez cały wieczór. Podziękowali wylewnie Poll za tak wspaniałą niespodziankę.

A niecały rok później się rozstali.

CHARLIE

Trzy makrele, jedna ryba na godzinę. Nie szkodzi. Nigdy nie chodzi o połów.

Łódź Dinny'ego stanowi replikę wszystkich innych małych rybackich kutrów kołyszących się przy nabrzeżu. Mała, zagracona kabina, mokry i śliski pokład zawalony sieciami, plastikowymi skrzynkami i zwojami lin i niebieską plandeką złożoną w sztywny prostokąt. Może i nie jest to luksusowy jacht, lecz brak wygód w ogóle mu nie przeszkadza.

On i Dinny całe popołudnie siedzą na odwróconych do góry dnem skrzynkach z dyndającymi wędkami w dłoniach; słońce przyjemnie grzeje, morze jest wyjątkowo spokojne, w wodzie odbija się błękitne niebo. Rozmowa za obopólną zgodą ograniczona jest do minimum, niemniej co jakiś czas Dinny przerywa ciszę jakąś lokalną plotką. Bezowocne poszukiwanie wygranego kuponu lotto w pewnym nieszczęsnym domu; protesty po tym, jak przed kilkoma miesiącami zamknięto we wsi urząd pocztowy; ślub odwołany dzień wcześniej przez niemającą pewności pannę młodą, przełożony na kolejny tydzień, powodujący mnóstwo organizacyjnego zamieszania; pożar domu, który odkryto, zanim ogień zdążył się rozprzestrzenić, a to wszystko dzięki ujadaniu psa.

Niespiesznie wracają na nabrzeże, gdzie Charlie oddaje swój marny połów Dinny'emu i jak zawsze w ramach podziękowania zaprasza na piwo do Queally's.

– Czemu nie? – odpowiada jak zawsze Dinny, udają się więc do pubu i pchają drzwi ze szklanymi panelami.

Na stołkach przy barze siedzi kilka znajomych twarzy. Lily znałaby wszystkie imiona, ale on nie pamięta ani jednego. Złożywszy zamówienie u George'a Queally, jeden z klientów pyta o wgniecenia w jego aucie, stojącym całe popołudnie przed pubem. Nic nie umyka ich uwadze. Charlie opowiada o ataku w biały dzień, oni zaś kręcą głowami.

– W życiu nie zamieszkałbym w mieście, nawet gdyby mieliby mi za to zapłacić – oświadcza jeden z nich. – Bez urazy.

Charlie zapewnia, że gdyby miał wybór, mieszkałby tutaj.

Zapada taktowne milczenie. Myślą oczywiście o jego rozstaniu z Lily i tym, że nie będzie już miał możliwości zamieszkać w Land's End. Kiedy piwo zostaje nalane, on i Dinny wychodzą z kufkami do ogródka piwnego – kilka ławek i niepasujących do siebie stolików – z tyłu budynku, tak by Dinny mógł zapalić fajkę.

A tam na drewnianej ławie z kufkiem czegoś złotego siedzi Joe.

– Miałem ochotę na spacer – wyjaśnia Charliemu.

Podczas lunchu był wyjątkowo milczący, a teraz pije w pojedynkę. Jak to Lily wczoraj ujęła – kłopoty w raj? Może on i Chloë nie są jedyną parą, która się w ten weekend posprzeczała.

– Co porabiają pozostali? – pyta Charlie.

– Poll pojechała z Thomasem do Galway. Aidan miał kosić trawnik.

Ani słowa o Lily.

– Chloë się pokazała?

– Przed moim wyjściem nie.

Gdy wrócili z mszy, nie było jej w domu. I nie pojawiła się do czasu, kiedy Charlie wybierał się na nabrzeże. Proszę bardzo, dość ma zabawiania jej.

– Jak tam połów? – pyta Joe.

Charlie mówi mu o trzech makrelach, a Joe, który nigdy jeszcze nie był na rybach, stwierdza, że któregoś dnia musi spróbować.

Któregoś dnia, kiedy tu zamieszka. Któregoś dnia, kiedy stanie się współwłaścicielem Land's End i będzie sobie mógł łowić ile dusza zapragnie.

Siedzą we trzech w słońcu, Dinny pyka fajkę, a kiedy wypija piwo, dziękuje za propozycję kolejnego.

– Muszę się zbierać, żona chce, abym zabrał ją do Galway na film.

Wymieniają uściski dłoni, po czym rybak odchodzi. Przyglądając się jego oddalającym się

plecom, Charlie zastanawia się, czy jeszcze się kiedyś spotkają, czy jeszcze dane im będzie siedzieć razem na odwróconych skrzynkach na pokładzie łodzi Dinny'ego.

Zerka na pusty kufel Joego i prawie pusty swój. Powinni już jechać. Jest po szóstej, a on wybył z domu przed drugą. Jeśli Chloë wróciła z przechadzki, będzie skazana na pozostałych – i vice versa.

Ale ma ochotę na jeszcze jedno piwo. A Chloë jest dużą dziewczynką, to zaś jego ostatni weekend tutaj.

– To co, jeszcze po jednym?

Joe zrywa się z ławki.

– Ja przyniosę.

Wygląda na to, że odkłada powrót do Land's End. Charlie wyciąga przed siebie nogi i bez większego zainteresowania zastanawia się, o co Joe pokłócił się z Lily.

Nie musi długo czekać.

– Jestem na cenzurowanym u Lily – mówi Joe, stawiając na stoliku dwa kufle.

Do tej pory za rzadko się spotykali, aby ich znajomość przeskoczyła na wyższy poziom zażyłości. Ale skoro Joe chce się zwierzyć, proszę bardzo.

– Co zrobiłeś?

– Wpadłem na pomysł, aby po ślubie przenieść tu swoją praktykę.

Dłoń Charliego z kuflem nieruchomieje w drodze do ust.

– To znaczy otworzyć we wsi gabinet weterynaryjny?

– Nie. Myślałem, aby zrobić to w Land's End.

Charlie wpatruje się w niego.

– Cóż, skoro dom stoi pusty, wydało mi się to dobrym pomysłem, a Sully wspomniał ostatnio, że najbliższy weterynarz...

– Ale przecież ślub bierzecie we wrześniu, więc jak mielibyście się wtedy przeprowadzić? Lily nadal będzie pracować w mieście.

– Sądziłem, że mogłaby dojeżdżać, przyjeżdżać tu na weekendy albo może przejść na wcześniejszą emeryturę. – Joe wzrusza ramieniem. – To był tylko taki pomysł. Kiedy jednak przedstawiłem go Lily, nie była zbyt ucieszona. Szczerze mówiąc, wkurzyła się.

Charlie bierze łyk piwa, próbując zebrać myśli. Gabinet weterynaryjny. Ludzie i chore zwierzęta przewijający się przez Land's End, smród zwierząt i środków znieczulających. Może sobie wyobrazić reakcję Lily. Żałuje, że go przy tym nie było, że nie widział, jak daje popalić temu idiotcie, tej osobie, która nie ma pojęcia, jak ją uszczęśliwić.

Jak ona może w ogóle myśleć o wyjściu za niego? Jak to możliwe, że ten nudziarz – ten kretyń – wkrótce będzie sobie rościł prawo do domu, który Charlie uwielbia, odkąd tylko zjawił się w nim po raz pierwszy?

Odstawia kufel, następnie skupia się na Joem, starając się, aby jego głos brzmiał neutralnie.

– Lily urodziła się w Land's End – mówi. – Wiedziałaś o tym, Joe?

– Co? Właśnie w tym domu?

– Właśnie w tym domu. Nie wiedziałaś, co?

– Nie – powtarza Charlie. – Kitty także się tam urodziła. Pamiętasz Kitty?

Joe śmieje się niepewnie.

– Oczywiście, że ją pamiętam. Zmarła zaledwie kilka tygodni temu.

– Urodziła się tam Kitty i całe jej rodzeństwo. Miała pięcioro rodzeństwa, Joe, cztery siostry i brata. Wszyscy przyszli na świat w łóżku, na którym spałeś zeszłej nocy. – To ostatnie zgaduje. Warto jednak to zrobić, aby zobaczyć, jak uśmiech znika z twarzy Joego, jak jego usta się zaciskają. – Jest jeszcze jedna rzecz, o której możesz nie wiedzieć, Joe. Jutro Lily i ja obchodzilibyśmy trzydziestą rocznicę ślubu.

Uświadomił to sobie, kiedy wracali do domu z mszy, a Lily wspomniała, że Thomas kończy w listopadzie trzydzieści lat.

Trzydzieści lat temu poprowadził ją do ołtarza. Pierwszego maja, data łatwa do zapamiętania. Jeśli dzień ten przypadał w środku tygodnia, zamawiał dostawę kwiatów do szkoły, a wieczorem zabierał

Lily na kolację. Ona dawała mu w prezencie nową koszulę albo książkę.

Nie odrywa wzroku od twarzy jej narzeczonego.

– Powiedziała ci, Joe, że jutro jest nasza rocznica?

– Nie. Nic o tym nie mówiła.

– Częściowo dlatego właśnie wybrała ten weekend, ze względu na stare czasy. Może nie powinienem był nic o tym mówić.

Wie, że to nieprawda, ale Joe nie. To nie triumf, a jedynie wbicie szpilki, czuje jednak dzięki temu mniejszą wściekłość. Przesuwa dłonią po kieszeni dżinsów, wyczuwając niewielkie, twarde wybrzuszenie – Dinny podarował mu coś na łodzi, kiedy Charlie to podziwiał. Pomaga mu świadomość, że to ma.

– Mówię ci to, Joe, po to tylko, aby podkreślić, że mnie i Lily łączy wiele wspólnych lat i że znam ją znacznie lepiej niż ty. Wiem, na przykład, że nie przepada za dokonywaniem założeń w stosunku do jej przyszłości.

– Jezu, ja tylko...

– I wiem, że ostatnie, czego chce, Joe, to aby ktoś mówił o przekształceniu jej rodzinnego domu w jakiś biznes, podczas gdy jej matka nie zdążyła jeszcze ostygnąć w grobie.

– To był tylko luźny pomysł. – Szttywno. – To była tylko taka myśl.

– Wiem. Wiem, że tak było, Joe. Ale jeśli chcesz, aby wasze małżeństwo przetrwało choćby trzy lata, będziesz się musiał nauczyć myśleć, zanim otworzysz usta. Tyle tylko ci mówię.

W odpowiedzi Joe unosi swój kufel i Charlie słyszy ciche, miarowe przełykanie. Kiedy opuszcza kufel, jest on w połowie pusty. Następnie odwraca się i patrzy prosto na Charliego.

– To trochę śmieszne, że akurat ty udzielasz mi małżeńskich porad – mówi spokojnie.

Oznaka charakteru – Charlie nie spodziewał się tego. Piwo czyni go odważnym.

– Chodzi o to, Joe...

– A co więcej – mówi głośniej, przerywając Charliemu – nie sądzę, abyś miał jakiegokolwiek prawo mówić w imieniu Lily, skoro to ty ją porzuciłeś. – Zaciska palce wokół kufla. Ma duże dłonie. Duże, silne dłonie weterynarza.

– Chodzi mi o to...

– Wiem, o ci chodzi, Charlie. Nie muszę wysłuchiwać tego raz jeszcze.

Charlie czuje nagły przypływ gniewu.

– Nie masz o niczym pojęcia – warczy. – Nigdy nie będziesz dla niej wystarczająco dobry.

– Znaczy się: nie tak jak ty? – odparowuje Joe. – Ty, który uciekłeś od niej, kiedy dziewczyna w wieku twojej córki zatrzepotała rzęsami?

– Nie mów tak o niej!

– Niby jak? Czy mówię nieprawdę? Porzuciłeś Lily dla młodej dziewczyny i masz mnie czelność pouczać, ty zadowolony z siebie draniu!

Nagle piorunują się nawzajem wzrokiem na tyłach pubu Queally's, na koniec słonecznego niedzielnego popołudnia. Nie ma tu nikogo, nikogo, kto by zobaczył, jak Joe zrywa się z miejsca i podciąga Charliego z ławki, nikt nie widzi kiepsko wymierzonego ciosu, który trafia Charliego w bok policzka, a nie w środek, nikt nie jest świadkiem zamachnięcia się, którego Joe unika dzięki schyleniu się, podczas którego strąca łokciem oba kufle.

Joe zadaje drugi cios: tym razem Charlie czuje gorące pieczenie na żuchwie. Robi chwiejny krok w tył i unosi ręce w geście poddania – żaden z niego bokser, a Joe jest w wyraźnie lepszej formie.

– Okej – mówi. – Okej, wystarczy.

I na szczęście Joe wydaje się równie gotowy do zakończenia bójki jak on. W milczeniu zbierają potłuczone szkło, nie patrząc na siebie. Charlie dotyka ostrożnie pulsującego bólem podbródka, kilka razy otwiera i zamyka usta. Wszystko wydaje się nienaruszone.

To jego wina, sam się o to prosił. Nie przypuszczałaby jednak, że Joe jest do czegoś takiego zdolny. Oto, co potrafią uczynić niefortunnie dobrane słowa.

Zostawiają odłamki szkła na stoliku i wracają przez pub. Klienci obracają się na stołkach w ich stronę – najwyraźniej słyszeli zamieszanie. Charlie idzie w stronę wyjścia, modląc się, aby George

Queally nic nie powiedział – i choć raz jego modlitwy zostają wysłuchane.

Na chodniku wskazuje na samochód.

– Wsiadaj, mimo że próbowałeś złamać mi szczękę.

Idiota czy nie, ten człowiek żeni się z Lily – lepiej odpuścić, zostawić to za sobą.

Joe mierzy samochód powątpiewającym spojrzeniem. Charlie otwiera drzwi.

– Jak sobie chcesz – mówi, po czym wsiada.

Kiedy wkłada kluczyk do stacyjki, Joe otwiera drzwi od strony pasażera i także wsiada.

Te dobre półtora kilometra, jakie dzieli wieś od Land's End, jeszcze nigdy tak mu się nie dłużyło.

THOMAS

Poll jedzie trochę za szybko. Thomas nic nie mówi. Zbyt jest zajęty próbami nierozmyślenia o tym, co czeka go w Galway.

Poll na kurs prawa jazdy poszła, gdy miała dziewiętnaście albo dwadzieścia lat. Zdała za trzecim podejściem. Nigdy nie miała samochodu i za żadnym się nie rozglądała, za to bez wahania siadała za kierownicę dowolnego auta.

Opowiada mu o spotkanych na plaży kobietach. Opowiada o Cecily, która spędziła w Land's End miesiąc miodowy.

– Mówiłaś o tym mamie?

– Tak. Pamięta ich, bo byli pierwszymi gośćmi pensjonatu. A Cecily nadal piecze chleb babci. Urocze, prawda?

– Wow. Babcia to dopiero umiała piec. Pamiętasz jej ciastka z rodzynkami?

– I kruche ciasto z migdałami. Moje ulubione. To znaczy ono oraz tarta cytrynowa z bezą.

Słońce skrywa się za chmurą, nakładając na krajobraz filtr. Mijają wbity w ziemię na poboczu mały biały krzyż i przytwierdzony do niego bukiet plastikowych kwiatów. Upamiętnienie śmierci użytkownika drogi, oznaczenia miejsca, gdzie ta osoba zginęła. Thomas uważa tę tradycję za makabryczną. Po co oznaczać miejsce, w którym się kogoś straciło? Nie lepiej pamiętać go ze szczęśliwszych czasów, a coś, co go będzie upamiętniać, umieścić w miejscu, które kochał?

– Pokażesz mi, gdzie to się stało? – pyta Poll. – To znaczy miejsce, w którym ten chłopak ukradł ci samochód.

– Jeśli chcesz.

On wolałby je zignorować, pozwolił, aby Poll je minęła, no ale wskazuje na nie. Jego siostra zjeżdża na pobocze i rozgląda się.

– Nie wyobrażam sobie, co musiałeś wtedy czuć.

– Było to dość przerażające. – Przypomina mu się strach na widok noża, nieprzyjemne ściskanie w żołądku, kiedy kazano mu wysiąść z jego własnego samochodu. – W szkole byłem prześladowany – dodaje. – Czułem się trochę tak, jak wtedy.

Poll odwraca się w jego stronę.

– Byłeś prześladowany? Nigdy nic nie mówiłeś.

– Bo tego się nie robi, no nie? Dlatego, że wiesz, że to nic nie zmieni.

– Ale może by zmieniło. Tata może...

Kręci głową.

– Nie. Byłoby jeszcze gorzej.

– Jak długo to trwało?

Thomas wzrusza ramionami.

– Kilka lat. Nie jestem pewny.

– Kilka lat! Chłopcy z twojej klasy?

– No. Nie znałaś ich.

Nieprawda. Przyjaźniła się z siostrą Richiego O'Toole'a i wiele razy bywała w ich domu. Ale po co po tylu latach wywlekać nazwiska?

– Oni... bili cię?

– Nie. Byłem od nich wyższy. To chyba pomogło. Po prostu szli za mną do domu, wyzywali mnie. Pluli na moje zeszyty, rzucali we mnie różnymi rzeczami.

– O Boże. Biedny Thomas. – Wyciąga rękę i gładzi go po ramieniu. – Szkoda, że nie wiedziałam.

– W porządku. Poradziłem sobie. Na jednego z nich zdarzyło mi się znowu wpaść. Kilka lat temu, kiedy pracowałem jeszcze w szpitalu. Jego syn miał mieć prześwietlenie.

– Kopę lat – rzekł wtedy Richie.

Czarne spodnie od dresu z białym paskiem wzdłuż nogawek. Włosy obcięte bardzo krótko, przypuszczalnie po to, aby ukryć zakola, których widok bardzo Thomasa ucieszył.

Wyjaśnił, że jest trenerem osobistym, a jego żona fizjoterapeutką.

– Więc pracujesz tutaj.

Przyjrzał się uniformowi portiera, cały w uśmiechach. Ani śladu wyrzutów sumienia, ani śladu skrępowania tym spotkaniem. Może naprawdę nie pamiętał, jak on i jego koledzy zachowywali się przed laty.

– Przeprosił? – pyta teraz Poll.

– Nie. Sądzę, że w ogóle już tego nie pamiętał.

– Boże. Co za ludzie.

Znowu włącza się do ruchu, dojeżdża do ronda i skręca na Galway.

– A właśnie. Nie zostajemy dziś w domu na kolację. Aidan zabiera mnie do Donaghy's.

– No proszę. Wytwornie.

– Mm.

Wcale nie wydaje się zadowolona. Pamięta, jak na koniec letnich wakacji chodzili zawsze na kolację do hotelu we wsi, zabierając babcię w ramach podziękowania za gościnę. Wtedy to miejsce wyglądało dla niego jak pałac – czerwone pluszowe obicia i flokowana tapeta – a na ich powitanie wychodził zza biurka w recepcji Eugene Donaghy w szarym garniturze.

Z zewnątrz hotel wygląda dokładnie tak samo, jak przed laty. Zastanawia się, czy w środku coś się zmieniło, czy desery nadal przywożone są na wózku, czy nadal można zamówić profiterolki z kremem i sosem czekoladowym – za każdym razem wybierał właśnie je.

Poll zerka na niego.

– Thomas, mogę ci coś powiedzieć?

– Jasne.

Czeka, ale siostra milczy. Wzrok ma utkwiony w przedniej szybie, a wyraz jej twarzy nic mu nie mówi.

– O co chodzi?

Przygryza dolną wargę, co często u niej obserwuje.

– Myślę... – Urywa, a on znowu czeka. – Że ze mną jest coś nie tak.

Na jej twarz wypełza rumieniec. Posyła mu kolejne spojrzenie i Thomas dostrzega w jej oczach łzy.

Czuje ukłucie niepokoju.

– Co masz przez to na myśli? Jesteś chora? – Nie wygląda na chorą, ale to może o niczym nie świadczyć.

Poll kręci głową.

– Nie chora. Trudno to wyjaśnić. Ja mam... wewnętrzny przymus, potrzebę, aby kończyć z ludźmi. Z chłopakami. Mężczyznami.

Nie ma to za bardzo sensu.

– Poll, ja nie...

– Nie potrafię z nikim długo być. Muszę go zostawić. Coś każe mi go zostawić.

– Chcesz powiedzieć... że zrywasz z chłopakami?

– Tak. – Tak cicho, że prawie jej nie słyszy. – To zawsze jestem ja. Nawet jeśli... nadal ich lubię. Nie potrafię się powstrzymać. Nie umiem pozwolić sobie wierzyć, że... to przetrwa, dlatego sama kończę związki.

Thomas ma w głowie mętlik. Nigdy mu się tak nie zwierzała. Może jego słowa o prześladowaniu sprawiły, że się otworzyła.

– Wiem – mówi Poll. – Wiem jak idiotycznie to brzmi.

– Poll, wcale nie... Po prostu kim ja jestem, aby udzielać rad w kwestii związków?

Wydaje dźwięk, ni to śmiech, ni to szloch.

– W sumie masz rację.

– Ale posłuchaj, czy nie jest tak, że każdy jest w kilku związkach, zanim znajdzie osobę, która jest mu przeznaczona? Nie tak to ogólnie działa?

– Tak. Tak to ogólnie działa. – Nie wydaje się uspokojona. Znowu przygryza wargę, sprawia

wrażenie spiętej.

– A ty i Aidan... cóż, wydajecie się... To znaczy z tego, co widzę, wydajecie się dla siebie stworzeni. Wygląda to tak, że dobrze wam ze sobą.

Poll posyła mu błady uśmiech.

– Dzięki – mówi. – Masz rację, rzeczywiście dobrze nam razem. Jestem niemądra.

Wcale nie, po prostu jest jego siostrą. Młodsza siostrą, której – odkąd Thomas sięga pamięcią – brakuje pewności siebie. Może w przeciwieństwie do niego nie jest nieśmiała w stosunku do innych ludzi, tyle że nie dostrzega własnej wartości, nie potrafi uwierzyć, że ktoś ją może pokochać.

Myśli o tworzonych przez nią glinianych głowach. Okrągłych wesołych twarzach, cudaczkich włosach zrobionych z tego, co ma akurat pod ręką. Każda głowa jest przytwierdzona do ceramicznej podstawy za pomocą mosiężnej sprężyny, tak że najmniejszy dotyk sprawia, że kiwa się i podskakuje. Nie da się na nie patrzeć i się nie uśmiechać.

Odnosi czasem wrażenie, że Poll przelewa w nie całe swoje szczęście, dla siebie pozostawiając dojmująco mało. Ma ochotę zmusić ją do tego, aby na niego spojrzała, i oświadczyć: „Spójrz, Poll. Spójrz na to wszystko, co masz. Dostrzegaj to i bądź szczęśliwa”. Jej niepokój łamie mu serce.

Dojeżdżają do przedmieść Galway.

– Poll – mówi. – Chciałbym... chciałbym, abyś widziała siebie taką, jaką my cię widzimy. Jesteś świetna, jesteś utalentowana i wielkoduszna...

– Thomas, nie musisz...

– Poll, to wszystko jest prawdą. Nie zmyślam po to, aby być miłym. Mówię jedynie, że musisz uwierzyć w siebie. A Aidan za tobą szaleje, to widać. Wszyscy to widzimy.

– To dobrze. – Tym razem na jej twarzy pojawia się uśmiech, ale jest to uśmiech, który mówi: „Patrzcie, jaka jestem szczęśliwa. Patrzcie na moją wesołą minę”. – Będziemy musieli zapytać kogoś, jak dojechać na komisariat.

I tak oto temat zostaje zarzucony.

Wskazówek udziela im mężczyzna wyprowadzający psa. Gdy jadą w milczeniu, Thomas czuje, jak wraca do niego wczorajszy koszmar. Tak bardzo nie chce znów przeżywać tych wydarzeń, nie ma jednak wyjścia.

Na końcu ulicy widzą charakterystyczny niebiesko-biały szyld komisariatu. Gdy skręcają na zatłoczony parking, Thomas odpina pasy, chcąc mieć to jak najszybciej za sobą.

Hol komisariatu okazuje się długi i wąski, no i jest w nim zdecydowanie za gorąco. Pod ścianą stoi ławka. Naprzeciwko niej za dwoma biurkami otoczonymi szklanymi taflami siedzi dwóch umundurowanych funkcjonariuszy i stuka w klawiatury.

Naprzeciwko okienka stoi kobieta w długiej wzorzystej sukni i w turbanie na głowie. Skórę ma w odcieniu melasy. Nachyla się i mówi z ożywieniem niskim, głębokim głosem do jasnowłosego policjanta, robiącego notatki w jakiejś dużej księdze.

Na ławce siedzi dwóch mężczyzn; starszy wpatruje się w ponuro w ziemię, a obok niego stoi oparta o ławkę laska.

– Co za dzień – mówi ten młodszy, gdy Poll i Thomas siadają obok niego. Jest mniej więcej w wieku taty. Małe usta, spiczasty podbródek. Szary garnitur czasy świetności ma już za sobą. – Włamano się do mojego ojca – kontynuuje, wskazując głową na ponurego mężczyznę. – Osiemdziesiąt osiem lat, skradziono trzysta euro. Dokąd zmierza ten świat?

Spoglądają na staruszkę, który nie daje po sobie poznać, że świadomy jest tej rozmowy.

– Zrobiono mu krzywdę? – pyta Poll.

– Krzywdę nie, ale tylko dlatego, że im powiedział, gdzie trzyma pieniądze. Mówi, że było ich dwóch. Mnie akurat nie było w domu.

– Byli uzbrojeni? – Znowu Poll.

– Mieli dwa wielkie kije hokejowe. Wyobraźcie sobie krzywdę, jaką mogli mu wyrządzić.

– Wcale nie dwa kije – oświadcza z rozdrażnieniem staruszek, nie odrywając wzroku od podłogi. – To był jeden kij od hokeja i laska. Mówiłem ci.

– Oj tam, tato.

– I ukradli mi dwieście osiemdziesiąt pięć euro, a nie trzysta.
– Bardzo się zdenerwował – mówi cicho syn do Poll i Thomasa.
– Oczywiście, że się zdenerwowałem. Dlaczego miałbym się nie zdenerwować? A ty wcale nie pomagasz, wszystko przekręcasz.

– Tato, uspokój się.

– Mojemu bratu skradziono wczoraj samochód – wtrąca Poll. – Przyjechał złożyć zeznanie.

Syn przygląda się Thomasowi z zaciekawieniem.

– Naprawdę? A gdzie go miałeś?

– Byłem w nim. Zabrałem złodzieja na stopa.

– A to dopiero! I co...

– Kto następny?

Podnoszą wzrok. Kobieta w turbanie zniknęła. Syn zrywa się z ławki i wyciąga rękę, aby pomóc ojcu wstać. Ten jednak ignoruje go i ujmuje laskę.

Thomas i Poll kwadrans czekają, aż ci dwaj uzgodnią wersję wydarzeń, a funkcjonariusz za szybą wszystko zapisze. W tym czasie na posterunek wchodzi osobno trzy osoby: dwie starsze kobiety i jeden młody mężczyzna. Siadają na ławce, nie nawiązując z nikim kontaktu wzrokowego.

Kiedy nadchodzi kolej Thomasa, on i Poll podchodzą do okienka. Thomas podaje swoje imię i nazwisko.

– Skradziony samochód – dodaje. – Dzwoniłem wczoraj. Mam złożyć zeznanie.

– Wczoraj. – Policjant kartkuje księgę. – Godzina?

– Koło siedemnastej.

Wybiera kartkę, przesuwając palcem wzdłuż kolumny, zatrzymuje go. Czyta.

– Thomas Cunningham – mówi. – Tak. Unosi opuszczany blat. – Proszę za mną.

– Mam tu zostać? – pyta go Poll.

– Jak pani chce.

Więc idzie z nimi. Policjant prowadzi ich na koniec korytarza i wpuszcza do niedużego, wyłożonego płytkami pomieszczenia ze stołem i czterema krzesłami. Nie znajduje się tam nic więcej.

– Proszę tu zaczekać – nakazuje, po czym odchodzi.

Siadają obok siebie. Od zewnątrz za oknem znajdują się kraty. W kącie pod sufitem umieszczono kamerę, wycelowaną dokładnie w stół.

– To pewnie pokój przesłuchań – mówi cicho Poll. – Nie ma jednak lustra.

Thomas wskazuje na kamerę.

– Big Brother patrzy.

Drzwi otwierają się. Wchodzi krępy, jasnowłosy funkcjonariusz ubrany po cywilnemu. Na oko ma ze czterdzieści lat. Pod pachą trzyma grubą księgę.

– Thomas – mówi i wyciąga rękę. – Rozmawialiśmy wczoraj przez telefon. Mam na imię Philip.

Thomas przedstawia mu Poll. Policjant siada naprzeciwko nich i wyciąga pod stołem długie nogi.

– Dobra wiadomość jest taka, że mamy pański samochód – oświadcza i wyjmując z kieszeni kluczyki. Kładzie je na stole. – Pewnie je pan rozpoznaje.

To niezaprzeczalnie kluczyki Thomasa z przytwierdzonym do nich breloczkiem od Fredy.

– Gdzie był?

– Zaraz za deptakiem w Salthill, na ulicy Barna. Jeden z policjantów wracał do domu i auto zwróciło jego uwagę.

– W jaki sposób?

– Jechało od krawężnika do krawężnika.

– Nadal nim jechano?

– Zgadza się. Policjant rzucił się w pościg, zmusił samochód do zjechania na pobocze. Kierowca gwałtownie zahamował, uderzył głową w przednią szybę, wysiadł i pobiegł w pole. Nasz człowiek go złapał, proszę się nie martwić. Ma pan szczęście, że w takim stanie nie doprowadził do wypadku.

– W jakim stanie?

– Z tego, co mi wiadomo, miał pan w samochodzie alkohol.

– Nie, ja... – Thomas urywa. – Tak, miałem piwo, dwa sześciopaki.

– Zgadza się. Wypił je, a oprócz tego w jego organizmie wykryto kokainę.

Thomas myśli o setce euro w portfelu. Możliwe, że użyto tych pieniędzy do zakupu kokainy.

– Gdzie ten chłopak teraz jest?

– Tutaj. Naczelnik przedłużył mu areszt tymczasowy. Koledzy z Limerick i Cork chcieli go przesłuchać, więc go nie wypuściliśmy. Jest nam dobrze znany. Drobnny przestępca, co rusz pakujący się w kłopoty.

Thomas przypomina sobie chudą, ściągniętą twarz chłopaka, świeżą ranę na czole, za duże ciuchy, woń niemytego ciała.

– Proszę – kontynuuje policjant, otwierając księgę. Wyjmuje z niej luźną kartkę. – Żebyśmy mieli jasność, że to on zabrał panu samochód, muszę pana prosić o zidentyfikowanie sprawy.

Przesuwa kartkę w stronę Thomasa, który patrzy na pół tuzina młodych, nieuśmiechających się mężczyzn. Bez problemu wskazuje napastnika.

– To on.

Policjant kiwa głową.

– Zgadza się, to jego mamy. Już od lat jest w naszym systemie.

– Ile ma lat?

– Siedemnaście.

Nie ma jeszcze osiemnastu lat, a od lat jest w policyjnym systemie.

– Zaczął od rabunków jako trzynastolatek – wyjaśnia funkcjonariusz. – W gimnazjum znalazł sobie starsze towarzystwo. Ojciec nie świeci przykładem, regularnie trafia do więzienia.

– Co się z nim teraz stanie?

– Wkrótce stąd wyjdzie, o ile już nie wyszedł. We wtorek lub środę będzie się musiał stawić w sądzie okręgowym i usłyszy zarzut nieupoważnionego przejęcia pojazdu i prowadzenia pojazdu w sposób stanowiący zagrożenie, no i jeszcze kilka innych.

– A jeśli się nie stawi?

– Stawi się. Wiemy, gdzie mieszka.

– Więc jest stąd.

– O tak, to jeden z naszych. Mieszka w Galway od urodzenia.

Ojciec przestępca, kiepski start.

Zamachnął się nożem na Thomasa, kiedy ten próbował wyrwać kluczyki, ale go nie tknął. Czy gdyby Thomas nie ustąpił, spełniłby swoją groźbę? Może tak, może nie.

– Będę musiał zjawić się w sądzie? – pyta Thomas.

Policjant kręci głową.

– Tylko jeśli nie przyzna się do winy, ale skoro został przyłapany w pańskim samochodzie, a my będziemy dysponować pańskimi zeznaniami, byłby głupi, gdyby próbował zgrywać niewinnego.

– A potem co się z nim stanie?

Mężczyzna chowa kartkę do księgi.

– Cóż, miał już kilka ostrzeżeń od oficera łącznikowego dla nieletnich, został także zgłoszony do miejscowego Zarządu Służby Zdrowia w związku z narkotykami, ale uparcie trzyma się niewłaściwej strony prawa, więc najprawdopodobniej trafi do Oberstown, ośrodka dla młodocianych przestępców w Dublinie.

Thomas ponownie wraca myślami do swoich szkolnych prześladowców, Richiego O'Toole'a i jego koleżków. Nigdy nie grozili mu nożem, ale i tak mieli nad nim władzę. Sprawiali, że czuł się równie zastraszone jak wczoraj, kiedy oddawał swój samochód.

Teraz jest jednak inaczej. Prześladowcę schwytano. Prześladowca dostanie za swoje.

– Mogę zabrać dziś swoje auto? Nie jest zniszczone?

Policjant kręci głową.

– Pęknięta szyba w miejscu, gdzie przywitała się z nią jego głowa, nic więcej. Może je pan zabrać od razu po złożeniu zeznań.

– Świetnie. – Thomas spogląda na Poll. – W takim razie nie musisz na mnie czekać.

– No to wróć do domu. – Odsuwa krzesło. – Ale się wszyscy ucieszą, kiedy im powiem, że odzyskałeś samochód. – Szybko ściska Thomasa na pożegnanie, a do niego wraca ich wcześniejsza rozmowa.

Ujmuje dłoń siostry i ją ściska.

– Dzięki, że mnie przywiozłaś. I udanej kolacji, bo nie wiem, czy zdążę wcześniej wrócić.

Po jej wyjściu Thomas raz jeszcze opowiada przebieg wczorajszych wydarzeń, a policjant Philip wszystko zapisuje. Zastanawia go, dlaczego nie korzystają z komputerów, nic jednak nie mówi, chcąc jak najszybciej mieć to za sobą. Dwadzieścia minut później stoi na tyłach komisariatu obok swojego samochodu.

Obchodzi go, oglądając z zewnątrz i od środka. Na tylnym siedzeniu nadal leży walizka, wyglądająca na nieruszaną. Obok niej widzi swoją kurtkę. Piwo oczywiście zniknęło.

Tapicerka nie jest pocięta, nie widać żadnych zniszczeń z wyjątkiem pęknięcia na przedniej szybie – z jakąż siłą musiał w nią uderzyć, aby do niego doprowadzić? A mimo to dał radę otworzyć drzwi i pobiec w pole, aby uniknąć schwytania.

To wszystko jego wina. Mógł cię zabić.

A mimo to czuje względem tego chłopaka odrobinę współczucia. Mógł zabić Thomasa albo go zranić, ale tego nie zrobił.

Zagląda do bagażnika i widzi kołdrę – a cóż tam stoi w rogu? Sięgając po karton po butach, przypomina sobie pudding. Tutaj też wszystko wygląda na nietknięte.

Zatrzaskuje bagażnik, otwiera drzwi i wsiada do środka. Uderza w niego silny odór alkoholu połączony z zapamiętaną przez niego wonią niemytego ciała. Opuszcza dwie przednie szyby, sprawdza lusterka i reguluje fotel.

Przekręca kluczyk w stacyjce – według wskaźnika paliwa bak jest w połowie pełny – po czym wyjeżdża zza budynku. Gdy zbliża się do miejsca, w którym wcześniej zaparkowała Poll, dostrzega postać, która wychodzi głównymi drzwiami i kieruje się w stronę furtki.

To on.

Chłopak, który zabrał mu samochód.

Ma na sobie te same brudne ciuchy. Idzie powoli przez dziedziniec, z rękami wciśniętymi w dżinsy.

Bez noża. Nie ma nic, czym mógłby grozić. Półtorej głowy niższy od Thomasa. Nie myśląc, nie planując, Thomas wjeżdża na miejsce opuszczone przez Poll. Gasi silnik i podnosi szyby. Wsiada z samochodu i zamyka drzwi.

– Hej! – woła, idąc w stronę chłopaka.

Zero reakcji.

– Hej! – Głośniej.

Odwraca się, widzi Thomasa, idzie dalej.

– Chcę z tobą pogadać!

Naprawdę? Co on wyprawia?

Chłopak w końcu się zatrzymuje. Odwraca się i czeka. Thomas idzie w jego stronę, żałując już swojego impulsu, a ze strachu zaczyna go swędzić skóra. Znajdujecie się pod komisariatem. Nic się nie może stać.

No ale jednak.

Zatrzymuje się dobre półtora metra od chłopaka. Mierzą się wzrokiem.

– Pamiętasz mnie? – pyta Thomas.

Żadnej odpowiedzi. Chłopak patrzy tylko na niego zmrużonymi oczami.

– Wczoraj zabrałeś mi samochód. – Thomasowi robi się gorąco w policzki. – Tamten. – Wskazuje.

Chłopak powoli odwraca głowę, po czym ponownie patrzy na Thomasa.

– Odzyskałeś go, no nie? – Słowa urywane, głos twardy. Agresja tuż pod powierzchnią.

– Ukradłeś mój samochód. Groziłeś mi nożem. – W ustach czuje suchość. – Mam na imię Thomas.

Chłopak mruga. Uszy ma małe jak dziewczyna. Przez krótko obcięte włosy prześwituje blada skóra. W jednym miejscu jest ciemniejsza, posiniaczona – od kontaktu z szybą? Trudno mieć pewność.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pyta Thomas. – Zabrałem cię na stopa. Oddałem ci przysługę.

Chłopak wzdycha z przesadą.

– Czego chcesz, stary? Złapali mnie, co nie?

– Słuchaj, nie jestem na ciebie zły. Byłem, ale mi przeszło. Mam tylko nadzieję...

Nadzieję na co? Każde możliwe zakończenie tego zdania – że otrzymasz potrzebną pomoc, że więcej tego nie zrobisz, że wszystko ci się ułoży – zabrzmi protekcjonalnie.

Oczy chłopaka są jasnozielone, a może niebieskie. Czarne szwy na skroni mocno się odznaczają na tle bladej skóry. W kąciку ust widać ślinę.

– Masz nadzieję na co? – pyta. Głos ma równie zimny i martwy jak oczy.

Thomas otwiera usta, ale nie wydostają się z nich żadne słowa.

– Nie wiem – przyznaje w końcu. – Nie wiem, dlaczego cię zatrzymałem.

Chłopak wyjmując ręce z kieszeni. Thomas cały się spina – zamierza teraz zaatakować? – ale on jedynie krzyżuje je na piersi i przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Żebyś mógł odegrać rolę tego ważnego – rzuca.

– Nie...

– Żebyś mógł się ze mnie pośmiać.

– To nie...

– Żebyś mógł pośmiać się z cholernego idioty, który dał się złapać.

– Nie.

– A wiesz, na co ja mam nadzieję? – pyta, a w jego głosie pojawia się nowa nutka.

Thomas czeka, a strach przebiega przez jego ciało niczym mrówki.

– Mam nadzieję, że rozbijesz samochód i uszkodzisz sobie mózg, tak byś do końca życia srał w pieluchę. – Żadnych emocji w bladych oczach. – Mam nadzieję, że twoja matka zostanie zgwałcona i pocięta. Mam nadzieję, że twoje dzieci zachorują na raka i umrą, krzycząc z bólu.

Recytuje to jak litanię, jak coś, czego nauczył się na pamięć. Jego słowa ociekają jadem. Dlaczego mówi to wszystko? Co Thomas zrobił, by zasłużyć sobie na taką nienawiść?

A potem, co niewiarygodne, uśmiecha się. Żółte zęby, brak jednego na dole.

– Tylko się wygłupiam, stary. Żebyś mógł widzieć swoją minę. – Wyciąga rękę. – Żartuję sobie, okej?

Thomas patrzy na jego rękę, brudną i pełną blizn.

Na twarzy chłopaka nadal maluje się rozbawienie.

– Nie uściśniesz mi ręki, stary? Ja tylko żartowałem, okej?

Thomas odwraca się i ze ściśniętym żołądkiem wraca do samochodu.

– Mam nadzieję, że wczoraj za bardzo nie zmokłeś, stary. – Głośny rechot. – A tak w ogóle to masz lipny samochód.

Thomas otwiera drzwi.

– Mam na imię Thomas! – Drwiący falset. – Oddałem ci przysługę!

W tym momencie strach zostaje zastąpiony palącym gniewem. Jego dłonie zaciskają się w pięści. Walczy z wszechogarniającą pokusą odwrócenia się, wrócenia do tego zwierzęcia i walnięcia go w twarz.

Otwierają się drzwi komisariatu i dwóch umundurowanych funkcjonariuszy idzie w stronę radiowozu. Na ich widok chłopak szybko się oddala.

Thomas wsiada do samochodu, a krew nadal w nim buzuje. Siedzi ze wzrokiem wbitym w budynek z czerwonej cegły, czekając, aż ochłonie na tyle, aby móc prowadzić. „Mam nadzieję, że rozbijesz samochód i uszkodzisz sobie mózg”. Jaki wypaczony umysł mógł to uważać za zabawne? To właśnie robiły z człowiekiem narkotyki, pozbawiając poczucia tego, co dobre, tego, co przyzwoite?

„Mam nadzieję, że twoja matka...”. Odsuwa to od siebie. Ponownie wkłada kluczyk do stacyjki.

Mijają minuty. Ludzie wchodzą na komisariat i z niego wychodzą – nie zwraca na nich żadnej uwagi. W końcu raz jeszcze opuszcza szyby, przekręca kluczyk, po czym wyjeżdża z parkingu.

Wyjeżdża ostrożnie z miasta – „Mam nadzieję, że rozbijesz samochód” – z radiem grającym klasyczne hity, powoli się uspokajając. Po kilku kilometrach przyłapuje się na tym, że nuci razem z kimś – Randym Newmanem? Za jakiś czas dojeżdża do ronda, z którego musi zjechać, aby dotrzeć do Land’s End.

Mógłby pojechać prosto. Mógłby wrócić do domu, skracając ten nieszczęsny wyjazd. Do domu dotarłby koło siódmej, zamówiłby coś na wynos. On i Rasputin mogliby przez cały wieczór oglądać telewizję i mógłby zjeść cały pudding, gdyby tylko miał taką ochotę, z sosem czy bez sosu.

Kusząca myśl.

Nie może tego zrobić. Przez brak zasięgu z nikim nie uda mu się skontaktować, a nie może zniknąć bez słowa.

Skręca w lewo.

Gdy dociera do domu, jest już prawie piąta. Gasi silnik, a kiedy chce wysiąść, w schowku pod kierownicą dostrzega coś, co przywołuje na jego twarz blady uśmiech. Wyjmuje z niego sześć kuponów lotto.

Nietkniętych. Niezdrapanych.

LILY

– Wróciłeś – mówi. – Poll przekazała mi dobre wieści. Wszystko w porządku?

Opowiada jej o pękniętej szybie, na co Lily mu mówi, że wie już o tym od Poll, i czuje taką samą satysfakcję jak wcześniej na myśl, że uderza w nią głowa tego chłopaka. Dobrze mu tak; szkoda, że przez nią nie wyleciał.

Thomas pokazuje jej zdrapki lotto.

– Kupiłem je wczoraj i zostawiłem w samochodzie. Nie znalazł ich.

Lily traktuje je jako dobry znak. Przydałaby im się odrobina szczęścia.

– Daj mi je.

Thomas posyła jej szeroki uśmiech.

– Chyba nie zamierzasz wszystkich zdrapać?

– Nie ma tu nikogo oprócz nas. Twój ojciec jest na rybach. Poll i Aidan pojechali gdzieś rowerami, Chloë jest w swoim pokoju, a Joe zniknął po lunchu. Dawaj, możemy to robić na zmianę.

Ostatni kupon, zdrapany przez Lily, wygrywa pięćdziesiąt euro. Ta wygrana sprawia jej większą przyjemność niż można by się spodziewać.

– Damy sobie spokój z kolacją w Sully's? – pyta, zbierając zdrapki. – Chyba nie jestem w nastroju.

– Proszę bardzo. Jaka jest alternatywa?

Lily spogląda na kuchenny zegar.

– W niedzielę supermarket czynny jest do szóstej.

Tak więc Thomas wsiada raz jeszcze do samochodu i jedzie do wsi, aby spieniężyć wygraną zdrapkę, a także kupić dwa kurczaki i mrożone frytki. A ona ma dzięki temu mnóstwo czasu na zastanawianie się, dokąd udał się Joe.

– Muszę wziąć prysznic – mówi Thomas po powrocie. – W moim samochodzie trochę śmierdzi.

Gdy znowu zostaje sama, Lily umieszcza masło pod skórą kurczaków i posypuje je solą i czarnym pieprzem. Gdy wkłada mięso do piekarnika, wracają Charlie i Joe.

Od razu wyczuwa, że coś się stało. Nie patrząc na nią, Joe podchodzi do zlewu i nalewa sobie szklankę wody. Boi się, że nadal jest na niego zła – a może on jest zły na nią o to, że na niego naskoczyła.

– Jak to możliwe, że wróciliście razem? – pyta.

Charlie wyjaśnia, że spotkali się we wsi, co niewiele jej mówi. Jedną część jego brody wygląda na zaczerwioną – to pewnie przez siedzenie na łodzi w pełnym słońcu.

Opowiada im o samochodzie Thomasa, świadoma milczącej obecności Joego.

– Będzie się musiał stawić w sądzie? – pyta Charlie.

– Nie, mają wystarczająco wiele dowodów.

– Mam nadzieję, że go zamkną.

– Oby. A właśnie, zdecydowaliśmy, że nie idziemy do Sully's. Zamiast tego zjemy w domu. Nie masz nic przeciwko?

– W żadnym razie... Chloë się pokazała? – Rozgląda się po kuchni, jakby się spodziewał, że wyskoczy zza kredensu.

– Jest na górze – odpowiada Lily.

Charlie udaje się na piętro.

Ona odwraca się w stronę Joego.

– Gdzie zniknąłeś? – pyta.

– Miałem ochotę się przejść.

– I spotkałeś Charliego.

– Wpadłem na niego w pubie.

W pubie. Przez nią musiał się napić.

Obejmuje go w pasie.

– Przepraszam, że się zdenerwowałam. Jestem trochę przewrażliwiona na punkcie tego domu.

Nie odpowiada na ten uścisk.

– Niepotrzebnie cokolwiek mówiłem. To był tylko luźny pomysł.

Czuć od niego piwem.

– To co, znowu jesteście przyjaciółmi?

– Tak. – Odsuwa się jednak, podwija rękawy. – W czym mogę pomóc?

– Mógłbyś otworzyć wino i nakryć do stołu. Dziś jemy tylko w pięcioro – Poll i Aidan jadą gdzieś na kolację.

W milczeniu znajduje korkociąg. Może chodzi mu o przełożenie ślubu. Może dlatego jest taki sztywny. Na razie nie będzie poruszać tego tematu, nie ma sensu psuć ich ostatniego wieczoru przed powrotem do miasta.

Ostatniego wieczoru. Lily myśli o wiadomości, jaką ma im do przekazania, wiadomości, która będzie musiała poczekać aż do późnego wieczora, kiedy Poll i Aidan wrócą z restauracji. Kończy jej się czas.

– Wolno mi spytać – odzywa się Joe, zdejmując z półki kieliszki – dlaczego na przyjazd tutaj wybrałaś ten akurat weekend?

Dziwne pytanie. Zdecydowanie jest w dziwnym nastroju.

– Z powodu długiego weekendu. Dlaczego pytasz?

Nie odpowiada. Ustawia kieliszki obok mat, prostuje widelec.

– Joe?

– Bez powodu – odpowiada wtedy. – Po prostu Charlie wspomniał o tym w pubie.

– Ale co?

Nim zdąży udzielić odpowiedzi, pojawia się Thomas z czymś owiniętym folią aluminiową.

– Deser – oświadcza, wkładając to coś do lodówki.

– Co to takiego? – pyta Lily.

– Później się dowiesz. Ile czasu zostało do kolacji?

– Dobra godzina.

– W takim razie pora iść popływać.

– Popływać? Wydawało mi się, że mówiłeś coś o za zimnej wodzie.

– Wcześniej było mi zimno. – Idzie już w stronę drzwi. – Skoro jest słońce, powinno być okej.

– Do zobaczenia na plaży – mówi Joe. – Może też się trochę popluskam.

Lily wpatruje się w niego.

– Ty? Mówiłeś, że moja rodzina jest szalona z tym pływaniem.

– Nadal tak uważam. Pluskanie to zupełnie coś innego. Na razie.

On także wychodzi, po raz kolejny zostawiając ją samą. Zastanawia się, co powiedział mu Charlie. Musi pamiętać, aby później go o to zapytać.

Siada przy stole. Rozgląda się po znajomym pomieszczeniu. Tych kilka dni wytrąciło ją z równowagi, to pewne. Przypuszcza, że to skutek śmierci mamy i wszystkiego, co się z tym wiąże. Joe bardzo jej pomógł podczas pogrzebu, ale to ona była osobą w żałobie i nie był w stanie zrobić nic, co uśmierzyłoby jej ból.

No cóż. Jest niedzielny wieczór, a oni jakoś przeżyli. Jutro spakują się i wrócą do miasta, do prawdziwego życia.

Unosi kieliszek z winem.

– Na zdrowie – mówi do pustej kuchni.

CHARLIE

Puka cicho do drzwi. Otwiera je, nie czekając na odpowiedź.

Chloë siedzi po turecku na podłodze, oparta o ścianę, na jej udach leżą odwrócone dłonie, kciuki i palce wskazujące tworzą identyczne kółka.

Oczy zamknięte.

– Chloë – szepcze.

Otwiera oczy. Mruga, nie uśmiechając się.

Charlie podchodzi do niej i kuca. Ujmuje jej dłonie.

– Gdzie byłaś?

– Czytałam. – Krzywi się. – Piłeś.

– Jedno piwo... Ale dokąd poszłaś?

– Niedaleko, z półtora kilometra stąd. Szłam odchodzącą od plaży ścieżką. Zatrzymałam się obok jakichś drzew.

– Kochanie, nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Oddaliłaś się, nic nikomu nie mówiąc.

– Kiedy wstałam, dom był pusty. Wszyscy poszli na mszę. A kiedy wróciłam, ciebie nie było.

„Mogłaś zostawić liścik, tak jak ja tobie”, myśli. Lepiej nic jednak nie mówić.

– Rybak zaprosił mnie na swoją łódź. Zabrałbym cię ze sobą.

Wzdryga się.

– Nie, dzięki.

Nie. Łódź Dinny’ego wraz ze swoim brakiem wygod nie zainteresowałaby jej. Charlie przesuwa dłońmi po jej udach; pod materiałem spodni jej skóra jest ciepła.

– Jadłaś?

– Mam sporo na głowie – mówi, ignorując jego pytanie. – Co ci się stało w brodzie?

Zapomniał o tym. Pulsujący ból minął, ale na pewno został jakiś ślad. Śmieje się lekko.

– Uwierzyłybyś, że pokłóciłem się z Joem? Dał mi w twarz.

Ściąga brwi.

– Joe cię uderzył?

– To nic takiego, działał pod wpływem emocji.

– Ale dlaczego? Dlaczego cię uderzył?

– Nieważne. Pokłóciliśmy się o coś niemądrego.

Dobrze, że jutro jadą do domu. Możliwe, że zaproszenie ich tu wszystkich to nie był jeden z najlepszych pomysłów Lily.

Ironią losu było jednak to, że to Joe mu przyłożył, a nie ten oprych, który zaatakował samochód. Joe ma w sobie więcej ikry, niż się spodziewał.

Zaczynają go boleć mięśnie łydek, dlatego zamienia kucanie na klęczenie.

– Skarbie, martwię się o ciebie. Co się dzieje? Co cię gryzie? Powiedz mi. Nadal myślisz o tym, co się stało w piątkowy wieczór?

– Przestań – mówi szybko.

– Nadal się na mnie gniewasz?

– ...nie.

– W takim razie o co chodzi?

Wzrusza ramionami.

– Chloë. Spójrz na mnie. – Ujmuje jej twarz, starając się ignorować wbijającą mu się w kolana twardą podłogę. – Spójrz na mnie – nalega i Chloë w końcu to robi. – Co się stało? Od przyjazdu nie jesteś sobą.

Krzywi się.

– To ten dom. Przyprawia mnie o gęsią skórę. Nie chce mnie tutaj.

Charlie śmieje się.

– Dom cię nie chce?

Gniewnie odsuwa się od niego i jednym płynnym ruchem wstaje.

– Powinłam była wiedzieć, że nie zrozumiesz. – Staje przed oknem, tyłem do niego.

Jemu wstanie zajmuje nieco więcej czasu.

– Przepraszam, nie chciałem się roześmiać. Tyle że ten pomysł, że dom cię straszy... Tak dobrze go znam...

– Właśnie o to chodzi. – Odwraca się i wbija w niego oskarżycielskie spojrzenie. – To jest twój dom, twoja rodzina...

– Chloë, to nie jest mój dom.

– Wiesz, o co mi chodzi. Przyjeżdżasz tu od zawsze, ty i Lily i pozostali. Znasz to miejsce od podszewki – równie dobrze może być twoje.

To prawda. Musi działać ostrożnie. Podejrzewa, że chodzi o coś więcej niż niechęć do Land's End – ale jeśli mu nie powie, jak może to naprawić? Podchodzi do niej, lecz nie próbuje jej dotknąć.

– Kochanie, może niepotrzebnie cię tu przywiozłem. Może powinienem był przyjechać sam, tak jak początkowo planowaliśmy.

– Tak, tobie by się to podobało – rzuca z goryczą. Krzyżuje ręce na piersi. – Ty i twoja cenna rodzina, znowu wszyscy razem.

– Aidan i Joe tu są – stwierdza nieco sztywno. – A to nie rodzina.

Cisza. Rzeczywiście powinien był przyjechać sam. Może Chloë ma rację, może ten dom jej nie chce. Kitty nie dowiedziała się o jej istnieniu, może przywożąc ją tutaj, okazywał brak szacunku.

– Jutro wyjeżdżamy. Możemy zebrać się zaraz po śniadaniu.

Chloë nadal się nie rusza, nadal nic nie mówi. Nagle Charlie ma tego dość.

– Zejdę na dół i pomogę przy kolacji. Przyjdę po ciebie, kiedy będzie gotowa, okej?

Kiwa w milczeniu głową, następnie płynnie siada, wracając do wcześniejszej pozycji. Zamyka oczy, wyłącza się.

Charlie wychodzi z pokoju.

POLL

Sala okazuje się w połowie pełna. Dostają stolik pod oknem z widokiem na ogród, który w zeszłym roku pojawił się w jakimś czasopiśmie. Przyglądają się wypielegnowanym krzakom i skalniakowi wokół niedużego stawu oraz kamiennym płytom tworzącym ścieżkę na perfekcyjnie przyciętej trawie, dochodzącą do dwóch niewielkich pergoli i kilku wierzb płaczących. Ten ogród to przypuszczalnie najlepsza część hotelu.

Okazuje się, że właściciel pamięta Poll. Podchodzi do ich stolika i oświadcza, że jest zachwycony, mogąc ją znowu gościć. Przekazuje kondolencje z powodu śmierci babci – urocza dama, smutna strata dla nas wszystkich – i wypytuje o rodziców Poll, następnie proponuje im po drinku na koszt firmy.

Nie pamięta jego imienia. Przedstawia go Aidanowi jako pana Donaghy’ego, ten zaś z uśmiechem mówi:

– Proszę mi mówić Eugene.

No i sprawa wyjaśniona.

Na końcu sali rudowłosa piosenkarka i saksofonista prezentują standardy jazzowe, na tyle głośno, aby było ich słychać, jednak na tyle cicho, aby nie utrudniać gościom prowadzenia rozmowy.

Poll zamawia pieczeń jagnięcą w rozmarynie i sosie z czerwonego wina, do tego polane masłem szparagi i kawałki pasternaku w parmezanowej posypce.

Wygląda to przepysznie. Pachnie przepysznie. Wbijają sztucce w mięso. Bierze kęs, żuje i przełyka.

– No i jak? – pyta Aidan.

– Pycha. Poczęstuj się.

– Rzeczywiście smaczne. Posmakuj mojego pstrąga.

– Mm, pyszny.

Poll stara się. Tak bardzo się stara.

Nie planowała wcześniej powiedzieć Thomasowi o demonach. Nie wie, dlaczego to zrobiła. A Thomas naprawdę próbował jej pomóc. „Jesteś świetna”, tak powiedział. „Jesteś utalentowana i wielkoduszna”, powiedział. „Aidan za tobą szaleje”, powiedział i jego słowa rzeczywiście jej pomogły. Może niekoniecznie one, lecz fakt, że w końcu to komuś wyznała – tak czy inaczej zrobiło jej się ciut lżej na sercu.

W drodze powrotnej z Galway, dodatkowo ucieszona odzyskaniem samochodu Thomasa, Poll obiecała sobie, że się zmieni. Zacznie od zaakceptowania Chloë. Skoro mama to zrobiła, ona także da radę.

A kiedy głosy wrócą, będzie je ignorować. Kiedy usłyszy od demonów, że jest beużyteczna i nic nie warta, kiedy będą się upierać, że Aidan zasługuje na kogoś lepszego, że to tylko kwestia czasu, nim zda sobie z tego sprawę, ona nie da im się zastraszyć.

I tak właśnie robi w tej chwili, mimo rozbrzmiewających w niej szeptów. Mimo walki, która toczy się bezgłośnie w jej głowie.

Jesteś żalosna.

Nie. Bądźcie cicho.

On wkrótce dostrzeże, jak bardzo jesteś żalosna.

Nie. Idźcie sobie.

Skończ to, zanim sam to zrobi. Miej swoją dumę.

Nie. Zamknijcie się.

Zrób to teraz. Zrób to dziś wieczorem.

NIE. NIE. NIE.

Po daniu głównym zamawiają deskę serów. Poll rozsmarowuje na krakersie kozi ser, polewa to sosem mango i podaje Aidanowi. Uśmiechając się, cały czas się uśmiechając.

Kelner przynosi zamówione kawy. Aidan wkłada łyżeczkę w piankę na cappuccino.

– Poll – mówi.

Podnosi głowę znad americano.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Ależ jest błady. Jak mogła tego nie zauważyć.

– Wszystko w porządku?

On cię w każdej chwili może zdemaskować.

Nie.

– Tak – odpowiada Aidan, po czym odkłada łyżeczkę na spodek, a serwetkę na stół i spada z krzesła.

Nie – nie spada, lecz zsuwa się. Jest to celowy ruch, dzięki któremu klęczy na jednym kolanie.

Kobieta przy sąsiednim stoliku robi głośny wdech.

Aidan wyjmuje coś z kieszeni.

Poll przenosi spojrzenie z jego twarzy na dłoń.

I znowu na twarz.

I znowu na dłoń.

Trzyma w ręce grantowe aksamitne pudełeczko.

Nagle cała się trzęsie. Nagle ma problem z oddychaniem. Przełyka ślinę, a raczej próbuje. Wszystko w niej zaczyna szaleńczo buczeć. Szaleńczo.

Co się dzieje? Co to oznacza?

Aidan otwiera pudełeczko i wyciąga je w jej stronę.

– Poll Cunningham, moja słodka, zabawna, wielkoduszna, serdeczna dziewczyno, moja najlepsza przyjaciółko, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Obraz ma zamazany. Mruga i nagle widzi wyraźnie.

Ametyst w otoczeniu diamentów w srebrnej oprawie. Najcudowniejsza rzecz, jaką w życiu widziała. Podnosi wzrok z pierścionka na twarz Aidana. Uśmiechającą się, pełną nadziei, zdenerwowaną, bladą, piękną twarz. Twarz, którą kocha bardziej niż jakąkolwiek inną na świecie.

Chce, aby została jego żoną.

Kobieta przy sąsiednim stoliku ociera oczy serwetką. Jej towarzysz zaczyna coś mówić, lecz go ucisza.

– Poll – mówi Aidan. – Może położysz kres mojej udręce?

Wygląda na to, że Poll straciła mowę.

On chce, aby została jego żoną.

Nie zasługuje na niego. Jest nic nie warta. Aidan popełnia wielki błąd.

Prosi ją, aby za niego wyszła.

Poll myśli o mamie i tacie i Cecyli i jej mężu, którego imienia już nie pamięta. Obie pary rozstały się, spędziwszy ze sobą prawie ćwierć wieku. Takie jest życie, stwierdziła Cecyli. Takie jest życie, bez żadnych gwarancji, żadnych obietnic, żadnych wglądów w przyszłość. Takie jest życie. A Aidan ją pyta, czy mogą przeżyć je razem.

Bierze głęboki, drżący oddech.

– Tak – szepcze. – Tak, zgadzam się. Tak, proszę.

Aidan wyjmuje z pudełeczka ten cudny pierścionek i sięga po jej drżącą dłoń.

– *Ćśś* – dodaje, wsuwając go na jej palec. – Jestem przy tobie. – Ujmuje jej obie dłonie. – Ze mną jesteś bezpieczna. – Przyciska jej dłonie do klatki piersiowej, do serca. – Zawsze będziesz bezpieczna.

Nim zdąży wstać, Poll pada na kolana obok niego. On bierze ją w ramiona i całuje.

Chce się z nią ożenić. Oświadczył jej się, a ona się zgodziła.

Biorą ślub.

Słyszy oklaski. Odrywa usta od jego warg i widzi, że to klaszcze kobieta przy sąsiednim stoliku.

I sprawia, że w ich stronę odwracają się inni goście restauracji. Oświadczyły! Zgodziła się! Nie mija minuta, a nawet pół, a wszyscy ludzie stoją i biją brawo.

Rozlegają się pierwsze takty piosenki, coś o dzwonach weselnych.

Poll klęczy obok Aidana, wtulona w jego ramiona. Bezpieczna. Babcia może i odeszła, ale Aidan nadal tu jest. Aidan uratuje ją przed nią samą i karmiącymi się jej brakiem pewności siebie demonami.

Całuje go i całuje, i całuje, i całuje.

LILY

Kolacja okazuje się interesująca.

Joe mało je, jeszcze mniej mówi. Wyraźnie jest nieswój. Chloë jest także milcząca – skubie plaster piersi kurczaka, o który poprosiła, zgadza się na kieliszek wina i pozostawia go nietkniętego. Thomas jak zawsze je za dwóch, za to praktycznie w ogóle się nie odzywa.

Pozostają Lily i Charlie.

Opowiada mu o kobietach, które Poll spotkała na plaży.

– Jedna z nich spędziła tutaj swój miesiąc miodowy, wyobrażasz to sobie?

– Zaraz, tutaj, w Land's End?

– Tak.

Siedząca na końcu stołu Chloë wydaje dźwięk będący ni to prychnięciem, ni kaszlnięciem. Lily posyła jej spojrzenie, twarz dziewczyny pozostaje jednak beznamietna.

– Pamiętasz ją? – pyta Charlie.

– Nie bardzo. To znaczy pamiętam, jak mama ekscytowała się, bo to była jej pierwsza rezerwacja, no a potem przez jakiś czas wymieniały się listami. Przysyłała zdjęcia dzieci – pewnie można je znaleźć w którymś albumie. Szkoda jednak, że nie zajrzała do domu. Zamierzałam zejść na plażę i ją poszukać, ale...

Urywa. Powinna była to zrobić. Powinna była zaprosić Cecily i jej przyjaciółki na herbatę. Powinna była przejrzeć albumy i znaleźć zdjęcia, które Cecily przysłała mamie.

Nie zrobiła tego. Dlatego że Cecily była częścią historii tego domu. Ona знаła Land's End w czasie, kiedy mama była jeszcze kobietą pełną energii. Przypomniałaby Lily o tym wszystkim, a ona się bała, że by tego nie udźwignęła.

Kończą kolację. Mimo apetytu Thomasa zostają dwie trzecie kurczaka. Jutro w drodze do domu Lily podjedzie do supermarketu i da go sprzedającej tam Sheili, której mąż jest właścicielem chlewni.

Chloë wstaje od stołu.

– Dziękuję za kolację – mamrocze do Lily.

– Jest jeszcze deser.

– Nie, dziękuję. Idę do łóżka.

Praktycznie nic nie zjadła. Jest wpół do dziewiątej, a ona idzie spać. Przypuszczalnie w mieście jest w niej trochę więcej życia. Przypuszczalnie spożywa tam regularne posiłki, w przeciwnym razie szybko umarłaby z głodu.

Pozostali życzą jej dobrej nocy, wszyscy z wyjątkiem Charliego, który jedynie patrzy na nią bez słowa. Drzwi zamykają się i Lily natychmiast wyczuwa lekkie zmniejszenie napięcia.

– No dobrze – mówi Thomas.

Wstaje i z kredensu wyjmuje miseczkę. Gdy mięso skończyło się piec, bez słowa wsunął do piekarnika owinięte w folię naczynie. Teraz wyjmuje je w należących do jego babci rękawiczkach kuchennych i stawia ostrożnie na kuchence.

Pachnie cynamonem.

– Co tam masz? – pyta Charlie.

– Coś, co zapamiętałem stąd. – Zdejmuje folię. – Miałem zrobić jeszcze sos, ale zapomniałem.

– Zostało trochę bitej śmietany – mówi Lily.

Wyjmuje ją z lodówki i stawia na stole. Thomas nakłada łyżką deser do czekających miseczek i stawia je w milczeniu na stole.

Lily patrzy na swoją miseczkę. Jest w niej coś, czego nie widziała od wielu lat.

– Pudding z chleba i masła.

Kromki chleba obsypane rodzynkami i zanurzone w mleczno-jajecznym sosie. Do jej nosa dociera zapach przypraw – i nagle pojawia się zaskakująco żywe wspomnienie jej matki w kwiecistym fartuchu, wyjmującej z piekarnika ceramiczne naczynie z puddingiem, stawiającej je pomiędzy Lily a jej ojcem z pełnym satysfakcji „No i proszę!”. Krojącej im grube plastry, polewającej je aksamitnym sosem.

Jedli to w każdą niedzielę, po jagnięcinie, kurczaku albo wołowinie. Danie głównie zmieniało się, lecz deser pozostawał ten sam, we wszystkie niedziele dzieciństwa Lily. Wykorzystywano pozostały z całego tygodnia chleb, bo w tamtych czasach nic się nie marnowało. Thomas i Poll także to uwielbiali.

Lily nigdy sama nie zrobiła tego puddingu, ani razu. Właściwie dlaczego?

– Mamo.

Podnosi wzrok i widzi, że Thomas jej się przygląda.

– Nie spróbujesz?

– Sam to zrobiłeś? – pyta.

Kręci głową.

– Tak naprawdę to Freda. Ja jedynie upiekłem. Posmakuj.

Bierze do ręki łyżeczkę. Przebija się przez cukrową skorupkę i gąbczaste warstwy. Unosi pełną łyżkę do ust. Żuje i przełyka.

No i proszę!

Thomas czeka. Thomas ją obserwuje, uśmiechając się i czekając.

– To jest pyszne – oświadcza świadoma tego, że coś się dzieje w jej wnętrzu.

Coś wzbiera w niej, utrudniając oddychanie, umieszczając w gardle coś, co przypomina kamień. Coś, co Lily wie, że wkrótce zażąda uwolnienia. Coś, co zaraz z niej wystrzeli.

Odkłada łyżeczkę. Odsuwa krzesło.

– Przepraszam was – bąka. – Muszę na chwilę wyjść.

Wychodzi na korytarz, czując na sobie spojrzenia pozostałych przy stole osób. Powoli wchodzi po schodach, przytrzymując się poręczy, modląc się, aby nie spotkać po drodze Chloë. Wchodzi do swojego pokoju. Delikatnie zamyka za sobą drzwi i siada na skraju łóżka. I wtedy pozwala, aby to coś wylało się z niej w powodzi słonych łez i wstrząsającego jej ciałem szlochu.

Gdyby ktoś ją teraz zobaczył. Gdyby ktoś ją usłyszał. Lily Murphy, kompetentna dyrektorka szkoły, doskonała organizatorka, osoba, która ratuje sytuacje i rozwiązuje problemy. Lily Murphy, pięćdziesiąt dwa lata, silna, nieustraszona i niezależna, która wkrótce się rozwiedzie i wyjdzie za mąż po raz drugi.

Lily Murphy w rozsypce. Lily Murphy, płacząca za matką jak mała dziewczynka.

Jej matka nie żyje. Apodyktyczna, wspierająca, kochająca, irytująca, uparta, opiekuńcza, szczodra, dumna, ciężko pracująca, wierna matka nie żyje. Jak ona może nie żyć?

Niepotrzebnie tu przyjeżdżała. To błąd. Za wcześnie. Powinna była odczekać przynajmniej do lata.

Oczywiście nie chodzi tylko o mamę i długie żegnania się z nią, które poprzedziło jej śmierć. Chodzi także o tatę i jego o wiele bardziej nagłe odejście. Człowieka, którego kochała, któremu pomachała na pożegnanie w tamten chłodny marcowy poranek, kiedy odjeżdżała rowerem do szkoły, nie przypuszczając nawet, że już nigdy nie zobaczy go żywego.

I nie chodzi tylko o nich, ale także o miłość, która została jej wydarta cztery lata temu. Chodzi o wszystko, co na przestrzeni lat utraciła. Wylewa się z niej cały smutek, cały nagromadzony ból, wszystko, co złe, a o czym nigdy głośno nie mówiła.

Nie słyszy pukania do drzwi. Nie widzi mężczyzny, który wchodzi do pokoju, szybko podchodzi do łóżka, pomaga jej delikatnie wstać i bierze w ramiona.

– Lil, już dobrze, ćśś. Już dobrze, Lil. Nic się nie dzieje, wszystko będzie dobrze.

Wtula się w niego, mocząc mu łzami koszulę, czując znajome ciepło, wdychając znajomy zapach.

– Wyrzuć to z siebie – mruczy Charlie. – Wyrzuć wszystko.

Mijają minuty, gdy tuli ją i gładzi po plecach, i łyzy powoli przestają płynąć. Mimo to nadal stoją przytuleni.

– Charlie!

Zaskakuje ją jedno słowo, wypowiedziane ostrym tonem, ni z tego, ni z owego. Próbuje się odsunąć, ale on jeszcze mocniej ją obejmuje.

– Chloë – mówi, a w jego głosie pobrzmiwa ostrzegawcza nutka, którą Lily rozpoznaje, ale Chloë najwyraźniej nie.

– Jakież to urocze – prycha Chloë. – Ponowne zjednoczenie, doprawdy czarujące.

Lily zamyka oczy. Kłótnia, napad złości – tego jej tylko potrzeba. Odsuwa się od niego z większą siłą i tym razem Charlie ją puszcza. Lily pilnuje się, aby mieć odwróconą głowę. Nie potrzebuje, aby ta damusia zobaczyła ją w takim stanie.

– Chloë, na litość boską, Lily jest zdenerwowana. Pocieszałem ją, to wszystko.

Śmiech, który wcale nie jest śmiechem.

– Tak się to teraz nazywa?

– Och, dorośnij! – warczy Charlie.

– Dorośnij? Nie to mówiłeś te wszystkie razy, kiedy pocieszałeś mnie w swoim gabinecie! Wtedy nie chciałeś, aby twoja dziewczynka dorosła, prawda? Uwielbiałeś fakt, że jestem znacznie młodsza – nie mogłeś uwierzyć we własne szczęście!

– Jezu, Chloë!

„Pocieszałeś mnie w swoim gabinecie”.

Lily patrzy na niego. Dostrzega prawdę w tym, że Charlie unika jej spojrzenia.

Powinna się była domyślić.

Być może domyślała się.

Odwraca się w stronę rozgniewanej młodej kobiety, nie przejmując się już swoją zalaną łzami twarzą.

– Możesz go sobie wziąć – oświadcza. Policzki jej płoną, głos ma zachrypły po ataku płaczu.

Widzi, jak Chloë otwiera usta, po czym je zamyka. Widzi, jak Charlie wyprowadza ją na korytarz, a potem prowadzi do ich pokoju. Lily idzie do łazienki, gdzie robi, co może, aby jako tako wyglądać.

Czuje się pusta, ale lżejsza.

– Dość tego – mówi do swojego odbicia w lustrze, do pokrytej plamami twarzy, zapuchniętych oczu. – Dość. Koniec z tym.

Schodzi na dół. W kuchni przekonuje się, że Thomas i Joe nadal siedzą przy stole, a w stojącym między nimi naczyniu znajdują się resztki puddingu.

Joe nie poszedł za nią. Kiedy nie wracała, musiało stać się jasne, że coś się stało, a mimo to pozostał w kuchni. Pozwolił, aby pocieszał ją były mąż.

Nie może o tym myśleć. Nie może teraz się tym zajmować.

Uśmiecha się blado.

– Przepraszam – rzuca do nikogo w szczególności.

– Wszystko w porządku, mamó?

– Tak, skarbie.

Bierze do ręki łyżeczkę i kończy deser.

Nawet zimny jest przepyszny.

CHLOË

Niepotrzebnie to powiedziała. Gdy tylko słowa te wydostały się z jej ust, wiedziała, że popełniła błąd. Tyle że oni tak dobrze do siebie pasowali – wyglądali razem tak właściwie. Nie była w stanie tego znieść.

– Co się, do diabła, z tobą dzieje? – syczy Charlie.

Nigdy dotąd nie widziała go takiego rozgniewanego. Twarz ma pociemniałą i wygląda, jakby chciał ją uderzyć.

– Ja nie...

– Ta kobieta była zdenerwowana, robiłem to, co każdy by zrobił! Nie mogę uwierzyć, że sądziłaś, że chodzi o coś więcej!

– Po prostu...

– Teraz wie, że spotykałem się z tobą za jej plecami. Jezu Chryste, Chloë!

Wściekły. Jest wściekły. Patrzy na nią tak, jakby jej nienawidził. Zaciśnięte usta, stal w oczach. Nigdy go nie widziała w takim stanie. Boi się, że zaraz zwymiotuje. Marzy, aby znajdować się teraz wszędzie, byle nie tutaj, nie w domu, który jej nie chce.

– Przepraszam! – warczy, bo nagle czuje, że za wiele już tego wszystkiego. – Najmocniej przepraszam, że zdenerwowałam twoją drogocenną eks. Ale co z tego, że teraz wie? Jaką to robi różnicę?

Wpatruje się w nią zmrużonymi oczami.

– Jaką to robi różnicę? Ty na serio mnie o to pytasz?

– Tak, na serio! Rozstaliście się kilka lat temu, rozwodzicie się – fakt, że mieliśmy romans, nie ma teraz najmniejszego znaczenia!

Charlie kręci z niedowierzaniem głową.

– Nie masz pojęcia – mów z napięciem w głosie. – Nie masz bladego pojęcia, co to może zrobić mojej rodzinie.

– Twojej rodzinie! Mam po dziurki w nosie twojej cholernej rodziny! Mam dość twojej porąbanej córki, która mnie nie znosi! Mam dość twojego syna nieudacznika, który robi do mnie maślane oczy jak usychająca z miłości dziewczyna! Mam dość ich wszystkich!

– Nie waż się! Nie waż się mówić tak o moich dzieciach!

– Dlaczego? – odparowuje. – To przecież prawda. Poll jest porąbana. Miała cztery lata, aby pogodzić się z tym, że jestem z jej kochanym tatusiem, a Thomas mało się nie posika z podekscytowania na mój widok!

– Zamknij się! Zamknij się!

Unosi rękę, a ona wzdyga się, czekając na cios – który jednak nie nadchodzi. Zamiast tego Charlie cofa się. Krzyżuje ręce na piersi.

– Ty suko – mówi cicho.

Gniew zniknął, zastąpiony czymś bardziej przerażającym. W ciszy, jaka zapada po jego słowach, Chloë słyszy dudnienie swojego serca, a pod powiekami czuje piekące łzy. Zdarzało już im się kłócić, ale nigdy tak. Skąd się wzięła ta cała wściekłość, która wybuchła między nimi?

Chloë podchodzi do łóżka. Siada na brzegu. Zaciska dłonie na kołdrze. Teraz nic już nie ma znaczenia. Między nimi koniec, czuje to.

Ścisną kołdrę tak mocno, że aż ją bolą palce. Otwiera usta.

– Jestem w ciąży – mówi, dlatego że nie ma nic do stracenia.

– Co?

Patrzy na niego i widzi, że wszystko, co razem zbudowali, bierze w łeb.

CHARLIE

– Jestem w ciąży – mówi tak cicho, że ledwie ją słyszy.

Nie. Żle coś rozumiał. Nie mogła powiedzieć czegoś takiego, to niemożliwe.

– Co?

Unosi głowę. Jest blada jak ściana, oczy błyszczą jej od łez, broda się trzęsie. Mruga i po policzku spływa łza.

Nie zwraca na nią uwagi.

– Co ty powiedziałaś?

– Jestem w ciąży. – Ponownie opuszcza głowę, przyciska nasady dłoni do oczu.

A więc dobrze usłyszał. Ale to nie ma sensu.

– To niemożliwe.

Podchodzi do niej, widzi, jak się spina. Boi się, że ją uderzy – a czy nie byłby niemal usprawiedliwiony? Czy Chloë nie powiedziała właśnie Lily tego, o czym nie chciał, aby kiedykolwiek się dowiedziała? Nie rzuciła właśnie drugiej bomby? Czy ona próbuje go zniszczyć?

– Spójrz na mnie! – warczy, a ona ponownie unosi głowę. Policzki mokre od łez, twarz biała jak pergamin. – Nie możesz być w ciąży. No bo jak?

– Jestem! – woła. – Po prostu jestem!

Gdzieś drzwi otwierają się i zamykają. Ktoś wchodzi po schodach albo z nich schodzi. Głos Joego, a może Aidana, woła coś, czego on nie wychwytuje.

Chloë jest w ciąży.

Jego myśli cofają się o trzydzieści lat. „Spóźnia mi się okres”. Przerazona twarz Lily. A potem urodził im się Thomas po tym, jak prawie się nie urodził.

A teraz Chloë jest w ciąży.

– Mówiłaś mi, że nie możesz zajść w ciążę. Mówiłaś, że miałaś nieudolnie przeprowadzoną aborcję i że nigdy nie będziesz miała dzieci.

– Nie miałam – mówi, ocierając rękawem łzy.

– Nie miałaś czego? Aborcji?

– Nie.

– Czyli co? Urodziłaś dziecko jako piętnastolatka?

– Nie. W ogóle nie byłam w ciąży.

Charlie ma problem z przetworzeniem tego, co słyszy.

– Chwileczkę. Chcesz mi powiedzieć, że wszystko zmyśliłaś? Chcesz powiedzieć, że od samego początku było to kłamstwem?

– ...tak.

„Mój chłopak”, tak mu powiedziała. „Miałam piętnaście lat, on rok więcej. Zaszłam w ciążę, jego brat znał kogoś, kto mógł... się tym zająć. Potem się rozchorowałam, miałam infekcję i musiałam powiedzieć matce. Trafiłam do szpitala. Usłyszałam, że nie będę mieć nigdy dzieci”.

Każde słowo było kłamstwem.

– Dlaczego to zmyśliłaś? Po co?

Chloë wydaje dźwięk będący połączeniem westchnienia i szlochu.

– Powiedzieliś, że nie chcesz więcej dzieci...

– I co z tego? To nie wyjaśnia tej twojej bajeczki.

– To właśnie pragnęłaś usłyszeć, prawda? – odparowuje. – Cieszyłeś się, kiedy sądziłeś, że nie mogę dać ci dziecka.

– Jezu, Chloë... – Urywa i kręci głową. Przeczesuje palcami włosy. Próbuje zebrać myśli. – Posłuchaj – mówi. – Nadal nie rozumiem, dlaczego musiałaś wymyślić tę historyjkę...

– Dlatego, że ja też nie chcę mieć dzieci. Nigdy nie będę chciała!

Charlie czuje coraz większą konsternację.

– Powiedzieliś mi, że chcesz mieć dzieci. Najbardziej na świecie.

- Nie chcę.
- Więc to było kolejne kłamstwo.

Cisza. A on nie wie, w co wierzyć. Chloë jest w ciąży, choć twierdziła, że nie może w nią zajść. I wcale się z tego nie cieszy, mimo że wcześniej mu mówiła, że pragnie mieć dzieci i że jest zdruzgotana skutkami aborcji. Zmyślonej aborcji.

- Dlaczego więc nie mogłaś mi po prostu powiedzieć, że nie chcesz dzieci?

Wyciera z policzków świeże łzy.

- Sądziłam... bałam się, że... będziesz miał o mnie gorsze zdanie.

Charlie ściąga brwi.

- Czemu, u licha, miałbym mieć o tobie gorsze zdanie?
- Bo kobiety mają chcieć dzieci. To naturalne, że chcą mieć dzieci.

Kręci głową.

- Nie każda kobieta chce mieć dzieci, Chloë.

Ma dwadzieścia siedem lat, jest inteligentna i obyta. To nie jest jakaś niewinna, nieświadoma nastolatka. Sama się przyznała, że seks poznała jako czternastolatka – chyba że to kolejne kłamstwo. Ale nie sądzi – to oczywiste, że miała duże doświadczenie. Jak więc, u licha, może być tak naiwna, aby sądzić, że musi kłamać w kwestii braku chęci posiadania dzieci? Dlaczego czuła się zmuszona do wymyślenia takiej historyjki?

- Bałam się – mówi w końcu. – Bałam się, że nie będziesz mnie chciał.

Bała się, że nie będzie jej chciał, więc wymyśliła dla niego historyjkę, sądząc, że to ją pokaże w lepszym świetle. Nie mając najmniejszego nawet pojęcia, jak bardzo jej pragnął, jak wielką czuł wdzięczność i niedowierzanie, kiedy dała jasno do zrozumienia, że ona jego także pragnie.

Charlie czuje, jak ulatuje z niego wściekłość. Siada na łóżku obok Chloë.

- Co więc chcesz zrobić? – pyta.

Jej łzy także wysychają.

- Chcę się tego pozbyć. Pozbędę się tego.

Nie.

Trzydzieści lat temu było inaczej. On i Lily spotykali się od niedawna; on był jej pierwszym poważnym chłopakiem. Nie byli gotowi na dziecko; nie wiedzieli, czy są gotowi na wspólne życie. Wtedy wszystko było inaczej, a wyjazd do Anglii wydawał się jedynym realnym rozwiązaniem, nawet jeśli oboje w duchu nie byli tego pewni, nawet jeśli ostatecznie zawrócili z tej ścieżki.

Gdyby to zrobili, Thomasa by nie było. Charlie przypomina sobie, jak ta myśl przemknęła mu przez głowę, gdy tulił nowo narodzonego syna. Gdy tylko po raz pierwszy wziął go na ręce, nie potrafił wyobrazić sobie świata bez niego.

Nie może zrobić tego teraz. Choć nie chce w tym wieku zaczynać wszystkiego od początku, nie może zakończyć tego rodzącego się życia, nie może pozwolić, aby położyła kres temu, co pewnego dnia stanie się jego dzieckiem. Antykoncepcja to jedno, nie ma z nią problemu. To coś zupełnie innego.

- Nie będziesz musiał brać w tym udziału – mówi teraz Chloë. – Pojedzie ze mną Abby.

- Kim jest Abby?

- Znajomą. Nie znasz jej.

- Jedzie z tobą dokąd?

- Do kliniki w Londynie. Jestem umówiona na czwartek.

– Czwartek. – Przypomina sobie występ w Donegal, o którym Gloria i jej wiolonczela nic nie wiedziały. – Zamierzałaś mi w ogóle powiedzieć?

- A niby czemu? – Bawi się rogiem kołdry.

- Dlaczego więc teraz mi mówisz?

Wzrusza ramionami i milczy. Charlie patrzy na jej profil, tę młodą kobietę, którą sądził, że zna.

- Stosowałaś antykoncepcję? – pyta.

- Tak.

- Pigułki?

- Tak.

– Brałaś je przez cały okres naszego związku.

Kiwnięcie głową. Od lat go oszukiwała. Wymyśliła bajeczkę, a on w nią wierzył.

– Jak więc zaszłaś w ciążę?

Odwraca głowę w jego stronę.

– A jak ci się wydaje? Żadna metoda nie zapewnia stuprocentowej pewności.

– Kiedy się dowiedziałaś?

– W czwartek. Zrobiłam test.

Nic o tym nie wiedział, nic. W czasie, kiedy on planował swój wyjazd do Land's End, kiedy nie mógł się go doczekać, ona sikała na plastikowy patyk.

Ujmuje jej dłoń.

– Musimy o tym porozmawiać – mówi.

Ona patrzy na niego. Skórę wokół oczu ma spuchniętą.

– Nie zamierzasz mnie zostawić?

Charlie przez chwilę milczy.

– Szczerze? W tej chwili nie mam pojęcia, co zrobię.

– ...taki byłeś zły.

– Oczywiście, że byłem zły. Miałem do tego prawo.

Cisza.

– Miałem?

Ledwie zauważalne skinienie. Jej palce zaciskają się na jego.

– Ale rzeczywiście musimy o tym porozmawiać, Chloë.

– A o czym mamy rozmawiać?

– Nie chcę, abyś miała aborcję.

Spuszcza głowę.

– Chloë, jesteś w ciąży i to moje dziecko. – Na pewno? – Musimy o tym porozmawiać. Musimy razem podjąć decyzję. Nie chcę, abyś robiła coś wbrew sobie, ale przynajmniej to przedyskutujmy. Prześpijmy się z tym i zaczekajmy do powrotu do domu.

Kolejne dziecko, dwadzieścia sześć lat po Poll. Nowy kierunek w jego życiu, taki, którego się nie spodziewał. Jeśli uda mu się ją przekonać do urodzenia dziecka, to kiedy jego syn lub córka przyjdzie na świat, on będzie miał pięćdziesiąt dziewięć lat.

– Możemy tak zrobić? – pyta. – Możemy o tym porozmawiać?

Chloë kiwa z przygnębieniem głową. Na razie musi mu to wystarczyć. Wstaje.

– Idę na spacer. – Pójdzie do Sully's; przy paru drinkach spróbuje to ogarnąć. – Do zobaczenia później.

– Możemy rano wyjechać? Z samego rana?

– Tak. – Nie sądzi, aby ktokolwiek miał coś przeciwko.

Otwiera drzwi – a tam leży starannie złożona narzuta babci Chloë, którą wczoraj pożyczyli Thomasowi.

Thomas tu był. Thomas stał pod drzwiami, może w tym akurat czasie, kiedy Chloë krzyczała na temat tego, że do niej wzdycha. Thomas, który nigdy nie odrzucił zaproszenia na wspólną kolację, Thomas, który ledwie był w stanie na nią patrzeć, który w jej obecności nie potrafił sklecić poprawnie ciągu zdań. A Charlie zakładał, że powodem tego jest jego dezaprobata.

Boże. Ależ jest ślepy. Ależ jest głupio ślepy.

Oby tego nie usłyszał. Proszę, oby Thomas nie usłyszał, co o nim mówiła i jakim tonem.

Podnosi z ziemi narzutę i bez słowa odnosi ją na łóżko, po czym wychodzi z pokoju.

PONIEDZIAŁEK, 1 MAJA

LILY

Gdy zjedli śniadanie i pozmywali, gdy zamiotła podłogę, a Joe ją umył, gdy Aidan i Poll poszli podzielić się nowiną i pokazać pierścionek Karinie Clery, gdy Thomas pojechał gdzieś rowerem, Joe proponuje, aby przeszli się na spacer na plażę.

A tam, z szumem fal w tle, kończy ich związek.

– Nie pasujemy do siebie – mówi. – Nie uszczęśliwiłbym cię. A ty nie uszczęśliwiłabyś mnie. Lepiej, żeby stało się to teraz. Przykro mi, ale jedno z nas musiało to zrobić.

Powinna to była przewidzieć. Dręczą ją wyrzuty sumienia, ale czuje także ulgę, co tylko wszystko pogarsza.

Oczywiście Joe ma rację. Wszystko, co mówi, jest prawdą.

Nie uszczęśliwiłby jej, dlatego że ona go nie kocha. Nie uszczęśliwiłaby Joego, bo go nie kocha. Próbowала, naprawdę, ale go nie kocha.

To porządny, przyzwoity mężczyzna i zasługuje na więcej, niż otrzymuje od niej, więcej niż Lily potrafi mu dać.

Nie przedstawiła go wczoraj pod kościołem Timmy'emu Scanlonowi, bo nie chciała się do niego przyznać. Rozzłościły ją jego plany związane z Land's End, ponieważ nie chciała, aby miał jakiegokolwiek plany związane z nią. Jej wczorajsze łzy dotyczyły rodziców i końca małżeństwa, ale także – czego staje się świadoma dopiero teraz – faktu, że go nie kocha.

Joe cicho płacze, zasłaniając twarz dłońmi. Jego ramiona unoszą się i opadają. Lily odsuwa się i czeka, aż skończy.

– Nadal kochasz Charliego? – pyta w końcu, a ona patrzy na niego i mówi, że nie i widzi, że on jej nie wierzy, ale to prawda.

Kiedy rano wstała, ich już nie było. Drzwi do pokoju były szeroko otwarte, łóżko puste, wszystko spakowane i wywiezione. Ucieszyła się, że nie musi mieć z nimi do czynienia. Wczoraj wieczorem, kiedy Charlie zszedł na dół, nie była w stanie na niego patrzeć.

Mieli romans, kiedy Chloë była jeszcze jego studentką. Spotykali się w jego gabinecie. Uprawiał seks z Chloë, a potem wracał do niej. Przedstawił je sobie na koncercie z okazji zakończenia roku akademickiego, kiedy Chloë była na drugim roku – równie dobrze już wtedy mogło ich coś łączyć.

Nie rozstał się z Lily dlatego, że ich małżeństwo się wypaliło. Zrobił to z powodu Chloë, przypuszczalnie na jej prośbę.

– Nie mogłem w to uwierzyć – mówi teraz Joe. – Że się mną zainteresowałaś. Nigdy nie sądziłem, że otrzymam od losu drugą szansę.

Ich początki były naprawdę miłe. Znowu czuła się wyjątkowa, ktoś ją rozpieszcał, mówił to, co tak bardzo pragnęła usłyszeć.

Posiadanie partnera zapewniało pewien komfort. Znowu mogła trzymać głowę wysoko uniesioną pośród znajomych, którzy żalowali jej po tym, jak Charlie ją zostawił, którzy nie wierzyli, kiedy im powiedziała, że to obopólna decyzja.

Bycie kochaną sprawiało jej wielką przyjemność, ale to za mało. Dużo, dużo za mało.

Ciekawe, czy doszłoby ostatecznie do ślubu. Przypuszczalnie nie, no ale może? I jak by to wyglądało? Oszukiwałyby samą siebie przez całą drogę do urzędu stanu cywilnego, a potem składałyby te same obietnice, co Charliemu. Udając, że mówi szczerze.

– Wiedziałem, że nie zasługuję na ciebie – stwierdza Joe.

– Joe, to nie jest kwestia... Zasługujesz na szczęście.

– Ale nie z tobą.

Cóż może na to powiedzieć?

Joe kopie kamyk. Ona podaje mu pierścionek zaręczynowy. On macha ręką.

– Zatrzymaj go. Chciałbym, abyś go miała.

Taka szkoda. Będzie leżał w szufladzie i zbierał kurz.

– No to jadę. Odezwę się w ciągu kilku dni, aby się umówić na odebranie rzeczy.

Lily zastanawia się, gdzie będzie mieszkał, skoro swój dom wynajął rodzinie z Litwy.

Nie próbuje obejmować jej ani całować.

– Jeśli twoje uczucia ulegną zmianie, przyjmę cię z otwartymi ramionami – zapewnia. – Bez żadnych pytań.

Lily ma nadzieję, że Joe znajdzie kogoś nowego. Ma nadzieję, że nie będzie musiał na to długo czekać.

– Do widzenia. Przykro mi – dodaje, ale on już zdążył się odwrócić, zresztą jej słowa zagłuszają fale.

Kiedy zostaje sama, idzie powoli wzdłuż plaży, analizując konsekwencje tego, co się właśnie stało. Wróciła do miejsca, w którym się znalazła, kiedy jej małżeństwo dobiegło końca. Myśli o tym, że znowu jest singielką, dodatkowym gościem podczas kolacji, tym, który towarzyszą szóstkę zamienia w niezręczną siódmkę. Myśli o wszystkich podejmowanych w dobrej wierze próbach swatania i o tym, że być może nie znajdzie już nikogo innego. Możliwe, że resztę życia spędzi samotnie. I co z tego? Wiele osób tak ma. Lepiej być samemu niż z kimś nieodpowiednim.

Daje mu czterdzieści minut na spakowanie się i wyjazd. Wchodzi po schodkach, staje przy furtce Land's End i przygląda się dużemu niebieskiemu domowi, którego jednak nie sprzedaje.

To Poll pomogła jej podjąć decyzję, Poll, która wpadła wczoraj wieczorem do salonu rozpromieniona szczęściem. Nie mogła się doczekać, by im powiedzieć, że Aidan poprosił ją o rękę, a ona się zgodziła.

A kiedy ucichły gratulacje, kiedy zaprezentowała pierścionek i wzniesiono toast za zaręczyny, Poll oświadczyła:

– Tak się cieszę, że stało się to właśnie tutaj, w Land's End.

Lily zrozumiała wtedy, że rozstanie się z tym domem złamałoby jej córce serce.

I jej może także.

Będzie musiała ponownie wszystko przemyśleć. Będzie musiała coś wykombinować.

Gdy idzie przez podjazd – land rover Joego zdążył już zniknąć – na desce rozdzielczej swojego auta dostrzega coś kremowego i prostokątnego. Otwiera drzwi – tutaj nigdy ich nie zamyka – i okazuje się, że to złożona kartka. Gdy ją rozkłada, na fotel kierowcy wypada coś maleńkiego i białego. Bierze to, kładzie na dłoni i przygląda się.

To perła wielkości groszku w kolorze maślanki. Wkłada ją ostrożnie między zęby i mocno przygryza. Nie pęka.

Wyjmuje ją z ust i skupia się na wyrwanej z książki kartce.

Lily,

dzisiaj obchodziliśmy perłowe gody. Dziękuję Ci za ten weekend.

Mam nadzieję, że Joe da Ci szczęście. Mam nadzieję, że zasługuje na Ciebie bardziej niż kiedyś ja.

Charlie.

Czyta list raz jeszcze. Pozwala, aby dotarł do niej sens napisanych ręką Charliego słów.

Jest pierwszy maja. Dzień, w którym go poślubiła.

Data, z którą od czasu rozstania niełatwo jej było sobie radzić. Zmuszała ją do tego, aby wspominać to, o czym wolała zapomnieć – w tym jednak roku przez śmierć mamy, pogrzeb i planowanie tego weekendu zupełnie wyleciała jej z głowy.

Trzydzieści lat temu. Na dworze padał deszcz, kiedy stała obok niego przed ołtarzem w pospiesznie kupionej sukience, kiedy jej matka i jego rodzice emanowali kiepsko skrywaną dezaprobatą, kiedy wymienili się obrączkami i przyrzekli kochać się aż do śmierci.

Drze kartkę na małe kawałki i wrzuca je do popielniczki. Wraca na plażę, staje na brzegu i ciska perłę do oceanu, tak daleko, jak tylko się da.

Gdy znowu wchodzi po schodkach, spotyka Thomasa, wracającego z przejażdżki rowerowej. Zsiada z roweru i idzie razem z nią przed podjazd.

– Gdzie samochód Joego? Chyba jeszcze nie wyjechał?

Lily odpowiada, że tak i wyjaśnia powód.

Nie wygląda na zaskoczonego.

– Więc ślubu nie będzie.

– Nie będzie.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. To właściwa decyzja.

Thomas opiera rower o balustradę i wchodzi za nią do domu.

– Co teraz będzie? Znaczą się z Land's End?

Lily kręci powoli głową.

– Nie wiem, Thomas. Nie mam pojęcia.

– Gdybym mógł pracować gdzieś blisko, mieszkałbym tu cały rok.

Przygląda mu się zdziwiona.

– Naprawdę? Nie wiedziałam, że tak jesteś przywiązany do tego miejsca.

– Kocham je – mówi z prostotą. – Kochałem jako dziecko i kocham teraz. W mieście czasem o tym zapominam, ale wystarczy, że tu wrócę, a sobie przypominam. Ten weekend... nie był najłatwiejszy, lecz nadal kocham Land's End.

A ona planowała sprzedać ten dom, w ogóle się z nimi nie konsultując. Nie pytając ich nawet, jak się na coś takiego zapatrują.

– Możesz tu przyjeżdżać, kiedy tylko chcesz – mówi teraz. – Dni robią się coraz dłuższe; może w następny długi weekend Sam i Matt będą ci chcieli towarzyszyć.

– Możliwe... No a co z tobą? Lato planujesz spędzić tutaj?

Lily myśli o długich dniach czerwca, lipca i sierpnia. O ludziach na plaży, kiedy jest ładna pogoda. O radiach i piknikach, zapachu olejku do opalania, piskach dzieci. Samochodach zaparkowanych na drodze.

– Raczej tak. Raczej na pewno.

Nie mija wiele czasu, a zjawiają się Poll i Aidan. Poll pyta o Joego i raz jeszcze Lily opisuje okoliczności jego wyjazdu.

– Och, mamo. Tak mi przykro. Bardzo się smucisz?

– Będzie mi go brakowało, ale tak jest najlepiej. To dobra decyzja.

– Biedny Joe. Lubiłam go.

Mija przedpołudnie. We czwórkę rozkładają za domem koc i przez jakiś czas leniuchują. Nie ma wczorajszego słońca, ale i tak jest w miarę ciepło. O pierwszej jedzą na lunch to, co zostało – ser, owoce, chleb – a posprzątawszy kuchnię, Lily oświadcza, że będzie się niedługo zbierać.

– Mam jeszcze dzisiaj trochę pracy papierkowej – wyjaśnia, co tylko w części jest prawdą.

Jak zawsze ma sporo do roboty, ale nie jest to nic, co by nie mogło zaczekać. Nie, ona chce być teraz sama, aby zebrać myśli, porozmyślać o tym, co się stało, i zaplanować kolejny krok.

Na górze chowa ręczniki i pościel do czarnego plastikowego worka, w którym przyjechały trzy dni temu świeżo wyprane i wyprasowane. Pakuje buty, sukienki i przybory toaletowe oraz książkę Joego, którą zostawił na nocnej szafce. Zamyka okno i zostawia w szafie liliowy szlafrok swojej matki.

Stawia swoje rzeczy u szczytu schodów, po czym wchodzi do pokoju zajmowanego przez Charliego i Chloë, mówiąc sobie, że tylko sprawdza, czy niczego nie zostawili. Wbija wzrok w materac. Przypomina jej się radość, jaką czuła, kiedy budziła się obok niego na początku ich małżeństwa. Nie, przez całe małżeństwo, nawet pod koniec, nawet jeśli ta radość nieco się zmniejszyła, nawet jeśli nie była już jej tak świadoma. Ona tam była, zawsze była.

Aidan znosi do samochodu jej bagaże.

– Tak się cieszę z waszych zaręczyn – mówi do niego. – Dziękuję, że tak uszczęśliwiasz Poll.

– To działa w obie strony – odpowiada z uśmiechem. – Po powrocie zamierzamy wyprawić małe przyjęcie. Damy ci znać, co i jak.

– Czekam z niecierpliwością.

Poll mocno ją ściska.

– Dzięki, że zorganizowałaś ten weekend. Bezpiecznej drogi. Zadzwoń wieczorem, kiedy dotrzemy do domu.

– Nie pływaj tam, gdzie nie masz gruntu.

– Dobrze.

– Obiecuj.

– Obiecuję.

Poll i Aidan na pewno będą korzystać z Land's End. Możliwe, że powtórzą historię, że uczynią ten dom miejscem rodzinnych wakacji. Kubki z gorącą czekoladą dla następnego pokolenia, wspólne pływanie w tym samym morzu, obserwowanie wieczorami tych samych zachodów słońca.

– Pójdiesz ze mną w przyszłym tygodniu na kolację? – pyta Thomas. – Ja zapraszam.

Lily jest wzruszona. Nie pamięta, kiedy ostatnim razem spędzili razem wieczór tylko we dwoje.

– Z największą przyjemnością.

Będzie musiała powiedzieć Charliemu o Joem. Nie chce, aby dowiedział się tego od kogoś innego. Nie zasłużył na takie względy, no ale jednak.

Zamyka drzwi samochodu i odjeżdża. Poll, Aidan i Thomas stoją i machają, dopóki nie znika za zakrętem.

POLL

Demony nie zniknęły.

Wczoraj sądziła, że tak. Wczoraj wieczorem przyduśiło je jej szczęście, pozbawiło ich głosu. Wczoraj wieczorem, leżąc obok siebie w łóżku, ona i Aidan rozmawiali i rozmawiali.

– Planowałem zabrać cię w ten weekend do Edynburga – rzekł do niej. – Chciałem się oświadczyć gdzieś na wyjeździe. Wszystko zarezerwowałem, loty, hotel i tym podobne, a potem ty mnie zaprosiłaś do Land's End. Tłumaczę się, żebyś wiedziała, dlaczego nie okazałem jakiegoś szczególnego entuzjazmu.

Przeprosiła za zepsucie mu planów i zapewniła, że chętnie wybierze się do Edynburga w inny długi weekend. Wybaczył jej i odparł, że zobaczy, co da się zrobić.

Rozmawiali o odwiedzeniu jego rodziców, tak by osobiście przekazać im dobrą wiadomość. Rozmawiali o tym, że polecą do Francji, aby powiedzieć jego córce Loulou i jej matce Éloïse.

Aidan dawno już spał, a ona nie mogła. Przepęniała ją zbyt wielkie podekscytowanie. Wczoraj wieczorem nie było miejsca na demony, bo miała o czym myśleć.

Dzieci, na pewno. Chciałaby troje, może nawet czworo. Pierwsza dziewczynka Kitty. Chłopiec może Robert, po dziadku, którego nie dane jej było poznać. A potem zobaczą.

Będzie im potrzebny dom z ogrodem. Huśtawka, trampolina – nie, nie trampolina, oczami wyobraźni już widziała złamane nogi, skręcone karki. W takim razie huśtawka i piaskownica – i złota rybka albo może królik. Albo jedno i drugie. Coś, na co nie ma alergii.

Poll Cunningham. Poll Grimes. Poll Grimes-Cunningham. Poll Cunningham-Grimes. Decyzje, decyzje.

Kiedy zaczną pojawiać się dzieci, przestanie pracować. Nie, ograniczy liczbę godzin. Jeden pokój w ich domu przerobi na pracownię. Pozwoli dzieciom bawić się gliną – będzie je wręcz do tego zachęcać.

Kiedy tak leżała w ciemności w ramionach Aidana, szczęście uczyniło ją wielkoduszną. Pozwoli tacie uczyć jej dzieci pływać, na pewno będzie zadowolony. Może nawet poprosi jego i Chloë na rodziców chrzestnych – i w tym momencie przywołała się do porządku. Nie przesadzajmy z wielkoduszością.

Spała jakieś pięć minut – najwyżej – i w chwili, kiedy się obudziła, one już tam były, wyjątkowo głośne w jej głowie.

On nie mówił poważnie. Popełnił błąd.

Podczas śniadania starała się je ignorować.

Kto przy zdrowych zmysłach chciałby się z tobą ożenić?

Przez całą drogę do Kariny starała się je ignorować.

Wkrótce się opamięta. Odwoła ślub. Powie ci, że jest mu przykro.

Podczas gdy Karina podziwiała pierścionek i parzyła herbatę, starała się je ignorować.

To tylko kwestia czasu, wiesz o tym. To nie będzie trwać wiecznie.

Przez cały lunch starała się je ignorować.

Skończ to, zanim on to zrobi. Po co czekać, po co to przedłużać?

Ale ich nie da się powstrzymać, nie da się ignorować. Dlaczego w ogóle sądziła, że to możliwe? Co kazało jej myśleć, że może z nimi wygrać, pozbyć się ich?

A mimo to próbuje, mimo to walczy. Skupia się na tym, co dobre.

Aidan poprosił ją o rękę. Ona się zgodziła. Są zaręczeni.

Nie mówił poważnie.

Wykonanie pierścionka zlecił projektantowi.

Popełnił błąd.

Wybrał ametyst, bo to jej szczęśliwy kamień, a otoczył diamentami, aby uczynić pierścionek bardziej wyjątkowym.

Jutro albo za tydzień, albo za miesiąc on odzyska rozum.

Pierścionek jest platynowy, nie srebrny, jak początkowo myślała, musiał kosztować majątek. Idealnie pasuje na jej palec.

Glupia jesteś, sądząc, że on będzie chciał to ciągnąć.

Sęk w tym, że one mają rację. Sęk w tym, że one zawsze mają rację. I prędzej czy później ona będzie musiała się poddać i pozwolić im wygrać.

Prędzej czy później ona wszystko odwoła. Odda mu piękny pierścionek i powie, że jest jej przykro. Wyprowadzi się z jego mieszkania i na czas szukania czegoś innego wróci do mamy.

Prędzej czy później tak właśnie się stanie. Ale na razie Poll zamierza udawać, że wszystko jest w porządku.

Aidan został w domu, by pomóc Thomasowi schować wiklinowe meble do szopy. Sama idzie do Gerry'ego, chcąc mu oddać ocynkowane wiadro, w którym przyniósł im ziemniaki. Gdy wróci, spakuje się i wyjadą, opuszczą Land's End i Aidan nigdy więcej go nie zobaczy.

Nie może o tym myśleć. Nie może zapuszczać się w te rejony. Dlatego idzie na farmę Gerry'ego i udaje, że jest szczęśliwa.

Dzwoni do drzwi, lecz odpowiada jej cisza. Na pewno znajdzie go gdzieś za domem. Udaje się tam, wołając jego imię. Minęło chyba ze dwadzieścia lat, odkąd była tu po raz ostatni. Otwiera po kolei drzwi budynków gospodarczych, ale nadal go nie znajduje.

Idzie w stronę stodoły.

Gdy zbliża się do wielkich drewnianych drzwi, coś się dzieje.

Niedobra dziewczynka.

Słyszy to tak wyraźnie, jakby ktoś wypowiedział te słowa na głos.

Co?

Zatrzymuje się zaniepokojona. Rozgląda się, lecz nikogo nie widzi.

Niegrzeczna dziewczynka.

Co?

Zła, niedobra dziewczynka.

Co? Co?

Staje przed drzwiami i czuje mrowienie na całym ciele. To tylko stodoła, w której ona i Thomas szukali jajek, w której bawili się w chowanego. To stodoła Gerry'ego, po której łąziły jego kury, gdzie jego pies drzemał w deszczowe dni.

– Gerry? – woła. – Jesteś tam? Tu Poll. Poll Cunningham.

Cisza. Otwiera drzwi i zagląda do środka.

– Gerry?

Nadal cisza. W stodole panuje półmrok i czuć stęchlizną. Nie ma go tutaj.

Mimo to Poll nie rusza się z miejsca, pozwalając, aby jej wzrok przyzwyczaił się do półmroku. Coś ją tu przytrzymuje, mimo że wzdłuż jej pleców przebiega zimny dreszcz strachu.

I wtedy, kiedy tam stoi, zaczyna sobie przypominać. Wszystko do niej wraca, fragment po fragmencie. Minuta po minucie.

Przyszła tu ukryć się przed Thomasem, który liczy do stu. Weszła po cichutku do stodoły – lecz jest tu jakiś pan. Ten widok jest taki nieoczekiwany, że serce podchodzi jej do gardła i Poll zatrzymuje się jak wryta. To nie jest Gerry, to ktoś inny. Nie widzi jego twarzy, bo jest zwrócony tyłem do niej, ale wie, kto to taki.

Siedzi w kucki, głowę ma spuszczoną. Wydaje dziwny dźwięk – jakby nie mógł dobrze oddychać. Poll się wydaje, że może płacze. Ten dźwięk wymaga jej przerażenia. Chce się odwrócić i uciec, ale nogi ma jak wrośnięte w ziemię.

Spodnie ma spuszczone, zrolowane w kostkach. Nogi grube i białe. Tyłek wielki i okrągły niczym książyc.

Poll stara się nie oddychać. Stara się nie wydawać żadnego dźwięku – ale nagle zachciewa jej się kichnąć. Zastłania ręką nos, ale nic to nie daje.

Mężczyzna, który nie jest Gerrym, odwraca się raptownie i ją dostrzega. Poll stoi w bezruchu, zbyt przerażona, aby się poruszyć. On szybko podciąga spodnie. Twarz ma bardzo czerwoną i bardzo, bardzo rozgniewaną. Nagle rzuca się w jej stronę i chwytą za ramię, nim ona zdąży uciec.

– Niedobra dziewczynka! – Wypowiada te słowa szeptem, ale jest tak, jakby krzyczał. – Niegrzeczna dziewczynka, która się tak zakrada! Zła, niedobra dziewczynka! – Jego usta znajdują się zaledwie centymetry od jej twarzy, krople śliny lądują na jej policzkach.

Poll jest przerażona. Dłoń mężczyzny zaciska się na jej ramieniu, sprawiając jej ból. Chce zawołać Thomasa, ale nie może wydobyć z siebie głosu. Czuje, że chce się jej siku; mocz spływa jej po nogach, ciepły, mokry i piekący. Moczy jej ulubione czerwone rajstopy w czarne kropki.

– Jesteś niedobrą, niedobrą dziewczynką! – syczy, potrząsając jej ramieniem. – Jeśli komuś piśniesz choć słowo, powiem, jaka jesteś niegrzeczna i na zawsze cię zamknę w domu!

Zaczyna płakać, głośno i ze strachem. On ją odpycha, po czym znika za drzwiami. Poll kuli się w kącie i czeka, aż Thomas ją znajdzie, a kiedy tak się dzieje, mówi mu, że boli ją brzuch i chce wracać do domu.

Stojąc teraz w drzwiach stodoły, wszystko sobie przypomina.

Kuzyn Gerry'ego, który skądś przyjechał na pogrzeb ciotki, czyli matki Gerry'ego. Poznała go dzień wcześniej w domu Gerry'ego, kiedy wszyscy przyszli na czuwanie.

– To jest Spencer – powiedziała babcia. – Kuzyn Gerry'ego. Przywitaj się, Poll.

On zmierwił jej włosy i powiedział, że ma śliczne irlandzkie piegi. Jego oddech pachniał tak jak oddech taty, kiedy wracał do domu z Sully's.

Kuzyn, który robił w stodole coś, na co miał ochotę, myśląc, że nikt go nie widzi. Nazwał ją niegrzeczną i złą, bo w wieku lat pięciu weszła do stodoły i zobaczyła, jak robi coś, czego nie rozumiała. Sprawił, że uwierzyła, że jest niedobra i że nie zasługuje na niczyją miłość.

Jeśli komuś piśniesz choć słowo, powiem, jaka jesteś niegrzeczna – więc nikomu nic nie powiedziała. Schowała wszystko głęboko w sobie, gdzie nikt nie mógł tego znaleźć, i od tamtego czasu trzymała się z dala od stodoły Gerry'ego, jego farmy i wszystkich miejsc, w których mogła napotkać jego kuzyna.

Oto, gdzie wszystko się zaczęło. Oto, gdzie nauczyła się gardzić niedobrą Poll. Oto, gdzie narodziły się demony.

Zamyka powoli drzwi stodoły i opiera się o nie. Prawa ręka odnajduje lewą. Dotyka pierścionka.

Zła dziewczynka, niegrzeczna dziewczynka, niedobra dziewczyna – ale ona wcale taka nie była. Przez ponad dwadzieścia lat wierzyła temu człowiekowi. Przez ponad dwadzieścia lat kontrolował ją, mówił jej, jak ma myśleć, mimo że nigdy więcej go nie spotkała.

Co niewytłumaczalne, mimo tej potworności, która się tutaj wydarzyła, Poll nadal kochała Land's End, kochała duży niebieski dom swojej babci.

To babcia. Ta myśl pojawia się nagle w jej głowie. To babcia przywiodła ją do tej stodoły, wiedząc, że jej widok przywróci jej wspomnienia. To babcia, która jednak wróciła do swojego ukochanego domu, babcia, która wiedziała dokładnie, jak pomóc Poll.

Patrzy w niebo, czuje na twarzy mżawkę. Lepiej będzie się zbierać. Zostawia wiadro pod drzwiami domu i podnosi kołnierz.

„Teraz wiem”, myśli. „Teraz rozumiem”.

Ma poczucie, że to punkt zwrotny. Ma poczucie, że to nowy początek. Szybkim krokiem idzie do Land's End. Idzie szybko ku swojej przyszłości wypełnionej drżącą nadzieją.

THOMAS

„Mam dość tego twojego syna nieudacznika, który robi do mnie maślane oczy jak usychająca z miłości dziewczyna”.

„Mało się nie posika z podekscytowania na mój widok”.

To jego wina. Niepotrzebnie podsłuchiwał. Gdy tylko się zorientował, że się kłóca, powinien był położyć narzutę na ziemi i odejść, a nie pozostać przy drzwiach i słuchać podniesionych głosów. Ma za swoje.

Ale w sumie dobrze, że to usłyszał. Dobrze, że tak go zraniła, dlatego że jej słowa wywarły na niego natychmiastowy wpływ. Pokazały ją w nowym świetle, zabiły to, co do niej czuł.

Gdy dojeżdża do wsi, jego telefon wydaje serię piknięć, informując go, że ma nieodebrane połączenia lub wiadomości. Jest pewny, że wszystko to może poczekać, aż dojedzie do domu.

Od teraz będzie się trzymał od nich z daleka. Z tatą będzie się spotykał, ale nie przyjmie żadnych zaproszeń do ich mieszkania. Oczywiście, może ich już wcale nie otrzymywać, skoro tata o wszystkim wie.

Ale może tata jej nie uwierzył. Może uważa, że powiedziała tak po to, aby go zirytować. Może jeśli Thomas nic nie będzie mówił, temat nigdy nie wypłynie.

Nie. Dość sekretów. Zadzwoń do taty. Zadzwoń do pracy, tak by Chloë nie mogła odebrać. Powie mu prawdę, że żywił względem niej uczucia, ale że to się zmieniło. Zobacz, jak tata to przyjmie.

Thomas sądzi, że będzie dobrze. Sądzi, że teraz wszystko będzie dobrze.

Mija miejsce, gdzie skradziono mu samochód. Na rondzie zjeżdża w kierunku miasta. Wyjechał z Land's End zanim Poll wróciła od Gerry'ego. Wieczorem do niej zadzwoni – chce raz jeszcze pogratulować siostrze zaręczyn.

I poprosi ją, aby zrobiła głowę dla Fredy. Wpadł na ten pomysł podczas porannej przejażdżki rowerowej. Coś mu mówi, że Fredzie spodobałaby się wesoła, kiwająca się głowa.

Ma dla niej coś jeszcze: idealną muszlę Świętego Jakuba, której kremowe krawędzie przecinają prążki w kolorze jasnego brązu, rdzy, kawy i ciemnego brązu.

Znalazł ją na plaży, kiedy po wyjeździe mamy udał się na ostatnie pływanie. Przypominała mu muszle, które zbierał jako mały chłopiec. Sprezentuje ją jutro, pamiątkę z wyjazdu, jak te drobiazgi, które ona zawsze przywozi jemu.

Niedługo wróci do Land's End. Zapyta Sama i Matta, czy mieliby mu ochotę towarzyszyć, tak jak sugerowała mama. Chce zatrzeć wspomnienie tego weekendu i uważa, że najlepiej zrobi to kolejnym, znacznie lepszym.

Zastanawia się, jak by to było mieszkać tam na stałe. Oczywiście nigdy do tego nie dojdzie – musiałyby znaleźć pracę odpowiadającą mu równie bardzo, jak obecna. Ale sądzi, że fajnie byłoby nazywać Land's End swoim domem. Bardzo fajnie.

Im bliżej miasta, tym większe korki. Dochodzi piąta, kiedy dociera do swojej dzielnicy. Kierowany impulsem, którego nie kwestionuje, zmienia trasę, aby przejechać obok kafejki. Zwalnia, kiedy do niej dojeżdża. Na rolicie wisi jakaś kartka. Thomas parkuje na drugiego i wysiada z auta, aby sprawdzić, co to takiego.

Zamknięte do odwołania.

Napisano odręcznie, ale nie jest to charakter pisma Fredy. Kartkę przyklejono do rolety brązową taśmą pakową.

Co takiego? To musi być jakaś pomyłka. Tak, dziś zamknięte, ale jutro otwarte jak zwykle, a przynajmniej tak być powinno. Nie znajduje żadnego możliwego wyjaśnienia. Wraca do samochodu i z kieszeni kurtki wyjmuje telefon, przypominając sobie o piknięciach, jakie usłyszał podczas jazdy, kiedy odzyskał zasięg. Osiem nieodebranych połączeń, wszystkie z tego samego, nieznanego mu numeru. Żadnej wiadomości tekstowej ani głosowej.

Osiem połączeń.

Po przyjeździe w sobotę naładował telefon, korzystając z ładowarki taty. Nie dlatego, że

potrzebował, lecz z przyzwyczajenia. Później telefon leżał w jego pokoju, bez sygnału zupełnie nieprzydatny.

Ma złe przecucia. Kto, u licha, musi z nim tak pilnie rozmawiać? Na pewno ma to związek z kartką na rolecie. Dzwoni do Fredy, słyszy informację, że abonent jest czasowo niedostępny, i jego strach się potęguje. Wybiera ten nieznany numer i słucha kolejnych sygnałów. Kiedy już ma się rozłączyć, rozlega się kliknięcie, a potem jakieś szelesty.

– Halo? – Kobięcy głos, starszy. Lekko zdyszany.

Thomas przedstawia się.

– Niestety nie mogłem odebrać pani telefonów. Byłem...

– Tyle razy do pana dzwoniłam! – warczy na niego.

– Przepraszam, byłem...

– Ani razu pan nie oddzwonił!

– Byłem...

– Z dziesięć razy chyba dzwoniłam!

Thomas zmienia taktykę.

– Czy jest pani w jakiś sposób związana z Fredą O'Donnell? Właśnie zobaczyłem...

– Jestem jej matką!

Jej matka. Od czasu, kiedy Thomas pracuje w kafejce, ta kobieta nie pojawiła się w niej ani razu. Wie o jej istnieniu, ale niewiele ponad to – Freda, której przez cały dzień nie zamyka się buzia, rzadko o niej wspomina. Powodów może być całe mnóstwo – w tej akurat chwili w ogóle go one nie interesują.

– Czy z Fredą wszystko w porządku?

– Nie! Ani trochę! Po co miałabym dzwonić, gdyby było?

– Co się stało?

– Zaliczyła upadek, ot co. Podczas zamknięcia w sobotę. Weszła na krzesło, aby opuścić rolety, straciła równowagę i spadła. Pan wyszedł wcześniej. Była zupełnie sama.

Oskarżycielski ton. Równie dobrze mogła powiedzieć: „To pana wina”.

– Czy ona... stało jej się coś?

– Cóż, oczywiście, że tak! Złamała nogę w trzech miejscach. Zabrała ją karetka. Zadzwoniono do mnie ze szpitala. Może pan sobie wyobrazić, jak się przestraszyłam?

– O Boże. – Jest mu niedobrze. Biedna Freda. Powinien tam być, powinien się uprzeć, aby zostać aż do zamknięcia. – Nadal jest w szpitalu?

– Oczywiście, a wczoraj miała operację. Trzeba było wsadzić gwóźdź.

Thomas coś sobie uświadamia.

– W sobotę miała urodziny.

– Och, urodziny, a kogo to obchodzi? Jakie znaczenie mają urodziny, skoro leży w szpitalu z gwoździem w nodze? Przecież i tak nie miała żadnych planów.

– Który to szpital?

Podaje mu nazwę.

– Będzie tam do jutra. Pierwsze, co powiedziała, kiedy tam pojechałam, to żebym zadzwoniła do pana, żebym próbowała się dodzwonić. To nie był mój pomysł.

– Jest pani u niej teraz? Mogę z nią porozmawiać?

– Nie jestem. Jestem w domu. Musiałabym jechać z tym moim biodrem dwoma autobusami. Wystarczy, że musiałam jechać w sobotę, żeby zawieźć jej szczoteczkę do zębów i inne rzeczy. Musiałam wziąć taksówkę – a ile to kosztowało!

– Próbowałem do niej zadzwonić – mówi Thomas. – Nie mogę się połączyć.

– Cóż, oczywiście, że nie. Przecież kiedy upadła, to miała telefon w kieszeni i się roztrzaskał. To dlatego ja musiałam wydzwaniać.

Thomas dziękuje i się rozłącza, po czym z ciężkim sercem jedzie do domu. A to się narobiło. Powinien był zostać aż do zamknięcia, powinien był nalegać.

Zatrzymuje się pod domem. Wyniesie rzeczy z samochodu i rozpakuje walizkę. Weźmie prysznic, który rano sobie darował, a potem zadzwoni do szpitala i dowie się, jakie są godziny

odwiedzin.

Pieprzyć to.

Ponownie uruchamia samochód. Jedzie przez zakorkowane miasto. Dziesięć minut krąży po żałośnie małym szpitalnym parkingu, nim w końcu udaje mu się wypatrzyć świeżo zwolnione miejsce.

Wysiadając z auta, przypomina sobie o białej, znalezionej na plaży muszli. Wyjmuje ją z walizki i wkłada do kieszeni. To drobiazg, ale chociaż coś dla niej ma.

– Freda O'Donnell – mówi w rejestracji.

Zostaje skierowany na trzecie piętro, gdzie słyszy od jednej z pielęgniarek, że odwiedziny zaczynają się o siódmej.

– Jestem jej jedynym bratem i właśnie przyleciałem z Australii – kłamie bez zająknięcia. – Przyjechałem tu prosto z lotniska. Nie spałem ponad dobę, ale musiałem ją zobaczyć.

Pielęgniarka ustępuje. Chwilę później Thomas przekracza próg sali, na której leży Freda. Stoją tu cztery łóżka – i proszę, oto i ona, śpiąca na tym pod oknem.

Ignorując pozostałych pacjentów, przechodzi przez salę i staje u stóp jej łóżka. Krzyżuje ręce na piersi.

Na poduszce leżą rozsypane włosy, które zawsze widywał związane. Twarz ma bladą, a na prawym policzku widnieje nieduży, żółtofioletowy siniak. Ma na sobie jasnoniebieską koszulę nocną, a spod krótkich rękawów wystają piegowate ręce. Do wenflonu w lewej dłoni podłączona jest kroplówka. Dolna część łóżka jest lekko uniesiona – pod kołdrą widać zarys umieszczonej w gipsie nogi.

W jego gardle pojawia się gula. Myśli o Fredzie w fartuszkach w kolorze butelkowej zieleni, śpiewającej podczas gotowania, używającej drewnianej łyżki jako mikrofonu. Śmiejącej się za każdym razem z jego sucharów, choć słyszała je tysiąc razy. Wychodzącej zza lady, aby połaskotać niemowlęta pod brodą. Przywożącej mu prezent z każdego wyjazdu.

Nigdy nikogo nieosądzającej. Absurdalnie ufnej. Najżyczliwszej osobie, jaką zna.

„Mam dość twojego syna nieudacznika, który robi maślane oczy jak usychająca z miłości dziewczyna”.

„Na mój widok mało się nie posika z podekscytowania”.

Jest głupcem. Jest idiotą jakich mało.

Dotyka schowanej do kieszeni muszli. Zaklina Fredę, aby otworzyła oczy.

CHARLIE

Wszystko się zmieniło.

Okłamała go. Wymyśliła serię kłamstw i uraczyła go nimi. Jak może jej jeszcze zaufać?

Oczywiście dostrzeża w tym hipokryzję. Przez co najmniej rok sam okłamywał Lily, która się o tym dowiedziała i przypuszczalnie już nigdy mu nie zaufa. Można powiedzieć, że nie jest wcale lepszy niż Chloë.

Czy jednak nadal ją kocha?

Kocha?

Zakończył dla niej swoje małżeństwo. Dla niej zaryzykował pogorszenie relacji ze swoimi dziećmi. Do tej pory dawała mu ogromne szczęście. Ale teraz?

Charlie pewność ma tylko co do tego, że nie chce, aby usunęła ich dziecko. I okazuje się, że ona także tego nie chce.

– Strasznie się tego boję – przyznaje Chloë, kiedy nadchodzi nowy dzień, a oni pozostawiają za sobą gniew dnia poprzedniego. – Chora jestem na samą myśl.

– W takim razie nie rób tego. Odwołaj wizytę.

– Ale ja nie chcę dziecka. I ty także.

– Nie chciałem.

– Ale teraz chcesz.

Teraz chce. Teraz myśl o wychowywaniu nowego dziecka coraz bardziej mu się podoba.

Będzie starszy. I co z tego? Zacznie dbać o formę i odzyska utraconą witalność – to będzie jego misja na kolejnych siedem miesięcy. Będzie brał czynny udział w opiece nad niemowlęciem. Thomas i Poll to inne pokolenie, takie, w którym matki, bez względu na to, czy pracowały zawodowo czy nie, zajmowały się prawie wszystkimi aspektami wychowywania, a ojcowie chętnie im na to pozwalali. Za drugim razem Charlie rozegra to inaczej.

Będzie miał czas dla tego syna lub córki. Wykorzysta wysoką pozycję na uczelni, aby odpowiednio dostosować swój grafik do nowego statusu ojca. Będzie odprowadzał dziecko do szkoły, chodził z nim do dentysty i na plac zabaw. Robił wszystko to, czym przed laty zajmowała się Lily.

Będzie obecny przy ząbkowaniu i kolkach. Będzie wsuwał pieniądze pod poduszkę, kiedy zaczną wypadać mleczaki. Nauczy je pływać, tak jak pozostałą dwójkę – tyle że nie na plaży w Land's End.

Wie, że to nie będzie wcale proste. Kto to wie, jaka się stanie Chloë po porodzie? No i jak na wiadomość o dziecku zareaguje jego pierwsza rodzina?

Co pomyśli Lily? Co powie, kiedy się o tym dowie? Czy po wczorajszych rewelacjach w ogóle go wysłucha?

Po trudnym porodzie Poll i jeszcze trudniejszych dla Lily kolejnych tygodniach postanowili poprzestać na dwójce dzieci. Jak się ona poczuje, kiedy się dowie, że Charlie znowu zostanie ojcem, gdy tymczasem dla niej ta droga jest już dawno zamknięta?

Zastanawia się, jak zareagowała na perłę.

Wypatrzył ją pośród gratów na łodzi Dinny'ego, a ten mu powiedział, że znalazł ją przed kilkoma miesiącami w brzuchu złowionego okonia morskiego.

– Weź ją sobie – rzekł Dinny. – Mnie się do niczego nie przyda.

Pozostawienie jej rano w samochodzie Lily wraz z pospiesznie napisanym liścikiem było impulsem, ale uznał to za stosowne. Może na widok perły złagodnieje. Może wybaczy jego niewierność, bo przecież minęło trochę czasu, a ona była teraz z Joem.

Zastanawia się, jak Thomas i Poll zareagują na dużo młodsze rodzeństwo. W jego głowie pojawia się myśl, że jeśli ona i Aidan szybko się postarają o dziecko, to ich dzieci mogą być niemal rówieśnikami. Ileż to wprowadzi w ich życiu zamieszania?

– Damy sobie radę – mówi do Chloë. – Nie taki mieliśmy plan, ale damy radę. Będę cię wspierał w każdy możliwy sposób.

Siedem miesięcy, plus minus.

W tej chwili wydaje się to wiecznością.

ROK PÓŹNIEJ

LILY

Marzec był srogi, z bezprecedensowymi śnieżycami w pierwszym tygodniu, które uziemiły większość kraju. W wieczornych wiadomościach pojawiały się raporty o zasypanych śniegiem gospodarstwach, farmerach mających problem z dotarciem do zwierząt przebywających w wyższych partiach gór, tragicznych wypadkach na oblodzonych drogach.

A kiedy nadeszły tak bardzo upragnione przez wielu roztopy, przyniosły ze sobą nowe problemy w postaci pękających rur i powodzi. Dopiero pod koniec miesiąca pogoda względnie się unormowała i choć wciąż było zimno, serce radowało się na widok kęp pierwiosnków i na dźwięk świergotu wijących gniazda ptaków.

Do długiego weekendu pozostał tydzień, a pięć tygodni po nim szkoły średnie kończą rok szkolny i rozpoczynają się wakacje.

Lily Murphy, od lutego pięćdziesięcioletka, stoi przed drzwiami wejściowymi do domu, w którym się wychowała, podziwiając metalowy szyld, jaki Patsy Kinehy postawiła przy furtce. *Pensjonat Land's End* – taki widnieje na nim napis. Granatowe litery na kremowym tle, identyczna czcionka jak na stronie internetowej, którą w styczniu utworzył dla niej Aidan.

Mama nie miała szyldu ani strony internetowej. Kiedy pod koniec lat siedemdziesiątych otworzyła pensjonat, poprosiła swoją siostrę Corę, aby ta umieściła w kilku amerykańskich gazetach cotygodniową reklamę. Cora zamieściła je we wszystkich gazetach ogólnokrajowych, a wszystkim swoim znajomym – a wtedy miała ich już naprawdę sporo – kazała przekazywać tę informację dalej.

Lily miała czternaście lat, kiedy zaczęli się pojawiać pierwsi goście. Cecily i Bob, a po nich kolejni. Kiedy już przywykła do nowych porządków w domu, chętnie pomagała po szkole i w weekendy, no i przez całe wakacje.

Nie potrafi powiedzieć, kiedy po raz pierwszy przemknęła jej przez głowę myśl o otwarciu pensjonatu. To nie było objawienie, a raczej spokojne rozwijanie się pomysłu podczas tych czasem samotnych tygodni po jej rozstaniu z Joem. Zaczęło się pewnego wieczoru w czerwcu, kiedy wypełniała szkolne dokumenty, z którymi nie zdążyła uporać się w ciągu dnia. Pamięta, że pomyślała wtedy, że wcześniejsze pożegnanie się z pracą mogłoby nie być wcale takie złe.

To była myśl zrodzona ze zmęczenia i ogólnej frustracji, i może niepokoju spowodowanego wiadomością o ciąży Chloë – Charlie zadzwonił do niej kilka dni po spędzonym wspólnie weekendzie – nim jednak zdążyła odrzucić, Lily chwyciła ją i uważniej się przyjrzała.

Czemu by nie przejść na emeryturę? Zmęczona była sterowaniem tym niesfornym statkiem, zmęczona dyscyplinowaniem ponad trzystu nastolatków, zmęczona radzeniem sobie z rodzicami i niechętnymi do współpracy nauczycielami. Zmęczona była niekończącymi się kursami, radami pedagogicznymi i okólnikami. Miała tego wszystkiego szczerze dosyć, czemu więc nie odejść?

Finansowo także by sobie poradziła, dlatego uznała, że warto wziąć ten pomysł pod rozwagę.

W lipcu i sierpniu dzieliła czas między miasto – gdzie grała w golfa, spotykała się z przyjaciółmi i czytała książki, na które nie miała czasu w ciągu roku szkolnego – a Land's End, gdzie spacerowała po plaży, pielęgnowała ogród i także czytała i gdzie co jakiś czas odwiedzali ją Thomas oraz Poll z Aidanem.

Przekonała się, że nie ma nic przeciwko mieszkaniu tam w pojedynkę. Otoczona była duchami – dziadków, rodziców – lecz ich obecność, o ile rzeczywiście tam byli, tylko ją uspokajała.

Przez całe lato rozważała możliwość przejścia na emeryturę. Po rozpoczęciu roku szkolnego także, analizując plusy i minusy porzucenia pracy, przewidując przeszkody, które może napotkać na swojej drodze.

Najbardziej martwiło ją to, czym się będzie zajmować na co dzień. Musiałaby znaleźć sobie coś do roboty, w przeciwnym razie by oszalała.

W grę wchodził wolontariat, ale pomysł ten nieszczególnie do niej przemawiał. Nie widziała siebie za ladą sklepu z rzeczami używanymi, rozwijającej emerytom obiady albo czytającej pacjentom w domach opieki – nie była wystarczająco szlachetna na coś takiego. Interesujące mogłoby się okazać

założenie nowej działalności, tyle że co potrafiła oprócz nauczania? Jakie miała inne umiejętności?

Cóż, to oraz prowadzenie pensjonatu. Po tylu latach pomagania w Land's End mogła to robić z zamkniętymi oczami.

Pensjonat.

Obcy ludzie w domu. Inne akcenty, inne języki. Susząca się na linkach pościel, rano kiełbaski. Nic, z czym nie dałaby sobie rady.

Ale nie w mieście – dom się do tego nie nadawał. Poza tym należał w połowie do Charliego i to by wszystko skomplikowało, podczas gdy jej zależało na upraszczaniu.

Ale Land's End nie jest w połowie czyjeś. Land's End jest całe jej. I Land's End funkcjonowało już kiedyś jako pensjonat.

Czy mogła pójść śladami swojej matki?

Pod koniec października zdecydowała, że owszem.

– Myślę o przejściu latem na wcześniejszą emeryturę – poinformowała Poll i Thomasa. – Myślę o przeprowadzce do Land's End i ponownym otwarciu tam pensjonatu.

Ku jej uldze plan ten spotkał się z obopólnym entuzjazmem.

– Och, mamó! – zawołała Poll i wybuchnęła płaczem.

A potem obiecała, że pomoże jej ile tylko będzie w stanie, bo przecież miała także swoją pracę i przygotowania do ślubu. Thomas także zaoferował jej wsparcie swoje i Fredy.

Swoje i Fredy. Nie tylko Lily miała plan.

Uznała, że musi porozmawiać z Charliem, że musi mu powiedzieć, że wyprowadza się z ich wspólnego domu. Zadzwoiła i poprosiła o spotkanie, on zaś sprawiał wrażenie szczerze ucieszonego jej telefonem. W kawiarni miejscowego hotelu przedstawiła mu swoje plany.

– Dobry pomysł – orzekł.

To było ich pierwsze spotkanie od czasu tamtego wyjazdu do Land's End w długi majowy weekend. Jedynym wcześniejszym kontaktem był telefon Charliego z informacją o ciąży Chloë, no i telefon Lily, aby dać byłemu mężowi znać o rozstaniu z Joem.

– Przykro mi – powiedział i brzmiało to szczerze.

Teraz, gdy znowu się spotkali, Lily miała świadomość istniejącej między nimi nowej rezerwy. Nie czuli się w swoim towarzystwie równie swobodnie jak do tej pory. Niemniej bez względu na to, co zrobił, bez względu na to, jak okrutnie się zachował, był ojcem jej dzieci i nic tego nie zmieni.

– Co z domem? – zapytała. – Przeprowadzicie się do niego z Chloë?

Coś takiego wydawało się w obecnej sytuacji oczywiste.

Przez długą chwilę milczał, wbijając wzrok w stół.

– Nie jestem pewny – powiedział w końcu, a ona odpuściła temat.

Teraz, kiedy podjęła decyzję o przeprowadzce, traciła zainteresowanie obecnym domem. Zobaczymy, co będzie dalej.

– Jak się czuje Chloë? – zapytała nieco poniewczasie, na co odparł, że dobrze, że wszystko w porządku.

Za mniej więcej cztery tygodnie znowu miał zostać ojcem. Lily zastanawiała się, co Charlie w związku z tym czuje i czy tego pragnie, ale oczywiście nie zapytała go o to.

Pod koniec listopada wybrała się na zachód do Larry'ego Traynora, miejscowego przedsiębiorcy budowlanego, którego dziadek razem z jej dziadkiem zbudował Land's End. Poprosiła go o dobudowanie łazienek do czterech pokoi i zapytała, ile to zajmie czasu.

Usłyszała, że kilka miesięcy, i potem przy każdej swojej bytności w Land's End zastawała go przy pracy. Wszystko było gotowe z końcem marca, dzięki czemu Lily zostało mnóstwo czasu na przygotowanie się do otwarcia na lato.

Zleciła odmalowanie całego domu, w środku i na zewnątrz. Dla pokoi wybrała kolor jasnożółty, który rozjaśniał je w pochmurne dni. W przypadku pozostałej części domu – z wyjątkiem bieli w kuchni – zdecydowała się na jasny turkus, przywodzący na myśl spokojne morze.

Fasada pozostała oczywiście niebieska.

W zeszłym tygodniu odszukała pożółkły wycinek z pierwszą reklamą, która pojawiła się

w „Chicago Tribune”, przysłany z Ameryki przez Corę, by Kitty mogła zobaczyć, jak to wygląda. Lily umieściła reklamę w srebrnej ramce, którą powiesiła w holu, tuż obok zdjęcia Gabriela Murphy’ego.

Planujesz wakacje w Irlandii? Ciepłe powitanie czeka w Land’s End, pensjonacie Kitty Murphy, z widokiem na kamienistą plażę na zachodnim wybrzeżu. Domowe jedzenie, wiejska prostota, rozsądne ceny. Idealna baza dla wycieczek wzdłuż pięknego irlandzkiego wybrzeża. Czekamy na Twój telefon.

Lily nie zamieściła reklamy w żadnej z amerykańskich gazet. Zamiast tego wrzuciła ofertę pensjonatu na trzy różne portale wakacyjne i już miała dwie potwierdzone rezerwacje na lipiec i jedną na sierpień oraz wiele zapytań.

Dom w mieście trzy tygodnie temu został wystawiony na sprzedaż. Charlie jednak go nie chciał, więc zdecydowali się go sprzedać. Obejrzało go już całkiem sporo osób i złożono nawet dwie oferty kupna.

Lily zamyka drzwi wejściowe i wraca do kuchni. Podlewa wodą udziec jagnięcy, miesza ziemniaki i na górnej płycie piekarnika stawia cztery talerze, aby je ogrzać. Na upieczonym rano cieście umieszcza trzy świece i chowa je do spiżarni.

Freda i Thomas nie mają do niej daleko, najwyżej dziesięć minut. Freda sądzi, że to po prostu zwykła kolacja.

– W niedzielę ma urodziny – powiedział jej w tygodniu Thomas. – Zabieram ją na obiad do hotelu.

– A może zamiast tego zabierzesz ją w sobotę wieczorem na kolację do Land’s End? – zapytała go Lily. – Wybieram się tam na weekend, bo w niedzielę odbędzie się msza z okazji rocznicy śmierci babci.

– Mamo, rocznica była w zeszłym miesiącu. Zamówiłaś dla babci mszę w mieście.

– Wiem, ale tutaj też chciałam. Babci nie będzie przeszkadzać, że data się nie zgadza. Zaprosiłam twojego tatę i Mel. Możemy urządzić Fredzie przyjęcie niespodziankę.

No i tak właśnie było.

Nie potrafi ich rozgryźć, Thomasa i Fredy. Są oczywiście partnerami biznesowymi – w sierpniu wzięli w dzierżawę Queally’s, najmniejszy z trzech pubów we wsi. Nie minęły dwa tygodnie, a zainstalowali się w mieszkaniu nad pubem razem z matką Fredy, zrędliwą kobietą. Nie zdążył minąć nawet miesiąc, a uznała, że życie na wsi jest nie dla niej. Spakowała się i wróciła do miasta – ku, jak podejrzewała Lily, uldze wszystkich zainteresowanych.

Była zaskoczona, kiedy Thomas jej powiedział o ich planach przejęcia Queally’s. Wiedziała, że szuka pracy we wsi, nie sądziła jednak, że Freda także. I żadne z nich nie miało pojęcia, jak się prowadzi pub – jak, u licha, mieli sobie poradzić?

Jak na razie radzili sobie całkiem dobrze. George Queally chętnie im służył radą, a oni szybko się uczyli. Freda oferuje klientom domową zupę i kanapki z własnoręcznie wypiekanego chleba – ma już grono wiernych klientów – oboje zaś obsługują bar. Minęło osiem miesięcy, a oni nadal tu są, a drzwi do Queally’s pozostają otwarte.

Lily cieszy się w ich imieniu. Freda potrzebowała czegoś pozytywnego po tym wypadku i wielu tygodniach fizjoterapii, przez co zmuszona była zakończyć działalność swojej małej kafejki. Thomas oczywiście także stracił pracę i przez cztery miesiące oboje byli na zasiłku, po czym podjęli zaskakującą decyzję o dzierżawie Queally’s.

Partnerzy biznesowi – i kto wie, co jeszcze? Każdy, kto nie był ślepy, widział, co Freda czuje wobec Thomasa, on jednak jak zawsze pozostaje skryty i trudno stwierdzić, czy odwzajemnia to uczucie. Lily nie pyta, a oni jak na razie nic nie mówią. Będzie po prostu czekać i mieć nadzieję.

Freda byłaby wspaniałą synową. Lily traktowana by była na starość jak królowa.

Da im pewną kwotę, kiedy dostanie jednorazową gratyfikację za przejście na emeryturę.

Szkoda, że Poll i Aidan nie przyjadą także w ten weekend, no ale miesiąc miodowy rządzi się swoimi prawami. Poll wczoraj wieczorem przysłała jej zdjęcie, na którym stoją oboje przed zamkiem w Edynburgu, i cudownie było zobaczyć uśmiech na twarzy córki, prawdziwy, szczerzy uśmiech.

Krótko po zaręczynach z Aidanem Poll zapisała się na terapię.

– Muszę przepracować pewne sprawy – tak powiedziała.

Lily zrobiło się trochę przykro, że zwróciła się z tym do terapeuty, a nie własnej matki. No ale mniejsza z tym – może potrzebowała, aby był to ktoś obcy, no i wygląda na to, że rzeczywiście jej to pomaga. Oczywiście swoje mogły także zrobić przygotowania do ślubu z Aidanem.

Jej dzieci są szczęśliwe; czegoż więcej może pragnąć matka?

Co jakiś czas zdarza jej się wpaść na Joego, co przy tak wielu wspólnych znajomych jest nieuniknione. Początkowo było to krępujące, ale ostatecznie oboje poradzili z tym sobie.

Od kilku miesięcy spotyka się z Normą West, której mąż zginął przed kilku laty w wypadku łodzi. Lily ma nadzieję, że związek ten przetrwa.

Wchodzi na górę, aby zamknąć okna i sprawdzić kaloryfery w dwóch pokojach od frontu. W zielonym pokoju – mimo nowego koloru ścian nazwa pozostaje taka sama – poprawia poduszki i prostuje dywanik przed łóżkiem.

On zawsze lubił ten pokój.

Słyszy wjeżdżający na szutrowy podjazd samochód i podchodzi do okna. Obserwuje, jak wysiada. O wiele lepiej mu w krótkich włosach – taka fryzura odejmuje mu lat. Trochę także schudł, co wyszło mu oczywiście na dobre.

Obchodzi samochód i od strony pasażera wyjmuje fotelik samochodowy. Twarz Mel skrywa się za kapturem żółtej kurteczki, ale Lily zna ją na pamięć. Elfi kształt, zaskakujący błękit oczu, malutki, zadarty nos, kochane, różowe usteczka.

Zakochała się w córce byłego męża.

Mel, Melanie. Urodzona w jeden z ostatnich dni listopada, porzucona przez matkę niecały tydzień później. Pozostawiona ojcu, który zwrócił się do Lily o pomoc.

– Odeszła – powiedział, stojąc na progu jej domu z małym zawiniątkiem. – Zostawiła nas.

No więc Lily zaprosiła ich do środka, bo nie mogła inaczej, zrobiła mu kawę i trzymając na rękach jego córeczkę, słuchała opowieści.

– Powtarzała, że nie chce dzieci, przez całą ciążę się upierała. Byłem przekonany, że po przyjsciu na świat Mel zmieni zdanie, ale...

Po przyjsciu z pracy zastał w przedpokoju jej torby. Chloë podała mu Mel, zadzwoniła po taksówkę i wyszła, nie mówiąc mu, dokąd jedzie.

Lily obiecała, że pomoże. Znalazła mu panią do opieki nad niemowlęciem w czasie, kiedy Charlie jest w pracy. Sama zabierała Mel we wtorkowe i czwartkowe wieczory i układała ją do snu w starym drewnianym łóżeczku, w którym kiedyś sypiali Thomas i Poll. Karmiła ją i zmieniała pieluchy. Nie minęło dużo czasu, a zakochała się w dziesięciu małych paluszkach u nóg, okrągłym, pachnącym niemowlęciem brzuszku, i głowie z jasnym meszkiem.

Jak Chloë mogła to zrobić? Jak mogła odwrócić się od tej maleńkiej perfekcji? Jak mogła porzucić Charliego i ich córkę, w jednej chwili wykreślić ich ze swojego życia?

Przez kilka kolejnych dni telefony Charliego na jej komórkę pozostawały nieodebrane. Próbował dowiedzieć się czegoś od jej matki – ta mu powiedziała, że Chloë wyjechała do Szwecji. Wyprowadziła się do innego kraju, ot tak, i przez pięć kolejnych miesięcy nie odezwała się do niego ani słowem, choć za pośrednictwem jej matki Charlie wysyłał listy i zdjęcia ich córki.

Trzeba Nadii oddać, że także się zaangażowała. W większość niedzielnych popołudni zabiera Mel na spacer do parku. Kupuje jej zabawki i małe sukienki. Ale w tej kobiecie brak jest ciepła – kiedy ich drogi się krzyżują, Lily nie widzi dowodów na to, aby nawiązała więź ze swoją maleńką wnuczką.

Może zachowanie Chloë nie było jednak wcale takie niewytłumaczalne.

Przygląda się, jak Charlie idzie przez podjazd w stronę prowadzących na plażę schodków. Widzi, jak unosi fotelik, a drugą rękę wyciąga w stronę morza. Pokazuje jej Land's End, po raz pierwszy ją tu przywiózłszy.

Nie po raz ostatni, o ile Lily ma w tym względzie coś do powiedzenia.

Powie Charliemu, że kiedy zamieszka tu już na stałe, będą mile widzianymi gośćmi. I sądzi, że on chętnie skorzysta z tego zaproszenia. Będzie dla nich rezerwować zielony pokój. Jeśli chcesz, to spędźcie tu wakacje – tak mu powie. Historia się powtórzy, a raczej wersja historii.

Lily wie, że nie będzie tak, jak wcześniej. Nigdy nie będzie go kochać tak, jak przed laty: zbyt wiele się wydarzyło i zbyt mocno ją zranił, aby coś takiego było możliwe. Ale niewykluczone, że odnajdą drogę do innego rodzaju uczucia, spokojniejszego, mniej niebezpiecznego. Bardziej dobrzy przyjaciele niż kochankowie. Nigdy nie wiadomo.

Możliwe, że jednak dopełnią tu razem swoich dni.

Rozlega się dzwonek. Lily schodzi na dół, aby ich wpuścić.

Podziękowania

Jak zawsze dziękuję Ciarze Doorley, Joannie Smyth i całemu zespołowi w Hachette Books Ireland za bezgraniczne wsparcie.

Gorące podziękowania dla mojej agentki Sallyanne Sweeney za to, że zawsze mogę na nią liczyć i za nieustające wysiłki na moją rzecz.

Dziękuję adiustatorce Hazel i korektorowi Aonghusowi za bezpieczne przeprowadzenie *Rocznicy* przez ostatnie przeszkody.

Z całego serca dziękuję Philipowi Gleesonowi i Nicky'emu gQuinnowi, którzy szczerze dzielili się swoim czasem i wiedzą.

Dziękuję wszystkim, którzy dają mi znać, że podobała im się któraś z moich książek – coś takiego niesamowicie pomaga, kiedy mam akurat kiepski nastrój.

Specjalne podziękowania dla Ciebie, czytelniku, za to, że wybrałeś tę książkę: bez czytelników byłabym nikim.

www.roisinmeaney.com

@roisinmeaney

Roisin Meaney urodziła się w Listowel w hrabstwie Kerry w Irlandii. Mieszkała w USA, Kanadzie, Afryce i Europie, by ostatecznie osiąść w Limerick. Jest autorką wielu bestsellerowych powieści, w tym *The Reunion*, *Love in the Making*, *One Summer* i *Something in Common*, napisała także kilka książek dla dzieci. W pierwszą sobotę każdego miesiąca w lokalnej bibliotece opowiada bajki maluchom i ich misiom.

Jej motto brzmi „Bierz laptopa i w drogę”, więc regularnie pakuje walizki i przeprowadza się w nowe miejsce w poszukiwaniu inspiracji do pisania. Jest także fanką przypadkowych aktów życzliwości: „Sprawiają, że czuję się tak dobrze, jak osoba będąca ich odbiorcą”.

www.roisinmeaney.com

@roisinmeaney

www.facebook.com/roisinmeaney